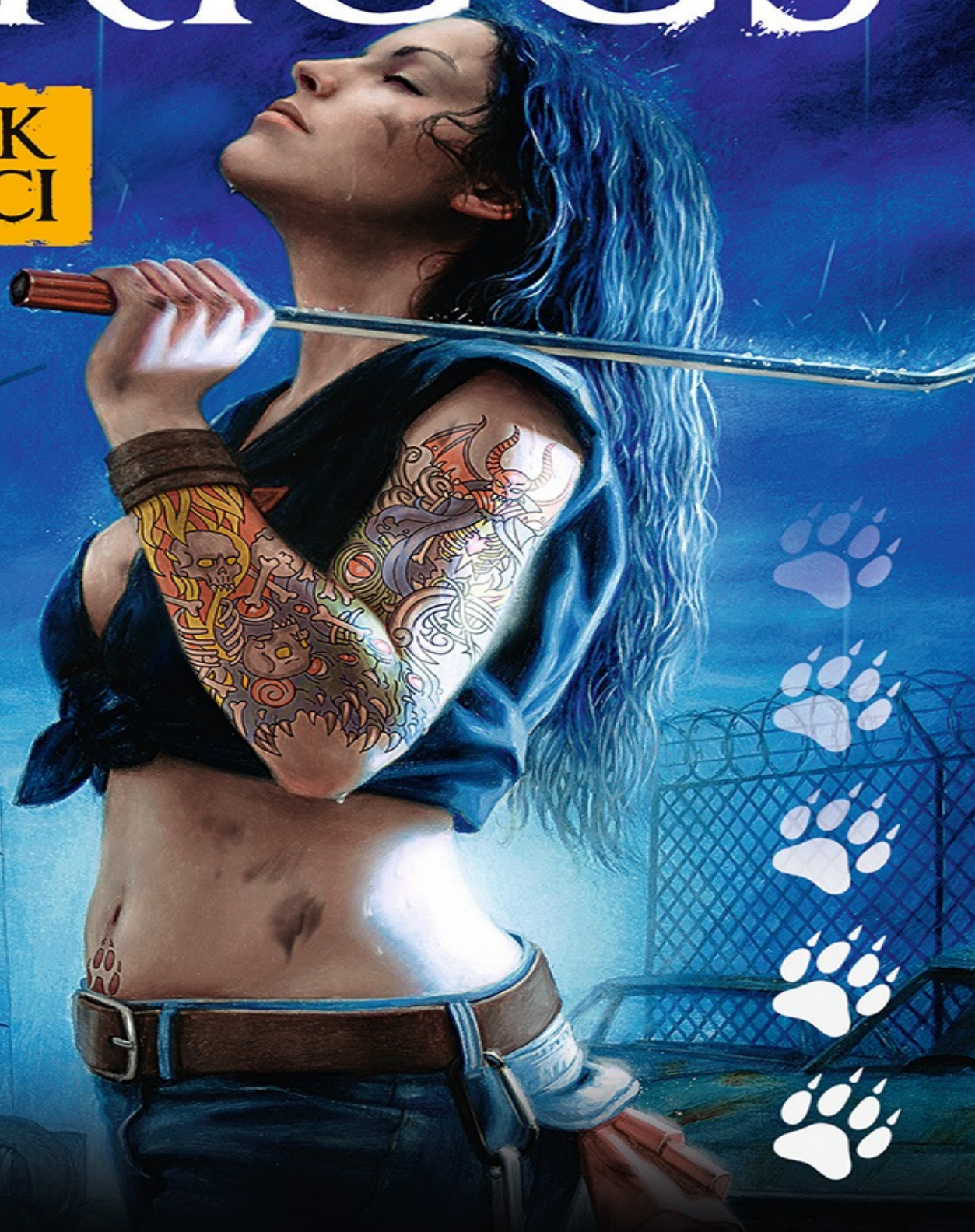


SERIA Z MERCEDES THOMPSON **4**

# PATRICIA BRIGGS

**ZNAK  
KOŚCI**



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

# Spis treści

Karta tytułowa

Seria z Mercedes Thompson

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Karta redakcyjna

Okładka

PATRICIA  
BRIGGS  
ZNAK KOŚCI

TEUMACZYEA  
DOMINIKA SCHIMSCHEINER

fabryka słów®  
Lublin – Warszawa

*Seria z Mercedes Thompson:*

1. *Zew księżycy*
2. *Więzy krwi*
3. *Pocałunek żelaza*
4. *Znak kości*
5. *Zrodzony ze Srebra*
6. *Piętno rzeki*
7. *Żar mrozu*
8. *Zamęt nocy*

*Jordanowi, zakręconemu, umuzykalnionemu bratu wszystkich  
stworzeń futrzastych, pierzastych i tych bardziej oślizgłych*

## *Podziękowania*

*Mnóstwo ludzi pomogło w tym projekcie, ale szczególnie jestem wdzięczna tym, którzy w tempie ekspresowym przesiali rękopis przez gęste sito, a byli to – Mike Briggs, Dave i Katherine Carsonowie, Laurie Martin, Jean Matteaucci, Anne Peters, Kaye Roberson i Anne Sowards. Chciałabym również podziękować osobom, które ciężko pracowały nad ustaleniem, iż, owszem, da się odlać srebrny pocisk, czyli Mike'owi Briggsowi, dr. Kevinowi Jaansalu, dr. Kyle'owi Robersonowi i Tomowi Lenzowi.*



# Rozdział 1

**S**pojrzałam w lustro. Buźki może nie miałam pięknej, za to włosy długie, gęste i lśniące. Choć skóra na twarzy i rękach pociemniała mi od słońca, a reszta ciała pozostała nieopalona, dzięki karnacji odziedziczonej po ojcu, Indianinie z plemienia Czarnych Stóp, różnica nie była duża. Dwa szwy na ranie, którą opatrzył Samuel, siniak na ramieniu – drobnostki, biorąc pod uwagę, że walczyłam z istotą, która pożerała dzieci i była w stanie ogłuszyć wilkołaka. Ciemny ślad przypominał trochę odnóża czarnego, połyskliwego pająka. Poza tymi niewielkimi uszkodzeniami wyglądałam całkiem znośnie. Dzięki treningom karate i pracy fizycznej byłam w dobrej formie.

W znacznie gorszym stanie znajdowała się moja dusza, ale tej w lustrze nie widziałam. Na szczęście inni także. To właśnie te niewidzialne rany sprawiały, że bałam się wyjść z łazienki i stanąć przed Adamem, który czekał na mnie w sypialni. Choć wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że Hauptman nie zrobiłby nic, czego bym nie chciała – pragnęłam tego już od dawna.

Mogłam mu powiedzieć, żeby odszedł, żeby dał mi trochę czasu. Spojrzałam na kobietę w lustrze, ale tylko odwzajemniła spojrzenie.

Zabiłam mężczyznę, który mnie zgwałcił. Miałabym pozwolić

gwałcielowi na tę ostatnią wygraną? Pozwolić mu zniszczyć mnie, osiągnąć zamierzony cel?

– Mercy? – Adam nie musiał podnosić głosu. Wiedział, że go słyszę.

– Uważaj – zagroziłam, porzucając moje odbicie na rzecz założenia czystej bielizny i znoszonego podkoszulka. – Mam prastary kostur i nie zawaham się go użyć.

– Ten stary kij leży na twoim łóżku – usłyszałam w odpowiedzi.

Kiedy weszłam do sypialni, na łóżku leżał również Adam.

Nie był wysoki, lecz nie potrzebował wzrostu, by robić jeszcze większe wrażenie. Szerokie kości policzkowe, miękkie usta i wyraźnie zarysowany podbródek nadawały wilkołakowi wygląd gwiazdora filmowego. Pod przymkniętymi teraz powiekami kryły się oczy barwy ciemnej czekolady, tylko o ton jaśniejsze od moich. Ciało miał tak piękne jak twarz, choć nie oceniał siebie pod tym kątem. Trzymał formę, bo ciało Alfy jest narzędziem, które zapewnia watasze bezpieczeństwo. Przed Przeistoczeniem parał się żołnierką i mimo upływu czasu było to widać w jego postawie, ruchach i sposobie dowodzenia.

– Po dyżurze Samuel pójdzie spać do mojego domu – poinformował mnie, nie otwierając oczu.

Samuel, czyli mój współlokator, lekarz i wilk-samotnik. Dom Adama stał po sąsiedzku. Z dzielących budynki dziesięciu akrów, trzy należały do mnie.

– Mamy dużo czasu na rozmowę.

– Okropnie wyglądasz – oświadczyłam nie do końca zgodnie z prawdą. Rzeczywiście miał ciemne podkopy pod oczami, ale nie wiem, jak potworne musiałyby być okaleczenia, żeby wyglądał okropnie. – Czyżby w stolicy zabrakło hoteli?

Na weekend musiał pojechać do Waszyngtonu, żeby posprzątać bałagan, który po części był moim dziełem. Oczywiście gdyby nie rozszarpał przed kamerą ciała Tima i gdyby nagranie to nie wylądowało na biurku senatora, nie byłoby takiego zamieszania, więc częściowo on też ponosił za to winę.



Jednak głównymi sprawcami kołomyi byli Tim oraz człowiek, który skopiował i przesłał dalej film. Timem zajęłam się osobiście. Problem tego drugiego idioty wziął na siebie Bran, główny przywódca wilkołaków, stojący na czele wszystkich stad. Jeszcze w zeszłym roku wynikiem jego działań byłby niechybnie pogrzeb kretyna. Teraz, kiedy wilkołaki ledwo co ujawniły swoje istnienie, Bran na pewno wykazał się większą powściągliwością. Cokolwiek to w jego wykonaniu oznaczało.

Adam uniósł powieki i spojrzał na mnie. W przyćmionym świetle – włączył tylko małą lampkę przy łóżku – jego tęczęwy wydawały się czarne. Na twarzy Hauptmana malowało się zaszepienie, którego wcześniej nie dostrzegłam. Wiedziałam, że to ja jestem tego przyczyną. A konkretnie fakt, że nie był w stanie mnie ochronić. Adam należał do ludzi, którzy traktowali takie sprawy niezwykle poważnie.

Ja natomiast uważałam, że sama mogę zadbać o własne bezpieczeństwo. Czasami wymagało to zwrócenia się o pomoc do przyjaciół, ale odpowiedzialność spoczywała jedynie na mnie. Mimo wszystko Adam postrzegał rzecz jako osobistą porażkę.

– Podjęłaś decyzję? – odezwał się.

Pytał o to, czy będę jego towarzyszką. Kwestia ta wisiała w powietrzu od bardzo dawna i miała fatalny wpływ na zdolność Alfę do utrzymania dyscypliny w stadzie. Jak na ironię, właśnie wydarzenia związane z Timem pomogły mi pozbyć się wątpliwości, które od długiego czasu powstrzymywały mnie przed związaniem się z Adamem. W ich wyniku doszłam do wniosku, że skoro potrafiłam się oprzeć działaniu magicznego eliksiru, którym spoił mnie Tim, moc Alfę także nie przemieni mnie w bezwolną marionetkę.

Może powinnam podziękować Timowi, zanim roztrzaskałam mu głowę łomem do wyciągania silników. Adam to nie Tim, ostrzegałam się w duchu. Przypomniałam sobie gniew Adama, kiedy wyważał drzwi do warsztatu, rozpacz, kiedy zmuszał mnie do ponownego wypicia z tego przeklętego kielicha. Prócz mocy

odbierania woli czara potrafiła także uzdrawiać, a w tamtym momencie straszliwie po trzebowałam uleczenia. Zadziałało, lecz Adam czuł się jak zdrajca, był przekonany, że go za to znienawidzę. Uczynił to jednak, nie oglądając się na nic. Pomyślałam, że nie kłamał, mówiąc, że mnie kocha. Kiedy, umierając ze wstydu, w kojociej formie wpełzłam pod jego łóżko – składałam to uczucie na karb działania napoju, bo zdawałam sobie sprawę, WIEDZIAŁAM, że mam się czego wstydzić – wydobył mnie stamtąd, karcąco ugryzł w nos za głupotę, a potem tulił w ramionach aż do rana. Później, nie bacząc na moje protesty, zapewnił mi bezpieczeństwo i opiekę stada.

Tim nie żył. Urodził się przegrany. A ja za nic w świecie nie zamierzałam stać się ofiarą takiego nieudacznika. Ani nikogo innego.

– Mercy? – Adam leżał spokojnie na plecach, w pozycji znamionującej bezbronność.

W odpowiedzi zdjęłam koszulkę i rzuciłam na podłogę.

Adam znalazł się przy mnie tak szybko, że nie zdołałam zarejestrować poszczególnych ruchów. W mgnieniu oka okrył mnie trzymanym w rękę szlafrokiem i naraz stałam w jego objęciach, mocno wtulona nagimi piersiami w Adamowy tors. Odchylił głowę, więc twarz przyciskałam do zarośniętego policzka.

– Nie o to mi chodziło – powiedział z napięciem. Serce waliło mu młotem, a mocarne ramiona drżały. – Nie musimy od razu ze sobą spać, wystarczyłoby zwykłe „tak”.

Wyczuwałam jego podniecenie, nie potrzebowałam do tego kojociego nosa. Przesunęłam dłońmi po wąskich biodrach, twardym brzuchu, żebrach, wsłuchując się w jeszcze szybsze bicie serca. Pod wpływem delikatnej pieśczoły policzek Adama zwilgotniał od potu. Czułam ruch mięśni, kiedy zacisnął zęby, żar bijący z jego ciała. Dmuchałam mu w ucho. Odskoczył, jakbym poraziła go prądem.

Wilkołacze oczy zaskrzyły bursztynowym światłem, a poczerwieniałe usta nabrzmiały. Zrzuciłam szlafrok obok koszulki.

– Niech cię diabli, Mercy. – Z zasady nie przeklinał w obecności kobiet, a ja uznawałam za osobiste zwycięstwo chwile, gdy udało mi się go do tego skłonić. – Nie minął jeszcze tydzień od gwałtu. Nie będę się z tobą kochał, póki nie porozmawiasz z jakimś psychologiem czy terapeutą.

– Nic mi nie jest – zapewniłam, choć pozbawiona nagle jego ciepła poczułam w brzuchu nieprzyjemne łaskotanie.

Adam odwrócił się do mnie plecami.

– Nieprawda. Pamiętaj, kochanie, wilka nie da się okłamać. – Ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Dźwięk brzmiał zbyt mocno, by wziąć go za westchnienie. Gwałtownym gestem poczochnął włosy, dając ujście nadmiarowi energii. Drobnie kędziorki, które zawsze strzygł bardzo krótko, dbając, by fryzura była zadbana, nastroszyły się posłusznie. – Co ja wygaduję? – ciągnął, choć nie sędzę, aby pytanie kierował do mnie. – Przecież to Mercy. Wyciąganie z ciebie czegoś osobistego w najlepszym wypadku przypomina rwanie zęba, a nakłanianie, żebyś mówiła o tym obcemu...

Nie postrzegałam siebie jako osoby szczególnie skrytej, wprost przeciwnie, zwykle oskarżano mnie o pyskatość. Samuel nieraz napominał mnie, że pożyczę dłużej, jeśli czasem ugryzę się w język.

Czekałam więc w milczeniu, aż Adam zdecyduje, co chce zrobić.

W pokoju było ciepło, ale i tak drżałam, pewnie ze zdenerwowania. Czułam, że jeśli Adam się nie pospieszy, zaraz pobiegnę do łazienki i zwymiotuję. Po tym, jak Tim wlał we mnie hektolitry eliksiru, spędziłam wieki, czcząc porcelanową boginię, więc zaniepokoiłam się wizją składania jej kolejnej ofiary. Adam nie patrzył na mnie, nie musiał. Emocje mają zapach. Odwrócił się zatroskany i jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Zaklął cicho, podchodząc i obejmując mnie mocno. Wydając z gardła niskie, uspokajające pomruki, zaczął delikatnie kołysać.

Wciągnęłam w nozdrza woń Hauptmana, jednocześnie usiłując myśleć. Normalnie nie miałabym z tym żadnego problemu. Ale normalnie nie stałam naga w ramionach najseksowniejszego mężczyzny, jakiego znałam.

Źle zrozumiałam jego zamiary.

Na wszelki wypadek postanowiłam się jednak upewnić. Odchrząknęłam.

– To znaczy, kiedy powiedziałaś, że chcesz dzisiaj poznać konkretną odpowiedź na swoją propozycję... nie chodziło ci o seks?

Zatrząsał się ze śmiechu i potarł policzkiem o mój.

– Za kogo ty mnie masz? Myślisz, że mógłbym brać seks pod uwagę po tym, co wydarzyło się ledwie tydzień temu?

– Myślałam, że tak to działa – wymamrotałam, rumieniąc się.

– Jak długo mieszkałaś ze stadem Marroka?

Dobrze wiedział, jak długo. Chciał tylko uzmysłować mi własną głupotę.

– Prawie nikt nie rozmawiał ze mną o dobieraniu się w pary – broniłam się. – Właściwie tylko Samuel...

Adam zaśmiał się znowu, tuląc do siebie jedną ręką, zaś drugą delikatnie muskając mój pośladek. Dziwne, wcale nie łaskotało.

– Aha, założę się, że mówił ci prawdę, samą prawdę i tylko prawdę.

Objęłam wilkołaka mocniej, przesuwając dłonie na jego krzyż.

– No, najwyraźniej nie. Czyli potrzebowałaś samej tylko zgody?

– Ze stadem to tak nie zadziała, nie, dopóki się nie zadzieje. Ale pomyślałam, że jeśli Samuel przestanie wchodzić nam w drogę, łatwiej podejmiesz decyzję. Jeśli odrzucisz moją propozycję, będę wiedział, na czym stoję. Jeśli się zgodzisz, mogę czekać na ciebie, aż piekło zamarznie.

Słowa Adama brzmiały rozsądnie, lecz zapach mówił coś innego. Mówił, że rozsądek ma tylko ukoić jego troski, ale myśli wędrują innymi torami.

Nic to. Bliskość wilkołaka, bicie serca, którego rytm przyspieszało pożądanie... Słyszałam kiedyś, że świadomość, iż jest się obiektem pragnień, to najlepszy afrodyzjak. Dla mnie na pewno.

– Wiesz – odezwał się po chwili nadal tym samym dziwnie spokojnym tonem – czekanie wydaje się dużo łatwiejsze, niż jest w rzeczywistości. Musisz mi kazać się odsunąć. Dobrze?

– Uhm. – Jego bliskość oczyszczała mnie z pozostałości po Timie lepiej niż jakikolwiek prysznic. Jednak działało to tylko wtedy, gdy mnie dotykał.

– Mercy...

Wsunęłam palce za pasek spodni, lekko drapiąc paznokciami nagą skórę.

Coś tam jeszcze mruknął, ale nawet sam siebie nie słuchał. Pochylił ku mnie twarz. Spodziewałam się powagi, a zamiast niej ogarnęła mnie radość, gdy skubnął moją wargę. Koniuszki zębów wywołały falę mrowienia, która dotarła do opuszków palców, a potem wzdłuż nóg aż po końce stóp. Miały moc te jego zęby.

Sięgnęłam drżącą ręką do guzika spodni Adama, ale nagle poderwał głowę i powstrzymał mnie dłonią.

Wtedy także usłyszałam ten dźwięk.

– Niemiecki samochód.

Westchnęłam rozczarowana.

– Szwedzki – sprostowałam. – Czteroletnie volvo. Szare.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, które jednak szybko przerodziło się w zrozumienie.

– Wiesz, kto to.

Jęknęłam, wtulając się w niego.

– Niech to cholera jasna. Zapomniałam. Wszystko było w gazetach.

– Kto to, Mercy?

Opony zachręściły po żwirze, omiatając reflektorami okna.

– Moja mama. Ma niewiarygodne wyczucie czasu. Mogłam przewidzieć, że przeczyta o... tym. – Nie chciałam nazywać po imieniu tego, co mi się stało, tego, co zrobiłam Timowi, tym bardziej na głos. A już na pewno nie tuląc się prawie naga do Adama.

– Nie zadzwoniłaś do niej.

Potrząsnęłam głową. Powinnam i miałam tego świadomość. Jednak nie mogłam się zdobyć na telefon.

Adam uśmiechał się.

– Ubieraj się. Zatrzymam ją, póki nie będziesz gotowa.

– Nie ma takiej możliwości, żebym kiedykolwiek była na to gotowa.

Spowaźniał i wsparł czoło o moje.

– Wszystko będzie dobrze, Mercy.

Wyszedł z sypialni w chwili, gdy zadźwięczał dzwonek do drzwi. Odgłos powtórzył się jeszcze dwukrotnie, zanim otworzył, a nie ociągał się przecież.

Chwyciłam ubrania, gorączkowo usiłując przypomnieć sobie, czy w zlewie leżą brudne naczynia. Tym razem ja miałam zmywać. Gdyby to była kolej Samuela, nawet bym o tym nie pomyślała. Głupio zastanawiać się nad tym w takiej chwili, przecież matka nie zwróci uwagi na pełen zlew. Ale przynajmniej skupiłam się na czym innym niż panikowaniu.

Nawet nie brałam pod uwagę telefonu do niej. Może za jakieś dziesięć lat nadszedłby taki moment.

Naciągnęłam spodnie i nerwowo zaczęłam szukać stanika.

– Tak, wie, że pani przyjechała – mówił Adam gdzieś blisko, w zasadzie jakby opierał się o drzwi do sypialni. – Zaraz wyjdzie.

– Nie wiem, za kogo pan się uważa – głos matki brzmiał groźnie – ale jeśli natychmiast nie zejdzie mi pan z drogi, to nie będzie miało znaczenia.

Adam był Alfą lokalnej watahy. Był twardy. I brutalny, jeśli sytuacja tego wymagała. Ale z moją matką nie miał najmniejszych szans.

– Stanik, stanik, stanik – szeptałam gorączkowo, wydobywając jakiś z kosza na brudy i zakładając tak szybko, że pewnie zdarłam sobie przy okazji pół skóry z pleców. – Koszulka, koszulka. – Przegrzebałam szufladę, znalazłam dwie i obie odrzuciłam. – Czysta koszulka, czysta koszulka.

– Mercy? – zawołał Adam nieco rozpaczliwie. Aż nazbyt dobrze wiedziałam, co teraz przeżywa.

– Zostaw go, mammo! Już wychodzę!

Zdenerwowana omiotłam sypialnię wzrokiem. Przecież przed chwilą miałam na sobie czystą koszulkę. Tyle że zaginęła w akcji

poszukiwania stanika. Wreszcie udało mi się znaleźć T-shirt z napisem „1984: RZĄD DLA IDIOTÓW” na plecach. Był w miarę czysty, w każdym razie nie woniał zbyt intensywnie. Plama oleju na rękawie robiła wrażenie niespieralnej.

Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi. Musiałam zanurkować pod ramieniem Adama, który blokował wejście.

– Cześć, mamó – rzuciłam pogodnie. – Widzę, że poznałaś już mojego... – Kogo? Towarzysza? Tego matka nie musiała wiedzieć. – Adama.

– Mercedes Atheno Thompson – warknęła matka. – Wyjaśnij, proszę, dlaczego o tym, co ci się przytrafiło, musiałam przeczytać w gazetach?

Unikałam jej wzroku, ale skoro zwróciła się do mnie w pełnym brzmieniu moich obu imion oraz nazwiska, nie miałam wyboru.

Moja mama mierzy sobie metr pięćdziesiąt... Po prostu metr pięćdziesiąt. Jest tylko siedemnaście lat starsza ode mnie, a to oznacza, że jest przed pięćdziesiątką. W dodatku wygląda na trzydzieści. Nadal może nosić sprzączki tytułarne z mistrzostw slalomu beczkowego na starych, oryginalnych paskach. Zwykle jest blondynką – to chyba jej naturalny kolor włosów – choć często zmienia odcień farby. Tym razem była rudawa. Do tego ma wielkie, niebieskie, niewinne oczęta, odrobinę zadarty nos oraz pełne, kształtne usta.

Przy obcych czasami gra głupią blondynkę. Trzepoce rzęsami i mówi głębokim głosem, który maniacy starych filmów skojarzyliby z “Pół żartem, pół serio” bądź “Przystankiem autobusowym”. Z tego, co wiedziałam, matka nigdy nie musiała własnoręcznie zmieniać koła.

Gdyby ostry gniew w głosie nie miał na celu pokrycia tego, co wyzierało z jej oczu, odpowiedziałabym na tę samą nutę. Jednak wzruszyłam tylko ramionami.

– Nie wiem, mamó. Po tym, jak to się stało... Przez parę dni pozostawałam w kojociej formie. – W wyobraźni zobaczyłam groteskowy obraz siebie dzwoniącej do niej. „Posłuchaj, nie

uwierzysz, co mi się dzisiaj przydarzyło...”

Zajrzała mi w oczy, w których dostrzegła chyba więcej, niżbym chciała pokazać.

– Jak się czujesz?

Już miałam powiedzieć, że dobrze, ale lata spędzone wśród istot wyczuwających kłamstwo nosem nauczyły mnie prawdomówności.

– Raczej nieźle. – Znalazłam kompromis. – Pomaga trochę myśl, że nie żyje. – Ucisk w piersiach był upokarzający. Dałam sobie już tyle czasu na uzalanie, ile mogłam.

Mama, jak każdy dobry rodzic, mogła przytulić swoje dziecko, ale jej nie doceniałam. Wiedziała, jak ważne jest, by stąpać twardo po ziemi. Prawą dłoń zacisnęła w pięść tak mocno, że aż pobielaly jej knykcie, ale odezwała się dziarskim tonem.

– W porządku. – Zupełnie jakby to kończyło temat. Nie łudziłam się, wiedziałam, że wróci do tego później, gdy zostaniemy same. Zwróciła anielskie oczy na Adama. – Kim pan jest i co pan robi u mojej córki o jedenastej w nocy?

– Mamo, nie mam szesnastu lat! – obraziłam się. – Mogę sobie przyjmować kogo chcę, nawet na całą noc.

Oboje, i matka, i Adam mnie zignorowali.

Adam nie ruszył się z miejsca przy framudze, przyjmując tylko swobodniejszą pozę. Chciał w ten sposób pokazać matce, że czuje się w moim domu jak u siebie i ma prawo powstrzymać ją przed wejściem do sypialni. Uniósł brew, a kiedy zaczął mówić, w jego głosie nie było już słyszalnej wcześniej nuty paniki.

– Nazywam się Adam, Hauptman i mieszkam tu, po sąsiedzku.

Spojrzała na niego spode łba.

– Alfa, tak? Ten rozwodnik z nastoletnią córką?

Obdarował ją jednym ze swoich niespodziewanych uśmiechów. Od razu wiedziałam, że podbiła właśnie jego serce. Wyglądała ślicznie, kiedy się złościła, a mało kto posiadał tyle animuszu, by mu się postawić. Nagle doznałam objawienia. Gdybym naprawdę chciała, żeby się ode mnie odczepił, zabierałam się do tego całkiem od złej strony. Wystarczyłoby uśmiechać się słodko i trzepotać



rzęsami. Opryskliwe jędze wyraźnie go pociągały. Był tak zapatrzony na moją nadąsaną matkę, że nie zauważał nadąsanej mnie.

– Tak jest, proszę pani. – Adam porzucił ościeżnicę, przechodząc do saloniku. – Cieszę się, że mogłem cię w końcu poznać, Margi, Mercy tyle o tobie opowiada.

Nie miałam pojęcia, co matka mogłaby odpowiedzieć, bez wątpienia coś uprzejmego. Jednak nie zdążyła otworzyć ust, ponieważ przy akompaniamencie odgłosu przypominającego chrzęst jajka upadającego na beton pomiędzy nią a Adamem, tuż nad podłogą, pojawiło się coś. Coś miało gabaryty człowieka, było czarne i suche. Opadłszy na dywan, zaczęło wydzielać silną woń spalenizny, starej krwi i gnijących trupów.

Przyglądałam się temu dłuższą chwilę, usiłując dopasować obraz do informacji odbieranych nosem. Nie pomogła nawet świadomość, iż niewiele cosiów mogło ot tak pojawić się w moim salonie, nie korzystając z drzwi. Dopiero strzępy zielonej koszulki z resztkami znajomego obrazka zada doga niemieckiego pozwoliły mi w tym poczerniałym łachmanie rozpoznać Stefana.

Uklękłam przy nim i wyciągnęłam rękę, lecz zaraz cofnęłam ją w obawie, że uszkodzę go jeszcze bardziej. Nie ulegało wątpliwości, że jest martwy, choć w przypadku wampira sprawa nie musiała być ostateczna.

– Stefan? – spróbowałam.

Nie tylko ja podskoczyłam, gdy chwycił mnie za przegub. Sucha, spękana skóra na jego dłoni drażniła nieprzyjemnie w dotyku.

Ze Stefanem przyjaźnię się, odkąd zamieszkałam w Tri-Cities. Jest czarujący, zabawny, wielkoduszny – nawet jeśli przecenia moją wyrozumiałość wobec zabijania niewinnych ludzi w mojej obronie.

Mimo tego wiele wysiłku włożyłam, by nie wyrwać się i nerwowo nie zetrzeć dotyku szorstkiej skóry wampira z mojej ręki. Fuj. Fuj. Fuj. Poza tym byłam przerażona, że ten uścisk sprawia mu ból, a jego ciało popęka i odpadnie.

W szparze poczerniałych powiek ukazały się naraz tęczęwki,

karminowe, nie brązowe. Usta rozchyliły się i zamknęły dwukrotnie, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. A potem palce Stefana zacisnęły się na mojej ręce tak mocno, że mimo chęci nie zdołałabym jej już wyswobodzić. Uczynił wdech, żeby coś powiedzieć, ale coś poszło nie tak, bo usłyszałam świst w okolicy żeber, gdzie nie powinno być żadnej drogi odpływu powietrza.

– Ona wie – wydukał obcym głosem, suchym, zachrypłym. Uniósł moją dłoń ku ustom i ostatnim tchnieniem wyrzucił z siebie: „Uciekaj”. Z tym słowem osoba, która była moim przyjacielem, zniknęła, ogarnięta odbijającym się na obliczu przemożnym głodem.

Spojrzawszy w jego oczy, uznałam, że należało skorzystać z tej ostatniej rady – szkoda, że na to było już za późno. Nie spieszył się, lecz nie miałam szans, brakowało mi siły wilkołaka czy wampira o nadnaturalnej mocy, żeby się uwolnić.

Dobiegł mnie szcęk przeładowywanej broni. Zerknąwszy w bok, ujrzałam matkę celującą w Stefana z zaskakującego glocka. Był czarno-różowy. Pistolet Barbie. Słodki i zabójczy.

– Wszystko w porządku – zapewniłam ją pospiesznie. Matka wypaliłaby bez chwili wahania, uznając, że znajduję się w niebezpieczeństwie.

W normalnych okolicznościach nie przejęłabym się, że ktoś zamierza strzelić do Stefana, kule nie są szczególnym zagrożeniem dla wampirów, jednak Stefan był w fatalnym stanie.

– On jest po naszej stronie. – Trudno brzmieć przekonująco, kiedy „stronnik” wykazuje tak żarłoczne zamiary, ale starałam się.

Adam chwycił Stefana za przegub, przytrzymując go, więc wampir, zamiast ciągnąć mnie do siebie, zaczął unosić głowę. Zbliżając się do mojego nadgarstka, rozwarł usta, a kawałki skóry opadły na dywan. Śnieżnobiałe, śmiercionośne kły wydały mi się większe, niż je zapamiętałam.

Zaczęłam szybciej oddychać, lecz nie wyrywałam się, krzycząc: „Zabierzcie go ode mnie!” – punkt dla mnie. Pochyliłam się nad Stefanem, wtulając głowę w ramię Adama. W ten sposób

odślaniałam szyję, ale zapach Adama, zapach wilkołaka, tłumiał smród tego, co uczyniono wampirowi. A skoro Stefan potrzebował krwi, byłam skłonna oddać mu ją z własnej woli.

– W porządku – powiedziałam. – Puść go, Adamie.

– Trzymaj broń w pogotowiu – zwrócił się Adam do mojej matki. – Mercy, jeśli to nie zadziała, zadzwoń do mnie do domu i powiedz Darrylowi, żeby przyproceedził tu wszystkich, którzy tam są.

I w brawurowym akcie odwagi, która leżała w jego charakterze, Adam przystawił własny przegub do ust Stefana. Wampir zdawał się nie zauważać tego gestu, nadal podciągał się, trzymając moją rękę. Nie oddychał, więc nie czuł zapachu, zresztą w ogóle nie wydawał się na tyle świadomy.

Powinmam powstrzymać Adama. Stefan karmił się moją krwią już wcześniej, bez żadnych skutków ubocznych dla mnie, i byłam pewna, że ceni moje życie. Nie wiedziałam natomiast, czy czuje to samo w stosunku do Adama. Stefan mówił także, że przy jednokrotnym karmieniu „nie powinno” być żadnych problemów. Spotkałam kilku dawców Stefana, ludzi, którymi pożywiał się na śniadanie, obiad i kolację – byli mu bez reszty oddani.

Nie zrozumcie mnie źle, uważam, że jest fantastycznym facetem jak na wampira, lecz nie wierzę, by ci ludzie, a szczególnie kobiety, potrafili żyć razem skupieni wokół jednego mężczyzny, któremu są wierni, jeśli w grę nie wchodziłby jakiś wampirzy mesmeryzm. A ja przyjąłam ostatnio dawkę magicznego poddaństwa wystarczającą na cały rok.

Jednak sprzeciwianie się zamiarom Adama było bezowocne. Wykazywał wobec mnie silne poczucie opiekuńczości, a w tym momencie wszelkie protesty tylko wzbudziłyby rozdrażnienie jego, moje i mojej matki.

Adam przycisnął nadgarstek do ust Stefana, który naraz zaprzestał powolnych prób zmniejszania dystansu pomiędzy swoimi kłami a moją skórą. Przez moment wydawał się lekko skonfundowany, po czym wciągnął powietrze przez nozdrza.

Zatopił kły w ciele Adama i wolnym ramieniem przyciągnął go ku

sobie, a wszystko to uczynił tak błyskawicznie, że ruch ten wyglądał niczym z taniej kreskówki.

Adam jęknął cicho, nie wiem, czy z bólu, czy przyjemności. Gdy Stefan pożywiał się mną, byłam w kiepskim stanie, prawie nie pamiętałam tej chwili.

Scena robiła wrażenie niezwykle intymnej. Stefan trzymał mnie, pijąc z Adama, który przytulał się do mnie coraz mocniej. Intymnej, acz z widownią. Przekręciłam głowę. Matka stała nad nami, trzymając oburącz broń wycelowaną w głowę Stefana. Była tak spokojna, jakby codziennie widywała spalone szczątki pojawiające się znikąd, które następnie ozywają, by wbić kły w pierwszego człowieka pod ręką. A wiedziałam, że tak nie jest. Podejrzywałam, że mogła nawet nie widzieć nigdy wilkołaka w wilczej formie.

– Mamo – zaczęłam – ten wampir to Stefan, jest moim przyjacielem.

– Mam odłożyć broń? Na pewno? Nie wygląda zbyt przyjaźnie.

Spojrzałam na Stefana, który miał się znacznie lepiej, choć nie poznałabym go jeszcze inaczej niż po zapachu.

– Prawdę mówiąc, pistolet i tak na wiele się nie zda. Kule, pod warunkiem że srebrne, działają na wilkołaki, na wampiry raczej nie.

Schowała glocka do kabury przy pasie.

– To co się robi wampirom?

Ktoś zapukał do drzwi. Nie słyszałam podjeżdżającego samochodu, lecz byłam nieco zdekoncentrowana.

– Przede wszystkim nie należy ich wpuszczać do domu – oświadczył Adam, a matka zatrzymała się w drodze do drzwi.

– Myślisz, że to jakiś wampir?

– Lepiej ja otworzę – powiedziałam, uwalniając rękę. Stefan nie stawiał oporu, puścił mnie i mocniej przywarł do wilkołaka. – Jak u ciebie, Adam?

– Jest zbyt słaby, by pożywiać się szybko. Na razie damę radę, ale weź mój telefon i sprowadź na wszelki wypadek kilka wilkołaków. Wątpię, czy jeden dawca mu wystarczy.

Pod czujnym okiem matki grzecznie wyjęłam telefon z futerału przy pasku spodni. Nie zawracając sobie głowy przeszukiwaniem kontaktów, wybrałam numer do domu Adama i podałam mu aparat. Tajemniczy gość niecierpliwiał się wyraźnie.

Wyglądziłam koszulkę i spojrzałam po sobie, upewniając się, że żaden drobiazg w moim wyglądzie nie krzyczy: „Hej, mam w domu wampira”.

Siniak na ręce dopiero zaczynał ciemnieć. Minęłam matkę i uchyliłam drzwi.

Stojąca na ganku kobieta nie wyglądała znajomo. Mojej postury, mniej więcej w moim wieku, miała ciemne włosy rozjaśnione pasemkami (lub na odwrót, jasnobrązowe z ciemnymi pasmami). Warstwa podkładu na twarzy była tak gruba, że wyczuwałam jego zapach ponad perfumami, które przeciętny ludzki nos odbierał pewnie jako lekkie i przyjemne. Wyglądała nieskazitelnie, niczym rasowy pies przed pokazem lub kosztowna prostytutka.

W każdym razie na pewno nietypowo jak na nocnego gościa starego bungalowu z prefabrykatów na wygwizdowie wschodniego Waszyngtonu.

– Mercy?

Gdyby się nie odezwała, w życiu nie rozpoznałabym w tej chodzącej doskonałości koleżanki ze studiów.

– Amber?

Amber, najlepsza przyjaciółka mojej współlokatorki, Charli, uczyła się na weterynarii, ale ponoć zrezygnowała ze studiów po pierwszym roku. Nie miałam z nią kontaktu, odkąd sama skończyłam uczelnię.

Ostatnio kiedy ją widziałam, miała irokeza i kolczyk w nosie (znacznie większym niż teraz), a w kąciku oka wytatuowanego maleńkiego kolibra. Przyjaźniły się z Charlą od liceum.

To właśnie Charla zdecydowała, że nie chce z nią mieszkać, choć Amber całą winę przypisywała mnie. Z Charlą natomiast łączyła mnie raczej bliska znajomość niż przyjaźń.

Amber roześmiała się, najprawdopodobniej na widok mojego

zdumienia. Dość nieszczerze zresztą, chociaż właściwie nie powinnam kręcić nosem, sama kryjąc za plecami wampira pożywiającego się na wilkołaku. Ciekawe, co ona ukrywała.

– Kopę lat – powiedziała, przerywając niezręczne milczenie.

Wyszłam na ganek, zamykając za sobą drzwi. Staralam się, by nie wyszło to tak, jakbym nie chciała jej wypuścić.

– Co cię tu sprowadza?

Skrzyżowała ramiona na piersiach, zwracając spojrzenie na nieuporządkowaną posesję, na której królował trzykoły Królik. Z ganku nie widać było graffiti, brakujących drzwi i rozbitej przedniej szyby, ale i tak samochód wyglądał jak gruchot. A ponieważ stanowił on formę przekomarzania się z Adamem, nie zamierzałam się tłumaczyć.

– Czytałam o tobie w gazetach – obwieściła.

– Mieszkasz w Tri-Cities?

– W Spokane. – Potrząsnęła głową. – Ale mówili też o tym w CNN, wiesz? Pradawni, wilkołaki, śmierć, jak mogliby się oprzeć – w głosie Amber błysnęła nuta rozbawienia, mimo że twarz pozostała obojętna.

Fantastycznie. Cały świat wiedział, że zostałam zgwałcona. Uhm, jasne, też by mnie to bawiło... Gdybym była Lukrecją Borgią. Nieprzypadkowo nie utrzymywałam kontaktów z Amber.

Ale ona też nie przyjechała nocą ze Spokane, żeby powiadomić mnie o swojej pasji czytania gazet.

– OK, przeczytałaś o mnie w gazetach i stwierdziłaś, że fajnie będzie powiedzieć mi, że wszystko to puściła ogólnokrajowa telewizja, tak? I z tego powodu przejechałaś te kilkaset kilometrów?

– Jasne, że nie. – Odwróciła ku mnie twarz, a zakłopotaną, obcą mi osobę zastąpiła perfekcyjnie zrobiona i jeszcze bardziej obca mi osoba. – Pamiętasz, jak pojechałyśmy do Portland na tę sztukę? Siedziałyśmy później w barze, a ty opowiedziałaś nam o duchu w damskiej toalecie?

– Byłam pijana – przyznałam, nie mijając się z prawdą. – Z tego, co pamiętam, mówiłam też, że wychowały mnie wilkołaki.

– Tak – przyznała z nagłym naciskiem. – Wtedy myślałam, że to bujdy, ale teraz wszyscy wiedzą o wilkołakach, tak jak o nieludziach. I spotykasz się z jednym z nich.

Niewykluczone, że tak wynikało z artykułów. Hura! Do niedawna robiłam wszystko, by pozostać w cieniu, bo tak było bezpieczniej. I nadal było bezpieczniej, tyle że ostatnio moje starania nie przynosiły oczekiwanych rezultatów.

Nieświadoma swojego wewnętrznego dialogu Amber kontynuowała:

– Dlatego tak pomyślałam, że skoro znasz dobrze jednego z nich, pewnie wtedy też nie kłamałaś. A skoro mówiłaś prawdę o wilkołakach, może o duchach także.

Każdy inny zapomniałby o takiej barowej rozmowie, lecz umysł Amber był niczym stalowe siadła. Zapamiętywała wszystko. Po tamtym wyjeździe przestałam pić alkohol. Ludzie odpowiedzialni za sekrety innych nie mogą pozwolić sobie na nic, co rozwiązywałoby im język.

– Mój dom jest nawiedzony – oświadczyła.

Kątem oka uchwyciłam jakiś ruch. Postąpiłam krok do przodu, jednak nic więcej nie dostrzegłam, za to, stojąc na zawietrznej Amber, przestałam być bombardowana zapachem perfum. Wyczułam wampira.

– I ja mam ci z tym pomóc? – zdumiałam się. – Zadzwoń do księdza. – Amber była katoliczką.

– Nikt mi nie wierzy – rzuciła cierpko. – Mój mąż uważa, że zwariowałam.

Światło lampy odbiło się na moment w jej oczach. Miała zwężone źrenice. Ciekawe, czy to przez ciemność, czy może coś brała.

Wzbudzała we mnie niepokój, choć głównie ze względu na przemianę z punk-królowej w ekskluzywną kokotę. Jednak była w niej jakaś bezbronność, nieporadność sygnalizująca „jestem ofiarą”, zaś Amber, którą znałam, pierwsza chwyciłaby kij baseballowy i łupnęła głupka, który ją irytował. I nie bałaby się duchów.

Oczywiście przyczyną mojego niepokoju mógł być też wampir,

albo czający się w pobliżu, albo ten w domu.

– Słuchaj – zaczęłam. Stefan i to, co mu się przydarzyło, był znacznie w tej chwili ważniejszy niż przygody Amber i jej ewentualne potrzeby. – Nie mogę teraz rozmawiać, nie jestem sama. Daj mi swój numer, zadzwonię, jak tylko uporam się tu z pewnymi sprawami.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła wizytówkę. Wydrukowana na drogim papierze zawierała jedynie jej imię i numer telefonu.

– Dziękuję. – Zabrzmiało to tak, jakby Amber ulżyło. Z jej ramion zniknęło też napięcie. Uśmiechnęła się nawet. – Przykro mi bardzo z powodu tego, co ci się stało, ale nie dziwię się, że dopięłaś swego. Zawsze byłaś w tym dobra.

Nie czekając na odpowiedź, zeszła po schodkach i wsiadła do swojego samochodu, nowej miaty z opuszczanym dachem. Wycofała i, nie poświęciwszy mi ani jednego spojrzenia, odjechała w mrok.

Szkoda, że zlała się tak tymi perfumami. Była czymś zdenerwowana, a nigdy nie potrafiła kłamać.

Jednakże zbieg okoliczności wydawał się aż nazbyt dogodny – Stefan namawia mnie do ucieczki, a Amber oferuje możliwość ucieczki.

Wiedziałam bardzo dobrze, że Stefan nie miał na myśli uciekania przed nim. Powiedział: „Ona wie.”

Ona, czyli Marsilia, Pani wampirów z Tri-Cities. Wysłała mnie w pościg za wampirem, którego żądza krwi narażała spokój jej chmary. Uznała, że mam najlepsze szanse na znalezienie go, bo widywałam duchy, a te często kręcą się w pobliżu wampirzych gniazd. Nie sądziła natomiast, że będę w stanie go zabić. I nie spodobało jej się, gdy tak się stało. Wampir, którego zniszczyłam, był wyjątkowo potężny, ponieważ opętał go demon. To nie kwestia szaleństwa, o które przyprawiał wampira demon, oraz w efekcie śmierci wielu osób kłopotowała Marsilię, lecz możliwość wyjścia na jaw istnienia wampirów. Delikwent wyrwał się spod kontroli, osiągnąwszy dzięki demonowi większą moc niż jego stwórca, ale



Pani chmary wierzyła, że uda jej go powściągnąć i z powrotem przejąć nad nim władzę. Wykorzystała mnie do jego odnalezienia, przekonana, że zginę.

I tak by się stało, gdyby nie moi przyjaciele.

A ponieważ sama obarczyła mnie tym zadaniem, nie mogła się zemścić, nie tracąc przy tym posłuchu swej chmary. Wampiry bardzo poważnie traktują zobowiązania.

I w zasadzie uszłoby mi to na sucho, gdyby nie śmierć innego wampira.

Stefan był jej prawą ręką, Andre lewą, a przy okazji stwórcą opętanego przez demona burzyciela, który zamordował więcej ludzi, niż mogłabym zliczyć na palcach obu dłoni. On i Marsilia planowali stworzyć więcej takich potworów. Dla mnie ten jeden był aż nadto. Dlatego zabiłam także Andre, choć wiedziałam, że czeka mnie za to śmierć.

Jednak Stefan zatuszował moją zbrodnię. Uczynił to kosztem życia dwóch niewinnych osób, których jedyną winą było to, iż stanowili ofiary Andre. Ocalił mnie, ale cena była zbyt wysoka. Ich śmierć kupiła mi dwa miesiące bezpieczeństwa.

Teraz Marsilia dowiedziała się o wszystkim. W żadnym innym wypadku nie skrzywdziłaby Stefana w ten sposób.

Torturowała go, głodziła, a potem uwolniła, wysyłając do mnie. Spojrzałam na rękę, na której Stefan pozostawił czerwone pręgi. Gdyby to on mnie zabił, nikt nie obwiniałby Marsilii.

Z zadumy wyrwał mnie jakiś dźwięk. Podniosłam głowę. Zza przekrzywionej sylwetki Królika wyłonili się Darryl i Peter.

Darryl, wysoki, atletyczny mężczyzna, Drugi Adama, odziedziczył ciemną karnację po afrykańskim ojcu, oczy zaś po azjatyckiej matce. Piękno jego rysów wynikało z kombinacji różnorodnych genów, jednak gracia ruchów stanowiła efekt wypadku, który przemienił go w wilkołaka. Lubił dobrze się ubierać, jego bawełniana koszula kosztowała prawdopodobnie więcej, niż zarabiałam przez tydzień. Nie wiedziałam, ile ma lat, ale podejrzewałam, że nie więcej, niż wygląda. Bardzo stare wilkołaki

mają w sobie coś, po czym widać, że nie pochodzą z ery nowoczesnych samochodów, telefonów komórkowych i telewizji. Darryl tego nie posiadał.

Peter, o wiele starszy, kiedyś był kawalerzystą, teraz natomiast wykonywał zawód hydraulika. Miał własną firmę i kilku pracowników, ludzi. Jednak to on szedł z tyłu, bowiem Darryl był bardzo dominującym wilkiem, Peter zaś, jako jeden z niewielu osobników w stadzie Adama, uległym.

Darryl zatrzymał się u stóp ganku. Zwykle za mną nie przepadał, co w końcu uznałam za czysty snobizm – był wilkiem, ja zaś tylko kojotem. Do tego pracował na wysokim stanowisku naukowym w instytucie badawczym, ja natomiast zarabiałam, grzebiąc poplamionymi smarem palcami w silnikach samochodowych.

Na domiar złego, jako towarzyszcze Adama winien mi posłuszeństwo. Czasami szowinizm cechujący zasady współżycia wilkołaków okazywał się bronią obosieczną. Bez względu na to, jak bardzo byłaby uległa wybranka Alfy, władzą ustępuje jedynie partnerowi.

Wilkołaki nie odezwały się, bez słowa otworzyłam więc drzwi, wpuszczając je do domu.



## Rozdział 2

**S**tefan nie zamierzał dobrowolnie zmienić dawcy, więc Peter i Darryl, przyklękawszy, zabrali się do odrywania wampira od jego ofiary. Moją chęć pomocy Adam zbył warknięciem.

Gdyby nie to, pewnie nie nalegałabym, pozostawiając sprawę wilkołakom. W końcu dysponowały nadnaturalną krzepą. Jednak skoro mieliśmy stworzyć z Adamem związek, na myśl o którym już czułam ostrzegawcze łaskotanie w brzuchu, oboje musieliśmy działać w nim na równych zasadach. Nie mogłam ustępować na każde warknięcie Alfy.

Poza tym nienawidziłam tej tchórzliwej części mnie, która kulila się, wyczuwając jego złość. Nawet jeśli wiedziałam, że to bardzo mała część.

Peter i Darryl manipulowali przy rękach Stefana, więc ja zajęłam się głową. Z nadzieją, że wampiry reagują na nacisk pewnych nerwów podobnie jak ludzie, przesunęłam palcami po jego twarzy. Nie musiałam jednak szukać żadnych szczególnych punktów, ponieważ w chwili, gdy dotknęłam ust Stefana, wzdrygnął się, puścił Adama, ramiona opadły mu bezsilnie, a kły wysunęły się na zewnątrz.

– Nie – szepnął, kiedy oderwałam palce od jego warg. – Nie –

powtórzył słabo, a słowo zamarło wraz z tchnieniem.

Nie otwierając oczu, zaczął przesuwając głowę, póki nie spoczęła na moim ramieniu. Jego twarz przypominała już tę, którą znałam. Pęknięcia na skórze, wargach, dłoniach wyglądały jak zwyczajne rany. To uświadomiło mi poprzedni rozmiar zniszczeń, skoro głębokie szramy uznałam za polepszenie stanu.

Byłabym znacznie spokojniejsza, gdyby jeszcze nie wstrząsały nim drgawki jak w ataku epilepsji.

– Co mu jest? – zapytałam bezradnie.

– Ja wiem – rzekł Peter, sięgając po wielki nóż schowany w futerale przy pasku, i naciął sobie ostrzem przegub.

Odsunął mnie, przyciągając Stefana do siebie tak, żeby mieć jego głowę na kolanach i, unieruchamiając go drugą ręką, przystawił mu do ust otwartą ranę. Wampir zacisnął usta, uchylając się.

Adam, który trzymał palce na własnym przegubie, aby powstrzymać krwawienie, pochylił się nad Stefanem.

– W porządku, to nie Mercy. Możesz pić, to nie Mercy.

W szparach powiek pojawiły się czerwone tęczęwki i wampir wydał odgłos, jakiego nie słyszałam nigdy wcześniej... I żałowałam, że kiedykolwiek go usłyszałam. Dźwięk unosił każdy włoszek na karku, wysoki, cienki, jak gwizdek dla psów, a zarazem ostrzejszy. Rzucił się, a Peter drgnął gwałtownie, sycząc przez zęby.

Nie zauważyłam, kiedy matka zniknęła, ale zdążyła przytaskać z łazienki wielką apteczkę pierwszej pomocy, należącą do Samuela. Przykucnęła przy Adamie, który natychmiast zerwał się na równe nogi.

Wilki Alfa nie okazują publicznie bólu, nawet w najbliższym gronie robią to niezwykle rzadko. Przegub Adama wyglądał co prawda jak przeżuty, ale nie pozwoliłby mojej matce nic z tym zrobić. Także się podniosłam.

– Pokaż – powiedziałam stanowczo, uprzedzając słowa, którymi mógłby ją urazić lub vice versa. Przyciągnęłam rękę Hauptmana, żeby zobaczyć rany. – Nic mu nie będzie – orzekłam zadowolona. – Już zaczyna się goić. Za pół godziny zostaną ledwie zadrapania.

Na szczęście.

– I pomyśleć, że zamartwiałam się twoim brakiem przyjaciół – skomentowała matka, unosząc brwi. – Chyba powinnam mieć więcej wiary w afirmacje.

Rzuciłam jej ostre spojrzenie. Uśmiechnęła się mimo wyraźnej troski.

– Ale wampiry, Mercy? Myślałam, że to bajki.

Zawsze umiała wzbudzić we mnie poczucie winy, a to więcej, niż potrafił Bran.

– Nie mogłam ci powiedzieć – broniłam się. – Nie życzą sobie, by ludzie o nich wiedzieli. To niebezpieczne.

Zmarszczyła czoło.

– Poza tym, mamó, nigdy nie widziałam żadnego w Portland. – Ponieważ bardzo uważałam, gdzie patrzę, kiedy je wyczuwałam. Wampiry lubią Portland ze względu na deszczową pogodę.

– Czy wszystkie mogą się ot tak pojawiać?

Potrząsnęłam głową, zamyślona.

– Znam tylko dwójkę, która jest do tego zdolna. W tym Stefana.

Adam obserwował pożywiającego się wampira ze współczuciem w oczach. Nie sądziłam, że łączy ich cokolwiek prócz przypadkowej znajomości.

– Wyjdzie z tego? – zapytała matka.

Adam był co prawda blady, ale szybko do siebie dochodził. Pewnie innemu wilkołakowi zabrałoby to więcej czasu, lecz za Alfą stała moc watahy, która dodawała sił. Jednakże jeśli Stefan będzie się wgryzał w Petera z taką zachłannością jak w Adama, Peter nie będzie w stanie tak łatwo się uleczyć.

Matka zerknęła na mnie, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Mówiłam o wampirze. Myślałaś o kimś innym, prawda?

Usiłowałam nie zastanawiać się nad kondycją Stefana ani nad jej przyczynami, ani nad tym, na ile ja byłam temu winna.

– Nie wiem, mamó. – Przytuliłam się do niej na moment, tylko odrobinę, i zaraz się wyprostowałam. – Nie wiem zbyt wiele o wampirach. Trudno je zabić, ale nigdy nie widziałam żadnego,

który wyszedłby z czegoś takiego. – Daniel, przyjaciel...? Stefana. Nie, nie do końca przyjaciel. Po prostu – Stefana. Daniel przestał jeść przekonany, że wpadł w szal i zabił masę ludzi. Wyglądał wtedy źle, jednak nie aż tak źle, jak Stefan teraz.

– Zależy ci na nim – w głosie matki nie pobrzmiwało zdumienie, lecz usłyszałabym je zapewne, gdyby wiedziała o wampirach tyle, ile ja.

Wiedziałam, że Stefan ma swój „harem” dawców, na których się pożywia, choć więźniowie ci nie mieli chyba nic przeciwno temu. Różowe okulary opadły mi ostatecznie, kiedy Stefan zabił dwoje uratowanych przeze mnie, bezbronnych ludzi, aby mnie chronić. Możliwe, że w praktyce uczynił to tajemniczy Wulfe, skręcając im karki, jednak to Stefan reżyserował tę makabryczną intrygę.

Mimo to cierpiałam, widząc przyjaciela w tym stanie.

– Tak – potwierdziłam.

– Możesz go już puścić – zwrócił się Adam do Darryla, który natychmiast to uczynił, cofając się gwałtownie, jakby bał się czymś zarazić. A ponieważ mój salonik był naprawdę mały, uderzył się przy okazji o blat oddzielający pokój od kuchni. Adam przyjrzał się przelotnie lekko uniesionej wardze Darryla, po czym skoncentrował się na drugim wilku.

– Wszystko w porządku, Peter? – zapytał.

Dopiero teraz przyjrzałam się wilkołakowi. Na czole perliły mu się krople potu. Miał przymknięte powieki, a twarz odwracał od leżącego na kolanach wampira, który wydawał się przyrośnięty do jego ręki. Widząc różnicę reakcji Petera i Adama, zaczęłam się zastanawiać, czy Stefana nie powinien karmić jednak bardziej dominujący wilk.

Peter milczał, więc Adam zbliżył się, kładąc dłoń na jego karku. Peter niemal natychmiast odprężył się, oddychając z ulgą.

– Przykro mi – rzekł Adam. – Gdyby był ktoś inny... Zaraz przyjdzie Ben.

Był ktoś inny, Darryl, który stał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Uwaga Adama nie została skierowana w jego stronę, ale wyglądał,

jakby wymierzono mu policzek.

Peter potrząsnął głową.

– To nic. Przez moment było gorzej, ale z tym zniewoleniem umysłu to przesada.

To jeden z kłopotów z wampirami. Podobnie jak o innych pradawnych istotach, krążyło o nich tak wiele opowieści, że trudno było oddzielić w nich fakty od mitów.

– Nie jest teraz sobą – powiedziałam bez zastanowienia. – Nie robiłby czegoś takiego celowo. – Sama nie miałam co do tego pewności, lecz zabrzmiało uspokajająco. Raz Stefan przejął nade mną kontrolę. Wszystko skończyło się dobrze, ale nie chciałabym doświadczyć tego ponownie.

– Masz jakiś sok pomarańczowy albo coś słodkiego dla krwiodawców? – zapytała matka.

Sama powinnam o tym pomyśleć. Przeskoczyłam nogi Stefana i udałam się do kuchni. Pewnego dnia mój współlokator, po uprzednim skrytykowaniu mojego niewybrednego gustu żywieniowego, przejął obowiązki zakupowe. W efekcie nie miałam pojęcia, co poupychał w lodówce.

Znalazłam pół butelki soku pomarańczowego, którym napełniłam dwie szklanki. Jedną wręczyłam Adamowi, drugą podałam Peterowi.

– Pomóc ci?

Peter uśmiechnął się dość słabo, potrząsnął głową i przyjął szklankę, którą szybko opróżnił.

– Jeszcze? – Zabrałam od niego naczynie.

– Później. Jak skończymy.



Usiadłyśmy z mamą na kanapie, Adam zajął fotel, zaś Darryl pozostał tam, gdzie stał, wymownie nie spoglądając w stronę wampira.

Wkrótce rozległo się głośnie pukanie.

– Ben – oznajmił Darryl, jednak nie ruszył się, aby otworzyć. Ben

nie czekał na zaproszenie. W uchylonych drzwiach pojawiła się jego głowa. Jasne włosy, oświetlone lampą na ganku, wydawały się niemal białe.

– Niech to diabli – rzucił z silnym brytyjskim akcentem, zerknąwszy na Stefana. – Fatalnie wygląda. – Szybko jednak całą uwagę skupił na mojej matce.

– Jest mężatką – ostrzegłam go. – A jeśli odezwiesz się do niej wulgarnie, zastrzeli cię ze swojego ślicznego, różowego pistoletu. A ja zatańczę na twoim grobie.

Studiował mnie przez moment, lecz kiedy już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, uprzedził go Adam.

– Ben, poznaj matkę Mercy, Margi.

Ben pobladł, zamknął usta i otworzył je ponownie. Jednak nie dobył się z nich żaden dźwięk. Ben nie nawykł do poznawania matek.

– Tak, wiem – westchnęłam. – Wygląda jak moja młodsza, piękniejsza siostra. Mamo, to Ben, wilkołak z Anglii. Jest strasznym gadułą, jeśli tylko Adam nie stoi nad nim z bacikiem. Kilka razy uratował mi życie. Tam z boku stoi Darryl, również wilkołak, geniusz w stopniu naukowym doktora, a zarazem Drugi Adama. Ten przemiły facet, który karmi Stefana, też oczywiście wilkołak, to Peter.

Po tej prezentacji zaległo kłopotliwe milczenie. Darryl się nie odzywał. Ben, rzuciwszy mojej matce jeszcze jedno speszone spojrzenie, spuścił głowę i trzymał gębę na kłódkę. Peter był zanadto pochłonięty tym co czynił mu Stefan, żeby rozmawiać. Adam przyglądał się wampirowi z zatroskaną miną.

Także wiedział, co oznaczały słowa Stefana. Nie mógł jednak dyskutować o tym przy mojej matce, chyba że sama poruszyłabym ten temat. A ja nie miałam zamiaru jej informować, że dybią na mnie wampiry z Marsilią na czele. Przynajmniej dopóki nie stanie się to konieczne.

Matka chciała mnie wypytać o... O wydarzenia zeszłego tygodnia. O Tima oraz jego śmierć. Jednak wołała nie mówić o tym przy



wszystkich.

Ja? Najchętniej nie rozmawiałabym o żadnej z tych rzeczy w ogóle. Zastanawiałam się, jak długo uda mi się trzymać ich tu razem, kłopotliwe milczenie odpowiadało mi znacznie bardziej niż dusząca panika, którą obudzi omawianie spraw z Adamem czy matką.

– Mam dość – oświadczył Peter.

Stefan, podobnie jak za pierwszym razem, nie zamierzał dobrowolnie poddać się zmianie żywicieli, lecz przy pomocy dodatkowego wilkołaka cały proces przebiegł sprawniej i przy niewielkich kosztach w postaci lekko uszkodzonego stolika. Jednakże po zaledwie paru minutach pożywiania się z Bena, Stefan przestał ssać krew i opadł bezwładnie.

– Czy on umarł? – zainteresował się Peter, sącząc kolejną porcję soku.

– On? Powiedziałbym, że nawet dość dawno temu – odparł Ben, doprowadzając rękę do porządku.

– Wiesz, o co mi chodzi – burknął Peter.

Po prawdzie trudno było powiedzieć. Nie oddychał, lecz wampiry oddychały jedynie podczas mówienia lub gdy chciały udawać człowieka. Jego serce nie biło, ale to również niczego nie znaczyło.

– Zabierzemy Stefana do mnie – zdecydował Adam. – Nada się dla niego... – zerknął na moją mamę – ta piwnica bez okien. Będzie tam bezpieczny. – Miał na myśli klatkę, w której zamykano zagrożone utratą kontroli wilkołaki. Zasepił się. – Choć nie sądzę, by powstrzymało to tego, kto go podrzucił do twojego salonu, Mercy. – Dobrze wiedział, kim jest ten „ktoś”.

Marsilia, pomyślałam. Choć może dokonał tego sam Stefan? Albo inny wampir? To Andre twierdził, że tylko Marsilia i Stefan potrafią się teleportować, a ponieważ miałam poważne powody, by go zabić, nie wydawał się również zbyt wiarygodny jako źródło informacji.

– Będę uważać – obiecałam Adamowi. – Ale ty też musisz być ostrożny. Kiedy rozmawiałam z Amber, za domem czaił się jakiś wampir.

– Kto to jest Amber?

Pytanie Adama o włos wyprzedziło wypowiedź mojej matki:

– Amber tu była? Ta koleżanka Charli ze szkoły?

Przytaknęłam.

– Przeczytała w gazecie... Chyba stałam się tematem ogólnokrajowych wiadomości. Stwierdziła, że w związku z tym poprosi mnie o sprawdzenie jej nawiedzonego domu.

– Cała Amber – podsumowała matka. W trakcie studiów spędziłyśmy we trzy wiele weekendów w Portland, zatrzymując się w moim domu rodzinnym. – Zawsze była egocentryczką i pewnie się nie zmieniła. Tylko dlaczego uważa, że możesz coś zrobić w sprawie jej nawiedzonego domu?

Nigdy nie mówiłam matce, że widzę duchy. Do niedawna w ogóle nie uważałam, że to niezwykle. No bo przecież ludzie widują duchy, prawda? Tyle że o tym nie mówią. Wystarczy córka zmieniająca się w kojota, po co dodawać do tego inne rewelacje? Teraz też pora była raczej nieodpowiednia na takie wyznania. Nie powiedziałam jej, co zdarzyło się w zeszłym tygodniu. Nie powiedziałam o wampirach. I nie zamierzałam ujawniać również innych sekretów, które posiadałam.

Zbyłam pytanie wzruszeniem ramion.

– Może dlatego, że mam kontakty z wilkołakami i innymi istotami?

– A jak niby miałabyś jej pomóc? – zapytał Adam. Musiał słyszeć moją rozmowę z Amber, wilkołaki mają rewelacyjny słuch.

– Nie mam bladego pojęcia. Czy ja wyglądam na specjalistkę od wypędzania duchów?

Od widzenia jeszcze daleka droga do przeprowadzania ich na tamten świat. O ile w ogóle coś podobnego było możliwe. Przypomniałam sobie, co mówiła Amber.

– Może chce tylko, abym na miejscu potwierdziła, że jej dom jest nawiedzony, może potrzebuje, aby ktoś jej uwierzył?

Adam kucnął na podłodze, aby podnieść Stefana.

– Lepiej zabiorę go do domu. – Choć wampir górował nad nim

wzrostem, nadprzyrodzona siła Adama nie była tylko pozorna i wyglądał na takiego, kto bez wysiłku może podnieść wielki ciężar.

Jednak to Darryl powinien wziąć na siebie ten obowiązek. Żaden Alfa nie dźwigał ciężarów, jeśli wokół znajdowały się wilki, które mogły to zrobić. Ben i Peter byli osłabieni, lecz Darryl nie mógł wymówić się karmieniem Stefana. Naprawdę musiał żywić nienawiść do wampirów.

Adam zdawał się nie dostrzegać niczego niestosownego w zachowaniu Darryla.

– Przyślę tu kogoś, żeby pilnował w nocy domu. – Spojrzał na moją matkę. – Potrzebuje pani noclegu? Dom Mercy jest... – potoczył wzrokiem wokół – niezbyt obszerny.

– Zatrzymałam się w „Czerwonym Lwie”, w Pasco – odparła mama i zwróciła się do mnie. – Wyjechaliśmy w pośpiechu, nie zdążyłam znaleźć opieki dla Hotepa. Siedzi w samochodzie. – Hotep, jej doberman, nie znosi mnie chyba nawet bardziej niż ja jego.

Adam przytaknął ze zrozumieniem, choć nie przypominałam sobie, bym mówiła mu o tej obopólnej nienawiści.

– Dziękuję ci, Adam, za Stefana – powiedziałam.

– Niepotrzebnie. Nie zrobiliśmy tego dla ciebie.

Grymas Bena mógłby być uśmiechem, gdyby jego twarz nie była tak napięta.

– Nie było cię w piwnicy z tym czymś. – Miał na myśli opętanego przez demona wampira, tego, którego zabiłam. Potwór schwytał wtedy Stefana oraz kilka wilkołaków i... bawił się nimi. Demony uwielbiają zadawać ból. – Gdyby nie Stefan... – Wzruszył ramionami, jakby chciał pozwolić umrzeć niewypowiedzianemu wspomnieniu. – Mamy wobec niego dług.

Adam zerknął na Darryla, który otworzył drzwi. Naraz coś przyszło mi do głowy.

– Czekaście.

Zatrzymali się w progu.

– Jeśli porozmawiam z mamą, to się liczy? – Adam kazał mi z kimś porozmawiać, a matka nie wyjedzie, póki nie dowie się

wszystkiego. W ten sposób upiekłabym dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Adam przekazał Stefana Benowi i podszedł do mnie. Dotknął mojej twarzy tuż pod uchem i, zupełnie jakby nie gapiła się na nas zafascynowana widownia, pocałował, dotykając jedynie opuszkami i wargami.

Omyła mnie fala gorąca... A następnie zalała powódź straszliwego lęku. Nie mogłam oddychać, nie mogłam się poruszyć...

Kiedy doszłam do siebie, siedziałam na kanapie z głową pomiędzy kolanami, a Adam uspokajał mnie cichymi słowami.

Jednak ani on, ani nikt inny mnie nie dotykał.

Wyprostowałam się, odwracając do Alfy. Twarz miała nieruchomą, lecz w oczach czaił się wilk, a skóra pachniała dzikością.

– Atak paniki – wyjaśniłam niepotrzebnie. – Rzadko je miewam – skłamałam. Naturalnie natychmiast mnie przejrzał. Ten był czwarty dzisiaj. Poprzedniego dnia radziłam sobie lepiej.

– Tak, rozmowa z matką się liczy – powiedział. – I nie będziemy się spieszyć, zobaczymy, jak pójdzie. Możesz rozmawiać z matką bądź kimś innym. Ale nie przestaniesz, póki pocałunek ze mną będzie wywoływał takie ataki, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł, za nim zaś jego świta. Darryl przepuścił wszystkich w progu i zamknął cicho drzwi.

– Mercy – zaczęła matka z namysłem – nigdy nie mówiłaś, że ten twój sąsiad wilkołak jest tak seksowny.

– Uhm. – Doceniałam jej wysiłki, lecz skoro już nadszedł ten czas, chciałam mieć rozmowę z głowy. – Bo nie widziałaś, jak rozszarpuje trupa Tima na kawałki.

Matka łapczywie wciągnęła powietrze do płuc.

– I bardzo tego żałuję. Opowiedz mi o Timie.

Tak uczyniłam. Nie odezwała się słowem, póki nie skończyłam. Nie zamierzałam opowiadać jej wszystkiego. Ale milczała, nie poruszała się, nie patrzyła na mnie. Więc mówiłam. Ledwie udało mi się powstrzymać przed wypowiedzeniem imienia Bena – każdy

ma prawo sam wyjawiać własne tajemnice – reszta natomiast wydierała się strzępami lub wpełzała zdławiona z jakiegoś mrocznego, plugawego zaułka. Trochę trwało, zanim wyrzuciłam z siebie wszystko.

– Tim przypominał ci Samuela – rzekła matka, kiedy skończyłam. Poderwałam głowę z jej kolan. – Nie, nie zwariowałam. – Wzięłam od niej pęk chusteczek, który wydobyla z pudełka. – Dlatego nie widziałaś, co się święci. Dlatego nie dostrzegłaś, kim jest naprawdę. Samuel zawsze był trochę wyrzutkiem i to pozostawiło w tobie słabość do outsiderów.

Samuel? Radosny, spokojny (jak na wilkołaka) Samuel  
WYRZUTKIEM?

– Nie, Samuel nie jest taki. – Otarłam łzy i wysiakałam nos. Przy płaczu zawsze ciekło mi z nosa.

Kiwnęła głową.

– Oczywiście, że jest. Lubi ludzi, Mercy, w przeciwieństwie do większości wilkołaków. – Wzdrygnęła się na jakieś wspomnienie. – Słucha heavy metalu i ogląda powtórki „Star Treka”.

– Zanim tu przybył i został samotnikiem, był Drugim Marroka. Nie jest żadnym wyrzutkiem.

Tylko spojrzała.

– Samotny wilk to nie wyrzutek – orzekłam stanowczo, zaciskając szczęki.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął Samuel, który sterczał na ganku już od jakiegoś czasu.

– Owszem, tak. Cześć, Margi. Po co przywlokłaś tu tego psa? Okropny stwór. – Hotep, czarne psisko z brązowymi ślepiami o czerwonych refleksach, przypominał Anubisa. Samuel miał rację, wyglądał niesamowicie.

– Nie znalazłam dla niego opiekuna – usprawiedliwiła się matka, obejmując Samuela. – Co u ciebie?

Już miał powiedzieć, że wszystko w porządku, ale zerknął na mnie.

– Miewamy trudne chwile z Mercy. Jednak powoli wracamy do

gry.

– Tyle możecie. Muszę iść. Hotep pewnie już tam pęka, a i ja powinnam się przespać. – Matka popatrzyła na mnie. – Mogę zostać tu kilka dni. A Curt zaprasza cię do nas. – Curt, czyli mój ojczym, dentysta.

– Dzięki, mamó – powiedziałam szczerze. Jakkolwiek to było koszmarnie, wygadanie się matce naprawdę mogło pomóc. Jednak musiałam pozbyć się jej z miasta, nim Marsilia uczyni kolejny ruch. – Bardzo tego potrzebowałam – odetchnęłam głęboko – ale możesz wracać do Portland. Pracowałam dzisiaj. Lepiej mi, kiedy robię to, co zwykle. Chyba powinnam trzymać się normalnego trybu, wtedy łatwiej dojdę do siebie.

Matka zmarszczyła brwi i już chciała coś powiedzieć, gdy Samuel sięgnął do kieszeni i podał jej swoją wizytówkę.

– Proszę. Dzwoń, kiedy tylko chcesz. Powiem ci, jak Mercy sobie radzi.

Matka zadarła brodę.

– A jak sobie radzi?

– Średnio do nieźle. Czasami gra, czasami nie. Ale jest twarda, ma dobre geny. Da sobie radę. I myślę, że ma rację. Łatwiej jej będzie, jeśli wszyscy przestaną wokół niej biegać, użalać się i trząść nad nią. A im szybciej wróci do pracy, tym szybciej ludzie zapomną.

Dzięki, Samuelu.

– W porządku – powiedziała matka, obrzucając wilkołaka surowym spojrzeniem. – Nie wiem, jak mają się sprawy pomiędzy tobą, moją córką i Adamem Hauptmanem...

– Podobnie jak i my – mruknęłam.

Samuel uśmiechnął się wesoło.

– Mamy dograną kwestię seksu, Adam może na niego liczyć pewnego dnia, ja nie. Reszta jest do negocjacji.

– SAMUEL! – wykrztusiłam zgorszona. – To moja mama! – A ona mrugnęła do niego radośnie i przyciągnęła do siebie, nadstawiając policzek.

– Tak mi się właśnie wydawało. Chciałam się tylko upewnić. –

Poważniejąc, zerknęła na mnie i zwróciła się do wilkołaka. – Dbaj o nią, proszę cię.

Przytaknął uroczyście.

– Oczywiście. Adam angażuje w to całą swoją watahę. Chodź, odprowadzę cię do samochodu.

Usłyszałam warkot odjeżdżającego volvo i Samuel wrócił do domu. Sprawiał wrażenie tak wykończonego, jak ja się czułam.

– Adam wysłał kilku swoich pod „Czerwonego Lwa”, czekają tam na twoją matkę. Będzie bezpieczna.

– Jak dyżur? – zagadnęłam.

Rozpromienił się.

– Jeden głupol zabrał swoją ciężarną żonę na drugi koniec kraju w odwiedziny do jej matki. Na dwa tygodnie przed terminem. Zdążyłem, żeby zabawić się w łapacza.

Samuel uwielbiał dzieci.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec. Jacob Daniel Arlington, dwa dziewięćset.

– Byłeś u Adama? Widziałeś Stefana?

Kiwnął głową.

– Wstąpiłem tam po drodze do domu. Zrobiłem, ile mogłem. Zwykle raczej pomagam jeszcze żywym ludziom. Z martwymi radzę sobie gorzej.

– I co?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Robi to, co zazwyczaj zwykł robić za dnia. Nie do końca śpi, ale coś w tym stylu. Myślę, że będzie tak jeszcze dzisiaj i jutro. Czyli stwierdziłem tyle, ile mógł stwierdzić pierwszy lepszy rozsądny człowiek. Co też wytknął mi Adam. Dorzucił jeszcze, że jestem zmęczony i nieprzydatny, po czym odesłał, żebym miał na ciebie oko w razie, gdyby Marsilia coś kombinowała.

– Zmęczony i nieprzydatny – udałam współczucie. – Patrz, i mimo to zaprzągnął cię do roboty.

– Zdaje się, że Adam uważa cię za swoją oficjalną towarzyszkę. A biorąc pod uwagę, że już raz tak było, bez twojej zgody, uznałem, że

lepiej się upewnię u źródła.

Uniosłam ręce w geście poddania.

– A mam wyjście? Mama stwierdziła, że jest seksowny, więc nie mam wyboru, muszę przyjąć jego zaloty. Poza tym to takie okropne, kiedy mężczyzna płaszczy się i... błaga.

– Jasne. – Zaśmiał się. – Szoruj do łóżka, Mercy. Niedługo świt. – Zaczął iść w stronę swojej sypialni, ale zatrzymał się i odwrócił. – Wspomnę Adamowi, że mówiłaś, jak to cię błagał.

– Tak? – Uniosłam brwi. – A ja mu powiem, że podejrzewałeś go o kłamstwo.

– Dobranoc, Mercy – pożegnał mnie wesoło.

Przyjęłam Adama świadomie, z otwartym sercem. Ale Samuel nadal potrafił mnie rozbawić. Jego też kochałam.

Jednak mnie martwił. Czasami wydawał się tym dawnym Samuelem, zabawnym, beztroskim, a czasami odnosiłam wrażenie, że przeważnie gra, jak aktor trzymający się didaskaliów – „Wchodzi na scenę z lewej strony i uśmiecha się wesoło”.

Przyjechał do mnie, żeby sobie pomóc, to dobry znak. Jak w przypadku alkoholika, który decyduje się na iść na spotkanie AA. Nie byłam jednak pewna, czy pobyt tutaj zmienia coś na lepsze. Był stary. Starszy, niż sądziłam, wychowując się w stadzie jego ojca. I choć wilkołaki nie umierają ze starości tak jak ludzie, starość zabija je równie skutecznie.

Może mogłabym Samuela pokochać inaczej. Gdyby nie Adam. Gdybym zgodziła się być jego towarzyszką, tak jak pragnął tego, wprowadzając się do mnie, może wróciłby do siebie.

Zmarszczył brwi.

– Co jest?

Ale nie można związać się z kimś, żeby mu pomóc, nawet jeśli się go kocha. A ja nie żywiłam do Samuela takich uczuć, jakie kobieta powinna żywić do partnera, w ten sposób kochałam Adama. I Samuel też nie czuł tego w stosunku do mnie. Prawie, lecz nie do końca. A prawie robi różnicę.

– Kocham cię, wiesz?



Przez chwilę twarz wilkołaka pozostała bez wyrazu.

– Wiem – odpowiedział. Jego źrenice zwęziły się, a szare tęczówki pojaśniały niesamowicie. Potem uśmiechnął się serdecznie, ciepło. – Ja też cię kocham.

Poszłam spać z uczuciem, że w tym wypadku „prawie” mogłoby wystarczyć.



Samuel miał rację, ranek przyszedł zbyt wcześnie. Ziewnęłam, skręcając w ulicę, przy której znajdował się mój warsztat... I zatrzymałam się na środku jezdni. Resztki snu wyparowały ze mnie jak kamfora.

Ktoś obrał sobie mój interes za miejsce zabawy z użyciem farby w spreju.

Przyjrzawszy się dziełu, ruszyłam na parking, zatrzymując się obok starej furgonetki Zee. Siwiejący mężczyzna wyłonił się z biura i podszedł do mnie w chwili, gdy wysiadałam ze swojego vana. Wyglądał na pana dobiegającego sześćdziesiątki, najwyżej tuż po, ale był znacznie starszy – nigdy nie oceniaj wieku pradawnej istoty po wyglądzie.

– Nieźle – podsumowałam. – Należy im się podziw za zaangażowanie. Musieli tu siedzieć co najmniej kilka godzin.

– I nikt tędy nie przejeżdżał? – warknął Zee. – Nikt nie wezwał polizei?

– Hm, pewnie nie. Nocą nie ma tu praktycznie żadnego ruchu.

Odczytując napisy, uświadomiłam sobie, że na ich podstawie można wyciągnąć pewne wnioski co do autorów, którzy potraktowali mój warsztat niczym płótno.

Zieloną Farbą musiał być jakiś chłopak, którego mózg funkcjonował podobnie jak mózg Bena – w każdym razie na to wskazywał dobór słów.

– Patrz, „dziwka” napisał z błędem. Ciekawe, czy umyślnie. Na oknie frontowym jest poprawnie. Gdzie pisał najpierw, tu czy tu?

– Zadzwoń do tego twojego zaprzyjaźnionego policjanta,

Tony'ego – powiedział Zee, zgrzytając z wściekłości zębami. – Spał, ale będzie tu za pół godziny. – Owszem, nieczłowiek pewnie był zdenerwowany z mojego powodu, ale głównie, jak sądziłam, chodziło o stan warsztatu. Niegdyś interes należał do niego. Jeszcze parę dni temu sama bym tak zareagowała, jednak po drodze wydarzyło się tak wiele, że pomazana elewacja stanowiła teraz najmniejsze z moich zmartwień.

Czerwona Farba miał zdecydowanie wyraźniejsze cele ideologiczne niż Zielona. Wymalował tylko dwa słowa, „kłamczucha” i „morderczyni”, za to wielokrotnie. Adam zainstalował wszędzie kamery, więc gotowa byłam się założyć, że na taśmach, z czerwoną farbą w ręku, ujrzymy kuzynkę Tima, Courtney. Przed napaścią na mnie Tim pozbył się swojego najlepszego przyjaciela, a ponieważ nie miał ich zbyt wielu, krąg ludzi żądnych zemsty po jego śmierci był naprawdę niewielki.

Usłyszałam silnik zbliżającego się samochodu. Za godzinę, kiedy ruch na pobliskiej ulicy zaczynali generować ludzie jadący do pracy, pewnie nie zwróciłabym na hałas uwagi. O tak wczesnej porze z łatwością rozpoznałam samochód matki.

– Słuchaj, Zee – rzuciłam nagląco – dałbyś radę jakoś ukryć to na kilka minut? – Machnęłam na warsztat.

Nie miałam pojęcia, jakie są jego możliwości. Poza naprawianiem samochodów i robieniem cudów z metalem nie używał przy mnie magii. Ujrzałam go jednak raz w prawdziwej formie, więc wiedziałam, jak dobrą stworzył sobie iluzję postaci. A skoro potrafił ukryć swoją twarz, prawdopodobnie umiał to samo uczynić z mazajami czerwonej i zielonej farby.

Skrzywił się z głęboką niechęcią. Nie wolno lekkomyślnie prosić nie ludzi o przysługi, to nie tylko niebezpieczne, odbierali prośbę także jako coś obraźliwego. Zee mógł mnie kochać, mógł mi być wdzięczny za ratunek, ale jedynie tyle.

– Moja matka tu jedzie – wyjaśniłam. – Dybią na mnie wampiry, muszę ją wyprawić z miasta jak najszybciej. A nie pozbędę się jej, jeśli uzna, że coś mi grozi. – Po czym zagrałam nieczysto: – Nie po

tym, co przeszłam z Timem.

Twarz Zee stężała. Naraz chwycił mnie za ręce i pociągnął w stronę budynku. Stojąc przy drzwiach, przyłożył dłoń do ściany warsztatu.

– Jeśli to zadziała, nie zabiorę stąd ręki bez łamania czar.

Gdy volvo wyłoniło się zza zakrętu, graffiti już nie było.

– Jesteś cudowny.

– Tylko się pospiesz – burknął. – To nie mój rodzaj magii.

Kiwnęłam głową i ruszyłam w stronę parkującego samochodu. Z pewnej odległości dostrzegłam coś na drzwiach. Wcześniej pokryty zieloną i czerwoną farbą znak był niewidoczny. Ktoś nawet w miarę utalentowany namalował na nich X. Na wszelki wypadek, gdybym nie zrozumiała przekazu, zamiast dwóch prostych linii, kształt tworzyły piszczele. Autorami malunku, głównie kremowego z szarym cieniowaniem i odrobiną różu, z pewnością nie były dufne, rozzłoszczone dzieciaki z puszczkami farby. Od znaku z bandery pirackiej różnił go jedynie brak czaszki.

– Lepiej to zasłoń – poradził Zee. – Magia nie da rady.

Oparłam się plecami o drzwi i skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Czemu twoim zdaniem nie chodzi jak należy? – zapytałam, obserwując matkę prowadzącą na smyczy Hotepa.

– Bo jest stary – odparł Zee, podchwyciwszy temat. – Bo przede wszystkim był kiepsko zaprojektowany. Bo przy silnikach chłodzonych powietrzem ciągle trzeba coś majstrować.

– Właśnie... Cześć, mam.

– Witaj, Margaret – powitał ją Zee chłodno.

– Dzień dobry, panie Adelbertsmiter. – Matka nie lubiła Zee. Uważała, że to pod jego wpływem podjęłam decyzję o pozostaniu w Tri-Cities i naprawianiu samochodów zamiast znalezienia sobie pracy jako nauczycielka lub w podobnym zawodzie, który powinnam według niej wykonywać. Uczyniwszy zadość kurtuazji, zwróciła się do mnie. – Pomyślałam, że wpadnę w drodze do domu. – Nie mogła podejść zbyt blisko, bo Hotep, wyczuwszy mój zapach, natychmiast zaczął warczeć, opuszczając ofensywnie łeb. Bronił

swojej pani przed wstrętnym kojotem.

– Poradzę sobie – zapewniłam, unosząc wargę w kierunku dobermana. W zasadzie lubiłam psy, poza tym. – Pozdrów ode mnie Curta i dziewczynki.

– Nie zapomnij o ślubie Nan. Poukładaj sobie tu wszystko tak, żebyś mogła przyjechać. – Nan, moja młodsza siostra przyrodnia, za półtora miesiąca wychodziła za męża. Na szczęście nie odgrywałam żadnej szczególnej roli na weselu, więc będę mogła spokojnie siedzieć i obserwować.

– Zapisałam sobie to w kalendarzu. Zee zastąpi mnie w warsztacie.

Matka spojrzała na mojego towarzysza, a potem znów na mnie.

– W takim razie dobrze. – Zaczęła podchodzić z zamiarem objęcia mnie na pożegnanie, ale zatrzymała się, z żalem zerkając na Hotepa. – Powinnaś nauczyć go zachowywać się porządnie, jak Ringo.

– Ringo był pudlem, mamó. Potyczka z Hotepem nie skończyłaby się dobrze ani dla mnie, ani dla niego. To nic. Nie jego wina.

– W porządku – westchnęła matka. – Dbaj o siebie.

– Kocham cię. Jedź ostrożnie.

– Jak zawsze. Kocham cię.

Kiedy odjeżdżała, Zee był już spocony. Z ulgą odjął dłoń od muru i napisy pojawiły się na powrót.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – zaznaczył. – Nie chciałem, żeby się tu kręciła dłużej niż to konieczne.

Cofnęliśmy się, żeby lepiej obejrzeć drzwi. Malunek kości niemal całkowicie zasłaniało czerwone słowo „kłamczucha”. Znak namalowano grubszą warstwą farby, więc choć kolor nie był widoczny, kontury przebijały przez rozpyloną czerwień.

– W nocy wampiry podrzuciły mi do salonu Stefana – powiedziałam. – Był w fatalnym stanie. Peter... Jeden z wilkołaków Adama uważa, że sprawca chciał, by Stefan mnie zaatakował. W ten sposób pozbyliby się i mnie, i jego za jednym zamachem. Stefan nie za bardzo mógł mówić, ale dał nam do zrozumienia, że Marsilia

dowiedziała się o Andre.

Zee powiódł palcem po obrysie piszczeli i potrząsnął głową.

– To mogły zrobić wampiry, chociaż sama wiesz, Mercy, że wtykałaś nos w tak wiele nie swoich spraw, że równie dobrze mógł to być ktoś inny. Pogadam z Wujkiem Mikiem, ale według mnie najlepszym źródłem informacji będzie Stefan. To mi nie wygląda na magię nie ludzi. Jak bardzo oberwał Stefan?

– Myślę, że gdyby był wilkołakiem, nie miałby szans. Uważasz, że to jakaś magia? – Mnie również tak się wydawało, lecz miałam nadzieję, że się mylę.

Zee się zasepił.

– Jak na krwio pijcę nie jest taki zły. – Wielka pochwała z ust Zee.  
– I owszem, wyczuwam w tym magię, jednak nigdy się z taką nie zetknąłem.

– Zdaniem Samuela, Stefan powinien się z tego wygrzebać.

Na horyzoncie pojawił się Tony w swym nieoznakowanym samochodzie, dyskretnie wyposażonym w dodatkowe lusterka, kilka anten oraz listwę świetlną sprytnie ukrytą za przyciemnionym szkłem. Skręcając na placyk, zwolnił, zauważywszy pewnie kolorowe napisy. Zatrzymał się przy nas i otworzył drzwiczki.

– Nie za wcześnie na świąteczne dekoracje, Mercy? – Tony potrafił się wtapiać w otoczenie jeszcze lepiej niż ja. Teraz wyglądał jak latynoski glina... Jak latynoski glina z plakatu dla dzieci – przystojny, zadbany. Wcielając się w rolę dilerka narkotyków, wyglądał autentyczniej niż ci prawdziwi. Po raz pierwszy spotkałam go jako bezdomnego. Nie było w tym żadnej magii czy nadprzyrodzonej mocy, Tony posiadał talent kameleona.

Popatrzyłam na budynek. Miał rację. Jeśli pominąć konkretne słowa, same kształty i kolory przypominały bożonarodzeniowe zdobnictwo. Zielone napisy były długie i spłaszczone, czerwone litery wyraźne i przysadziste. Całość robiła wrażenie choinkowej girlandy przyozdobionej wiszącymi bańkami.

– Niezbyt bożonarodzeniowy sens – rzekłam, wskazując kilka synonimów określających kobietę lekkich obyczajów. – Ale kolory

pasują. W zasadzie gdyby nie ta oblażąca biel tła, wyglądałoby to odświeżenie. Jak ta mała meksykańska knajpka w Pasco, ta, w której podają naprawdę ostrą salsę. – Kontrast świeżych, żywych kolorów z elewacją jeszcze bardziej ją postarzał.

– Ten system monitoringu, który zainstalował twój facet, nadal działa?

– Tak, ale nie wiem, jak go obsługiwać.

– Ja wiem – odezwał się Zee. – Chodźcie, sprawdzimy.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie: wampiry, pamiętasz? Nie chcemy, by ten miły człowiek zobaczył wampiry.

W odpowiedzi Zee popatrzył na mnie obojętnie, co pewnie miało oznaczać: jeśli wampiry były na tyle nieudolne, by dać się nagrać, ich problem.

Nie mogłam protestować otwarcie, ale jeśli wampiry naprawdę uwidocznia się na zapisie, to Tony będzie miał największy problem.

Cóż, uspokajałam się, idąc do biura. Wampiry przynajmniej wyglądają jak ludzie. Póki nie zaczną wystawiać do kamery kłów lub ciskać wokół samochodami, trudno będzie je zidentyfikować. A jeśli nawet... Tony nie jest głupi, wie sporo o nieлюдziach oraz wilkołakach i na pewno podejrzewał, że mogą być gorsze istoty, które nadal się nie ujawniły.

Tony przyglądał mi się, gdy Zee bawił się sprzętem.

– Jak się czujesz? – Wyczułam w jego zapachu troskę i metaliczną nutę gniewu wypływającego z opiekuńczości.

– Mam dość tego pytania – rzuciłam wprost. – A co u ciebie?

Błysnął białymi zębami w uśmiechu.

– Widzę, że wracasz do normy. Myślisz, że to sprawka Świetlanej Przyszłości?

Jeśli nasze myśli będą tak zsynchronizowane, mogłam tylko współczuć Tony'emu.

– Po części. Podejrzewam kuzynkę Tima. Jest członkiem Świetlanej Przyszłości, ale to nie programowa sprawa. Chodziło o osobiście o mnie, nie o niełudzki.

– Wniesiesz skargę?

– Zadzwońię do ubezpieczyciela. – Westchnęłam. – Obawiam się, że uznają to za warunek wypłaty odszkodowania. Nie stać mnie teraz na płacenie ekipie do malowania elewacji ani zamknięcie warsztatu, żeby zająć się tym własnoręcznie. – Czekало mnie sporo wydatków, na przykład wyrównanie strat za zniszczenie domu i samochodu Adama, dokonane przez pewnego Pradawnego, który chciał mnie pożreć. Zee zażądał spłaty reszty kwoty za wykup warsztatu. Nieludzie nie mogą kłamać, a nie mieliśmy czasu, żeby jakoś rozwiązać tę kwestię.

– Może rodzeństwo Gabriela? – zasugerował Tony. – Jest ich sporo, mogą to robić po szkole. Na pewno będą tańsi niż ekipa remontowa, a... sędzę, że potrzebują pieniędzy.

Gabriel Sandoval, mój warsztatowy giermek, był licealistą, który w weekendy i popołudniami zajmował się papierami, odbierał telefony i pomagał w drobnych pracach.

Naraz oczyma wyobraźni ujrzałam najazd małych Sandovalów na mój warsztat, drobiazg balansujący na drabinach i zwieszający się na linach. Raz wpuściłam ich do biura, żeby posprzątałi, i prawie nie poznałam później pomieszczenia. Jak na bandę dzieciaków byli niewiarygodnie pracowici.

– Świetny pomysł, poproszę Gabriela, żeby pogadał z mamą.

– Proszę – powiedział Zee, włączając niewielki monitor. System, który zainstalował u mnie Adam, był wybajerowany i kosztowny. Działał w oparciu o czujniki ruchu, więc mogliśmy oglądać tylko te momenty, kiedy ktoś był na posesji.

Pierwszy zapis włączył się o dwudziestej drugiej piętnaście. Młody zając przekicał niespiesznie przez chodnik, znikając w końcu z pola widzenia. Dobrze po północy pojawił się ktoś pod drzwiami. Nie dwójka ze sprejem, więc musiał to być autor kościanego znaku.

Ujęcie było dziwaczne, intruz zacieniony i nierozpoznawalny. Zdołał utrzymać twarz poza zasięgiem kamery, niesamowite, bo przecież nie wiedział, że aparat umieszczono akurat nad drzwiami, aby uchwycić dokładnie ewentualnego włamywacza.

Jedynym fragmentem, który kamera złapała ostro, były

rękawiczki postaci, staromodne, białe, zapinane na guziczki na przegubach. W zapisie występowały dziwne zakłócenia, przeskoki, gdy sprzęt wyłączał się, bo detektory nie wykrywały żadnego ruchu. Ze wskazań czasomierza wynikało, że cała operacja namalowania piszczeli zajęła trzy kwadranse, z czego nagrało się dziesięć minut. Brakowało momentów przyścia i odejścia nieznanego.

Mimo iż raczej nie wiedział o monitoringu, i tak udało mu się uniknąć kamer. Niektóre istoty o nadprzyrodzonych mocach trudno sfilmować, wampiry należą do tej grupy. Wzrost intruza pasował do Wulfe'a, którego i tak w przypadku jakichkolwiek wampirzych manewrów podejrzewałabym w pierwszej kolejności. Ponieważ jako jedyny wiedział z całą pewnością, że to ja zabiłam Andre, on też najprawdopodobniej poinformował Marsilię o sprawie.

– Zapauzuj – poprosił Tony, kiedy zapis włączył się ponownie.

Dwie niewyraźne postaci zatrzymały się na skraju oświetlonego parkingu. Zegar na filmie wskazywał drugą osiem, czyli pół godziny po zniknięciu malarza kości.

– O co chodzi? – zapytał Tony. – Z tym facetem pod drzwiami?

– Nie mam pojęcia. – Rozłożyłam ręce. Niemal powiedziałam, że wiem tyle, co on, choć tak nie było. – Może ktoś próbował się włamać, ale mu się nie udało. – Z nagrania trudno było wywnioskować, co naprawdę robiła postać. – To nieistotne, bo widać, że to nie on wysmarował ściany.

Tony przyjrzał mi się bacznie. Policjanci potrafią wyczuć kłamstwo prawie tak dobrze jak wilkołaki. Wstał gwałtownie, otworzył drzwi i obejrzał je dokładnie. Podobnie jak Zee powiódł palcem po malunku piszczeli.

– Czy oprócz Świetlanej Przyszłości ktoś jeszcze ma coś do ciebie? To wygląda na wiadomość w stylu starej mafii. Z klasą, ale przemyślane tak, by przerazić odbiorcę.

Westchnęłam, wzruszając ramionami.

– Nikt nie chciał, żebym ratowała Zee. Lecz Pradawni nie działają w ten sposób, jest zbyt oczywisty. A rozjuszony czymś wilkołak po prostu by zaatakował. Mam znajomych, którzy zbadają to z lepszym



skutkiem niż policja.

Tony skrzywił się ze złością.

– Czy to jedno z tych twoich: „To zbyt niebezpieczne dla zwykłego gliny-człowieka”? – prychnął.

Objęłam się ramionami, choć nie było zimno, tylko trochę chłodno. Nie miałam złudzeń. Marsilia mogła mnie zabić w każdej chwili, na razie się jedynie bawiła. Jednak, bez względu na rozbawienie kota, mysz zawsze kończy martwa.

Kiedy nastąpi ten koniec, zadecyduje ona. Pytanie brzmi, ile osób, ilu moich przyjaciół postanowi zabrać wraz ze mną.

Może przedwcześnie panikowałam, może zadowoli się karą. Zagięła parol na Stefana, nie miało uzasadnienia dręczące mnie przecucie, że nie ograniczy swojej zemsty do niego. Nie znałam Marsilii na tyle dobrze, by cokolwiek wyrokować.

– Mercy?

– Nie mam pojęcia, co oznaczają te skrzyżowane kości. – Poza tym, że nie wróżą niczego dobrego. – Zee mówi, że jest w tym magia, lecz prawdopodobnie nie magia Pradawnych. – Zee się ujawnił, każdy, kto chciał, wiedział, że jest nieczłowiekiem. Stąd też przejęcie przeze mnie warsztatu. Ludzie żywili wiele uprzedzeń wobec nadprzyrodzonych istot. – Ma swoje kontakty, dzięki którym może rzucić światło na sprawę. Ja też popytam ze swojej strony. – Adam najmował czasem czarownicę do zajęcia się pewnymi sprawami. Była świetna, ale sporo będzie mnie to kosztowało, jeśli Stefan albo Wujek Mike niczego się nie dowiedzą. Zapowiadał się miesiąc na zupkach chińskich. – Aczkolwiek żaden z moich czy jego kontaktów nie zbliży się nawet na sto kilometrów do śledztwa. Macie u siebie kogoś, kto siedzi w magii?

Tony przez chwilę patrzył mi w oczy, po czym z westchnieniem odwrócił wzrok.

– Do diabła, Mercy, nie. Gdybyś widziała miny tych z wierchuszki, kiedy oglądali ten film... – Urwał, zerkając na mnie z zażenowaniem. Chodziło o nagranie, na którym zabiłam Tima... i tego, co tę śmierć poprzedzało. Wzruszył ramionami, uciekając

spojrzeniem w bok. – Jest kilku, którzy orientują się mniej więcej, o co chodzi z nieлюдźmi i wilkołakami, a nawet jeśli wiedzą więcej, ukrywają to ze strachu przed utratą pracy. – Westchnąwszy, wrócił do biura. – Idźmy z tym dalej – zwrócił się do Zee. – Tam, gdzie kuzynka Tima smaruje po ścianie.

Dwie postaci ruszyły, wynurzając się z cienia na oświetlony parking. Obecność Courtney nie pozostawiała wątpliwości. Nie było sensu oglądać samego malowania napisów, więc Zee przewinął nagranie do momentu, gdy dwie godziny później wandalę opuszczali posesję, niosąc torby pustych puszek po farbie. Zatrzymał, kiedy dziewczyna zbliżyła się do jednej z kamer. Okrągła, ładna twarz Courtney była zacięta w gniewie. Zee odszukał ujęcie, które wyraźnie ukazywało drugiego graficiarza.

System monitoringu zainstalowano niedawno, lecz Zee uwielbiał gadżety. Pewnie spędził sporo czasu, bawiąc się nowym urządzeniem.

– Tak, to Courtney... Nie pamiętam nazwiska – potwierdziłam. – Mężczyzny nie znam. Może być ze Świetlanej Przyszłości, tam angażuje się cała masa ludzi.

– To rzeczywiście osobista sprawa – zgodził się Tony ponuro. – Lepiej daj mi te nagrania i zgłoś oficjalną skargę, to dziewczynie pomoże ochłonąć. Nie przestanie cię nękać, póki ktoś jej nie przystopuje. A lepiej dla wszystkich, żeby to była policja, a nie wilkołaki czy nie ludzie.

Zee wyciągnął dysk i wręczył Tony'emu.

Policjant wpatrywał się w niego przez chwilę z zatroskaniem.

– Nie te dzieciaki mnie martwią, Mercy. Mam fatalne przeczucia co do tego znaku na drzwiach. Jeśli to nie jest groźba śmierci, to ja jestem święty. Lepiej trzymaj się blisko tego swojego wilkołaka.

Popatrzyłam na Tony'ego z miną męczennicy.

– A myślisz, że czemu Zee tu siedzi? Pewnie przez co najmniej rok nie zostawią mnie samej ani na minutę.

– No – roześmiał się Tony. – Ciężkie jest życie, gdy się ma przyjaciół.

Zee wyrwał się dziwny dźwięk, który mógł być śmiechem. Szybko pokrył go kwaśnym tonem:

– Założę się, że nie pójdzie im tak łatwo. Zobaczysz, przez następne tygodnie będziemy mieć tu maraton jej narzekań.



## Rozdział 3

Świat szybko dowiedział się, że wróciłam do pracy. Moi stali klienci zatrzymywali się przy warsztacie, żeby wyrazić swoje współczucie i wsparcie. Graffiti tylko wszystko pogorszyło. O dziewiątej ukryłam się w budynku, zamykając wielkie wrota, mimo że to oznaczało upał i zaduch w środku oraz większe rachunki za prąd.

Klientów wydałam na pastwę Zee. Biedni ludzie, Zee nie był szczególnie towarzyski. Kilka lat temu, kiedy do bezpośrednich kontaktów z klientami zabrał się dziewięcioletni syn Zee, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Większość poranka spędziłam, usiłując znaleźć przyczynę usterki dwudziestoletniej jetty. Nie ma lepszej zabawy niż gmeranie w wiecznie psującej się elektronice – jeśli ma się rok lub dwa na zmarnowanie. Właścicielka wyszła z pracy o trzeciej nad ranem i dwukrotnie próbowała zapalić silnik. Okazało się, że mimo iż światła były wyłączone, wyczerpał się akumulator.

Akumulator był w porządku. Podobnie alternator. Siedziałam na fotelu kierowcy z głową pod deską rozdzielczą, kiedy naszła mnie pewna myśl. Wygrzebałam się spod deski i spojrzałam na nowiutki odtwarzacz CD. Ostatnim razem, gdy zajmowałam się tym

gruchotem, w jego miejscu tkwił stary radiomagnetofon.

W chwili, gdy na halę wszedł Zee, używałam właśnie Słów Mocy, aby opisać serwisanta, który nie umie zawiązać własnych butów, a śmie wsadzać paluchy w jeden z moich samochodów. Zajmowałam się jettą, odkąd zaczęłam pracować przy samochodach, i czułam do niej wyjątkowy sentyment.

Zee zamrugał, żeby ukryć rozbawienie.

– Moglibyśmy wysłać rachunek tam, gdzie montowali jej sprzęt.

– Myślisz, że zapłacą?

– Jeśli ja go zaniosę, owszem – uśmiechnął się Zee. Także traktował samochody klientów bardzo osobiście.

W porze lunchu zamknęliśmy warsztat i udaliśmy do ulubionej meksykańskiej budy na prawdziwe taco. Czyli bez sera i lodowej sałaty, za to z kolendrą, limetką i rzodkiewkami – bardziej niż dobra zamiana, jak dla mnie.

Przyczepa gastronomiczna stała na parkingu przy meksykańskiej piekarni tuż za mostem wantowym na Kolumbii, co umiejscawiało ją prawie w Pasco, prawie. Niektóre takie przewoźne bary są całkiem spore, lecz ten należał do tych mniejszych vanów z białymi tablicami, na których spisano menu.

Sympatyczna kobieta, która w nim pracowała, ledwie mówiła po angielsku – tyle tylko, by przyjąć zamówienie – co nie miało tak naprawdę znaczenia, gdyż mało który z jej klientów znał jedynie angielski. Powiedziała coś do mnie, kiedy płaciłam, a po otwarciu torby, co zrobiłam, aby sprawdzić, czy są w niej pojemniczki z salsą, okazało się, że dorzuciła kilka moich ulubionych taco gratis. To znaczyło, że wiedzą o mnie nawet ci, którzy nie potrafią czytać naszych gazet.

Zee zawiózł nas do parku w Kennewick, gdzie nad rzeką stało kilka stołów piknikowych, przy których mogliśmy spokojnie zjeść. Westchnęłam, zmierzając w ich kierunku.

– Chciałabym, żeby to nigdy nie znalazło się w gazetach. Ile jeszcze, zanim ludzie zapomną i przestaną się nade mną litować?

Zee uśmiechnął się z przekąsem.

– Trzeba było się uczyć hiszpańskiego. Gratulowała ci, że go zabiłaś. Wspomniała też, że zna kilku facetów, których warto by ci podesłać.

Usiadł przy wybranym stoliku. Zajęłam swoje miejsce, kładąc torbę z jedzeniem na blacie.

– Wcale nie. Może nie mówię po hiszpańsku, ale jak każdy tu rozumiem kilka słów. Poza tym nie powiedziała aż tyle.

– Może nie powiedziała tego ostatniego – przyznał Zee, wydobywając taco z kurczakiem i wyciskając nań limetkę – lecz widziałem to po jej minie. Powiedziała: *Bien hecho*.

Pierwsze słowo znałam, ale Zee odczekał, aż ciekawość skłoni mnie do zapytania o drugie.

– To znaczy? Dobra...?

– Dobra robota – odparł i wbił białe zęby w tortillę.

Może to głupie, przejmować się opiniami obcych, jednak myśl, że jest ktoś, kto nie postrzega mnie jako ofiary, natychmiast poprawiła mi nastrój. Polałam moje taco z koźliną zielonym ostrym sosem i zabrałam się do niego z apetytem.

– Chyba pójdę po pracy do dojo – rzekłam pomiędzy kęsami. Opuściłam już poranny sobotni trening.

– Może być ciekawie – stwierdził Zee, sprytnie omijając kłamstwo. Nie miał wcale ochoty na oglądanie bandy ludzi nurzających się w obrzydliwym pocie i znoju (jego słowa). Pewnie został wytypowany na mojego opiekuna nie tylko w czasie pracy.



Ktoś musiał ze wszystkimi o mnie rozmawiać. Zorientowałam się po obojętnym powitaniu, kiedy weszłam na salę. Na mój widok mięśnie na twarzy senseia Johansona drgnęły, ale rozgrzewkę i rozciąganie poprowadził już ze swym zwykłym sadystycznym zacięciem.

Nim rozpoczęliśmy sparringi, mięśnie krzyża, spięte nieprzerwanie od tygodnia, rozluźniły się i działały normalnie. Po dwóch pierwszych walkach złapałam rytm i byłam gotowa na

starcie z trzecim przeciwnikiem, którego jednocześnie uwielbiałam i nienawidziłam, potężnym brązowym pasem, postrachem całego dojo. Facet był bardzo ostrożny, tak ostrożny, że sensei nigdy tego nie widział, ale uwielbiał robić krzywdę ludziom... kobietom. Poza specyfiką obranego przez senseia stylu walk full contact Lee Holland stanowił drugą przyczynę, dla której byłam jedyną kobietą w grupie zaawansowanej. Lee nie miał żony i dobrze. Żadna kobieta nie zasłużyła sobie na życie z kimś takim. Lubiłam sparringi z Lee, bo nie miałam oporów, żeby go mocniej poobtłukiwać. Bawiła mnie frustracja w oczach gościa, gdy jego wprawne ciosy (brązowy pas to tylko stopień więcej niż mój, fioletowy) nie sięgały mnie tak, jak powinny.

Tym razem, gdy spoglądał na szwy na moim policzku, w jego oczach błyszczała niemal żądza. Przerazało mnie to. Podniecała go myśl, że zostałam zgwałcona. Albo że kogoś zabiłam. Wolałabym, żeby to ostatnie, jednak znając Lee, pewnie chodziło o to pierwsze.

– Jesteś słaba – szepnął tak, by nikt prócz mnie go nie usłyszał. Miałam rację co do przyczyn jego ekscytacji.

– Ostatnią osobę, która tak uważała, zabiłam – rzekłam i kopnęłam go mocno w pierś. Zwykle wstrzymywałam się, by dostosować szybkość do ludzkich możliwości. Jednak wyraz oczu Lee sprawił, że przestałam udawać człowieka. Nie posiadam nadnaturalnej siły, lecz w sztukach walki liczy się także szybkość.

Nie przerwałam ataku, zanim odzyskał równowagę, znalazłam się już za nim. W turniejowych sztukach walk przeciwnicy zwykle znajdują się twarzami do siebie, jednak nasza szkoła dopuszczała także ciosy z boku i od tyłu – chodziło o to, by unikać broni napastnika. Uderzyłam Lee stopą pod kolano, powalając na ziemię. Zanim zareagował, odskoczyłam do tyłu, dając mu możliwość powstania. W końcu był to trening, nie walka na śmierć i życie.

W naszym systemie stosowaliśmy także chwyt zapaśnicze, choć rzadko. W Shi Sei Kai Kan głównie chodzi o to, by powalić przeciwnika i zająć się kolejnym. Ten styl został stworzony z myślą o sytuacjach, kiedy jeden żołnierz musi walczyć z wieloma wrogami.

Walka w zwarciu wystawia na niebezpieczeństwo ataku z innej strony. Poza tym nie miałam ochoty na tak bliski kontakt z Lee.

Krzyknął rozgniewany upokorzeniem i ruszył na mnie. Blok, blok, obrót, unik, trzymałam go na dystans.

– Sensei! Spójrz na Lee! – krzyknął ktoś na sali.

– Dosyć, Lee! – zawołał sensei trenujący z kimś na drugim końcu.

– Wystarczy!

Lee jakby go nie słyszał. Gdybym nie była szybsza niż on, już bym oberwała. Ale ta przewaga pozwalała mi unikać jego ciosów. Przynajmniej do momentu, gdy nie zgubiła mnie zbyt pewność siebie.

Dałam się nabrać na markowane uderzenie prawą ręką i w efekcie Lee powalił mnie ciosem w przeponę z lewej. Ignorując brak tchu, przetoczyłam się i chwiejnie poderwałam na nogi. Przy okazji kątem oka dostrzegłam stojącego w drzwiach dojo Adama. Ubrany w garnitur, stał z założonymi na piersiach rękoma, jakby czekał, aż poradzę sobie z Lee.

I chyba to jego widok właśnie podsunął mi rozwiązanie. Sporo czasu spędziłam w dojo Adama, czyli w garażu, trenując wysokie kopnięcia okrężne. Cios ten miał za zadanie strącić przeciwnika z konia i w zasadzie był poświęceniem żołnierza, bo przy czymś takim uszkodzenie stopy jest niemal pewne. Jednak ponieważ konny miał większą przewagę niż wojownik piechoty, poświęcenie takie się opłacało. W obecnych czasach kopnięcie wykonuje się raczej na pokaz – w starciu z doświadczonym przeciwnikiem znajdującym się na ziemi jest zbyt wolne, obliczone bardziej na popis niż faktyczną ofensywę. Zbyt wolne, chyba że jest się czasami kojotem i posiada nadprzyrodzoną szybkość. Lee nie mógł się spodziewać, że je zastosuję.

Moja pięta zderzyła się ze szczęką Lee, jeszcze zanim umysł przetworzył do końca proces decyzyjny. Runęłam obok, ciężko dysząc po uderzeniu w przeponę. Sensei przypadł do Lee, sprawdzając, czy nic mu nie jest. Adam położył mi dłoń na brzuchu i rozprostował nogi, aby ułatwić oddychanie.



– Nieźle – pochwalił. – Szkoda, że wyhamowałaś w ostatniej chwili. Jeśli ktoś zasłużył na utratę głowy, to... – Nie żartował. Gdyby włożył w tę wypowiedź cień więcej emocji, zaczęłabym się martwić.

– Co z nim? – spróbowałam zapytać. Zrozumiał.

– Nieprzytomny, ale nic mu nie będzie. Należało mu się więcej niż lekki ból karku.

– Masz rację, wycofała się – potwierdził sensei. – A stopę ustawiła pod odpowiednim kątem do ciosu turniejowego. – Unieruchomił Lee, póki ten nie zaczął jęczeć i się poruszać. Sensei popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi. – Postąpiłaś głupio, Mercy. Jak brzmi pierwsza zasada walki?

Nareszcie odzyskałam głos.

– Najlepszą obroną są szybkie buty – wyrecytowałam.

– Właśnie – przytaknął. – Kiedy zobaczyłaś, że stracił kontrolę, a musiałaś zorientować się jakieś dwie minuty wcześniej niż ja, bo pomagałem Gibbsowi z kopnięciem opadającym, powinnaś wołać o pomoc i uciekać od niego. Niepotrzebnie to ciągnęłaś, pozwalając, by komuś stała się krzywda.

– Patrz, sensei, jak jej przykro – zawołał stojący z boku Gibbs, inny brązowy pas. – Pomyliły jej się kierunki i zaczęła uciekać nie w tę stronę.

W sali rozległy się śmiechy, napięcie zelzało.

Sensei sprawdził dokładnie, czy Lee na pewno nic nie jest.

– Usiądź i odpocznij do końca zajęć – nakazał mu. – Porozmawiamy sobie później.

Lee podniósł się, nie patrząc na mnie ani nikogo innego, i przycupnął w półprzysiadzie, opierając plecy o ścianę.

Sensei wstał, a ja za nim. Spojrzał na Adama, który uklonił się pierwszy, przykładając pięść do otwartej dłoni. Był w ciemnych okularach, których nie zauważyłam podczas walki. Większość znanych mi wilkołaków nosiła słoneczne okulary lub kapelusze z rondami, aby ukryć oczy.

– Adam Hauptman – przedstawił się. – Jestem przyjacielem Mercy. Wpadłem poobserwować, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Sensei na co dzień pracował jako księgowy w firmie ubezpieczeniowej, ale tutaj był królem. Popatrzył na Adama spokojnie, pewny siebie.

– Wilkołak – powiedział. Adam był jednym z kilku w stadzie, którzy zdecydowali się ujawnić.

– *Hai* – potwierdził Adam.

– To dlaczego nie pomogłeś Mercy?

– To twoje dojo, sensei Johanson. – Sensei uniósł brwi i Adam błysnął uśmiechem. – Poza tym widziałem, jak walczy. Jest twarda, jest bystra. Gdyby uważała, że jest w tarapatkach, poprosiłaby o pomoc.

Wyprostowałam się bez większego trudu, choć czułam, że będę miała sińca na brzuchu. Zee się ulotnił. Nie uważał za stosowne zostawać, skoro Adam przejął opiekę nade mną. I tak wchodząc tu, zmarszczył nos, podrażniony zapachem potu. Jego szczęście, że jesień była dość chłodna, bo latem czuło się dojo już przecznicę dalej. Przynajmniej ja czułam. Nie był to dla mnie zapach nieprzyjemny, choć na pewno ostry, jednak od innych trenujących wiedziałam, że ludzie nie znoszą go prawie tak jak Zee.

Przedstawienie się skończyło, więc Adam odszedł na bok, po drodze poluzniając krawat i zdejmując marynarkę. Sensei kazał nam zrobić trzysta wykopów (Lee został przywołany, kończąc swą haniebną karę), najpierw w lewo, później w prawo. Liczyliśmy po japońsku, choć zapewne gdyby przysłuchiwał się temu Japończyk, miałyby kłopoty ze zrozumieniem. Pierwsza setka była łatwa, bo i mięśnie rozgrzane oraz rozciągnięte poprzednimi ćwiczeniami. Druga nie tak bardzo. Przy dwustu dwudziestu nie czułam już nic prócz palącego bólu, po którym nastąpił szok przy zmianie nóg. Sensei przechadzał się pomiędzy nami (tego dnia przyszło dwunastu uczniów), w razie potrzeby korygując postawę poszczególnych osób.

Od razu można było poznać bardziej zaawansowanych – nasze dwusetne kopnięcie wyglądało tak, jak pierwsze.

Mniej zaangażowani uczniowie kopali coraz niżej, coraz mniej

pilnując postawy. Niektórzy utrzymali formę aż do trzechsetnego kopnięcia, ale nie ja.



Po zajęciach wszyscy byli zbyt zajęci udawaniem, że nie gapią się na wilkołaka – przyglądając mu się ciekawie – żeby zwracać uwagę na mnie. Przebrałam się w łazience, nie spiesząc się z grzeczności, tak żeby mężczyźni spokojnie mogli zrobić to samo w szatni, zanim wyjdę.

Sensei czekał na mnie przed szatnią.

– Dobra robota, Mercy – pochwalił ze znaczącym naciskiem, po którym poznałam, że nie mówi o Lee. Dziwne, tymi samymi słowami, tyle że w innym języku, zwróciła się do mnie sprzedawczynie tacy.

– Gdyby nie to – kiwnęłam głową w stronę sali – to ja bym zginęła tamtej nocy, nie napastnik. – Ukłoniłam mu się formalnie, kierując pięści do dołu. – Dziękuję za naukę, sensei.

Oddał mi ukłon. Oboje zignorowaliśmy podejrzaną wilgoć w oczach.

Adam stał przy wyjściu, bacznie studiując własne paznokcie. Ku mojej uldze gapiących się na niego ludzi potraktował z rozbawieniem. Był bardzo wybuchowy. Spocił się, więc bawełniana koszulka przylegała do jego torsu i ramion, oświadczając wszem i wobec, że jest twardzielem.

Odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić, i przedstawiłam go znajomym. Jedyne Lee patrzył Adamowi w oczy odrobinę dłużej. Przestraszyłam się, że wilkołak straci cierpliwość. Rzucił Lee groźny uśmiešek. Obawiając się, że jeden albo drugi coś powie, chwyciłam Adama za ramię i pociągnęłam ku drzwiom. Gdyby chciał, z pewnością wyrwałby się, ale poszedł ze mną spokojnie. Nie wzięłam samochodu, ponieważ dojo znajdowało się niedaleko mojego warsztatu, kawałek spacerkiem przez łąkę i kilka kroków wzdłuż torów. Samochodu Adama też nie było.

– Zmieniłeś auto? – zapytałam na parkingu.

– Nie, Carlos mnie podrzucił po pracy, więc możemy się przejść do warsztatu piechotę. – Carlos należał do stada i wraz z trzema czy czterema innymi wilkołakami pracował w firmie ochroniarskiej Hauptmana, lecz nie znałam go dobrze. – Mówiłaś kiedyś, że lubisz ochłonać po treningu.

Owszem, powiedziałam mu to kilka lat temu. Cekał na mnie przed warsztatem, żeby mnie ostrzec... Odwróciłam głowę, żeby nie zauważył mojego uśmiechu. To wtedy wyprowadziłam z szopy starego Królika, którego trzymałam na części, i postawiłam na środku posesji, tak żeby Adam mógł go widzieć ze swojego okna. Rządził się, rozkazywał na prawo i lewo, a ja, znając dobrze wilkołaki, nie ośmieliłam się sprzeciwić wprost. Wiedząc jednak, jak ceni ład i porządek, zaczęłam dręczyć go widokiem starego grata. Przyszedł pod warsztat, zobaczył mój samochód, lecz mnie nie było. Nie przyznał się, ale pewnie wytropił mnie w dojo i zamiast pieklić się o rzęcha, zrobił mi awanturę, że włóczę się sama po nocach. Zirytowana, odszczeknęłam, że wracam na nogach do warsztatu, żeby ochłonać po treningu. Miało to miejsce niedługo po jego rozwodzie, lata temu.

A on pamiętał przez cały ten czas.

– Z czego się tak cieszysz? – zagadnął.

Pamiętał moje słowa, zupełnie jakby już wtedy mu na mnie zależało... ale i ja potrafiłabym opisać odcień krawatu, jaki nosił tamtego dnia, i ton, jaki troska nadała jego głosowi. Pociągał mnie, jednak nie chciałam się do tego przyznać. Najpierw dlatego, że był żonaty, lecz później także nie. Wychowałam się wśród wilkołaków, odeszłam od nich i nie miałam ochoty znów znaleźć się w tym klaustro fobicznym, brutalnym środowisku. A już na pewno nie zamierzałam umawiać się z Alfą. I proszę, oto szłam z Adamem, tak alfowatym Alfą jak tylko się da.

– Dlaczego nie rzuciłeś się na Lee? – zapytałam, zmieniając temat. Na pewno chciał, stąd te ciemne okulary, żeby nikt nie zauważył wilczego, złotego blasku jego oczu.

Nie odpowiedział od razu. Wydeptana ścieżka, prowadząca na

nasyp kolejowy, stanowiąca najkrótszą drogę do mojego warsztatu, była stroma, a luźny żwir czynił ją jeszcze bardziej zdradziecką. Mimo że byłam obolała, zaczęłam biec do góry. Mięśnie nóg, sztywne ze zmęczenia po trzystu wykopach, zaprotestowały wobec kolejnego wysiłku, ale bieg oznaczał szybszą wspinaczkę.

Adam bez trudu wbiegł za mną, mimo że miał buty do garnituru, na śliskiej podeszwie. To postępowanie za mną krok w krok zrobiło na mnie nieprzyjemne wrażenie, poczułam się jak ścigany jelen. Przystanąłam więc na szczycie, żeby porozciągać trochę ścięgna. Niech mnie licho, jeśli zacznę uciekać przed Adamem.

– Miałaś nad nim przewagę – rzekł wreszcie. – Jest silniejszy, jednak nigdy nie walczył o swoje życie. Nie zostawiłbym cię z nim związanej, sam na sam, na dłużej, ale na sali nie miał z tobą szans. – Jego głos nabrał ostrzejszych tonów. – Gdyby nie twoja głupota, nie zdołałby cię nawet uderzyć. Nie rób tego więcej.

– Ta jest, psze pana.

Przez cały dzień, a w każdym razie od chwili, gdy dzięki znakowi skrzyżowanych kości stało się jasne, że Marsilia jeszcze ze mną nie skończyła, starałam się nie myśleć o Adamie. Co prawda Zee miał sprawdzić inne możliwości, ale i tak wiedziałam, że to sprawka wampirów. A Tony miał rację, malunek niósł ze sobą groźbę śmierci. Ja już w zasadzie byłam martwa. Jedyne, co mogłam zrobić, to znaleźć sposób, by oddalić śmiertelne zagrożenie od innych ludzi.

Adam zginąłby w obronie swojej towarzyszki. Nie pozwoliłby mi też odejść. Christy, jego żona, nie była jego prawdziwą partnerką, w przeciwnym razie by się nie rozwiedli. Musiałam jakoś odkręcić to, co zrobiłam poprzedniej nocy.

Trudno mi było jednak uwierzyć we własną śmierć, teraz, z Adamem przy boku, kiedy ciepłe jesienne słońce rozświetlało jego ciemne włosy i rozjaśniało oczy, uwidoczniając małe zmarszczki w kącikach przymrużonych powiek.

Ujął mnie za rękę ruchem tak swobodnym, że nie miałam szans zrobić uniku, nie robiąc z tego gestu wielkiego halo. Zresztą nie chciałam go unikać. Przechylił głowę, jakby usiłował odgadnąć moje

myśli – udało mu się? Miał dużą dłoń, suchą i ciepłą. Odciski na skórze czyniły ją tak szorstką, jak moja spracowana ręka.

Odwróciłam twarz, ale schodząc ze stromizny, nie puściłam Adama. Pierwsze kilka kroków wypadło nam niewygodnie, lecz szybko dostosował chód do mojego i nagle nasze ciała poruszały się w tym samym rytmie.

Przymknęłam oczy, ufając we własny zmysł równowagi i w Adama. Jeśli zacznę płakać, zapyta, o co chodzi. A nie da się okłamać wilkołaka. Musiałam go jakoś zdekoncentrować.

– Masz nową wodę kolońską – wymruczałam. – Podoba mi się.

Roześmiał się. Ten ciepły, niski dźwięk osiadł w moim brzuchu niczym kawałek wyciągniętej z pieca szarlotki.

– To raczej szampon... – Zaśmiał się ponownie i pociągnął lekko, aż oparłam się o niego. Puścił moją dłoń, objął delikatnie, ogrzewając mi plecy ciepłem ramienia. – Nie, masz rację. Zupełnie zapomniałem. Jesse popsikała mnie czymś, kiedy wychodziłem z domu.

– Ma świetny gust. Pachniesz tak, że mam ochotę cię zjeść.

Trzymająca mnie ręka zeszywniała, a ja zarumieniłam się, pojawiając się, jak zabrzmiało to, co właśnie powiedziałam. Częściowo z zażenowania, a częściowo z innej przyczyny. Jednak to nie freudowska pomyłka przykuła uwagę Adama. Zatrzymał się, a ponieważ mnie prowadził, zrobiłam to samo. Otworzywszy oczy, spojrzałam na niego, potem na warsztat, gdzie patrzył.

Ups. Hm, owszem, szukałam sposobu, żeby nie domyślił się, skąd moja nerwowość. Ten nie był idealny.

– Widzę, że Zee ci nie powiedział.

– Kto to zrobił? – w głosie wilkołaka obudził się groźny pomruk. – Wampiry?

I jak tu odpowiedzieć, nie kłamiąc, co było bezcelowe, a jednocześnie nie rozpoczynając wojny?

Świadoma faktu, że Marsilia wie o moim zabójstwie Andre, nie mogę zostać towarzyszką Adama. Może inny wilkołak zrozumiałby, że walka z wampirami mnie nie ocali, a tylko przyniesie więcej

ofiar. Wojna z wampirami tu, w Tri-Cities, szybko mogła rozprzestrzenić się na całe terytorium Marroka. Ale Adam za nic nie odpuści. Samuel stanie u jego boku. Nigdy nie byłam miłością jego życia ani on moją, lecz to nie znaczyło, że nie darzymy się wzajemnie miłością. A Samuel wciągnie w to wszystko swojego ojca, Marroka.

Nie panikuj, traktuj to spokojnie, powiedziałam sobie.

– Wampiry udekorowały nieco moje drzwi, ale większość to sprawka kuzynki Tima i jej kumpla. Wszystko jest na nagraniu, gdybyś chciał zobaczyć. Matka i rodzeństwo Gabriela przyjdą w sobotę i pomogą to zamalować. Resztą zajęła się policja – to ostatnie dodałam, bo sztywność Adama nie ustąpiła. – Tony uważa, że wygląda to bardzo świątecznie, może poczekam z tym malowaniem jeszcze kilka miesięcy.

Zwrócił na mnie gniewny wzrok.

– Ta kuzynka, ona nadal wierzy w niewinność Tima. Uważa, że wszystko zmyśliłam, żeby wykręcić się od zarzutu morderstwa. – Pozwoliłam, by w moim głosie zabrzmiało współczucie wobec Courtney, wiedząc, że Adamowi się to nie spodoba. Jeśli chodzi o właściwe i niewłaściwe postępowanie, Adam nie uznawał szarości. Liczyłam, że moja postawa go zirytuje i rozproszy, że skupi się na Courtney, zapominając o wampirach.

Nie uspokoił się, ale ruszył w stronę warsztatu.



Zwykle po treningu brałam prysznic w warsztacie, teraz jednak nie chciałam, by Adam zbyt dokładnie przyglądał się znakowi na drzwiach. Wołałam, żeby nie myślał o wampirach, dopóki nie znajdę jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Wskoczyliśmy więc od razu do mojego vanagona (biedny volkswagen nadal znajdował się w naprawie po tym, co w zeszłym tygodniu popsuł w nim Pradawny).

Może powinnam się przeprowadzić? Gdybym zamieszkała na terytorium innych wampirów, opóźniłabym Marsilię, szczególnie wybierając chmarę, która za nią nie przepada. Nie znosiłam

uciekać, jednak zostając, wystawiałam się na pewną śmierć. Adam nie przyjąłby tego spokojnie i w konsekwencji zginęłoby dużo istnień.

Mogłabym spróbować zabić Marsilię.

Już sam fakt, że brałam to rozwiązanie pod uwagę, świadczył o mojej desperacji. Owszem, zabiłam dwa wampiry. Pierwszego przy ogromnej pomocy i jeszcze większej dozie szczęścia. Drugiego załatwiłam, kiedy spał.

Miałam taką samą szansę z Marsilią, jak mój kot Medea z pumą. Może nawet mniejszą.

Rozmyślając, jednocześnie paplałam do Adama całą drogę do domu. Mojego domu. Benzyna była droga, a nie przewidywałam, by miał coś przeciwko spacerowi do siebie. Gdyby miał ochotę zaczekać, aż się odświeżę, mogłabym go nawet odprowadzić. Zerknąwszy na niebo, doszłam do wniosku, że mam czas na prysznic, nie ryzykując, że Adam porozmawia ze Stefanem przede mną.

Musiałam dowiedzieć się, co oznacza kościane dzieło, i dopilnować, by nie spełniło swojej funkcji. Stefan powinien coś na ten temat wiedzieć, jednak nie chciałam wypytywać go w czyjejs obecności. Planowanie, jak zostać z nim sam na sam, odłożyłam na później.

– Mercy – odezwał się Adam, przerywając mi monolog o karmannach i różnicach między wodnym a powietrznym chłodzeniem silników. Ten ton, w którym rozbawienie mieszało się z rezygnacją, słyszałam u niego często.

– Hmm? – mruknęłam, skręcając na podjazd.

– Dlaczego wampiry namalowały na twoich drzwiach znak skrzyżowanych puszczeli?

– Nie mam pojęcia – rzuciłam rozmyślnie lekko. – Nie wiem nawet, czy to wampiry. Na nagraniu nie dało się rozpoznać sprawcy. Pomyśleliśmy tak z Zee przez tę sprawę ze Stefanem. Zee ma zasięgnąć języka u Wujka Mike'a, czy to robota nie ludzi.

– Nie pozwolę, by Marsilia cię skrzywdziła – oświadczył pewnie,



tonem, jakim dawał słowo honoru.

Wilkołaki tak robiły, w każdym razie te starsze. Nie sądziłam, że Adam do nich należy. Przeszedł Przeistoczenie w latach pięćdziesiątych, na zawsze już zatrzymując wygląd trzydziestolatka. Wspominając o starszych wilkołakach, miałam na myśli te co najmniej dwustuletnie.

Nie żeby nowocześniejsi mężczyźni nie posiadali poczucia honoru, większość po prostu nie postrzegała tego w ten sposób. Dzięki temu posiadali elastyczność niedostępną wcześniejszym pokoleniom. Niektóre stare lobos traktowały takie zobowiązania niezwykle poważnie.

Byłabym głupia, gdybym nie wierzyła, że Adam jest w stanie ręczyć honorem, iż Marsilia mnie nie zabije, a jeszcze głupsza, gdybym nie wierzyła, że zginie, próbując dotrzymać słowa.

Nie zamierzałam poddać się losowi ani nic w tym stylu, ale jeśli nauczyłam się czegoś, dorastając pośród wilkołaków, to zachowania trzeźwego spojrzenia na ocenę prawdopodobieństwa i możliwości zminimalizowania strat. A jeśli Marsilia chciała mnie zabić... Cóż, prawdopodobnie tak właśnie się stanie. Nawet bardziej niż prawdopodobnie. Na tyle prawdopodobnie, że poczułam nadchodzącą falę paniki. Pierwszą dzisiaj, jeśli nie liczyć jednej czy dwóch przelotnych chwil, kiedy miałam nagle problemy ze złapaniem tchu.

– Nie jest taka głupia, by mnie zaatakować – rzekłam, otwierając drzwiczki. – Szczególnie gdy dowie się, że oficjalnie uznałam cię za towarzysza. To daje mi ochronę stada. Nie będzie w stanie mi zagrozić. – W każdym razie tak być powinno... choć nie łudziłam się, że to takie proste. – To Stefan jest w prawdziwych tarapatach.

Wysiadł i zaczekał, aż obejdę samochód.

– Poszłabyś ze mną jutro... do jakiejś miłej restauracji trochę potańczyć?

Nie takich słów spodziewałam się z jego ust, nie, kiedy patrzył na mnie tym chłodnym, taksującym spojrzeniem. Chwilę zajęło mi oderwanie się od jakże pochłaniających rozważań na temat

nieuchronnej śmierci z rąk Marsilii.

Adam zapraszał mnie na randkę.

Dotknął mojej twarzy – ostatnio lubił robić to coraz częściej. Ciepło jego palców przeniknęło mnie do czubków stóp. Naraz zbliżająca się śmierć nie wydawała się już tak absorbująca.

– Tak, bardzo chętnie. – Przyłożyłam dłoń do brzucha, żeby uspokoić łaskotanie, niepewna, czy wynika z myśli o randce z Adamem, czy konieczności zerwania z nim, zanim sprowadzę śmierć na niego i całą watahę. Czy zgoda na spotkanie sprawi, że moja ucieczka zabolii go bardziej? Może powinnam znaleźć wymówkę, żeby nie iść jutro do pracy?

W głowie pojawiła mi się pewna myśl. A gdybym zraniła go mocno, odeszła, zostawiając w gniewie, czy przejąłby się, że Marsilia mnie zabiła, czy też by odpuścił? Znajome uczucie duszności zaczęło rozprzestrzeniać się poza brzuch – atak paniki, który od kilku minut pukał do mojego wnętrza.

– Muszę wziąć prysznic – powiedziałam bardzo spokojnie. – Ale potem chciałabym zobaczyć się ze Stefanem.

– Jasne – zgodził się, wchodząc na ganek i otwierając przede mną drzwi. – Poczekam na ciebie... Samuela nie ma w domu.

Nie ma powodu, abym czuła się jak ofiara Adama, powiedziałam sobie stanowczo, mijając wilkołaka w progu własnego domu. Nie ma powodu denerwować się jego wzrokiem na moich plecach. Nie potrafi czytać mi w myślach, więc nie dowie się, że planuję ucieczkę. Jednak nie odwróciłam się, gdy mówiłam:

– Rozgość się, zaraz wrócę.

Po czym weszłam do sypialni, zamknęłam drzwi i oparłam się o nie.



Najpierw wyszorowałam ręce ostrą szczoteczką i emulsją Fast Orange, żeby pozbyć się zabrudzeń z dzisiejszego dnia. Nigdy nie udało mi się usunąć ich całkowicie, ale jeśli Adamowi przeszkadzał wżarty w moją skórę brud, nigdy nic na ten temat nie powiedział.

Zrobiwszy, co się dało, weszłam pod prysznic.

Czy mogłam jeszcze cofnąć słowo dane Adamowi?

Magia watahy nie działa na mnie tak silnie jak na wilkołaki. Nie mówią wiele o jej specyfice. Tajemnicze istoty z tych wilkołaków. Dowiedziałam się, że jest w tym coś więcej, niż sądziłam. Wiedziałam, że nawet połączona para wilków może zerwać więź, lecz nie spotkałam się z czymś takim. Czy moja zgoda to na razie tylko słowa, czy też rozpoczął się już jakiś magiczny proces? Akceptacja jest niezbędna do działania różnych przejawów magii, ale ja jestem odporna na wiele jej rodzajów. Może połączenie w parę należy do jednego z nich? Wiedziałam także, że moc stada wpływa odrobinę inaczej na Alfę niż resztę członków watahy. Adam związał się ze mną, ogłaszając mnie swoją wybranką wobec stada, i to wywarło wpływ na wilkołaki, a także samego Adama. Podejrzewałam, że w przypadku większości wilków działa to zwykle trochę inaczej, że obie strony muszą wyrazić wolę połączenia, a ich związek jest bardziej prywatną sprawą.

Zmarszczyłam brwi. Była jakaś ceremonia. Prawie na pewno. Coś, co dwoje wybranków scalało w życiowych towarzyszy. A później jeszcze jedna, tym razem pomiędzy samymi wilkołakami. Może Adam nie zrobił tego jak należy? Może w przypadku Alfy było tak samo, jak z innymi wilkami? Może zaraz zwariuję na własne życzenie?

Potrzebowałam konkretnych informacji, a nie miałam do kogo się zwrócić. Nie mogłam zapytać żadnego z członków stada – to podkopałoby autorytet Adama. Poza tym zaraz by mu o tym donieśli. Samuel też nie stanowił dobrego źródła, bo ledwie co postanowiliśmy dać sobie spokój z taką relacją. Bran odpadał z tego samego powodu. Nie ulegało wątpliwości, że wysłał Samuela do Tri-Cities, powodowany chybioną chęcią wyswatania nas. Nie byłam pewna, czy Samuel powiedział mu, że się nie udało. Nie po raz pierwszy żałowałam, że nie ma przy mnie przybranego ojca, Bryana. Dawno temu popełnił samobójstwo.

Podstawiłam twarz pod strumień ciepłej wody. No dobrze.

Załóżmy, że ta sprawa z połączeniem w parę nie jest nieodwracalna. Jak wzbudzić w Adamie nienawiść? Hm, na pewno nie idąc do łóżka z Samuelem. Ani krzywdząc Jesse.

Strumień uderzył w gojącą się ranę na policzku, więc spuściłam głowę. Skłonienie Adama do odejścia wydawało się dobrym pomysłem, ale on nie był typem mężczyzny, który wycofuje się, gdy sprawy przybierają trudniejszy obrót. A nawet jeśli nie byłibyśmy razem, to czy na pewno nie zrobi na nim wrażenia, że Marsilia mnie zabiła? Może gdybym miała kilka miesięcy, rok, udałoby mi się stłumić w nim uczucia do mnie.

Ucieczka? Z tym, co miałam na koncie, dotarłabym może do Seattle.

Groźba ataku paniki ustąpiła przed zalewającą mnie falą ulgi. Po raz pierwszy w życiu bezsilność przyprawiła mnie o uczucie szczęścia.

Może i już byłam trupem, ale postanowiłam być z Adamem przez cały ten czas, który jeszcze mi został.



Choć idąc w stronę ogrodzenia dzielącego nasze posesje, Adam prowadził mnie tylko pod rękę, emanowała z niego aura posiadania. Sygnalizowała: „Moja”.

Gdyby nie kłopoty z Marsilią, bez wątpienia irytowałyby mnie ta zaborczość. A tak, byłam nieszczęśliwa tylko dlatego, że nie mogłam dać się ponieść temu poczuciu bezpieczeństwa, które oferował... nie bez ryzyka, że przeze mnie ktoś go skrzywdzi.

Może jednak powinnam odejść, pal licha pieniądze.

Uczucie spięcia wróciło i istniała groźba, że jeśli nie zdołam tego stłumić, ten głupi atak paniki w końcu wybuchnie, i to nie ukryty bezpiecznie za szumem wody i zamkniętymi drzwiami łazienki. I stanie się to tutaj, przy biednym, steranym Króliku z wymalowanym na dachu numerem telefonu Adama.

Jeśli chcesz się zabawić, zadzwoń...

Adam zatrzymał się gwałtownie.

– Mercy? Skąd ten gniew?

Wyczuł. Nawet ja czułam woń gniewu, lęku i... Miałam wszystko w sobie i nie miałam już NICZEGO.

Zbyt wiele. Przymknęłam powieki, roztrzęsiona, ze ściśniętym gardłem, nie mogąc zaczerpnąć powietrza...

Adam złapał mnie, nim upadłam, i przygarnął do siebie w cieniu starego samochodu. Emanowało z niego takie ciepło, a mnie zrobiło się tak zimno. Wcisnął nos w moją szyję. Nie widziałam go, duszność przesłoniła mi wzrok ciemnymi plamami. W piersi Adama zawibrował głuchy pomruk, a jego usta zamknęły się na moich – wciągnęłam głęboko powietrze nosem. Znowu mogłam oddychać, ciężar w brzuchu zelżał. Drżałam, po twarzy spływała mi krew... Nie ciekło mi z nosa.

Zażenowana, wyrwałam się z objęć Adama, wiedząc z całą upokarzającą pewnością, że mnie puści. Otarłam twarz skrajem koszulki i usiadłam przy samochodzie, przyciskając twarz do zimnej blachy.

Słaba. Bezradna. Niech to szlag. Niech MNIE szlag. Fala rosła, grożąc zatopieniem. Rozpacz, bezsilna wściekłość... *Martwi, wszyscy. Nie żyją i to moja wina.*

Ale jeszcze żyli. To się jeszcze nie stało.

*Nie żyją. Moje dzieci, moi ukochani, z mojej winy. Rzuceni przeze mnie na szalę ryzyka, zginęli przez moją porażkę. Moja porażka, ich śmierć.*

Zapach Stefana wypełnił mi nozdrza.

Adam wpił we mnie spojrzenie złocistych oczu, patrzył na mnie wilk. Pocałował mnie znów, wciskając coś palcami między wargi, zmuszając, bym rozwarła zęby, jednocześnie nie odejmując ust. Mały kawałek surowego mięsa przesunął się w dół gardła, paląc przełyk. To było coś ważnego.

– Moja – wyszeptał, obejmując mnie mocno. – Nie należysz do Stefana.

Żdźbła trawy zatrzeszczały pod moją głową, a poruszone grudki ziemi zaszurały jak papier ścierny. Oblizalam wargi, czując na

języku krew. Krew Adama.

Krew i ciało Alfy... Wataha.

– Od dzisiaj po wsze czasy – głos Adama wydobywał mnie z czeluści, w której się znajdowałam. – Moja dla mnie, tylko moja. Moje stado, moja miłość. – Jego twarz i palce, którymi muskał mój policzek, też były umazane krwią.

– Twoja dla ciebie, tylko ja – odpowiedziałam, choć głos, który się dobył, był chrapliwym szeptem. Nie pojmowałam, dlaczego tak zareagowałam, chyba że na zasadzie machinalnego odzewu niczym na hasło: „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle”. Słyszałam te ceremonialne słowa tyle razy, że nawet dodane przez niego „moja miłość” nie myliło.

Nim uświadomiłam sobie, co to oznacza i dlaczego nie powinnam tego robić, było już za późno.

Magia rozpalala się we mnie, podążając ścieżką kawałka ciała, krzyknęłam, czując, jak próbuje mnie przemienić, mniej lub bardziej. Stado.

Czułam je w dotyku Adama, w jego krwi. Jego ochronę nad nim, władzę. Teraz wszyscy oni stali się także moi... A ja ich.

Ciężko dysząc, spojrzałam na Adama. Puścił mnie, wstał i cofnął się. Na jego przedramieniu czerwieniła się głęboka rana.

– Nie może cię mieć – przemówił przez niego złotooki wilk. – Ani teraz, ani nigdy. Mój dług nie jest aż tak wielki.

Poniewczasie zaczęło do mnie docierać, co zaszło. Otarłam usta dłonią, żeby zyskać trochę czasu. Przegub zaróżowił się od krwi Adama.

Stefan się przebudził... Jakimś sposobem wdarł się do mojego umysłu. To jego przerażenie czułam.

Wszyscy nie żyją... Świadomość, że chyba wiem, o kogo chodzi, przyprawiła mnie o mdłości. Poznałam kilkoro jego ludzi, jego dawców. Zdawałam sobie sprawę, jak straszliwie bezradni byli bez swojego wampira, który karmił się nimi i otaczał ich opieką.

Spojrzałam na zachodzące słońce.

– Trochę za wcześnie, żeby wampir się obudził, nie sądzisz? –

zauważyłam.

Czas ochłonąć, uspokoić się.

Uczucie więzi z watahą słabło, lecz już nigdy nie miało zniknąć do końca. Adam sprawił, że byłam teraz częścią tego stada. Zwykle stawało się to w obecności wszystkich zebranych, choć nie było to konieczne. Wystarczyły ciało i krew Alfy oraz obustronna przysięga.

Nie sądziłam, że to możliwe z kimś, kto nie jest wilkołakiem. Nie przypuszczałam, że będzie w stanie uczynić mnie członkiem watahy. Magia działa na mnie czasami dziwacznie, w innych wypadkach wcale. Jednak to, co czułam, oznaczało, że na ten jej rodzaj nie byłam odporna.

Adam odwrócił się do mnie plecami, przygarbiony, z zaciśniętymi pięściami. Pominął moje pytanie.

– Wybacz mi. Spanikowałem.

Wsparłam czoło o podkurczone kolana.

– Ostatnio to norma.

Usłyszałam chrzęst trawy, kiedy do mnie podchodził.

– Śmiejesz się? – zapytał niedowierzająco.

Podniosłam głowę. Ostatnie promienie słońca otaczały go aurą złotego światła, kryjąc twarz w cieniach. Jednak pochylenie ramion znamionowało poczucie winy. Uczynił mnie częścią stada, nie pytając o zgodę ani mnie, ani ich – co w zasadzie było raczej tradycją niż wymogiem. Czekał na mój wybuch, na który, jak uważał, zasłużył.

Adam przywykł ponosić konsekwencje swoich wyborów, a wybory te czasami były niezwykle trudne. Ostatnio podjął wiele takich dotyczących mojej osoby.

Stefan wniknął w mój umysł tak głęboko, że czułam na sobie jego zapach. Adam ocalił mnie, włączając do stada. Był gotów zapłacić za ten czyn i pewnie tak się stanie, ale nie ja przyjmę rolę egzekutora.

– Dziękuję ci – powiedziałam. – Dziękuję za rozszarpanie ciała Tima na kawałki, dziękuję za wlanie do gardła napoju, dzięki któremu mam dwie zdrowe ręce. Dziękuję, że przy mnie byłeś, że

się mną zająłeś. – Już się nie śmiałam. – Dziękuję, że nie pozwoliłeś, bym stała się jedną z owiec Stefana, wolę należeć do stada niż to. Dziękuję za wszystkie trudne decyzje, które musiałeś podjąć, i za czas, który mi dałeś. – Wstałam, podchodząc do Adama. Przywarłam do niego, wtulając twarz w jego ramię. – Dziękuję za twoją miłość.

Objął mnie, zamykając w miażdżącym uścisku.

Miłość czasami jest bolesna.





## Rozdział 4

**N**ajchętniej pozostałabym w ramionach Adama na całą wieczność, ale po kilku minutach zimny pot wystąpił mi na czoło, a w gardle urosła gęła. Odsunęłam się, zanim awersja na dotyk, którą zostawił po sobie Tim, przyjęła bardziej drastyczną formę.

Odwróciwszy się, z zaskoczeniem ujrzałam otaczające nas stado. No dobrze, cztery wilkołaki nie czynią może wielkiego stada, lecz nie słyszałam, kiedy nadeszły, a wierzcie, nawet pięć wilków (włączając Adama) wystarczy, by czuć się wręcz przytłaczająco otoczonym.

Na przystojnej twarzy Bena malowała się wesołość, robiąca zaskakujące wrażenie na obliczu zwykle ściągniętym w wyrazie goryczy lub gniewu. Warren, Trzeci Adama wyglądał jak kot w morzu śmietanki. Aurielle, towarzyszka Darryla, wydawała się spokojna, choć coś w jej postawie świadczyło o niezwykle silnym poruszeniu. Czwartego, Paula, nie znałam zbyt dobrze, ale to, co o nim wiedziałam, wystarczyło, żebym czuła do niego niechęć. Paul był przywódcą frakcji „Nienawidzę Warrena, bo jest gejem” i sprawiał wrażenie, jakby ktoś go grzmotnął znieńacka. Pomyślałam, że właśnie wysunęłam się na szczyt jego listy znienawidzonych

członków watahy.

Stojący za mną Adam położył mi dłonie na barkach.

– Moje dzieci – zaczął oficjalnie – daję wam Mercedes Athene Thompson, nowego członka stada.

Zrobiło się bardzo niezręcznie.



Gdybym wcześniej nie czuła Stefana, pomyślałabym, że nadal jest nieprzytomny, nieżywy czy co tam zrobiło mu słońce. Leżał nieruchomo na pryczy w klatce, niczym trup na marach.

Włączyłam światło, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wyssana krew uleczyła większość uszkodzeń skóry, choć na policzkach pozostały jeszcze czerwone ślady. Sprawiał wrażenie kilkanaście kilogramów chudsze, niż gdy widziałam go ostatnio w pełni zdrowia. Przywodził na myśl ofiarę obozu koncentracyjnego. Został przebrany z brudnych łachmanów w dres – strój, którego zapasy zawsze znajdowały się w siedzibach wilkołaków. Ten był szary i wisiał na nim jak na wieszaku.

Na górze, w salonie, Adam prowadził zebranie, które z każdą chwilą przemieniało się bardziej w walne zgromadzenie całej watahy. Wyraźnie ulżyło mu, gdy wymówiłam się chęcią pójścia do Stefana. Pewnie bał się, że któryś z członków stada lada moment uczyni jakiś kąśliwy komentarz. Jednak niepotrzebnie się przejmował. Bliskie osoby mogły mnie zranić, ale obcy? Miałam gdzieś, co sobie myślą. Watahy wilkołaków to społeczności dyktatorskie, ale jeśli ma się do czynienia z Amerykanami, którzy Kartę Praw wyssali z mlekiem matki, nawet w takim układzie wskazana jest pewna doza dyplomacji. Nowych członków zgłaszano zwykle jako kandydatów, nie stawiało się stada przed faktem dokonanym. A już na pewno należało wykazać daleko idącą ostrożność, czyniąc coś tak oburzającego, jak wprowadzenie do społeczności niewilkołaka.

W ogóle nie słyszałam o takim przypadku. Niewilkołaczy partnerzy nie należeli do stada. Nie całkiem. Mieli status

towarzyszy, ale nie członków. Nawet pięćdziesiąt ceremonii krwi i ciała nie uczyniłoby człowieka częścią watahy – magia na to nie pozwalała. Najwyraźniej moja kojowatość była tak pokrewna wilkom, że wystarczyła.

Prawdopodobnie Adam powinien był także omówić kwestię przyjęcia mnie z samym Marrokiem.

Samochodów przed domem przybywało wraz z kolejnymi wilkołakami. Czułam ich obecność, ich niepokój i niepewność. Gniew. Roztarłam nerwowo barki.

– Coś cię dręczy? – zapytał Stefan cichym, w pełni świadomym głosem, choć dla spokoju ducha wolałabym, żeby do tego otworzył oczy albo się poruszył.

– Poza Marsilią?

W końcu spojrzał na mnie, lekko unosząc kąciki ust.

– Masz rację, to aż nadto. Ale to nie z powodu Marsilii ten dom jest pełen wilków.

Usiadłam na miękkim dywanie, którym wysłano podłogę piwnicy, i oparłam czoło o kraty. Drzwi były zamknięte, a klucz, zwykle wiszący na haku w korytarzu, zniknął. Pewnie Adam miał go przy sobie. Co i tak nie miało znaczenia, bo Stefan pewnie mógł opuścić klatkę w każdej chwili – tym samym sposobem, jakim pojawił się u mnie w saloniku.

– Masz rację – westchnęłam, powtarzając słowa Stefana. – To po części także twoja wina.

– Co się stało? – zapytał, siadając na pryczy.

– Kiedy wskoczyłeś mi do głowy, Adam poczuł się dotknięty. – Nie zamierzałam zagłębiać się w szczegóły przebiegu wydarzeń. Rozsądek podpowiadał, że Adam nie pochwaliby mnie za dzielenie się z wampirem sprawami stada. – To, co zrobił, a co, to już sam musisz go zapytać, ściągnęło mu na głowę całą watahę.

Początkowo zmarszczył brwi, chyba nie pojmując, o czym mówię, jednak powoli dotarło do niego.

– Wybacz, Mercy, nie miałaś być... Nie chciałem. – Odwrócił twarz. – Nie przywykłem do takiej samotności. Śniłem o tobie,

jedynej, związanej ze mną krwią. Myślałem, że to tylko sen.

– Naprawdę zabiła ich wszystkich? – wyszeptałam, przypominając sobie fragmenty tego, co przeżywał, tkwiąc w mojej głowie. – Wszystkie twoje... – „Owce” nie były poprawnym politycznie określeniem, a nie chciałam Stefana drażnić, mimo że tak właśnie wampiry nazywają swoich ludzkich dawców. – Wszystkich twoich ludzi?

Poznałam niektórych, jednego czy dwoje nawet polubiłam. Ale to nie twarze żywych odcisnęły się najmocniej w mojej pamięci, a młody wampir, Danny, a raczej widok jego ducha przycupniętego w kącie Stefanowej kuchni. Jego również Stefan nie był w stanie ocalić.

– Przywołanie mnie do porządku, tak powiedziała. Jednak myślę, że chodziło o zemstę. A mogę czerpać z nich także na odległość. Potrzebowała wysłać mnie do ciebie w stanie skrajnego wygłodzenia.

– Chciała, żebyś mnie zabił.

Przytaknął nerwowo.

– Dokładnie. I gdyby nie pół Adamowego stada w twoim domu, jej plan by się powiódł.

Przypomniałam sobie zaciekle opór Stefana.

– Chyba cię nie doceniła.

– Tak sądzisz? – Uśmiechnął się lekko, z niedowierzaniem.

Odchyliłam głowę, opierając ją o ścianę.

– Jestem... – „na ciebie zła” nie oddawało prawdy. Zamordował niewinnych ludzi, a mimo to z nim rozmawiałam, martwiłam się o niego. Nie potrafiłam ogarnąć tych emocji, a tym bardziej wyrazić ich słowami, porzuciłam więc próby. – A więc Marsilia wie, że zabiłam Andre, a ty i Wulfe zatuszowaliście to?

Zaprzeczył.

– Coś na pewno wie, ale nie rozmawiała ze mną wiele. I tylko mnie ukarała, więc nie sądzę, żeby wiedziała o Wulfie. Może nawet nie o mnie... – Popatrzył spod grzywki, która urosła ostatniego dnia. Słyszałam, że czasami tak się działo po przyjęciu dużej ilości krwi w

krótkim czasie. – Odniosłem wrażenie, że zostałem ukarany jakby przy okazji. Byłem kontaktem pomiędzy tobą a chmarą. Przeze mnie zwróciła się do ciebie o pomoc i dała ci pozwolenie na zabicie ulubieńca Andre. Dzięki mnie ci się to udało. Wszystko, co ciebie dotyczy, to moja wina.

– Ona jest szalona.

– Nie znasz jej. Robi to, co najlepsze dla swoich ludzi.

Chmara wampirów z Tri-Cities istniała, zanim powstało miasto. Marsilia została tutaj zesłana w ramach kary za sypianie z wybrankiem innej. Była bardzo wpływowa, więc dostała świętę, z tego, co wiedziałam, znaleźli się w niej Stefan, Andre i to przerażające indywiduum, Wulfe.

Wulfe, wampir o wyglądzie szesnastolatka, musiał być za życia magiem albo czarownikiem. Czasami ubierał się jak średniowieczny wieśniak. Raczej przesadzał, lecz mógł być starszy od Marsilii, która została wampirem w dobie renesansu, w tym wypadku jego przebranie pasowało.

Marsilia została wysłana tutaj na śmierć, ale tak się nie stało. Przez setki lat walczyła o przetrwanie swoich ludzi. Rozwój cywilizacji sprawił, że chmara radziła sobie coraz lepiej. Marsilia, która nie była już tak potrzebna, wpadła w stan apatii trwającej wiele dziesięcioleci – moim zdaniem, zwykle fochy. Niedawno zaczęła wykazywać zainteresowanie tym, co się działo wokół niej, i w efekcie w hierarchii chmary zakipiało. Stefan i Andre okazali się wobec niej lojalni, jednak nie wszyscy z radością powitali przebudzenie swojej Pani. Miałam okazję spotkać dwoje z nich – Estelle oraz Bernarda – ale nie poznałam ich na tyle dobrze, by ocenić zagrożenie, jakie mogli stanowić.

Przy pierwszym spotkaniu Marsilia wzbudziła mój podziw, który trwał do czasu, gdy zauroczyła Samuela. To mnie przeraziło nie na żarty. Samuel, drugi w kolejności najbardziej dominujący wilk Ameryki Północnej, poddał się temu... ot tak. Od tamtej pory przy każdym zetknięciu z Marsilią mój strach rósł.

– Nie chcę się sprzeczać, Stefanie, ale to świruska. Chciała

stworzyć więcej tych... potworów Andre.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Nie masz pojęcia, co zostawiła za sobą, kiedy tu przybyła, i co dla nas uczyniła.

– Może i nie, ale spotkałam tę istotę i ty również. Nic dobrego nie wyniknie ze stworzenia kolejnej takiej. – Opętanie przez demona to paskudna sprawa. Odetchnęłam, żeby się uspokoić. Nie udało mi się. – Masz rację. Nie znam jej, nie wiem, co na nią działa. Ciebie także nie znam. – Popatrzył na mnie obojętnie. – Świetnie udajesz człowieka, rozbijając się jak Kudłaty tym swoim Wehikułem Tajemnic. Ale człowiek, którego w tobie widziałam, nie potrafiłby z zimną krwią zabić niewinnych ofiar Andre.

– To Wulfe ich zabił – sprostował Stefan rzeczowo. Rozgniewało mnie, że nie broni się i nie tłumaczy. Powinien czuć potrzebę wyjaśnienia.

– Zgodziłeś się na to. Ci ludzie i tak wiele przeżyli, a wy skręciliście im karki jak kurczakom.

Wreszcie obudził się w nim gniew.

– Zrobiłem to dla ciebie. Nie rozumiesz? Zabiłaby cię, gdyby się dowiedziała. Byli nikim, mniej niż zerami. Bezdomnymi, którzy i tak by umarli. A ona zabiłaby ciebie! – ostatnie zdanie wykrzyczał na stojąco.

– Byli nikim? Skąd wiesz? Nie zamieniłeś z nimi nawet słowa. – Także się podniosłam.

– I tak musieliby zginąć. Wiedzieli o nas.

– Bzdura, a co z waszą umiejętnością grzebania w ludzkich umysłach?

– To działa tylko przy doraźnych kontaktach, kiedy raz pijemy czyjąś krew.

– Byli żywymi ludźmi, których ty zabiłeś.

– Skąd wiedziałeś, że Mercy jest u Andre? – spokojny głos Warrena wtoczył się pomiędzy nas niczym fala lodowatej wody. Wilkołak pokonał ostatnie stopnie i otworzył klatkę przyniesionym kluczem. – Od dawna się nad tym zastanawiałem.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Stefan.

– My wiedzieliśmy, że znalazła Andre, bo powiedziała o tym Benowi, przekonana, że nie zdoła się przemienić i przekazać nam tej informacji. Benowi się udało, powiedział nam o tym, jednak mimo to nie mogliśmy jej pomóc, ponieważ nie wiedzieliśmy, gdzie jest Andre. Ty nie miałeś prawa wiedzieć, co ona w ogóle robi. Jak się dowiedziałeś, że zamierza zabić Andre, na tyle wcześnie, by zdążyć jeszcze to zatuszować?

Stefan nie wychodził z klatki. Skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się barkiem o kraty, roztrząsając pytanie Warrena.

– Od Wulfe’a, tak? – wtrąciłam się. – On wiedział, co robię, bo jeden z domów, który znalazłam, należał do niego.

– Wulfe – powtórzył Warren powoli, gdy Stefan milczał. – Czy byłby na tyle rozwścieczony pomysłem Marsilii sprowadzenia demona i opętania nim wampira, że chciałby powstrzymać to za cenę zniszczenia Andre? I zdecydowałby się prosić cię o pomoc?

Stefan zamknął oczy.

– Przyszedł do mnie. Powiedział, że Mercy wpadła w tarapaty i trzeba jej pomóc. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, jaki miał w tym interes.

– Czyli myślałeś o tym – podsumował Warren. – I do jakich wniosków doszedłeś?

– Czy to ważne?

– Zawsze warto poznać swojego wroga – oświadczył Warren, zaciągając z teksańskim akcentem. – Kim jest twój?

Stefan rzucił wilkołakowi spojrzenie rozjuszonego niedźwiedzia, dzikie, sfrustrowane.

– Nie wiem – wycedził.

Warren uśmiechnął się zimno.

– Och, myślę, że wiesz. Nie jesteś głupi, nie jesteś dzieckiem. Wiesz, jak się sprawy mają.

– Wulfe wykorzystał mnie, żeby się do ciebie dostać – powiedziałam. – A potem przekazał Marsilii, co zrobiłeś. – Stefan tylko popatrzył na mnie. – Bez ciebie i Andre zostaje jedynie Wulfe, Bernard i Estelle. – Zatarłam ręce, zastanawiając się, czy wiedza o

tym, co dzieje się naprawdę, wyjdzie Stefanowi na dobre. Pewnie niewiele zmieni, a świadomość, że wpadł w pułapkę zastawioną przez Wulfe'a, w niczym nie pomoże. Mimo wszystko, jak stwierdził Warren, lepiej znać swojego wroga. – A co do Bernarda i Estelle, Marsilia i tak im nie ufa, prawda?

Stefan przytaknął.

– Knują przeciwko niej, ile mogą, a ona o tym wie. Zostali stworzeni przez kogoś innego i ofiarowani jej w darze przez wampira, któremu się nie odmawia. Musi się nimi opiekować, tak jak każdym tego rodzaju prezentem, lecz to nie oznacza, że ma im ufać. Wulfe... Myślę, że Wulfe jest zagadką nawet dla samego siebie. Twoim zdaniem to on to wszystko zaplanował, żeby zdobyć więcej władzy? – Zamilkł na moment, najwyraźniej rozważając moje słowa. Wreszcie zacisnął dłonie na prętach otwartej klatki. – Wulfe już ma władzę... Jeśli pragnąłby więcej, wystarczy, że poprosi. Jednak wygląda na to, że bez względu na powody miał udział w mojej klęsce.

– Skoro Marsilia wie, że pomogłeś zatuszować morderstwo Mercy, dlaczego Mercy jeszcze żyje? – zapytał Warren.

– Miała zginąć – oświadczył Stefan brutalnie. – Myślisz, że dlaczego Marsilia głodziła mnie, aż stałem się bezmyślną, żarłoczną bestią, a potem podrzuciła do salonu Mercy? Chyba nie sądzicie, że zrobiłem to sam?

Przytaknęłam.

– Więc liczyła, że uda jej się to zrobić, nie narażając siebie ani chmary? Jeślibyś mnie zabił, powiedziałaaby, że uciekłeś podczas kary. I fatalnym zbiegiem okoliczności wylądowałaś w moim mieszkaniu i mnie zabiłaś. Ale cię nie doceniła.

– Nieprawda – zaprzeczył Stefan. – Zna mnie. – Obrzucił mnie takim wzrokiem, że od razu wiedziałam, jak bardzo ubodła go moja wcześniejsza uwaga o myleniu się co do niego. – Nie przewidziała, że w twoim domu będzie Alfa i jej plan spali na panewce.

Byłam tam, widziałam wszystko i nie wierzyłam, żeby to zrobił.

Stefan skwitował moją minę prychnięciem.



– Nie trać czasu na jakieś romantyczne mrzonki na mój temat. Jestem wampirem i zabiłbym cię.

– Jest słodki, kiedy się złości – skomentował Warren ironicznie. Stefan odwrócił się do nas plecami.

– Jest sama i nawet o tym nie wie – szepnął z bólem. Nie miał na myśli mnie.

Ostatnio wiele wycierpiał, uznałam, że potrzebuje chwili spokoju. Zwróciłam się do Warrena:

– Dlaczego nie jesteś na górze, na spotkaniu?

Warren wzruszył ramionami z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Szef poradzi sobie bez dodatkowego balastu.

– Paul nienawidzi mnie bardziej niż ciebie – oświadczyłam chełpliwie.

Odrzucił głowę i zaśmiał się, co było moim celem.

– Założysz się? Dokopałem mu jak stąd do Seattle. Jest wkurzony.

– Jesteś wilkiem, ja tylko kojotem, nie ma porównania.

– Hej! – Warren udał, że jest urażony. – Ty nie jesteś zagrożeniem dla jego męskości.

– Ja plugawię stado, ty jesteś tylko aberracją.

– To dlatego, że nazwałaś go... Stefan?

Rozejrzałam się po piwnicy, ale wampira nie było. Nie zdążyłam zapytać go o kościany znak na drzwiach warsztatu.

– Kurr-de mol – zaklął Warren. – Kurr-de!



– Dzwoniłeś do Brana? – zapytałam Adama, obciągając skraj ulubionej, zielononiebieskiej sukienki, póki nie przedzielała całej płaszczyzny pomiędzy moją nagą skórą a skórzanymi siedzeniami w samochodzie Adama.

Nie zdradził, dokąd się wybieramy na randkę, ale gdy tylko wyszedł z domu, Jesse dała mi znać, w co jest ubrany. Stąd wiedziałam, że potrzebuję czegoś wystrzałowego. Choć nasze posesje sąsiadowały ze sobą, droga samochodem zajmowała jakiś

czas, więc zdążyłam wskoczyć w odpowiednią sukienkę, zanim zadzwonił do drzwi.

Adam był „garniturowcem”. Nosił garnitury do pracy, na zebrania stada, spotkania polityczne. A ponieważ pracował tyle co ja, oznaczało to sześć dni w tygodniu w garniturze. Mimo wszystko była różnica pomiędzy tymi codziennymi a tym, który miał na sobie teraz. Tamte miały oznaczać, że ma władzę. Ten mówił „jest też sexy”.

I to prawda.

– Nie muszę dzwonić do Brana – fuknął zirytowany, wjeżdżając wielkim wozem na autostradę. – I tak połowa stada pewnie do niego dzwoniła zaraz po powrocie do domu. Sam skontaktuje się ze mną, kiedy uzna za stosowne.

Chyba miał rację. Nie dopytywałam o nic, ale jego ponura mina, kiedy wyszliśmy z Warrenem z piwnicy, zastając go tylko w towarzystwie Samuela, mówiła za siebie.

Samuel nie odmówił sobie okazji do podrażnienia Adama i pocałował mnie w usta.

– Tu jesteś, Mały Wilczku. Oczywiście jak zawsze sprawiasz wielkie kłopoty.

To niesprawiedliwe. Tym razem zadbali o to Stefan i Adam. Przypomniałam o tym Samuelowi, ale dopiero gdy wyszliśmy od Adama.

Adam zadzwonił jeszcze tego popołudnia, żeby przypomnieć mi o spotkaniu. Natychmiast skontaktowałam się z Jesse, przykazując, by dała znać, w co ubierze się ojciec. Wisiałam jej za to pięć dolców, ale warto było. Uśmiech Adama, kiedy wsiadałam do samochodu, był bezcenny.

Szybko wymazałam jego zadowolenie swoim niewyparzonym językiem. Ponieważ na błotniku nadal widniało wgniecenie, które zrobił jeden z wilkołaków rzucony przez rozwścieczonego nieczłowieka, zapytałam Adama, czy już wycenił straty. Odpowiedział warknięciem. Następnie zagadnęłam o Brana.

Jak na razie nasza randka przebiegała wprost przednio.

Wróciłam do miętolenia sukienki.

– Mercy – warknął Adam jeszcze niżej niż przed chwilą.

– No co? – prychnęłam. Jego wina, że mnie zirytował.

– Jeśli nie przestaniesz bawić się tą sukienką, zerwę ją z ciebie i nie zjemy tej kolacji.

Popatrzyłam na niego. Skupiał się na drodze, obie dłonie trzymając na kierownicy, ale... Przyjrząwszy się baczniej, dostrzegłam efekty moich działań. Ja to zrobiłam. Ja, kobieta z resztkami smaru za paznokciami i szwami na policzku.

Może nie popsulałam tej randki tak bardzo, jak sądziłam. Obciągnęłam sukienkę, zwycięsko opierając się chęci podsunęcia jej wyżej tylko dlatego, że nie byłam pewna, czy jestem gotowa na ewentualne konsekwencje. W pierwszej chwili myślałam, że Adam żartuje, ale... Odwróciłam twarz do okna, starając się powściągnąć uśmiech.

Zatrzymaliśmy pod nowo otwartą restauracją w zachodnim Pasco. Ostatnio dzielnica ta rozwijała się niezwykle dynamicznie. Parę lat temu była tu pustynia, a teraz restauracje, teatr, Lowe's i superhiperwielki (słowo Jesse) Wal-Mart.

– Mam nadzieję, że lubisz tajską kuchnię. – Zaparkował pośrodku całkiem pustej przestrzeni w zachodniej części placu. Paranoja ma różne oblicza. U mnie objawiała się atakami paniki, u niego parkowaniem w miejscu, z którego mógłby błyskawicznie odjechać. Dzieliliśmy paranoję, czy „żyli długo i szczęśliwie” również może stać się naszym udziałem?

Wysiadłam i z bardzo poważną miną powiedziałam:

– Nie martw się, na pewno mają hamburgery.

Rzuciwszy okiem na jego zbulwersowaną minę, zatrzasnęłam drzwiczki. Zamki kliknęły i naraz stał blisko, odgradzając mnie od świata ramionami. Roześmiany.

– Lubisz tajską kuchnię, przyznaj.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach, ze wszystkich sił ignorując idiotkę, która skrzeczała w mojej głowie „uwięził mnie, uwięził!”. Pomogło, że Adam tak blisko jest jeszcze lepszy niż Adam na

sąsiednim siedzeniu. A Adam roześmiany... Cóż. Robił mu się dołeczek po jednej stronie. W zupełności wystarczy.

– Jesse ci wypaplała, tak? – burknęłam. – Niech ją tylko dopadnę, zdradzę jej wszystkie sekreciki, skoro tak lubi się dzielić cudzymi. Zobaczysz.

Zaśmiał się w głos i opuścił ręce, co oznaczało, że dostrzegł mój lęk. Na dowód, że się nie boję, ujęłam go pod ramię i pociągnęłam w stronę restauracji.

Jedzenie było wyśmienite. Nie oparłam się pokusie i pokazałam Adamowi, że faktycznie mają w menu hamburgery. Żadne z nas ich nie zamówiło, choć zapewne smakowałyby równie dobrze, co cała reszta. Ale w zasadzie mogłabym jeść piasek i glony, a i tak by mi się podobało.

Rozmawialiśmy o samochodach. Wyjaśniłam, dlaczego uważam explorery za kupy złomu, on zaś stwierdził, że z moim gustem motoryzacyjnym zatrzymałam się na latach siedemdziesiątych. Sprostowałam, że mój Królik jest przyzwoitym modelem z lat osiemdziesiątych, podobnie jak vanagon, i że szanse, by jego zabawka jeździła trzydzieści lat są mniej niż znikome. Szczególnie jeśli będzie obrzucana wilkołakami.

Rozmawialiśmy o książkach i filmach. Najbardziej lubił biografie. Jedyną, „Carry On, Mr. Bowditch” , czytałam w siódmej klasie. Nie pociągała go beletrystyka.

Wdaliśmy się w spór na temat Yeatsa. Nie jego poezji, a obsesji na punkcie okultyzmu. Adam twierdził, że to absurdalne, ja uznałam, że ta opinia brzmi zabawnie w ustach wilkołaka, i dogryzałam mu, póki mnie na tym nie przyłapał.

– Mercy – zaczął... i zadzwonił jego telefon.

Napiłam się wody, gotowa podsłuchiwać konwersację. Jak jednak okazało, była bardzo krótka.

– Hauptman – odebrał.

– Lepiej tu przyjeźdź, wilku – odezwał się nieznany mi głos i połączenie zostało przerwane.

Adam zerknął na wyświetlony numer i zmarszczył brwi.

Wstałam, obeszłam stolik i zajrzałam mu przez ramię.

– To ktoś od Wujka Mike’a – powiedziałam, rozpoznając numer.

Adam zostawił pieniądze na stole i ruszyliśmy do wyjścia. Ponury, jechał ulicami, przekraczając dopuszczalną prędkość. Wjeżdżaliśmy na międzystanówkę, kiedy coś się wydarzyło... Poczułam błysk wściekłości, przerażenia i ktoś zginął. Ktoś z watahy. Zacisnęłam rękę na udzie Adama, wbijając w nie paznokcie, przytłoczona falą rozpacz i furii, która przetoczyła się przez stado. Docisnął pedał gazu, prześlizgując się pomiędzy samochodami niczym piskorz. Milczeliśmy przez pozostałe pięć minut, które zajęła nam droga do baru Wujka Mike’a.

Na parkingu tłoczyły się limuzyny terenowe i furgonetki – nie ludzie lubili duże samochody. Nie zawracając sobie głowy parkowaniem, Adam podjechał pod wejście. Nie czekał na mnie, nie musiał. Deptałam mu po piętach, kiedy mijał stojącego w drzwiach goryla. Ochroniarz nawet nie drgnął.

U Wujka Mike’a unosi się woń piwa, ostrych skrzydełek i popcornu, mieszanina każdego baru w Tri-Cities, z tym że tu doprawiona jest zapachem nie ludzi. Nie wiem, czy Pradawni dzielą się w ten sposób, ale zwykle pachną jak cztery żywioły według koncepcji starożytnej filozofii: ziemia, powietrze, ogień i woda, każde ze sporą dozą magii.

Żaden z tych zapachów nie zrobił na mnie wrażenia... prócz krwi.

Głos Wujka Mike’a zmuszał ludzi do cofania się ku wyjściu i w końcu tłok uniemożliwił nam poruszanie się. Wtedy Adam stracił panowanie, zaczął brutalnie rozpychać tłum. Niezbyt rozważne posunięcie w tym przybytku. Większość znanych mi nie ludzi nie mogła mierzyć się z wilkołakiem, ale przecież są także ogry i inne istoty, które wyglądają jak ludzie tylko do czasu, aż nie wpadną w szal.

Mimo to dopiero gdy Adam rozpoczął przemianę, zdzierając z siebie antracytowy garnitur, zdałam sobie sprawę, że sytuacja robi się groźna nie tylko z powodu utraty kontroli przez wilkołaka.

– Adam! – mój krzyk utonął w hałasie. Złapałam go za ramię,

żeby nie zginął mi w ciżbie, i poczułam to.

Magia.

Natychmiast cofnęłam rękę. Nie była to magia Pradawnych. Omiotłam wzrokiem salę, usiłując wyłuskać kogoś, kto trochę za bardzo koncentruje się na Adamie, lecz tłok był zbyt duży. Dojrzałam jednak niewielką płócienną torbę wiszącą na krokwi tuż za nami. Mniej więcej właśnie w tym miejscu Adam rzucił się naprzód, tratując ludzi. Sufit w barze znajdował się na wysokości ponad czterech metrów. Nie dosięgłabym torby bez drabiny, a tej nie byłabym w stanie teraz znaleźć.

Obserwowałam, jak pod sakwą przechodzi jakiś szczupły, niemal kobiecej postury, mężczyzna. Zatrzymał się, odrzucił głowę i zaryczał. Dźwięk zabrzmiał tak potężnie, że wybił się ponad wrzawę, wstrząsając murami. Iluzja, dzięki której wyglądał jak człowiek, rozpadła się i mogłabym przysiąc, że widziałam osypujący się z niego migotliwy pył.

Istota przekształciła się w ogromną, nieziemską, szaroniebieską bryłę o jeszcze lekko ludzkich kształtach. Jednak jej oblicze rozplynęło się całkiem, tylko pośrodku, gdzie kiedyś znajdował się nos, zostało niewyraźne wybrzuszenie. Za to lokalizacji ust nie dało się pomylić, trudno było przegapić te wielkie zębiska. W masywnej twarzy, spod skrzących się błękitem brwi, srebrzyły się nieproporcjonalnie małe ślepia. Stwór otrząsnął się, rozsiewając wokół lśniąca drobinki, które topniały w zetknięciu z cieplejszą powierzchnią. Istota sypała śniegiem.

W ciszy, która zapadła po przemianie, rozległ się cieniutki, gderliwy głosik:

– Pieprzone śnieżne elfidło.

Nie dostrzegłam właściciela głosu, ale musiał stać gdzieś po prawej od stwora.

Niebieskawa istota ryknęła ponownie, schyliła się i wyprostowała, podnosząc za włosy kobietę. Ta, wściekła bardziej niż przestraszona, dobyte skądś broń, odcięła sobie włosy i wylądowała na podłodze, znikając mi z pola widzenia. Stwór –

nigdy nie słyszałam o śnieżnym elfie – potrząsnął włosami i cisnął je za siebie.

Spojrzałam za siebie, ale po Adamie został jedynie ślad w postaci pokrwawionych ludzi. Większość z nich stała o własnych siłach i była nieźle wkurzona. Odwróciłam się ponownie do śniegowego potwora i wiszącej nad jego głową torby.

Uwagę obecnych pochłaniał rozszalały wilkołak i śniegowa istota, więc nikt na mnie nie patrzył. Zzulałam buty, błyskawicznie zrzuciłam sukienkę i bieliznę. Nie jestem wilkołakiem, więc moja transformacja zachodzi w jednej chwili, poza tym nie przysparza cierpienia, raczej wiąże się z radosnym podnieceniem. Podskoczyłam i, wylądowawszy na czyichś barkach, odszukałam wzrokiem niebieskiego potwora.

Tłum tłoczył się jak na koncercie Metalliki, tworząc ścieżkę z ramion i głów prowadzącą prosto do bałwana, który, przy dobrze ponad trzech metrach wysokości, prawie dwukrotnie przewyższał rozmiarami każdego z cisnących się ludzi.

Dostrzegłszy, że się zbliżam, usiłował mnie pochwycić, ale byłam dla niego zbyt szybka. W zasadzie możliwe, że umknęłam nie dzięki szybkości czy refleksowi, ale dlatego, iż nie spodziewał się, że wskoczę mu na ramię i wybiję się w stronę worka. Niestety, ta cholerna góra śniegu też nie była powolna. Zamykając szczęki na torbie, poczułam falę wibrującej gniewem magii. Przez moment wisiałam na sakwie, a kiedy sznurek, którym była przywiązana, pękł, runęłam w dół. Czekałam, aż wielkie łapska chwycą mnie i zmiążdżą, ale to Wujek Mike złapał mnie jeszcze w powietrzu, rzucając w stronę drzwi.

Już w chwili, gdy dotknęłam worka, wiedziałam, że miałam słuszne podejrzenia, a tobolek zawierał jakąś klątwę wymierzoną przeciwko wilkołakom. Nie wiem skąd, lecz Wujek Mike także się tego domyślił.

– Zbierz stąd to świństwo – zawołał, zanim wtopił się w tłum.

Niczym rzeczka z wierszyka, co to wije się, ginie, a tam znowu wypłynie, przedzierałam się do drzwi. Czułabym się lepiej bez tej

przytłaczającej świadomości, że ktoś, kogo znam – a członków Adamowego stada znałam prawie wszystkich, przynajmniej z widzenia – nie żyje. Czułabym się lepiej, gdybym wiedziała, że Adamowi nic nie jest. Czułabym się lepiej, gdyby... rozjuszony śnieżny elf nie ścigał mnie w tej chwili.

Nie spotkałam nigdy istoty, która określałaby siebie mianem elfa, więc moje wyobrażenie o nich spaczony było przez filmy Petera Jacksona i jego wizerunek Tolkienowskich elfów. Potwór, który sunął za mną niczym pociąg towarowy, nijak nie przystawał do mojej wizji świata.

Później, jeśli przeżyję, może rozbawi mnie wspomnienie miny człowieka, z którym się zderzyłam. Zorientowawszy się, co się ku niemu zbliża, rzucił się do drzwi. Wyminęłam go w progu, oboje przeskoczyliśmy niewysoki stopień i bieглиśmy w jedną stronę, póki nieznajomy nie zrozumiał, kogo ściga wielki bałwan, i nie skręcił ostro w bok.

Drzwi spowolniły potwora. Uderzył w ościeżnicę, wrywając ją z muru razem ze skrzydłem, po czym cisnął ów kawał gruzu we mnie. Wybiłam się w górę, przeskakując przez półotwarte drzwi, zanim futryna z całą resztą grzmotnęła o ziemię. Przemknęłam przez jezdnię, o włos unikając potrącenia przez ciężarówkę zmierzającą do dzielnicy przemysłowej. Po drugiej stronie zerknęłam za siebie i przystanąłam.

Człowiek, który jeszcze przed chwilą był śnieżnym elfem, klęczał na chodniku, w oszołomieniu potrząsając głową. Zwrócił na mnie srebrzyste oczy.

– Nic ci nie jest? – zawołał. – Przepraszam, wybacz mi, proszę. Nie czułem się tak od czasu... ostatniej bitwy. Nie zrobiłem ci krzywdy, mam nadzieję? – Dostrzegł leżącą obok ościeżnicę z kawałkiem muru.

Najwyraźniej działanie worka miało ograniczony zasięg. Upuściłam go na ziemię, otrząsnęłam się i zaskomlałam: „Wszystko OK”. Nie wiem, czy zrozumiał, lecz nie próbował przejść do mnie na drugą stronę ulicy. Przemieniłabym się, ale ubranie – moja



ulubiona sukienka, bardzo drogie (nawet na wyprzedaży) włoskie buty oraz bielizna – leżało gdzieś w barze. Nie jestem wstydliva, jednak nie znaleźliśmy się ze śnieżnym elfem na tyle dobrze, bym miała ochotę paradować przed nim nago.

Nieco jeszcze zamroczony, nadal próbował ogarnąć przebieg wydarzeń, gdy z budynku zaczęli wychodzić ludzie. Jeden z pracowników Wujka Mike'a, łatwo rozpoznawalny dzięki charakterystycznemu zielonemu fartuchowi, przystanął na skraju parkingu, wskazując mi gestami, żebym się cofnęła. Przeszło mi przez myśl, że może to ten sam człowiek, na którego wpadłam, ale żeby mieć pewność, musiałabym ponownie ujrzeć jego twarz zastygłą w wyrazie grozy.

Podniosłam tobolek i zabrałam go aż pod ścianę starego magazynu znajdującego się jakieś pięćdziesiąt metrów za drogą, przy której stał bar.

Parking pustoszał przy sprawnej pomocy kierujących ruchem pracowników Wujka Mike'a, którzy również zajęli się doprowadzeniem do porządku oszołomionego śnieżnego elfa. W końcu ze znanych mi samochodów na placu królował jedynie explorer Adama w towarzystwie wozu Mary Jo, tego samego, któremu zrobiłam gratisowy tuning z wdzięczności za dyżurowanie przy skamlącej kojociej mnie. Lubiłam Mary Jo. Była strażakiem – prawie metr sześćdziesiąt stalowych mięśni i nerwów.

Jeden z członków stada nie żył. W nagłej ciszy nocy poczułam falę żalu rozprzestrzeniającą się wśród watahy wraz ze świadomością utraty jednego ze swoich. Oni wiedzieli, kto zginął, dla mnie, słabo zaznajomionej jeszcze z wilkołaczą magią, jedyną wskazówką był samochód Mary Jo.

Kiedy Wujek Mike wyłonił się z dziury będącej niegdyś wejściem do baru, na parkingu zostało już tylko sześć wozów. Zatrzymał się przy śnieżnym elfie, poklepał go po plecach, po czym, przeskoczywszy cementowy krawężnik, przeszedł przez ulicę, kierując się ku mnie. Niósł ze sobą moją sukienkę. Przemieniłam się błyskawicznie, złapałam ubranie i założyłam na siebie. Brakowało

bielizny, ale przynajmniej nie świeciłam golizną. Kopnęłam tobołek w stronę Mike'a.

– Co to było?

Schylił się, podnosząc torbę. Jego twarz zastygła w dziwnym wyrazie, a z gardła wyrwało się niskie sapnięcie, jak z pyska lwa lub innego wielkiego kota, dźwięk, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam.

– Pajęczak – zawołał niegłośno. – Chodź, weź to paskudztwo i wrzuć do rzeki, z łaski swojej.

Coś małego, jasnego, wielkości świetlika (w okolicy Tri-Cities nie ma robaczków świętojańskich) zawisło na moment nad workiem, po czym i światełko, i tobołek zniknęły.

– Na ciebie też podziałało? – zapytałam.

Nie miałam pojęcia, jaką istotą w rzeczywistości jest Wujek Mike, ale z pewnością wystarczająco potężną, by przez siedem dni w tygodniu utrzymywać w ryzach bar pełen pijanych nie ludzi.

– Nie. Podrzuciono to na mój teren, a ja się nie zorientowałam.

Otrzeptałam ręce i przyoblekłam oblicze w zwykłą, wesołą minę. Widziałam kilkakrotnie tę fasadę, więc maska pogodnego karczmarza nie uspokajała mnie już tak, jak kiedyś. Zresztą, jeśli chodzi o Pradawnych, należy pamiętać, aby nie wierzyć pozorom.

– Sprytny kojot – pochwalił. – Nawet nie sprawdziłem, czy jest jakaś przyczyna tego zamieszania. Założyłem, że jak to porywcze wilkołaki, warczą na siebie. Kiedy wkroczyłem, było już za późno.

– Co się stało? – powtórzyłam, a kiedy nie odpowiedział od razu, niecierpliwie machnęłam ręką i bosą popędziłam przez parking do baru.

Wnętrze, poza wyrwą w ścianie, nie wyglądało najgorzej. Zwykła, duża knajpa po całonocnej popijawie kilku drużyn futbolowych. W których grali wyjątkowo wielcy zawodnicy, dodałam w myślach, spoglądając na krokiew, którą śnieżny elf stracił głowę. Albo raczej słońce.

Adam, znowu w ludzkiej formie, obejmując się ramionami, siedział na przeciwległym końcu sali, oparty plecami o podest

sceny. Ktoś dał mu do ubrania dzinsy z obciętymi nogawkami. Nie był wściekły, raczej zamknięty w sobie.

Towarzyszyły mu dwa wilkołaki, Paul i jeden z kolesiów Paula, którego imię wyleciało mi z głowy. Paul siedział całkiem rozbity. Drugi mężczyzna tulił do siebie nieruchome ciało. Stałam zbyt daleko, by zobaczyć czyje, ale wiedziałam. Na parkingu stał samochód Mary Jo. Wszyscy byli pokrwawieni. Plamy ciemniały na rękach Adama, koszulce Paula, a ten trzeci był cały skąpany we krwi.

Nie tylko wilkołaki zostały ranne. Pod boczną ścianą znajdowało się coś w rodzaju punktu pierwszej pomocy. Rozpoznałam kobietę, która uwolniła się z rąk elfa, obcinając sobie włosy, jednak robiła wrażenie raczej pielęgniarki niż ofiary.

Adam podniósł głowę i popatrzył w moją stronę posepnie.

Podłogę zaścielały szczątki naczyń, a ja byłam boso, ale trzeba było czegoś więcej niż okruchów szkła, by mnie powstrzymać przed dołączeniem do wilkołaków.

Przyjaciel Paula łkał rozpaczliwie.

– Nie chciałem. Nie chciałem. Przepraszam – szeptał nieustannie, kołysząc w ramionach ciało Mary Jo.

Nie mogłam podejść do Adama, nie wchodząc pomiędzy Paula i jego przyjaciela. Zatrzymałam się w bezpiecznej odległości. Nie chciałam kusić losu, wystawiając się Paulowi na łatwy cel.

Wujek Mike, który przyszedł za mną, skierował się ku stłoczonej pod ścianą grupce, a kiedy wreszcie zbliżył się do nas, towarzyszyła mu kobieta z obciętymi włosami. Podobnie jak ja, zatrzymali się, nie wkraczając między wilkołaki.

– Przyjmij moje przeprosiny, Alfo – rzekł Mike. – Wszyscy moi goście mają prawo cieszyć się tu całkowitym bezpieczeństwem. Ktoś naruszył zasady mojej gościnności, sprowadzając klątwę na twoje wilki. Pozwól nam naprawić szkodę. – Kiwnął na Mary Jo.

Ponurość na twarzy Adama w ciągu ułamka sekundy zastąpiło skupienie. Wstał i schylił się po Mary Jo.

– Paul – zawołał wilkołaka, gdy trzymający ciało mężczyzna nie

rozluźnił uścisku.

Paul oderwał ręce... chyba Stana, albo może Seana, który szarpnął się raz, lecz zaraz opadł bezsilnie, opierając się o przyjaciela.

W tym czasie kobieta wyrzucała z siebie potoki rosyjskich słów. Nie rozumiałam, co mówi, jednak ton i mowa ciała wyraźnie wskazywały na stanowczy protest.

– Komu niby mieliby powiedzieć? – prychnął Wujek Mike. – To wilkołaki. Jeśli zechcą pójść do mediów z informacją, że jedna z pradawnych istot potrafi leczyć śmiertelne rany, my możemy zrobić to samo, ujawniając nieprzyjemne szczegóły ich natury, które tak ukrywają przed ludźmi.

Kobieta spojrzała na wilkołaki krzywo i nagle dostrzegła mnie. Jej źrenice rozszerzały się, póki całe oczy nie stały się czarne.

– To ty – rzekła i zaśmiała się chrapliwie. Koszmarny rehot, aż ciarki przeszły mi po plecach. – No jasne, a któż by inny.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu mój widok przerwał jej dalsze protesty. Podeszła do Adama, który trzymał w ramionach bezwładne ciało wilkołaczycy. Podobnie jak wcześniej śnieżny elf, zrzuciła swoją iluzoryczną postać, jednakże jej spłynęła z głowy ku stopom, zbierając się na podłodze w kałużę, jakby stworzono ją z cieczy, nie magii.

Okazała się bardzo wysoka, wyższa od Adama i Wujka Mike'a. Miała cienkie, gałązkowate ramiona, a palce, którymi dotknęła Mary Jo, posiadały dodatkowy staw i spłaszczone opuszki, jak u gekonów.

Jej twarz była... paskudna. Pod iluzoryczną fizjonomią kryły się małe oczy i wielki, haczykowaty nos, który wisiał nad wąskimi ustami niczym sękaty konar starego dębu.

Ciało emanowało łagodnym liliowym blaskiem, który płynął od stóp w kierunku barków i wzdłuż ramion ku dłoniom. Odchyliła głowę Mary Jo i tymi spłaszczonymi palcami dotknęła gardła, które ktoś (prawdopodobnie zrozpaczony przyjaciel Paula) rozdarł.

Nie miałam żadnej styczności z blaskiem, ale i tak go czułam.

Pieścił moją skórę delikatnie niczym pierwsze poranne promienie słońca lub chłodny rozbryzg słonej wody. Adam gwałtownie wciągnął powietrze, lecz nie odwrócił wzroku od wilkołaczycy. Po kilku minutach bluzeczka Mary Jo zaczęła bielić się jaskrawo w fioletowawym blasku magii. Krew, która w przyćmionym świetle barowym barwiła ją na ciemno, zniknęła. Pradawna odjęła dłonie.

– Gotowe – zwróciła się do Adama. – Uleczyłam jej ciało, ale musicie przywrócić puls i oddech. Wróci tylko wtedy, jeśli nie odeszła jeszcze na dobre. Nie jestem bogiem, by władać życiem i śmiercią.

– Resuscytacja – oznajmił Wujek Mike lakonicznie.

Adam opadł na kolana, ułożył Mary Jo na podłodze i zaczął reanimację.

– Co z uszkodzeniem mózgu? – zapytałam.

Kobieta popatrzyła na mnie.

– Uleczyłam jej ciało. Jeśli szybko pobudzą serce i płuca, nie będzie żadnych uszkodzeń.

Paul podniósł się i zaczął otwierać usta.

– Nawet się nie waż – powstrzymałam go kategorycznie.

Oczy wilkołaka zapłonęły gniewem, że śmiem mu rozkazywać. Wolałabym pozwolić Paulowi na to, co zamierzał, ale należałam teraz do stada, więc chcąc nie chcąc, musiałam dbać o każdego członka.

– Nie wolno dziękować Pradawnym – wyjaśniłam. – Chyba że chcesz do końca swojego długiego życia być na ich usługach.

– Popsuj zabawa – burknęła kobieta.

– Mary Jo jest cenna dla naszego stada – zaczęłam, skłaniając głowę. – Jej strata pozostawiłaby nas w żałobie na wiele miesięcy. Twoja magia uzdrawiająca jest rzadkim i wspaniałym darem.

W tej chwili Mary Jo jęknęła i Paul zapomniał o złości. Nie był dla niej nikim szczególnym, podobnie jak ona dla niego. Mary oddała serce pewnemu miłemu wilkowi, Henry'emu, a Paul miał ludzką żonę, której nigdy nie spotkałam. Ale Mary Jo należała do stada.

Sama miałam ochotę zobaczyć, co z nią, lecz kobieta wpatrywała

się we mnie intensywnie, z zimnym uśmiechem.

– To ona, tak?

– Owszem – przyznał Wujek Mike ostrożnie. Kochany. Tym tonem dał mi do zrozumienia dwie rzeczy. Kobieta mogła mi wyrządzić krzywdę, a on, mimo że potężny i na własnym terenie, nie potrafiłby jej powstrzymać.

Pradawna otaksowała mnie wzrokiem doświadczonej kucharki oceniającej kupowane na targu pomidory.

– Myślałam, że nie ma drugiego kojota, który wskoczyłby na kark śnieżnemu elfowi. Nie jesteś mi za to nic winien, Zielony Panie.

Słyszałam już wcześniej, jak Wujka Mike’a określano tym mianem, ale jeszcze nie rozwiązałam tej zagadki.

Kiedy kobieta uniosła rękę i dotknęła mnie długimi palcami, wszelkie zagadki wyparowały mi z głowy, ustępując miejsca trosce o własną futrzastą skórę.

– Zrobiłam to z twojego powodu, kojocie. Wiesz, jaki zamęt siejesz? Morrigan mówi, że kłopoty to twoja specjalność. Działasz pochopnie, szybko i masz szczęście, zupełnie jak sam Kojot. Ale awantury tego Starego Krętacza kończą się śmiercią. Jednak pamiętaj, że tobie nikt życia nie wróci wraz ze świtem.

Nie odezwałam się. Założyłam, że jest jedną z wielu istot mieszkających w Tri-Cities, a konkretniej w Uroczysku, rezerwacie nie ludzi pod Walla-Walla, stworzonym albo by chronić ludzi przed Pradawnymi, albo na odwrót.

Uleczenie Mary Jo przez tę kobietę dało mi do myślenia – magia uzdrawiania to nie byle co i nie jest powszechną mocą pośród nie ludzi. Postawa Wujka Mike’a wyraźnie wskazywała, że Pradawna dysponuje przerażającą potęgą.

– Porozmawiamy później, Zielony Panie. – Znów popatrzyła na mnie. – Za kogo się uważasz, kojocie, aby przysparzać Wielkim takiego ambarasu? Łamiesz nasze prawa, a mimo to opór wobec naszych zasad przydaje nam korzyści. Siebold Adelbertsmiter jest niewinny, odpowiedzialność za wszelkie problemy ponosili ludzie. Zasłużyłaś na karę... i nagrodę. – Zaśmiała się, jakbym ją bawiła. –

Czuj się nagrodzona.

Wirujące wokół jej nóg światło burzyło się i mroczyło, tworząc pod stopami ciemną, kamienną tarczę, szeroką prawie na metr i grubą na dłoń. Kiedy zestaliła się całkiem, uniosła kobietę niczym latający dywan Aladyna. Podwyższone ranty dysku tworzyły jakby talerz. Wspomnienia czytanych baśni dopełniły reszty. Nie talerz, a móźdierz. Gigantyczny móźdierz.

Chwilę później kobiety już nie było. Nie zniknęła tak jak Stefan, poruszała się po prostu tak szybko, że moje oczy tego nie zarejestrowały. Widziałam już istoty przenikające przez stałą materię, to więc mnie nie zdziwiło.

I dobrze, ponieważ nie ochłonęłam jeszcze po poprzedniej niespodziance. Pierwsza zasada bezpiecznej koegzystencji z Pradawnymi mówi, żeby nie zwracać na siebie ich uwagi – żadna nie mówi natomiast, co robić, gdy już się tak stanie.

– Myślałam, że Baba Jaga to wiedźma – powiedziałam głucho. Kto inny mógłby latać na wielkim móźdierzcu?

– Wiedźmy nie są nieśmiertelne – zauważył Wujek Mike. – Ona nie jest wiedźmą.

Baba Jaga pojawia się w baśniach ludowych Europy Wschodniej. W większości nie jest postacią pozytywną. Pożera dzieci.

Zerknęłam na Adama nadal zajętego Mary Jo. Trzęsa się jak ofiara hipotermii, ale żyła.

– A ta sakwa? – zapytałam. – Co, jeśli ktoś ją wyłowi z rzeki?

– Kilka minut w bieżącej wodzie wystarczy, by wypłukać magię z zaklęcia zawiniętego w tkaninę – zapewnił mnie Wujek Mike.

– Została stworzona przeciw wilkom. – Nie miałam co do tego wątpliwości, wyczułam w tym dzieło wampirów. – Nikt prócz śnieżnego elfa nie uległ jej wpływowi. Czemu akurat on? I co to w ogóle za stwór, ten śnieżny elf? Nie słyszałam o kimś takim. – Z tego, co wiedziałam, słowo „elf” było jednym z tych ogólnikowych wyrażeń stworzonych przez ludzi na określenie magicznych istot.

– Rząd – zaczął Wujek Mike, zastanowiwszy się uprzednio, co chce mi wyjawić (wydobycie z Pradawnego jakiegokolwiek

informacji jest trudniejsze niż wyciśnięcie kropli wody z kamienia) – wymaga od nas rejestracji wraz z określeniem przynależności do konkretnego gatunku istot. Wybieramy sobie nazwy według uznania. Czasami to dawna godność, jedno z imion, a czasem... coś zmyślonego. W końcu ludzie przez całe wieki wymyślali dla nas różne określenia. Moje ulubione to Ole Zmruż-oczko. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale w rezerwacie jest ich z tuzin.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Rząd nie wiedział, że trzyma tygrysa za ogon, a tygrys nie zamierzał się tym chwalić.

– Zatem zmyślił tego śnieżnego elfa?

– Chcesz się z nim o to sprzeczać? Jeśli chodzi o to, że klątwa na wilkołaki zadziałała...

– Mam także inną formę – rozległ się za moimi plecami cichy głos ze skandynawskim akcentem. Niewielu potrafiło podkraść się do mnie niezauważalnie, zmysły mojego kojota są stale czujne. W tym wypadku nie pomogły. Słowa te wypowiedział oczywiście śnieżny elf czy kim tam w istocie był. Przewyższałam go wzrostem, choć przecież z łatwością mógł sobie wybrać inne gabaryty, tak samo jak Zee nie musiał być łysy. Ale pewnie komuś, kto w rzeczywistej formie, a przynajmniej jednej z nich, ma ponad trzy metry, nie przeszkadzał niski wzrost.

Skłonił mi się jednym z tych typowych sztywnych, gwałtownych ruchów głową, charakterystycznych dla sztuk walki.

– Cieszę się, że jesteś taka szybka – rzekł.

Uścisnęłam wyciągniętą ku mnie dłoń, była chłodna i sucha.

– Ja tym bardziej – przyznałam szczerze.

– Wiesz, czyja to sprawka? – zwrócił się do Wujka Mike’a. – To ja byłem celem czy wilkołaki?

Adam przysłuchiwał się naszej rozmowie. Sprawiał co prawda wrażenie całkiem pochłoniętego swoimi wilkami, ale domyśliłam się, widząc napięte mięśnie jego karku.

Wujek Mike pokręcił głową.

– Przede wszystkim musiałem dopilnować, żeby to usunąć. Już wilkołaczy berserkowie to problem, szalejący po Pasco śnieżny elf



to katastrofa.

Ja wiedziałam. Sakwa cuchnęła wampirem.

Elf przyklęknął przy Mary Jo i dotknął jej ramienia. Adam odsunął wilkołaczkę, ostrożnie układając na kolanach Paula, po czym zasłonił ich sobą.

– Moje – powiedział.

Elf podniósł ręce, uśmiechając się łagodnie, lecz w jego słowach zabrzmiała uszczypliwość.

– Spokojnie, Alfo. Nie chcę kłopotów. Dni, kiedy włóczyłem się po górach z watahą wilków na każde zawołanie, dawno już odeszły.

Adam skinął głową, ale nie spuszczał oczu z wroga.

– Może i tak. Jednak ona należy do moich. A ja nie jestem jednym z twoich.

– Dosyc – wtrącił się Wujek Mike. – Wystarczy jednej bitki na noc. Wracaj do domu, Ymir.

Kłęczący nieczłowiek spojrział na Wujka Mike’a, a skóra wokół jego oczu stężała na moment, nim twarz rozjaśnił uśmiech. Podniósł się wzorem wojownika sztuk walki – napinając tylko mięśnie ud.

– To była ciężka noc – rzekł, zwracając się jednocześnie do nas i do gromadki pod ścianą. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że spojrzenia wszystkich obecnych koncentrowały się na nas... A może tylko na śnieżnym elfie. – Czas wracać. Do zobaczenia.

Wszyscy milczeli, dopóki nie opuścił budynku.

– Niezła nocka – podsumował Wujek Mike z wyraźniejszym niż zwykle irlandzkim akcentem.



Kiedy opuszczaliśmy bar, Mary Jo powoli dochodziła do siebie, ale wciąż była oszołomiona. Adam nakazał Paulowi i drugiemu wilkołakowi (który, jak się okazało, miał na imię Alec, nie Sean czy Stan) zawieźć ją do swojego domu. Paul umieścił Mary Jo na tylnym siedzeniu pod opieką Aleca, sam zaś obszedł samochód, żeby wsiąść za kierownicę. Siedząc już w wozie, popatrzył na moje nagie stopy.

– Nie powinnaś chodzić tu na bosaka – powiedział, nie podnosząc

wzroku, po czym zatrzasnął drzwiczki, przekręcił kluczyk i odjechał.

– To były podziękowania – przetłumaczył Adam. – Ja także jestem ci je winien. Sam znam lepsze rozrywki niż ratowanie Paula z rąk Baby Jagi.

– Ech, mogłam go jej zostawić. Ułatwiłoby ci to sporo spraw. Zaśmiał się, rozluźniając mięśnie karku.

– Dobrze, że już po wszystkim. Mogło być dużo gorzej.

Popatrzyłam ponad jego ramieniem na explorera.

– A co powiesz na trochę gorzej? Założę się, że twoja polisa nie obejmuje uszkodzeń spowodowanych śnieżnym elfem.

W pierwszej chwili nie dostrzegłam nic dziwnego, w następnej pomyślałam, że ma przebitą oponę, ale teraz widziałam wyraźnie wyłamane koło.

Adam sięgnął po komórkę.

– To nawet nie zahacza o moją listę dzisiejszych nieszczęść. – Otoczył mnie ramieniem, przytulając do siebie. Nie miał na sobie koszulki. W aparacie rozległ się głos jego córki. – Cześć, Jesse. Sprawy się trochę pokomplikowały, przyjeźdź po nas pod Wujka Mike'a.



## Rozdział 5

**S**taliśmy na ganku przed tylnym wejściem do jego domu.

– Niezła randka – mruknął Adam. Niepotrzebnie mówił cicho, i tak oboje wiedzieliśmy, że większość stada, która zgromadziła się w środku, dobrze nas słyszy.

– Przynajmniej nikt nie powie, że można się z tobą nudzić – stwierdziłam.

Zaśmiał się, lecz powaga nie opuściła jego oczu. Umył się w barowej łazience i przebrał zaraz po powrocie, ale nadal czułam na nim zapach krwi.

– Idź sprawdzić, co z Mary Jo – ponagliłam go. – A ja muszę się przespać.

Nie martwiłam się już o życie Mary Jo, jednak uważałam, że szybciej doszłaby do siebie we własnym domu, pod moją opieką, niż tu, ze sterczącym jej nad głową stadem, które zmuszało do szybszego powrotu do pełni sił.

Adam przytulił mnie, wdzięczny, że nie wypowiedziałam tego wszystkiego na głos. Dźwignął mnie w górę, tak że stałam na palcach – obutych w klapki Jesse – po czym opuścił.

– Wyszoruj porządnie stopy, żeby w skaleczenia nie wdało się zakażenie. Wyślę Bena, żeby cię pilnował, póki Samuel nie skończy

z Mary Jo i nie wróci do domu.

Stojąc na ganku, Adam odprowadzał mnie wzrokiem. Nie byłam nawet w połowie drogi, gdy podbiegł Ben. Zaprosiłam go do środka, ale odmówił.

– Posiedzę tutaj. Świeże, chłodne powietrze wzmacnia czujność.

Przed pójściem do łóżka porządnie umyłam i osuszyłam stopy. Zasnęłam, zanim głowa opadła mi na poduszkę.

Sypialnia tonęła jeszcze w mroku, kiedy ocknęłam się, czując czyjąś obecność. Nadstawiłam uszu, ale nie wyłowiłam żadnego dźwięku, nabrałam więc pewności, że to Stefan. Uspokoiliłam się. Poza nim żaden wampir nie mógł przekroczyć progu mojego domu, a inne istoty, wchodząc, obudziłyby Samuela.

Nie wyczuwałam żadnej woni, co było dziwne, bo nawet Stefan miał swój zapach.

Przekręciłam się gwałtownie na bok, wprost na kostur, który uparł się spać przy mnie każdej nocy. Zwykle takie niespodzianki wywoływały u mnie ciarki – kostury nie powinny przemieszczać się z własnej woli – jednak tym razem ciepły dotyk drewna dodał mi otuchy. Zacisnęłam na nim palce.

– Spokojnie, Mercy, bez przemocy.

Musiałam instynktownie skoczyć na równe nogi, bo stałam z kijaszkiem w ręku, nim rozpoznałam głos.

– Bran?

Naraz poczułam znajomą woń mięty i piżma, mieszaninę wilkołaka i słonawej słodyczy jego własnego zapachu.

– Nie masz ważniejszych spraw na głowie? – burknęłam, zapalając światło. – Na przykład rządzenia światem albo co?

Nadal siedział tam, gdzie wcześniej, oparty o ścianę, osłonił tylko oczy przed blaskiem.

– Byłem tu tydzień temu – powiedział. – Ale spałeś i nie pozwoliłem im cię obudzić.

Całkiem zapomniałam. Przy całym tym zamieszaniu z Babą Jagą, Mary Jo, śnieżnym elfem i wampirami, zapomniałam, dlaczego miałyby odwiedzać mnie osobiście. Naraz nabrałam podejrzeń co do

tej osłaniającej oczy dłoni. Określenie tego, co Alfy czuły wobec swojego stada samym instynktem opiekuńczym, było niedopowiedzeniem, a Bran był Marrokiem, najsilniejszym wilkiem Alfa w całej Ameryce Północnej. Może i należałam teraz do watahy Adama, ale to Bran mnie wychował.

– Przegadałam to już z mamą – broniłam się.

Bran nagle rozpromienił się, opuszczając rękę. W sztucznym świetle jego piwne oczy nabrały zielonej barwy.

– Nie wątpię. A mój Samuel i twój Adam pewnie dają ci nieźle do wiwatu, obchodząc się z tobą jak z jajkiem? – jego głos pobrzmiwał (udawanym) współczuciem.

Nie znam nikogo, włączając w to Pradawnych, kto lepiej niż Bran potrafi ukryć, kim naprawdę jest. Wyglądał jak nastolatek, ze zmierzwionymi włosami i w rozdartych nad kolanem džinsach, na których wyżej jakiś żartowniś narysował pisakiem anarchistyczny symbol. Potrafiłby przysiąc gdziekolwiek z niewinnym uśmiechem – a w następnej chwili oderwać komuś głowę.

– Co to za mina? – zapytał. – To takie dziwne, że tu jestem?

Klapnęłam na podłogę. Nie potrafiłam długo wytrzymać w jednym pomieszczeniu z Branem, patrząc na niego z góry. Po części wynika to z nawyku, po części z tej samej magii, która czyni go przywódcą wszystkich wilkołaków.

– Ktoś ci doniósł o tym, że Adam włączył mnie do swojego stada? – zapytałam.

Tym razem Bran roześmiał się na głos. Jego ramiona zatrzęśły się, a ja zauważyłam, jaki jest zmęczony.

– Cieszę się, że cię rozbawiłam – prychnęłam.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się i do sypialni zajrzał Samuel.

– To prywatna imprezka czy można się przyłączyć? – zapytał wesolutko.

To dopiero sztuka. Tym jednym zdaniem, a w zasadzie słowem „imprezka” Samuel dał ojcu do zrozumienia, że nie będziemy poruszać tematu Tima ani jego śmierci, a zarazem, że mam się

dobrze. Samuel był mistrzem w tych sprawach.

– Wchodź – zaprosiłam go do środka. – Jak tam Mary Jo?

Samuel westchnął.

– Tato, oświadczam ci, jeśli umrę i Pradawni zaproponują, że mnie ożywią, lepiej się nie zgadzaj. – Popatrzył na mnie. – Wydobreje. Choć na razie nie jest z nią najlepiej. Nigdy nie widziałem wilkołaka w stanie takiego szoku i omdlenia. Przynajmniej przestała płakać. Adam wreszcie wymusił na niej przemianę, to pomogło. Zasnęła przy Paulu, Aleku, Honey i kilku innych na tej gigantycznej kanapie w salce kinowej w piwnicy. – Spojrzał na ojca bystro, po czym usiadł przy mnie. To także było znaczące. Nie wchodził pomiędzy mnie a Brana, nie do końca. Ale mógł zająć miejsce przy nim. – Co cię tu sprowadza?

Bran uśmiechem potwierdził przyjęcie do wiadomości sygnału, który dawał mu syn.

– Nie musisz jej przede mną bronić – rzekł łagodnie. – Wszyscy widzieliśmy, że potrafi o siebie zadbać.

Rozmowa wilkołaków nie kończy się tylko na słowach. Teraz na przykład Bran potwierdzał, że oglądał nagranie z monitoringu, że widział, jak zabijam Tima... oraz wydarzenia, które to poprzedzały. Oraz że pochwała to, co zrobiłam.

Nie powinno sprawić mi to takiej przyjemności; w końcu nie byłam już dzieckiem. Mimo to opinia Brana nadal wiele dla mnie znaczyła.

– I owszem – zwrócił się do mnie po chwili. – Ktoś doniósł mi o przyjęciu cię do stada. Nawet wielu ktosiów. Pozwól, że odpowiem na pytania, które mi zadano, później możesz przekazać wszystko Adamowi. Nie, nie wiedziałem, że da się włączyć do watahy kogoś, kto nie jest wilkołakiem. A tym bardziej ciebie, wobec której magia działa tak nieprzewidywalnie. Nie, nie da się tego cofnąć, tylko ty lub Adam możecie zerwać więź. Jeśli chcesz, mogę pokazać ci, jak to zrobić.

Potrząsnęłam gwałtownie głową, ale zaraz przestałam.

– W każdym razie nie teraz.

Bran rzucił mi rozbawione spojrzenie.

– W porządku. W razie czego zgłoś się do mnie. I nie, nie zwariowałem. To Adam jest Alfą swojego stada. Nie widzę, w jaki sposób mogłoby to przynieść komuś szkodę. – Rozjaśnił się w szczerym, wesołym uśmiechu, który tak rzadko gościł na jego twarzy. – Poza Adamem. Choć on przynajmniej nie ma porsche, które mogłabyś zawinąć na drzewie.

– To było wieki temu – uniosłam się. – I zapłaciłam co do grosza. A poza tym nie wiem, czemu się tak czepiasz, skoro praktycznie rzecz biorąc, sam sprowokowałeś mnie do świśnięcia ci wozu.

– Zakaz brania samochodu to nie prowokacja, Mercy – tłumaczył Bran cierpliwie, lecz w jego głosie wychwyciłam coś zastanawiającego.

Dlaczego kłamał?

– Owszem, w tym przypadku tak. – Samuel wziął moją stronę. – I ma rację, wiedziałeś o tym.

– Ha, sam widzisz, nie powinieneś się tak wkurzać o to porsche – oświadczyłam tryumfalnie.

– Nadal nie rozumiesz, prawda, Mercy? – zaśmiał się Samuel. – Nie chodziło o samochód. Pierwszy był na miejscu wypadku. Myślał, że się zabiłaś. Jak zresztą my wszyscy. To była spektakularna katastrofa.

Już otwierałam usta, żeby coś powiedzieć, ale zabrakło mi słów. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam po uderzeniu w drzewo, była wykrzywiona w furii twarz Marroka. W życiu nie widziałam go tak wściekłego, a nieraz zdarzało mi się przechodzić samą siebie w budzeniu jego gniewu.

Samuel poklepał mnie po plecach.

– Nieczęsto jestem świadkiem, jak zapominasz języka w gębie.

– To dlatego kazałeś Charlesowi uczyć mnie naprawy i prowadzenia samochodów.

Charles, starszy syn Brana, nienawidził jeździć samochodem i aż do tamtego lata byłam święcie przekonana, że po prostu nie potrafi. Ale oczywiście myliłam się, nie było rzeczy, której Charles by nie

umiał. A wszystko, co robił, robił perfekcyjnie. To tylko jeden z powodów, dla których Charles budził we mnie grozę, zresztą jak w każdym.

– Miałaś zajęcie na całe lato i trzymał cię z dala od kłopotów – podsumował Bran z satysfakcją.

Droczył się, choć nie do końca. Jedną z bardziej zaskakujących rzeczy w dorosłości jest odkrywanie, że pewne sprawy wyglądały całkiem inaczej, niż niegdyś nam się wydawało.

Dodało mi to odwagi do podjęcia pewnej decyzji.

– Potrzebuję rady – oznajmiłam.

– Nie ma sprawy – zachęcił mnie Bran.

Odetchnęłam głęboko i zaczęłam opowiadać o tym, jak morderstwem zniweczyłam plan Marsilii, z którym wiązała ogromne nadzieje na powrót do Włoch, o pojawieniu się w moim salonie Stefana i o niespodziewanej wizycie nielubianej koleżanki z uczelni. Zakończyłam przedstawieniem szczegółów nieomal katastrofalnej w skutkach przygody w barze, opisując sakiewkę i wyłuszczając podejrzenia, jakie w związku z nią żywiłam wobec wampirów. Przyznałam też, że boję się tym podzielić z Adamem, bo rozpętałyby się wojna. Dodałam, że martwi mnie stan Mary Jo.

– Wstąpię tam po drodze i spróbuję pomóc – obiecał Bran, kiedy zamilkłam. – Mam swoje sposoby.

– Świetnie – odetchnął z ulgą Samuel.

– Widzisz więc – zwróciłam się do Brana. – To moja wina. Ja podjęłam decyzję o pozbyciu się Andre. Ale Marsilia nie mści się bezpośrednio na mnie.

– Spodziewałaś się, że wampiry zareagują otwarcie? – prychnął Marrok.

Hm, z tego wynika, że tak.

– Amber zapewniła mi wymówkę, dzięki której mogłabym zniknąć stąd na jakiś czas. Może wtedy Marsilia zostawi resztę w spokoju? – Zyskam też czas na obmyślenie następnego ruchu. Dzień, dwa, i może wymyślę wyjście niepowodujące dalszego rozlewu krwi.



– Przy okazji dasz mnie i Adamowi szansę, żeby odpowiednio zareagować – warknął Samuel.

Już miałam zaprotestować, ale przecież mieli prawo się bronić. Mieli prawo wiedzieć, że znajdują się na celowniku.

Jeśli Mary Jo przeżyje, Adam nie podejmie agresywnych działań przeciwko Marsilii. A jeśli nie... Może Marsilia rzeczywiście oszalała. Byłam świadkiem przypadków tego rodzaju szaleństwa w stadzie Marroka, w wyniku którego najstarsze wilkołaki kończyły martwe.

– Twój wyjazd Marsilia może uznać za zwycięstwo – rzekł Bran. – Nie znam jej dobrze, więc nie wiem, czy ci to pomoże, czy wprost przeciwnie, ale pomysł zniknięcia z miasta na kilka dni wydaje się sensowny.

Nie wyraził przypuszczenia, że Marsilia przestanie brać na cel wilkołaki. Do tego Wujek Mike na pewno odkryje, że to wampiry wykorzystały jego bar do ataku, a skoro ja nie miałam co do tego wątpliwości, Marsilia chyba również brała to pod uwagę. Jej wściekłość musiała przekroczyć wszelkie granice, skoro, żeby mnie dopaść, gotowa była narazić się na gniew Wujka Mike'a i jednocześnie rozjuszyć Adama.

Dałabym głowę, że na czas mojej nieobecności przestanie atakować – zależało jej na tym, bym była świadkiem nieszczęść, jakie sprowadza na moich przyjaciół. Nie mogłam mieć stuprocentowej pewności. Jednak spróbować nie zaszkodzi.

– Problem w tym, że... coś jest nie tak z tą sprawą z Amber. A może... – Z trudem przełknęłam ślinę. – Może po tym z Timem boję się wyjechać...

Bran przyglądał mi się bacznie, ważąc coś w myślach.

– Strach jest dobry – rzekł wreszcie. – Powstrzymuje przed popełnieniem tego samego błędu po raz drugi. Walczy się z nim za pomocą wiedzy. Czego się obawiasz?

– Nie wiem. – To nie była prawidłowa odpowiedź.

– Polegaj na intuicji – drążył Bran. – Co ci podpowiada?

– Że może to jakaś intryga wampirów. Stefan ląduje mi w domu,

żeby mnie zastraszyć, a tu jak z nieba pojawia się wyjście. Z deszczu wprost pod rynnę.

Samuel już w połowie mojej wypowiedzi kręcił protestująco głową.

– Nie, chcąc pozbawić cię naszej ochrony, Marsilia nie ściągałaby cię do Spokane. Sam pomysł nie jest zły, ale do tego wybrałaby na przykład Seattle, gdzie ma sprzymierzeńców. W Spokane mieszka tylko jeden wampir, i to wyjątkowo niegościnnie. Nie ma tam żadnej watahy, społeczności nie ludzi, jest kilka pojedynczych, słabych stworzeń, którym udaje się schodzić mu z drogi.

Oczy o mało nie wyskoczyły mi z orbit. Spokane to blisko półmilionowe miasto!

– Wielkie terytorium, jak na wymagania jednego wampira...

– Nie tego – powiedział Samuel.

– Nie Blackwooda – rzekł Bran w tym samym momencie.

– Jak w takim razie zareaguje ten wampir na moją wizytę w Spokane? – zapytałam ostrożnie.

– A skąd niby miałyby o tobie wiedzieć? – Bran wzruszył ramionami. – Pachniesz jak kojot, dla kogoś, kto nie poluje w lasach, a zapewniam cię, że właśnie do nich należy James Blackwood, kojoty pachną jak psy. Z kolei psem pachnie każdy, kto trzyma je w domu. Nie wybrałbym dla ciebie Spokane na miejsce zamieszkania, ale twój kilkudniowy czy nawet kilkutygodniowy pobyt w tym mieście jest bezpieczny.

– Więc uważasz, że wyjazd tam to dobry pomysł?

Bran sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągając z niej komórkę.

– Jak ci się udaje nie niszczyć ich w ten sposób? – zainteresowałam się. – Ja straciłam już kilka aparatów, siadając na nich.

Bran uśmiechnął się, zanim powiedział do słuchawki:

– Charles, dowiedz się wszystkiego o Amber...? – Popatrzył na mnie pytająco.

– Wybacz, że cię obudziliśmy, Charles – przeprosiłam grzecznie

Samuelowego brata. – Jej panięskie nazwisko to Chamberlain. Ale wyszła za mąż, nie wiem, jak się teraz nazywa.

Nie musiałam przejmować telefonu, Charles słyszał mnie tak dobrze, jak ja jego. Prywatna rozmowa przez telefon w obecności wilkołaków wymagała słuchawek.

– Amber Chamberlain – powtórzył Charles. – To ograniczy poszukiwania do jakiejś setki kobiet.

– Mieszka w Spokane i chodziła ze mną na uczelnię – dodałam.

– Już lepiej. Odezwę się, jak czegoś się dowiem.

– Uzbrój się w wiedzę – powiedział Bran, zakończywszy połączenie. – Ale nie widzę powodu, żebyś miała nie jechać.

– Wcześniej wykup porządne ubezpieczenie.

– To Stefan! – wrzasnęłam. Nim przebrzmiał mój okrzyk, wampir wisiał pod ścianą, trzymany za gardło przez Brana, który jeszcze przed ułamkiem sekundy siedział na drugim końcu sypialni.

– Tato. – Samuel, który również stał już na nogach, złapał ojca za ramię. Nawet nie próbował odciągać Brana od wampira, nie był głupi. – Tato, wszystko w porządku. To Stefan, przyjaciel Mercy.

Po kilku niewiarygodnie długich sekundach Bran cofnął się, puszczając Stefana, który na szczęście przez cały ten czas się nie wyrywał.

Wampiry są twarde, może nawet bardziej od wilkołaków, bo są już martwe. W dodatku Stefan jako przyboczny Marsilii w ogóle dysponował ogromną siłą. Za życia, we Włoszech doby renesansu, był najemnikiem.

Ale Bran to Bran.

– To było głupie – zbeształ wampira Samuel. – Której części „nigdy nie podkradaj się do wilkołaka” nie rozumiesz?

Dawny Stefan skłoniłby się w tej sytuacji dwornie, wyrażając doprawione szczyptą humoru przeprosiny. Ten Stefan tylko kiwnął oschle głową.

– Nic tu po mnie. A pomysł z wyjazdem Mercy do Spokane jest dobry. Jest najsłabszym celem, warto wycofać ją z pierwszej linii. Pojadę z nią, dopilnuję, żeby była bezpieczna.

Brzmiało to niemal ochoczo... Zastanawiałam się, co porabiał od zniknięcia z piwnicy Adama. Miał jakiś interes w Spokane? A może nie tylko ja usiłowałam znaleźć rozwiązanie, które pozwoli i mnie, i moim bliskim uniknąć śmierci?

Tak czy owak, jednego nie mogłam mu puścić płazem.

– Jestem słaba? – warknęłam.

– Głupi krwiopijco – ofuknął go Samuel. – Mój ojciec prawie ją przekonał do wyjazdu, a ty wszystko popsujesz.

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać. Planowałam wyjechać, żeby odsunąć groźbę od przyjaciół, oni zaś usiłowali mnie odesłać, żeby to mnie zapewnić bezpieczeństwo. Może wszyscy mieliśmy rację?

Zadzwoiła komórka Brana. Charles dowiedział się, że Amber wyszła za Corbana Whartona, starszego od siebie o dziesięć lat prawnika, pilnującego firmowych interesów. Mieli dziesięcioletniego syna, niepełnosprawnego, jak dawano do zrozumienia w kilku artykułach, ale gazety nie rozpisywały się o tym bardziej szczegółowo. Wyrecytował jeden czy dwa adresy, numery komórek, telefonów stacjonarnych... numery ubezpieczeń, zarobki według najświeższych zeznań podatkowych, prywatnych i firmowych. Jak na starego wilka, Charles potrafił doskonale zmuszać komputery do współpracy.

– Dziękuję – powiedział Bran.

– Czy teraz już mogę wrócić do łóżka? – burknął Charles i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

– Będzie wam łatwiej, jeśli wyjadę. – Popatrzyłam na Samuela.

– To prawda. Sami jesteśmy w stanie się obronić, ale ty jesteś bardziej narażona. W dodatku, jeśli znikniesz, a Marsilia nie dowie się, gdzie jesteś, będziemy mieli większe pole manewru do negocjacji.

– Wampir może przyciągnąć w Spokane zbyt duże zainteresowanie – zauważył Bran.

– Mam swoje sposoby – wzruszył ramionami Stefan. – Siedzę tu od ponad kwadransa, a żadne z was mnie nie zauważyło. Jak się

najem do syta, nikt nie domyśli się, kim jestem.

– Dla mnie zawsze pachniesz wampirem – wytknęłam. Wampirem i popcornem. Tym maślanym. Nie, nie mam pojęcia dlaczego. W życiu nie widziałam, że jadł popcorn. Nie wiem nawet, czy może.

– No dobrze – ustąpił, unosząc ręce w geście poddania. – W takim razie nikt, kto nie posiada nosa Mercy. I Potwora, pod warunkiem że znajdziemy się w tym samym pomieszczeniu. W innym wypadku się nie zorientuje. Wiem z doświadczenia.

– Potwora? – zdziwił się Samuel.

– Jamesa Blackwooda.

Wampiry nadawały przydomki najpotężniejszym wśród swoich. Stefan też taki posiadał – Żołnierz, bo niegdyś był najemnikiem. Wulfe’a zwano Zaklinaczem i rzeczywiście, potrafił posługiwać się magią. Postanowiłam zdecydowanie trzymać się z dala od wampira, którego własny rodzaj ochrzcił mianem Potwora.

– Poza tym – ciągnął Stefan – potrafię się szybko przemieszczać. I mogę zabierać Mercy ze sobą.

– Na jaką odległość? – zapytał Bran z nagłym zainteresowaniem.

Stefan wzruszył ramionami, ale zatrzymał się w pół ruchu, przygarbiony, jakby nie chciało mu się prostować.

– Sam? Każdą. Z drugą osobą będzie to wymagało więcej wysiłku. Nie przydam się do niczego cały następny dzień. – Skupił na mnie wzrok. – Znam adres. – Pewnie słyszał, jak Charles nam go podawał. – Mogę cię tam zabrać wieczorem. Znajdziemy w pobliżu jakieś bezpieczne miejsce, gdzie będę mógł odpocząć w ciągu dnia.

Bran popatrzył na mnie pytająco.

– Rano zadzwonię do Amber – powiedziałam. Czuję się tak, jakbym uciekała, ale Bran uważał, że tak właśnie powinnam zrobić.

Stefan skłonił mi się nisko i zniknął, nim się wyprostował.

– Zwykle się z tym krył – stwierdziłam. Martwiła mnie ta jawność. Zupełnie jakby przestało mu zależeć, ile inni o nim wiedzą.

– To dla niego postanowiłaś jednak udać się do Spokane, prawda? – uśmiechnął się Samuel. – Zamierzałaś zostać, dopóki nie zaczął

robić z siebie cierpiętника. – Zreflektował się, kiedy zganiałam go wzrokiem. – Nie twierdzą, że nie ma do tego powodów, bo swoje przeszedł. Ale musisz pamiętać, kupka nieszczęścia czy nie, nadal jest wampirem, a nie będziesz dla niego żadnym przeciwnikiem, jeśli zwróci się przeciwko tobie. Sporo go kosztowała przyjaźń z tobą, Mercy. Możliwe, że ma jej dość.

Nie myślałam o tym w ten sposób. Zrobiłam więc to teraz, przez jakieś dziesięć sekund.

– Gdyby Stefan był na mnie wściekły, zabiłby mnie od razu, kiedy wylądował tu skrajnie wygłodzony. Zresztą mógłby to zrobić nawet tej nocy. Chcesz się mnie stąd pozbyć, więc przestań cudować.

– Nie cuduję – obruszył się Samuel. – Ale nie zapominaj, że Stefan to wampir i nawet jeśli zachowuje się jak szarmancki galant, nie jest miłym facetem. Ja też go lubię, jednak wydaje mi się, że usiłujesz ignorować, czym jest naprawdę.

Pomyślałam o dwóch nieszczęśnikach, których jedyną zbrodnią było to, że widzieli, jak zabijam Andre.

– Dobrze wiem, czym jest – oświadczyłam stanowczo.

– Wampirem – podpowiedział Bran. – Złym, owszem. – Uśmiechnął się. Wyglądał teraz jak licealista. – Odnoszę jednak wrażenie, że jego Pani popełniła błąd, odtrącając go.

– Złamała mu serce – potwierdziłam i spojrzałam Samuelowi w oczy. – Uważaj na siebie – wyszeptałam. – Obaj uważajcie, i ty, i Adam. A ja przypilnuję, żeby Stefan skupił się na polowaniu na duchy.

Akurat do tego Stefan nie nadawał się zupełnie. Duchy nie lubiły wampirów i na pewno nie ujawniłyby się w pobliżu żadnego z nich. Samuel dobrze o tym wiedział.

– Poradzimy sobie tutaj – zapewnił poważnie.

– W razie czego jestem pod telefonem – dodał Bran, kierując te słowa chyba i do mnie, i do syna. – Muszę już iść, jeśli mam zajrzeć do Mary Jo. – Ucałował mnie w czoło, podobnie jak Samuela, który musiał się pochylić. Nie miałam pojęcia, czy Marrok naprawdę wie, kim jest Mary Jo, czy tylko sprawia takie wrażenie, ale spotykając

się z jakimś wilkołakiem, zawsze znał jego imię.

A, właśnie...

– Bran?

Przystanął w połowie drogi do drzwi.

– Co z tą dziewczyną, którą ci podesłaliśmy? Tą, która przeistoczyła się za wcześnie i nie miała nad tym kontroli? Co u niej?

Zmęczenie ulotniło się z pojaśnionej twarzy Brana.

– U Kary? Podczas ostatniej pełni świetnie dała sobie radę. Za kilka miesięcy zyska pełną kontrolę. – Machnąwszy na pożegnanie, wyszedł na ganek.

– Prześpij się trochę – zawołałam, zanim zamknął drzwi.

Po chwili usłyszeliśmy silnik odjeżdżającego samochodu – wynajętego, niewątpliwie mustanga.

– Masz jeszcze parę godzin – odezwał się Samuel, kiedy warkot ucichł. – Połóż się, a ja chyba skoczę do Adama, żeby przyjrzeć się, co tata będzie robił z Mary Jo.

– Czemu po prostu nie zadzwonił? – zastanawiałam się na głos.

Samuel zmierzwił mi włosy.

– Chciał na własne oczy sprawdzić, jak się czujesz.

– Dobrze przynajmniej, że o to nie zapytał. Chybabym mu coś zrobiła.

– Mercy? – Samuel przybrał fałszywie troskliwą minę. – Jak się czujesz?

Udało mi się go kuksnąć tylko dlatego, że się tego nie spodziewał.

– Teraz już świetnie – oznajmiłam, obserwując jak pada i przetacza się po podłodze, zupełnie jakbym włożyła w cios choć odrobinę siły.



Spokane leży prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ od Tri-Cities, a zbliżanie się do miasta zwiastują pojawiające się w okolicy drzewa.

Zadzwoniła komórka. Odebrałam, nie zjeżdżając na pobocze.

Zwykle przestrzegam prawa, ale już byłam spóźniona.

– Mercy? – Adam, trochę jakby zły. Pewnie Samuel powiedział mi o tym, że klątwa w barze była dziełem wampirów. Pozwoliłam mu na to, pod warunkiem że odczeka, aż wyjadę z miasta.

– Uhm – mruknęłam, w drodze pod górkę wyprzedzając wóz kempingowy. Wiedziałam, że przy zjeździe z pagórka znów zostaną w tyle, ale każde wysforowanie się przed inny samochód było dla mnie przyjemnością, vanagony nie są demonami szybkości. Planowałam kiedyś włożyć do niego sześciocylindrowy silnik subaru i sprawdzić, na co będzie go wtedy stać. – Zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć, że nie powiedziałam ci o wampirach, wiedz, że rozmawiając teraz z tobą, ryzykuję mandat. Naprawdę chcesz, żebym dostała mandat za twoje wrzaski?

Zareagował niechętnym śmiechem, więc chyba nie był bardzo zły.

– Jeszcze nie dojechałaś? Myślałem, że wyruszyłaś rano?

– Na przystanku pod Connell naprawiałam skrzynię biegów w focusie – wyjaśniłam. – Jakaś miła kobieta z pieskiem utknęła tam po tym, jak szwagier naprawiał jej sprzęgło. Nie dokręcił śrub i jedno cięgno wypadło. Godzinę czekałyśmy, aż zjawi się ktoś z odpowiednią śrubą i nakrętką. – Mojej pracownicy dowodziła poplamiona smarem koszulka i piach we włosach. W volkswagenie woziałam pled, który w potrzebie mogłam rozłożyć na ziemi. A także podstawowy zestaw śrub. Ale naprawa volkswagena wymagała jeszcze czasu. – Jak tam Mary Joe?

– Śpi, tym razem naprawdę.

– Bran pomógł?

– Bran pomógł – potwierdził Adam z uśmiechem w głosie. – Bądź ostrożna przy tym polowaniu na duchy. I uważaj, żeby Stefan cię nie ugryzł.

W tym ostatnim zadźwięczała nuta przekąsu.

– Zazdrosny? – Uhm, wóz kempingowy wyminął mnie na zboczu pagórka.

– Może trochę.



- Nie ma o co. Damy radę. Duchy to nic w porównaniu z szalonymi wampirzycami. – Nie zdołałam stłumić niepokoju.
- Nie martw się. Mercy?
- Hm?
- Uznaj, że na ciebie nawrzeszczałem – wymruczał i rozłączył się. Uśmiechnęłam się do aparatu i zamknęłam klapkę.



Wskazówki, które dała mi Amber, były jasne i proste. Ulga, jaką słyszałam w jej głosie podczas porannej rozmowy telefonicznej, prawie mnie przekonała, że naprawdę chodzi o jakiś problem z duchami, a nie intrygę wampirów mającą na celu wywabienie mnie z miasta i zamordowanie. Mimo zapewnień Brana, że w takim wypadku Marsilia raczej nie wybrałaby Spokane, dręczył mnie... nie, nie obsesyjny lęk. Niepokój. Byłam zaniepokojona.

Zee zgodził się mnie zastąpić w warsztacie na czas nieobecności. Prawdopodobnie udałoby mi się wynegocjować z nim niższą niż zazwyczaj stawkę, ponieważ nadal poczuwał się do odpowiedzialności za coś, za co odpowiedzialny nie był. Niższa stawka oznaczała masło orzechowe zamiast chińskich zupek do końca miesiąca, ale naprawdę za nic go nie obwiniałam.

Zgodnie z obietnicą wypytał Wujka Mike'a o znak na drzwiach. Bez wątplenia wampiry, oznajmił. Kościany krzyż oznaczał, że zdradziłam wampiry i zostałam pozbawiona przywileju nietykalności, a każdy, kto udzielał mi pomocy, stawał po złej stronie barykady. Szerszy wydźwięk symbolu napawał grozą. W tej sytuacji niebezpieczeństwo groziło nawet Tony'emu czy senseiowi Johansonowi.

To oznaczało, że wyjazd i kilka dni na zastanowienie, jak ograniczyć liczbę ofiar Marsilii, były dobrym posunięciem.

Amber mieszkała w wiktoriańskim domu z wieżyczkami. Ceglany ganek jaśniał niedawno wymienioną zaprawą, a koronkowe wykończenia okapów oraz ramy okien świeżo pomalowano. Nawet róże wyglądały jak przygotowane na zdjęcie do gazety.

Mrużąc oczy oślepię słońcem, które odbijało się w lśniących szybach, zastanawiałam się, kiedy ostatnio myłam okna. Czy w ogóle kiedyś je myłam? Możliwe, że Samuel to robił. Stałam w zadumie na ganku, kiedy drzwi otworzyły się nagle. Zaskoczony moim widokiem chłopiec zamarł w progu, a ja zdałam sobie sprawę, że nie zadzwoniłam.

– Cześć – przywitałam się. – Mama w domu?

Otrząsnął się z zaskoczenia, zerknął na mnie zielonymi oczyma ocienionymi długimi, gęstymi rzęsami i nacisnął dzwonek.

– Mam na imię Mercy – przedstawiłam się w oczekiwaniu, aż Amber wyłoni się z czeluści domu. – Chodziłam z twoją mamą do szkoły.

Przypatrywał mi uważnie, ale nadal się nie odezwał.

– Och, Mercy, już się bałam, że zrezygnowałaś z przyjazdu – klepała Amber nerwowo i niezbyt radośnie, a to wszystko jeszcze zanim zobaczyła na mnie smugi smaru i piach.

I ja, i chłopiec spojrzeliśmy na nią.

Nadal wyglądała jak piesek wystawowy, lecz w jej oczach czaiło się napięcie.

– Chad, to moja znajoma, która pomoże nam z duchem. – Mówiąc, gestykułowała szybko dłońmi. Przypomniałam sobie słowa Charlesa o niepełnosprawności syna Amber: był głuchy.

Zwróciła się do mnie, ale nie przestawała migać, żeby syn także rozumiał naszą rozmowę.

– Wybacz to zamieszanie, Mercy. Mąż przed chwilą zadzwonił, że będziemy mieć na kolacji gościa, przyjdzie ważny klient. To dość oficjalne spotkanie... – Otaksowała mnie wzrokiem, milknąc.

– No co? – zareagowałam ostro, urażona niedopowiedzianą zniewagą. – Nie nadaję się według ciebie na proszoną kolację? Przykro mi, szwy ściągną mi dopiero za tydzień.

Roześmiała się niespodziewanie.

– Nie zmieniałaś się ani na jotę. Spokojnie, jeśli nie masz się w co ubrać, pożyczę ci jakąś sukienkę. A facet jak na rekina finansowego jest całkiem oswojony. Spodoba ci się. Muszę zobaczyć, co mam w

lodowce, i zrobić jakieś zakupy. – Przechyliła głowę, żeby syn widział jej usta. – Zaprowadź, proszę, Mercy do pokoju gościnnego.

Chłopiec obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem, ale kiwnął głową. Amber wykorzystwała chwilę, kiedy odwrócił się, ruszając na schody.

– Muszę cię ostrzec, że mój mąż jest drażliwy na punkcie tego ducha. Uważa, że Chad go sobie wymyślił. Będę wdzięczna, jeśli nie wspomnisz o tym przy stole.



W korytarzu, naprzeciw mojego pokoju, znajdowała się łazienka. Zabrałam torbę i poszłam się doprowadzić do porządku. Zanim zdjęłam brudną koszulkę, przymknęłam oczy, głęboko wciągając w nozdrza powietrze.

Duchy ujawniają mi swoją obecność na różne sposoby. Czasami tylko je słyszę, innym razem wyczuwam nosem. Łazienka pachniała mydłem, szamponem, wodą i tymi idiotycznymi niebieskimi kostkami, które ludzie nieposiadający zwierząt umieszczają w rezerwuarach.

Nie słyszałam żadnych szczególnych odgłosów ani nic nie zobaczyłam, a jednak, gdy zdjęłam T-shirt, zjeżyły mi się włoski na karku. Wyszorowałam ręce, wycesałam piasek z włosów i zaplotłam warkocz. Przez cały ten czas nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ktoś mnie obserwuje.

Niewykluczone, że sobie to zasugerowałam, ale i tak myślałam się na wyścigi. Na ścianach nie pojawiły się napisy, w lustrze żadne twarze, a wszystkie przedmioty pozostawały nieruchome. Otworzywszy drzwi, wpadłam na zniecierpliwioną Amber. Nawet nie zauważyła, jak mnie wystraszyła.

– Muszę zawieźć Chada na softball i zrobić zakupy. Jedziesz ze mną?

– Pewnie – przystałam z obojętnym wzruszeniem ramion. Nie pociągała mnie wizja samotnego pobytu w tym domu. Ładny ze mnie łowca duchów. Nic się nie stało, a ja już zrobiłam się nerwowa.

Wsiadłam do przodu. Chad skrzywił się, jednak zajął miejsce na tylnej kanapie. Raczej nie wywarłam na nim dobrego wrażenia. Milczaliśmy całą drogę na trening. Chad wysiadł z nieszczęśliwą miną, a Amber dowiodła, że ma twardsze serce niż ja, bo zignorowała błagalny wzrok syna, zostawiając go pod opieką oschłego trenera.

– A więc nie wybrałaś jednak kariery nauczyciela historii? – zaczęła Amber, włączając się do ruchu. Mówiła nerwowym głosem. To ona wywoływała napięcie, choć z drugiej strony, nigdy nie czułam się przy niej swobodnie.

– Wybór to złe słowo. Musiałam się jakoś utrzymać do czasu objęcia posady w szkole, więc naprawiałam samochody. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że wolę grzebać w silnikach, niż uczyć. – A ponieważ sama zaczęła ten temat, zapytałam: – A co z twoimi planami zostania weterynarzem?

– Cóż, życie je skorygowało. – Zawiesiła głos. – Pojawił się Chad. – Zamilkła, jakby uważała, że i tak pozwoliła sobie na zbyt wielką szczerość.

W sklepie odłączyłam się od niej, kiedy wybierała pomidory – dla mnie wszystkie wyglądały dobrze. Kupiłam batonik, żeby przekonać się, na ile się zmieniła. Niewiele, jak się okazało. Wykład o szkodliwości cukrów prostych skończyła prawie pod domem. Wreszcie poczuła się przy mnie swobodniej i zaczęła opowiadać o duchu.

– Corban nie wierzy w to nawiedzenie – rzekła, lawirując wśród samochodów. Zerknęła na mnie i odwróciła wzrok na ulicę. – Ja też w zasadzie nic nie widziałam ani nie słyszałam, powiedziałam tak tylko, żeby dał spokój Chadowi. – Odetchnęła i spojrzała na mnie otwarcie. – Corban uważa, że Chad powinien iść do szkoły z internatem, prywatnej placówki dla trudnych dzieci, którą polecił mu znajomy.

– Twój syn nie wygląda mi na trudne dziecko. Czy taka „trudność” nie polega przypadkiem na uzależnieniu albo agresji? – Chad robił wrażenie chłopca, który woli raczej siedzieć w domu z

nosem w książce, niż ganiać za piłką.

Amber zaśmiała się nerwowo.

– Corban nie dogaduje się zbyt dobrze z Chadem, nie rozumie go. Sytuacja jak żywcem wzięta z tych disnejowskich kreskówek, gdzie ojciec jest futbolistą, a syn mołem książkowym.

– Czy Corban wie, że nie jest ojcem Chada?

Wcisnęła hamulec tak gwałtownie, że gdyby nie pasy, miałabym szansę nawiązać bliską znajomość z przednią szybą. Przez chwilę stała na środku jezdni, ignorując trąbiących kierowców. Dobrze, że siedziałyśmy w porządnym mercedesie, a nie kruchej miatce, którą przyjechała do Tri-Cities.

– Zapomniałaś? – podjęłam obojętnie. – Przecież znałam Harrisona. Nieraz żartowałyśmy z jego rżęs. Nigdy później nie widziałam u nikogo takich oczu, dopiero tu, u Chada. – Harrison był miłością życia Amber przez całe trzy miesiące, dopóki nie rzuciła go dla studenta medycyny.

Amber ruszyła i jechała w milczeniu, póki korek trochę się nie rozładował.

– Fakt, zapomniałam, że go znałaś. – Westchnęła. – Tak, Corban wie, że Chad nie jest jego dzieckiem, ale Chad nie. Na początku wydawało się, że to bez znaczenia, ale teraz... Corban zmienił się ostatnio. – Potrząsnęła głową. – W każdym razie zaproszenie ciebie to jego pomysł. Przeczytał o tobie w gazecie i zapytał, czy to przypadkiem nie o tobie mówiłam, że widzisz duchy, i czy zgodziłabyś się przyjechać, zobaczyć, jak sprawy się mają.

Zorientowałam się, że byłam trochę za bardzo wścibska, więc skierowałam rozmowę na neutralne tory.

– Co ten duch robi?

– Przesuwa przedmioty. Raz lub dwa razy w tygodniu robi przemeblowanie pokoju Chada. Chad twierdzi, że widział ruszające się meble. – Zawahała się. – I niszczy. Rozbił wazy, które mój ojciec przywiózł z Chin. Szybkę w sprawie dyplomu Corbana. Czasem chowa rzeczy, kluczyki, buty. Raz znaleźliśmy ważne dokumenty Corbana pod łóżkiem Chada. Corban się wściekł.

– Na Chada?

Przytaknęła.

Jeszcze nie poznałam jej męża, a już go nie lubiłam. Nawet jeśli Chad robił to wszystko sam – a nie było dowodów, że nie – to pobyt w placówce wychowawczej na pewno mu nie pomoże.

Odebrałyśmy ponurego Chada z treningu i resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.



Próbowałam pomóc Amber przy gotowaniu, ale odesłała mnie szybko do pokoju, byle dalej od kuchni. Nie podobało jej się, jak obieram jabłka. Przywiozłam z domu książkę, bardzo starą książkę z prawdziwymi opowieściami o pradawnych istotach. Pożyczyłam ją i niedługo musiałam zwrócić, zatem spieszyłam się z czytaniem.

Właśnie robiłam notatki o kelpie (myślałam, że wyginęły), gdy ktoś zapukał i otworzył drzwi. W progu stał Chad z ołówkiem i notesem w ręku.

– Cześć – powiedziałam.

Odwrócił kartkę, na której napisał:

„Ile płaci ci mój ojciec?”

– Nic – odpowiedziałam.

Zmarszczył brwi, wyrwał stronę i pokazał mi kolejną. Przygotował się do tej rozmowy.

„Po co przyjechałaś? Czego chcesz?”

Odłożyłam książkę, skupiając się na nim. Twardy mały, choć nie tak twardy jak Adam czy Samuel – pierwszy spuścił wzrok.

– Uciekam przed wampirem, który chce mnie zabić. – Oczywiście nie powinnam tego mówić, ale byłam ciekawa, jak zareaguje. Ciekawość, jak nieraz powtarzał mi Bran, może być równie zgubna dla kojota, co i dla kota.

Chad zmiął papier i powiedział coś bezgłośnie. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Uniosłam brwi.

– Przykro mi, nie czytam z ruchu warg.

Napisał pospiesznie:

„Kuamiesz”.

Wzięłam od niego ołówek i poprawiłam błąd.

– Założysz się? – Oddałam mu notes.

Przycisnął go do piersi i wymaszerował z pokoju. Podobał mi się. Przypominał mnie samą w jego wieku.

Kwadrans później wparowała do mnie Amber.

– Czerwona czy fioletowa? – rzuciła gorączkowo. – Chodź.

Zdumiona, podążyłam za nią do głównej sypialni, gdzie na łóżku leżały dwie sukienki.

– Za pięć minut muszę włożyć do piekarnika bułeczki – popędziła mnie. – Czerwona czy fioletowa?

Na uszycie fioletowej zużyto zdecydowanie więcej tkaniny.

– Fioletowa – wybrałam. – Będziesz miała dla mnie jakieś buty? Czy mam występować na bosaka?

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Buty tak, ale rajstop nie.

– Amber – westchnęłam – poświęcę się dla ciebie i założę szpilki oraz sukienkę. Ale nie płacisz mi tyle, żebym zakładała pończochy. Nogi mam ogolone, opalone, to musi wystarczyć.

– Możemy ci zapłacić, ile chcesz?

Popatrzyłam na nią, jednak nie byłam w stanie zdecydować, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Nie chcę nic. Dzięki temu, gdy zacznę się bać, będę mogła spokojnie wyjechać.

Nie uśmiechnęła się. A wydawało mi się, że miała kiedyś poczucie humoru. Albo nie...

– Słuchaj, weź głęboki oddech, znajdź mi buty i leć piec te bułki.

Odetchnęła głęboko i chyba jej to pomogło.

W pokoju czekał na mnie Chad ze swoim notesem. Gapił się na leżący na łóżku kostur. Nie zabrałam go ze sobą, ale i tak się pojawił. Żałowałam, że nie da się go zapytać, czego ode mnie chce. Wzięłam do ręki kostur i odczekałam, aż Chad podniesie głowę, żeby móc mi czytać z ust.

– Tym wybijam trudności z dzieci.

Zacisnął palce na notesie, więc uznałam, że mnie zrozumiał. Odłożyłam laskę na łóżko.

– Czego chcesz?

Podetknął mi pod nos zeszyt, w który wklejono wycięty z gazety artykuł. „Przyjaciółka Alfya zabija napastnika”, głosił nagłówek. Pod spodem widniała fotografia, na której wyglądałam na poturbowaną i oszołomioną. Nie pamiętałam, żeby ktoś robił wtedy zdjęcia. Z drugiej strony miałam spore dziury w pamięci, jeśli chodzi o tamtą noc.

– Tak – powiedziałam, jakby mój żołądek wcale właśnie się nie skręcał. – Stara sprawa.

„Wampiruf nie ma”.

Ortografia nie była mocną stroną Chada.

– Uff, dzięki. W takim razie jutro wracam do domu.

Opuścił ręce, wymachując notesem jak rozszłoszczony kocur ogonem. Nie potrzebował słyszeć tonu, by wyczuć sarkazm.

– Nie martw się, mały – powiedziałam łagodniej. – Nie przyjechałam tu, by pomóc wsadzić cię do paki dla dzieci. To, że niczego nie widzę, jeszcze nie oznacza, że tego nie ma. I to zamierzam powiedzieć twojemu ojcu.

Zamrugnął gwałtownie, przytulając swój notes. Zadarł podbródek – miniaturową wersję stanowczej linii szczęki matki – i wyszedł.



Amber znów wdrapała się na piętro i, przechodząc korytarzem, pomachała mi ręką. Po chwili usłyszałam, jak otwiera drzwi.

– Umyj się, uczesz – mówiła do syna. – Nie musisz z nami siedzieć przy stole, zostawiłam ci porcję w mikrofalówce, ale nie chcę, żebyś się czaił po kątach. Wiesz, że to irytuje ojca. Idź do łazienki.

Rozebrałam się i włożyłam fioletową sukienkę. Pasowała, choć była może odrobinę zbyt opięta w ramionach i biodrach, jak na mój gust. Z uznaniem obejrzałam się w lustrze. Amber, Char i ja miałyśmy podobne figury, zawsze mogłyśmy sobie pożyczać ciuchy.



Szpilki były bardzo wysokie, niezbyt wygodne, lecz na szczęście zostawaliśmy w domu, więc nie stanowiły aż tak dużego problemu. Char miała mniejszy rozmiar stopy niż ja i Amber. Rozczesałam włosy i zaplotłam francuza. Odrobina szminki, kreska nad rzęsami i byłam gotowa.

Wolałabym zjeść kolację z Adamem niż Amber, jej mężem palantem i jakimś waźniakiem. Żałowałam, że w mikrofalówce nie znalazła się porcja i dla mnie.



## Rozdział 6

**Z**adnego z dwóch mężczyzn, którzy weszli do domu, nie nazwałabym przystojnym. Niższy, łysiejący, na grubych palcach nosił masywne złote pierścienie. Ubrany był w garnitur ze sklepu, ale drogiego sklepu. Oczy miał błękitne, prawie tak jasne jak ślepia Samuelowego wilka. To podobieństwo wzbudziło we mnie sympatię. Zatrzymał się, skrępowany, gdy drugi mężczyzna objął Amber.

– Cześć, kochanie – ku memu zaskoczeniu, głos Corbana brzmiał miło, ciepło. – Dziękuję, że zrobiłaś tę kolację, mimo że tak późno cię zawiadomiłem.

Corban Wharton, choć nieurodzivy, robił dobre wrażenie. W dość szerokiej twarzy wyróżniał się zdecydowanie za długi nos. Szeroko rozstawione, ciemne oczy skrzyły się wesołością. Biła od niego aura solidności, wzbudzał zaufanie. Kogoś takiego chciało się mieć przy sobie na sali sądowej. Spojrzawszy na mnie, przelotnie zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, kim jestem.

– Ty pewnie jesteś Mercedes Thompson – rzekł wreszcie, podając mi rękę. Miał uścisk typowego polityka, mocny, pewny, a dłoń ciepłą i suchą.

– Wystarczy Mercy, nikt nie zwraca się do mnie inaczej.

Kiwnął głową.

– Mercy, to mój znajomy, a zarazem klient, Jim Blackwood. Jim, to Mercy Thompson, przyjaciółka żony, przyjechała w odwiedziny.

Pogrążony w rozmowie z Amber Jim natychmiast odwrócił się do nas.

Jim Blackwood. James Blackwood. Ilu Jamesów Blackwoodów może mieszkać w Spokane, zastanawiałam się gorączkowo. Pięciu? Sześciu? Nie łudziłam się jednak – mimo iż silna woń wody kolońskiej maskowała zapach – że będę miała aż takie szczęście.

Bran zapewniał mnie, że dla wampira będę pachniała jak przeciętny właściciel psa. A nawet jeśliby się zorientował, czym jestem, to co? W końcu byłam tu tylko przejazdem. Przecież to żadna ujma dla niego, prawda?

Oszukiwałam się. Wampiry mogły potraktować osobiście najmniejszy drobiazg.

– Witam, panie Blackwood – rzekłam, gdy spojrzał na mnie. Byle prosto. Nie wiedziałam, czy wampiry potrafią wyczuć kłamstwo, ale nie chciałam ryzykować niczym w rodzaju „miło mi poznać”, skoro marzyłam, aby w tej chwili znajdować się na antypodach.

Za wszelką cenę starałam się uśmiechać sympatycznie, choć w mojej głowie rozpoczęła się gonitwa myśli. Jak on będzie jadł? Przecież wampiry nie jedzą. W każdym razie nie widziałam, żeby jadły. Jakie były szanse, że pojawienie się tu wampira nie miało nic wspólnego z Marsilią? Z tego, co opowiedział Bran, wywnioskowałam, że Blackwood nie wykonywałby czyichkolwiek poleceń.

– Jim – poprosił z cieniem brytyjskiego akcentu. – Przykro mi, że zakłócam ci wizytę, ale po południu musieliśmy omówić pewne niecierpiące zwłoki sprawy, a później Corban zaprosił mnie na kolację.

Mówił wesoło, a dłoń uścisnął mi z jeszcze większą wprawą niż Corban. Gdyby nie rozmowa z Branem, nie domyśliłabym się, czym jest.

– Zapraszam do stołu – powiedziała Amber, teraz, kiedy

skończyło się całe szaleństwo przygotowań, już spokojna. – Wszystko gotowe, a nie będzie tak smaczne, jeśli wystygnie. Wybaczcie, nie miałam czasu przygotować nic specjalnego.

Niczym specjalnym był pikantny stek z ryżem i sałatkami, ciepłe bułeczki i domowa szarlotka. Potrawy jakimś cudem znikwały z talerza Blackwooda, choć nie zauważyłam, by jadł czy nawet dotykał swojego talerza. A śledziłam każdy jego gest z chorobliwą wręcz fascynacją i może odrobiną nadziei. Gdybym widziała, że choćby jeden kęs ląduje w ustach Blackwooda, uwierzyłabym w jego człowieczeństwo.

Milczałam, przysłuchując się mężczyznom – przynudzali o planach emerytalnych, używając specjalistycznej terminologii – zadowolona, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Amber wtrącała czasem jakieś zdanie, żeby podtrzymać rozmowę. Słyszałam, jak Chad przemyka się przez jadalnię do kuchni i po jakimś czasie ją opuszcza.

– Wyśmienite jedzenie, jak zwykle. – Wampir docenił wysiłki Amber. – Piękna, urocza i wspaniale gotuje. Mówiłem Corbanowi, że kiedyś cię mu wykradnę.

Poczułam zimny dreszcz – nie kłamał. Ale gospodarze tylko się roześmiali. Blackwood nagle zwrócił się do mnie.

– Cały wieczór milczysz. Corban wspominał, że studiowałaś razem z Amber. Mieszkasz w Kennewick, tak? Czym się zajmujesz?

– Naprawiam to i owo – wymamrotałam w talerz.

– To i owo? – zainteresował się, czyli uczynił dokładnie na przekór moim zamierzeniom.

– Samochody. Poznaj Mercedes, która naprawia volkswageny – zażartowała Amber. Niegdyś była znana z ciętego języka. – Ale gwarantuję, że równie dobrze może wymienić imiona królów europejskich lub powiedzieć, jak miał na imię owczarek Hitlera. – Uśmiechnęła się do Jamesa Blackwooda, Potwora, który zazdrośnie pilnował swojego terytorium przed innymi wampirami oraz istotami, mogącymi mu w jakikolwiek sposób zagrozić. Kojot nie był dla niego żadnym zagrożeniem. Amber paplała... niemal

histerycznie. Może bała się, że wyskoczę z czymś przy ważnym kliencie, na przykład z historią o nawiedzonym domu i mną jako łowczynią w roli głównej. Nie przejmowałaby się takimi drobiazgami, wiedząc, z kim siedzi przy stole. – Z jej pochodzeniem... a jest w połowie Czarną Stopą... czy Czarnym Stopem...? W każdym razie nie interesowała jej historia Indian. Studiowała dzieje Europy.

– Nigdy nie lubiłam babrać się w tragediach – mruknełam, ze wszystkich sił starając się, żeby brzmiało to nudnie. – A przeszłość Indian to głównie tragedie. Teraz jestem mechanikiem samochodowym.

– Blondi – przypomniał sobie Corban. – Tak się nazywała suka Hitlera.

– Słyszałam, że imię wziął z historyjki obrazkowej Chica Younga – dodałam. Supozycja ta budziła wiele kontrowersji wśród znajomych zbieraczy ciekawostek o nazistach. Miałam nadzieję, że rozmowa zejdzie na Hitlera, który był martwy i niegroźny, w przeciwieństwie do obecnego tu martwego.

– Jesteś Indianką? – zapytał wampir. Czyżby starał się spojrzeć mi w oczy?

W unikaniu wzroku rozmówców byłam mistrzynią – przydatna umiejętność w otoczeniu wilkołaków.

– W połowie – odpowiedziałam, patrząc w punkt na szczęce Blackwooda. – Po ojcu. Ale go nie znałam.

– Przykro mi. – Potrząsnął głową.

– Stare dzieje. – Wzruszyłam ramionami, dochodząc do wniosku, że skoro Hitler nie odwrócił jego uwagi ode mnie, może spróbuję skierować rozmowę na interesy. Na mojego przybranego ojca to zawsze działało. – A więc to Corban pilnuje, żebyś nie musiał bywać w sądach?

– Jest w tym naprawdę dobry – pochwalił Whartona wampir z zaborczym uśmiechem. – Z nim u boku przedsiębiorstwo Blackwooda utrzyma się na powierzchni jeszcze przez parę miesięcy, co, Corban?

Zagadnięty roześmiał się serdecznie.

– Och, myślę, że nawet dłużej.

– Za zyski! – Amber podniosła kieliszek. – Oby jak największe.

Udałam, że piję razem z nimi, lecz byłam prawie pewna, że duże zyski dla mnie to zupełnie inne widelki niż dla nich.



Wreszcie wyszedł. Nie poszło tak źle, jak się obawiałam. Potwór był czarujący, a ja, miałam nadzieję, zrobiłam wrażenie jedynie niezbyt interesującego mechanika samochodowego. Poza tym jednym momentem udało mi się uniknąć zwracania na siebie uwagi.

W euforii nie przejmowałam się nawet duchami, kiedy się przebierałam. Potem zeszłam na dół, żeby pomóc Amber w sprzątaniu.

Ona także musiała się czymś wcześniej bardzo martwić, bo po kolacji była prawie w tak radosnym nastroju jak ja. Zaimprovizowałyśmy kuchenną bitwę wodną, która skończyła się w chwili, gdy zwabiony hałasem Corban wetknął głowę i niemal oberwał prosto w nos mokrą gąbką. Rozsądek nakazywał nie kusić losu i raz uniknąwszy o włos zdemaskowania, zmyć się rankiem z powrotem do domu. Ponieważ jednak Amber była na rauszu, odłożyłam rozmowę na ten temat na później. Po umyciu naczyń, przemoczona, zostawiłam Amber i jej męża obcałowujących się w kuchni.

W pokoju zastałam Chada. Siedział na łóżku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Już od progu czułam jego strach.

Zamknęłam drzwi i rozejrzałam się bacznie po pomieszczeniu.

– Duch? – zapytałam.

Także potoczył wokół wzrokiem, po czym pokręcił przecząco głową.

– Nie tutaj? W twoim pokoju?

Skinął ostrożnie.

– W takim razie chodźmy to sprawdzić.

Wyraźnie przerażony zszedł z łóżka i ruszył za mną korytarzem. Dzielnym dzieciakiem. Powoli przekręcił klamkę swoich drzwi i pchnął skrzydło, nie przestępując progę.

– Zakładam, że leżąca na środku biblioteczka nie należy do zwykłego wystroju? – zapytałam.

Spojrzał na mnie bykiem, jednak przynajmniej przestał się trochę bać.

Wzruszyłam ramionami.

– No co? Mój facet ma córkę – określenie „facet” wydawało się niestosowne wobec Adama – a ja dwie młodsze siostry. Ich pokoje zawsze wyglądają jak po bitwie. Musiałam zapytać.

Poza przewróconym regałem trudno było stwierdzić, która część bałaganu należała do normalnego stanu pokoju, a którą spowodował duch. Na szczęście regał, niezbyt duży, nie wydawał się poważnym problemem do naprawienia. Przecisnąwszy się do środka, dźwignęłam mebel; okazał się nawet lżejszy, niż sądziłam. Kiedy układałam książki, Chad kucnął przy mnie i zaczął pomagać. Czytał wszystkiego po trochu i nie trzymał się repertuaru całkiem dziecinnych. „Park Jurajski”, „Wywiad z wampirem” i Lovecraft stały obok „Harry’ego Pottera” i kolekcji piętnastu komiksów „Naruto”. Porządkowanie biblioteczki zajęło nam jakieś dwadzieścia minut, a gdy skończyliśmy, chłopiec już się nie bał.

Ja zaś czułam, że nie jesteśmy sami. Coś nas obserwowało.

Otrzepałam ręce, rozglądając się po pokoju.

– Zawsze masz tu taki porządek?

Przytaknął poważnie.

– Powinieneś się leczyć. – Potrząsnęłam głową. – Podobnie jak twoja mama. Moja siostra trzymała pod łóżkiem skamieliny starych lunchów dla hodowanych tam kotów z kurzu. – Zdjęłam z półki pudełko z grą. – Masz ochotę na „Bitwę morską”? – Nie zamierzałam zostawiać chłopca z tym czymś sam na sam.

Chad uzbroił się w swój notes i ruszyliśmy na wojnę. W całej historii ludzkości wojnami odwracano uwagę od problemów w domu.

Leżeliśmy na podłodze, na brzuchach i zatapialiśmy okręty wroga. Kiedy zadzwonił Adam, rzuciłam do słuchawki, że oddzwonię, kiedy ucichną działa – wojna ma pierwszeństwo przed miłością. Zaśmiał się, rzucając na zakończenie „dobranoc i powodzenia”, jak ten słynny korespondent wojenny.

W trakcie szaleńczego polowania na sprytnie ukrytego niszczyciela Chad wykończył moją flotę.

– Ej! – wykrzyknęłam oburzona. – Zatopiłeś mi pancernik!

Chad uśmiechnął się, a do drzwi rozległo się pukanie. Nie powinnam robić tyle hałasu, skoro dzieciak i tak nie mógł mnie słyszeć.

– Proszę! – zawołałam. Chad, pojąwszy, że ktoś idzie, zrobił przerażoną minę. Poklepałam go uspokajająco po ramieniu.

Przekręciłam się, jakbym chciała zobaczyć, kto to. Większość ludzi musiałaby to zrobić, choć ja już wcześniej słyszałam zbliżające się kroki – a Amber nie podkradała się gniewnie.

Tupała, owszem, ale nie skradała się. Wierście, każdy drapieżnik dostrzeże różnicę.

– Czy nie powinniście już spać? – rzucił Corban od progu. Miał na sobie spodnie od dresu i stary podkoszulek drużyny Jastrzębi z Seattle. Rozczochrane włosy świadczyły, że spał. Pewnie go obudziłam.

– Nie. Gramy i czekamy na ducha. Przyłączysz się?

– Nie ma tu żadnego ducha – burknął, migając jednocześnie.

W trakcie kolacji zaczynałam nawet lubić Corbana, wydawał się przyzwoitym gościem. Teraz jednak zachowywał się jak brutal.

Odwróciłam się, żeby patrzeć mu prosto w twarz. Krzywił się groźnie.

– Doprawdy?

– Duchy nie istnieją. Cieszę się, że do nas wpadłaś, ale nie gadaj takich głupot, bo ci uwierzą, a Chad nie ma łatwo i bez posądzeń o obłąd. – Nie przestawał gestykulować, mimo że mówił do mnie. Nie wiem tylko, czy nie opuścił tego fragmentu, kiedy zakazywał mi utwierdzać żonę i syna w istnieniu duchów.



- Jest genialnym komandorem – pochwaliłam Chada do Corbana.
- I nie sądzę, żeby zmyślał historie o duchach.

Wharton wymigał także moją odpowiedź, po czym dodał:

- Chce tylko zwrócić na siebie uwagę.
- I zwrócił. Boi się, bo coś, czego nie widzi i nie słyszy, robi mu bałagan w pokoju. Myślałam, że zaproszenie mnie tutaj było twoim pomysłem. Dlaczego to zrobiłeś, skoro nie wierzysz w duchy?

Rozległ się hałas, kiedy model samochodu spadł z półki, przejechał kawałek po podłodze i grzotnawszy o biblioteczkę, wywrócił się. Nie podskoczyłam, bo już od jakiegoś czasu widziałam kątem oka, jak się rusza. Chad nie podskoczył, bo nic nie usłyszał. Ale Corban, owszem, podskoczył.

Wstałam i odłożyłam autko z powrotem na półkę.

- Możesz to zrobić jeszcze raz? – poprosiłam w przestrzeń.
- Kucnęłam przy Chadzie, tak żeby widział moje usta.
- Zrzucił samochodzik z półki. Zobaczymy, czy da radę ponownie.
- Corban, któremu to wydarzenie odebrało na chwilę mowę, usiadł po drugiej stronie syna, kładąc mu rękę na ramieniu. Obserwowaliśmy, jak samochodzik jedzie powoli po półce, po czym wykonuje samobójczy skok. Zaraz po tym przewróciła się cała biblioteczka, wprost na planszę z grą. Przez ułamek sekundy widziałam postać stojącą z uniesionymi rękami, a potem słodkosłony zapach krwi, który czułam od momentu wejścia do pokoju, zniknął.

Nie ruszyłam się, podczas gdy Corban badał mebel w poszukiwaniu jakiegoś urządzenia, linki czy czegoś podobnego. Kiedy skończył, odwrócił się do syna.

- Chcesz spać gdzie indziej?
  - Odszedł – poinformowałam ich, a Corban dodatkowo zamigał.
- Chad pokręcił głową, poruszając szybko dłońmi. Corban uśmiechnął się.

– Masz rację. Powiedział, że duch go do tej pory nie zabił, więc zostaje – przetłumaczył, po czym postawił na powrót biblioteczkę. Popatrzyłam na rozrzucone książki, między którymi leżała plansza.

Kiedy Chad podążył za mną spojrzeniem, wskazałam na grę, na której niszczyciela otaczały białe pionki – miny.

– Ach, to tu go ukryłeś, mały spryciarzu.

Uśmiechnął się, nie bardzo szeroko, ale tyle, żebym przestała się o niego martwić. Twardy dzieciak.

Udałam się do siebie, zostawiając ojca z synem i ich przedspaniowymi rytuałami. Wszelkie plany wyjazdowe odłożyłam. Nie zamierzałam zostawiać Chada na pastwę ducha. Nie wiedziałam jeszcze, jak pozbyć się widma, ale może wystarczyłoby nauczyć chłopca żyć z takim lokatorem. I tak częściowo już do niego przywykłam.

Kilka minut później Corban zapukał do drzwi i stanął w progu.

– Nie będę wchodził. Powiedz tylko, że tego nie zorganizowałaś. – Patrzył na mnie ponuro. – Sprawdziłem, nie ma tam żadnych drutów ani magnesów.

– To nie moja sprawka – oświadczyłam. – Gratulacje, twój dom jest nawiedzony.

– Potrafię wyczuć kłamstwo. – Zmarszczył brwi.

– Bardzo się cieszę. A teraz, jeśli wybaczysz, pójdę spać.

Wycofał się, ale zaraz ponownie uchylił drzwi.

– Jeśli to duch, Chadowi nic nie będzie?

Wzruszyłam ramionami. Prawdę mówiąc, ten zapach krwi mnie niepokoił. Z doświadczenia wiedziałam, że duchom towarzyszy ta sama woń, co za życia. Hanna, która czasem odwiedzała mnie w warsztacie i przed, i po śmierci, pachniała mydłem, ulubionymi perfumami i kotami, z którymi mieszkała. Podejrzewałam, że krew nie jest dobrym znakiem.

Powiedziałam Corbanowi to, co wynikało z moich doświadczeń:

– Żaden duch nigdy mnie nie skrzywdził, a z tego, co słyszałam, jedynie parę historii z duchami kończyło się siniakami. Ponoć dwa wieki temu duch wiedźmy z Tennessee zabił człowieka nazwiskiem John Bell, choć przypuszczam, że wyglądało to inaczej. John został otruty. Mówiono, że to wiedźma dosypała mu trucizny do leków, ale przecież mógł to zrobić każdy żyjący.

– Twój facet jest wilkołakiem – powiedział, przyglądając mi się bacznie.

– Owszem.

– I twierdzisz, że duchy istnieją.

– Także inne istoty. Nawet pracuję z jednym nieczłowiekiem. Istnieją wilkołaki, Pradawni, więc czemu nie duchy?

Zamknęłam Whartonowi drzwi przed nosem i wpełzłam do łóżka. Postał jeszcze trochę w korytarzu, a potem odszedł.

Zazwyczaj kiepsko śpiam w obcych miejscach, ale było już bardzo późno (a raczej bardzo wcześnie), poza tym poprzedniej nocy też nie wypoczęłam zbyt wiele, spałam więc jak dziecko.

Rankiem na szyi odkryłam zaczerwienienie i dwie punktowe ranki. Pięknie komponowały się ze szwami na policzku. A wisiołek z barankiem, który zawsze nosiłam, zniknął.

Oglądając rany w łazienkowym lustrze, słyszałam w głowie słowa Samuela, że nie powinnam traktować Stefana jak przyjaciela... A Stefan sam mówił, że potrzebuje pić krew, by nikt nie zorientował się, kim jest. Wiedziałam, że ugryzienie ma swoje konsekwencje, ale jakie – już nie do końca.

Oczywiście poprzedniego dnia miałam styczność z wampirem. Przez moment myślałam, że to on, nie Stefan, ukąsił mnie w nocy. Ale szybko się zreflektowałam. Ugryzienie przez Jamesa Blackwooda, wampira napawającego lękiem istoty, których bałam się z kolei ja? Natychmiast obudziła się we mnie nadzieja, że to jednak Stefan.

Lecz Stefan potrzebowałby zaproszenia, by wejść do tego domu. Czy zaprosiłam go, a on wymazał mi pamięć o tym wydarzeniu? Dobrze by było. Lepsze mniejsze zło...

Drzwi do łazienki otworzyły się – nie zamykałam ich na zamek, bo chciałam tylko umyć zęby. Chad wpatrywał się w moją szyję oczami jak spodki.

Naprawdę miałam nadzieję, że to sprawka Stefana, bo zamierzałam zostać tu, póki jakoś nie pomogę temu chłopcu.

– Nie – powiedziałam spokojnie. – Nie kłamałam o wampirach. –

Informację, że jeden z nich ugryzł mnie tej nocy, postanowiłam zachować dla siebie, o ile oczywiście sam się nie domyślił. Duch to aż nadto dla dzieciaka, nie chciałam dorzucać do tego krwiopijców. – Nie powinnam ci tego mówić i byłabym wdzięczna, gdybyś nie rozmawiał o tym z rodzicami. Wampiry nie lubią, jeśli zbyt wiele osób o nich wie. I potrafią tego skutecznie dopilnować.

Przez moment przyglądał mi się uważnie, po czym zasunął niewidzialny zamek na ustach, przekręcił kluczyk i cisnął go za siebie. Niektóre gesty są uniwersalne.

– Dzięki. – Zatknęłam osłonkę na szczoteczkę i zapakowałam kosmetyczkę. – Reszta nocy minęła już spokojnie?

Przytaknął, udając, że ociera pot z czoła.

– Świetnie. W dzień też się pojawia?

Wzruszył ramionami, po czym potwierdził skinieniem.

– Dobrze, pogadam z twoją mamą i pójdę pobiegać. – Tu nie mogłam paradować w formie kojota, szczególnie że moje plany schodzenia Blackwoodowi z drogi spaliły na panewce tak spektakularnie już pierwszego dnia. Ale jeśli długo nie zażywam ruchu, robię się marudna. – Jak wrócę, posiedzimy u ciebie w pokoju. Czy ten duch pojawia się też w innych częściach domu?

Skinął głową, udał, że je i coś miesza.

– Tylko w kuchni czy w jadalni też?

Pokazał dwa palce.

– Dobrze. – Zerknęłam na zegarek. – Spotkamy się tu punkt ósma.

Wróciłam do pokoju, lecz nie wyniuchałam ani zapachu Stefana, ani niczego innego. Po wisiorcu także nie było śladu, a bez niego nic nie chroniło mnie przed wampirami. Nie żeby w nocy pomógł.



Nie lubię biegać w mieście, lecz słońce minimalizowało na razie szansę natknięcia się na wampira. Pobiegałam pół godziny, po czym ruszyłam do domu Amber.

Na podjeździe nie zastałam jej samochodu. Uprzedziła, że ma coś do załatwienia – wizytę u fryzjera, parę spraw, zakupy.

Zapewniłam, że ja i Chad poradzimy sobie sami, choć myślałam, że poczeka, aż wrócę. Nie wiem, czy zostawiłabym swoje dziecko samo w nawiedzonym domu. Sądząc po minie, kiedy spotkaliśmy się pod łazienką, Chad chyba nie miał nic przeciwko temu.

Obeszliśmy cały dom od dołu do góry. Nie było to ani ważne, ani konieczne, ale lubiłam stare domy, a i tak nie miałam żadnego konkretnego planu w trakcie oczekiwania, aż duch się pojawi. W zasadzie nie miałam go też na okoliczność, kiedy już się pokaże. Nigdy nie wypędzałam duchów, a z tego, co czytałam – czyli niewiele – wynikało, że lepiej nie robić nic, niż zrobić coś nie tak.

Część piwnicy została wyremontowana, jednak za niewielkimi, starymi drzwiami znajdowało się pomieszczenie z klepiskiem, zarzucone drewnianymi skrzynkami na mleko i innymi gratami złożonymi tam pewnie jeszcze przez dawnego właściciela. Bez względu na pierwotne przeznaczenie, teraz służyło za siedzibę czarnych wdów.

– U la la. – Skierowałam snop światła z pożyczonej latarki w kąt. – Patrz, jaki wielki pająk. W życiu takiego nie widziałam.

Chad klepnął mnie, więc spojrzałam w miejsce, które wskazywał, czyli połamane krzesło z drabinkowym oparciem.

– No, ten jest jeszcze większy. Lepiej chodźmy stąd, przynajmniej dopóki nie zdobędziemy porządnego środka na pająki.

Zamknęłam drzwi nieco gwałtowniej niż trzeba. Nie mam nic przeciwko pająkom, a czarne wdowy są jednymi z piękniejszych, ale... Potrafią ugryźć. Zupełnie jak wampiry. Pomacałam się po karku, upewniając, czy koszulka zakrywa ślad na szyi, i pomyślałam, że będę musiała iść na małe zakupy. Potrzebowałam apaszki albo golfu, żeby Amber i Corban nie zauważyli ugryzienia. Miałam nadzieję, że przy okazji może kupię też wisiołek z barankiem.

Reszta piwnicy wprost lśniła. Amber chyba nie podzielała mojej niechęci do czarnych wdów.

– Na razie nie próbujemy się dowiedzieć, kim jest ten duch, choć jeśli chcesz, możemy to sprawdzić. Tak tylko się rozglądam, na

wszelki wypadek. Gdyby to był żart, nie chciałabym dać się nabrać.

Oczy Chada błysnęły urazą, a dłonie uczyniły gwałtowny gest, z którego zrozumieniem nie miałam kłopotu.

– Nie. Nie twierdzę, że to twoja sprawka – zapewniłam go. – Gdyby nawet ktoś sfingował to wczorajsze, to na pewno nie amator. Może twój ojciec ma wroga, który wykorzystuje cię jako narzędzie, ale szczerze, nie wierzę w to. – Po co na przykład zawracać sobie głowę zapachem, który jest niewyczuwalny dla ludzkiego nosa? Mimo wszystko najpierw chciałam wykluczyć ponad wszelką wątpliwość oszustwo.

Zastanowił się przez chwilę, kiwnął poważnie głową i wskazał ciekawe jego zdaniem miejsca. Czyli niewielkie pomieszczenie za grubymi drzwiami, które mogło służyć kiedyś za chłodnię. A także stary szyb do zrzucania węgla, pod którym stała skrzynia z kocami. Wsadziłam głowę w blaszany kanał, pociągnęłam nosem i tylko potwierdziłam swoje wcześniejsze podejrzenia – Chad zrobił sobie z niego zjeżdżalnię.

Zerknął na mnie niepewnie spod nieco za długiej grzywki. Nie wydawało mi się to niebezpieczne, za to zabawa świetna. Tym lepsza, jeśli nikt o niej nie wiedział. Sama jako dziecko miałam kilka takich sekretów, więc nic nie powiedziałam.

Pokazałam Chadowi wiązkę niezaizolowanych miedzianych przewodów, nieusuniętych, mimo że już do niczego nie służyły, oraz ślady ciosania na wielkich blokach granitowych, z których kiedyś budowano fundamenty. Obejrzeliśmy dokładnie sufit pod kuchnią i jadalnią, ponieważ jednak nie wiedziałam, na czym polega aktywność ducha, nie wiedziałam za bardzo, na co zwracać uwagę. Podejrzewałam, iż może to być coś, co zmieniło się niedługo przed pojawieniem się ducha, czyli kilka miesięcy wcześniej. W tej części piwnicy wszystko wyglądało na zrobione jeszcze przed moim urodzeniem.

Dwie kolejne kondygnacje okazały się całkiem nieciekawe i wolne od pajaków. Ktoś mocno przebudował dom, nie zachowując nawet starych schodów dla służby czy windy transportującej

potrawy do jadalni. Stolarka była ładna, lecz drewno gorszego gatunku, a rzemieślnik raczej porządny niż wybitny. Dom został zbudowany przez kogoś z wyższej klasy średniej, ale nie bogacza. Ponieważ sama mieszkałam w konstrukcji zaprojektowanej i przeznaczonej dla osób bardzo biednych, potrafiłam takie rzeczy ocenić.

Po nocnych wydarzeniach duch nie nawiedził pokoju Chada ponownie – wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Zgodnie z ustaleniami Corbana nie było tam żadnych mechanizmów czy linek, którymi dałoby się wyjaśnić zachowanie samochodziku. Pewnie dałoby się to zrobić za pomocą magii – nie znałam się na niej zbyt dobrze. Jednak nie wyczuwałam magii teraz, a zwykle wiedziałam, gdy ktoś jej przy mnie używał.

– Jeśli nie znajdziemy niczego dziwnego na górze, nad twoim pokojem, upewnię się do końca, że to nie oszustwo.

W moim pokoju na podłodze leżała szczotka do włosów, ale nie dałabym głowy, że sama jej tam nie zostawiłam. Zmotywowana wymowną miną Chada, posłałam łóżko i schowałam do torby rozrzucone ubrania.

– Problem w tym – powiedziałam, kiedy usiadł na uporządkowanym łóżku – że nie wiem, jak się pozbyć tego ducha. Widzę go, bo ty chyba nie, prawda? Zauważyłeś wczoraj coś dziwnego?

Zaprzeczył gestem.

– Właśnie, a ja owszem. Jednak nie wiem, jak go stąd wypędzić. Na pewno nie jest to jeden z tych powtarzających, czyli taki, który w kółko odgrywa tę samą scenę. Za jego działaniami kryje się celowość, inteligencja... – Musiałam wyjaśnić to dwa razy, zanim pojął i zareagował.

Zrobił groźną minę i wydał pomruk.

– Tak, jest rozgniewany. Może gdyby nam się udało odkryć przyczynę złości, moglibyśmy...

Naraz rozległ się głośny łoskot. Chad uniósł brwi, widząc, że drgnęłam.

– Coś się dzieje na dole.

Tym razem duch grasował w kuchni. Lodówka była otwarta na oścież, a przeciwległa ściana nosiła ślady uderzeń i ociekała sokiem pomarańczowym. Karton leżał pod nią na podłodze wraz z kilkoma butelkami innych produktów. Z kranu leciała woda, a zatkany zlew szybko się wypełniał.

Chad podbiegł do zlewu, zakręcił wodę, rozejrzał się i spojrzał na mnie pytająco.

– Nie, nie widzę go.

Westchnąwszy, zabrałam się do sprzątanía. Zdawało mi się, że od przyjazdu nie robię nic innego poza sprzątaním.

Wyszorowałam ścianę, a Chad zmył podłogę. Na pęknięcia w tynku nic nie mogłam poradzić. Przyjrząwszy się im, stwierdziłam, że niektóre wyglądały na starsze.

Po doprowadzeniu wszystkiego do jako takiego porządku zrobiłam kanapki i frytki na lunch. Wzmocnieni, ruszyliśmy zbadać strych.

Okazało się, że strych podzielony jest na dwie części. Do tej nad pokojem Chada prowadziły wąskie schody, być może pozostałość schodów służbowych. Spodziewałam się kurzu i starych pudeł, lecz znajdował się tam nowoczesny gabinet zaopatrzony w stojący na wiśniowym biurku sprzęt komputerowy. W dachu umieszczono świetliki, ściany kolankowe obstawiono niskimi regałami z drzewa wiśniowego, które uginały się pod ciężarem masywnych tomów prawniczych. Jedyne bardziej swojski akcent stanowiła wielka poducha wyściełająca parapet jaskółkowego okna.

– A ten drugi strych? – zapytałam, stojąc na schodach, bo wejście do gabinetu wydawało mi się naruszeniem prywatności.

Chad poprowadził mnie na drugi koniec korytarza, do sypialni rodziców. Zastanawiałam się, dlaczego gabinet miał taki ciepły wystrój, zaś miejsce wypoczynku zostało urządzone w sposób przypominający raczej wystawę w sklepie meblowym, obco i bezosobowo.

W suficie garderoby widniała duża, prostokątna kłapa.



Musieliśmy przystawić sobie krzesło, żeby dosięgnąć do linki, po której pociągnięciu wysuwała się składana drabinka. Uzbrojeni w latarki, wspięliśmy się na stryszek, który zdecydowanie bardziej pasował do starego domu niż pokój na poddaszu. Konstrukcyjnie był lustrzanym odbiciem gabinetu, z tym że nie posiadał świetlików i pięknego widoku.

W rozproszonym świetle, przesączającym się przez zamalowane białą farbą jedyne okno, uniosły się wzburzone naszą obecnością drobinki kurzu.

Pod ścianą stały cztery wielkie kufry oraz stara maszyna do szycia ze złotym napisem SINGER na drewnianej, porysowanej podstawie. Tu także znajdowały się drewniane skrzynki na mleko, ale pajaków nie dostrzegłam. W ogóle nie zauważyłam żadnych paskudnych żyjatek. Nawet kurzu nie było zbyt wiele. Pewnie Amber sprzątała także na stryszku.

Kufry były pozamykane, ale wyraz rozczarowania na obliczu Chada skłonił mnie do wyjęcia z kieszeni scyzoryka. Odrobina manipulacji nieprzydatną do niczego innego wykałaczką i pierwsza skrzynia stanęła otworem. Operacja zajęła mi mniej, niż potrzeba na wyśpiewanie trzech pierwszych wersów „Dziewięćdziesięciu dziewięciu butelek piwa”. Wiem, bo włamując się, zawsze nucę – zły nawyk. Ponieważ jednak nie planowałam zostać zawodowym włamywaczem, nie musiała z nim zrywać.

Kufer mieścił poźółkłą lnianą pościel wykończoną frywolitkami i wyszywaną w kwiaty czy jakieś inne babskie ozdóbki. Zawartość drugiego okazała się znacznie ciekawsza – plany domu, dokumenty, świadectwa z nazwiskami nieznanymi Chadowi osób oraz artykuły z gazet – najstarsze z lat dwudziestych – w których wymieniano te same nazwiska, widniejące na świadectwach. Głównie notki o urodzinach, pogrzebach i ślubach. Nekrologi nie wspominały, by któraś z tych osób zmarła przedwcześnie lub gwałtowną śmiercią.

Zostawiając Chadowi oglądanie planów, które rozpostarł na wieku pierwszej skrzyni, zaintrygowana niesamowicie długim nazwiskiem, zaczęłam czytać artykuł o życiu Ermalindy Gaye

Holfenster McGinnis Curtis Albright. Zmarła w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, dożywszy wieku siedemdziesięciu czterech lat. Jej ojciec, dowódca biorący udział w wojnie secesyjnej po tej przegranej stronie, wywiózł rodzinę na zachód, gdzie zbił fortunę na handlu drewnem i budowie kolei. Ermalinda była dwukrotnie wdową i miała ósemkę dzieci, z których czwórka ją przeżyła, wydając na świat całą armię jej wnuków. Po śmierci drugiego męża, piętnaście lat przed śmiercią, Ermalinda wyszła za mąż po raz trzeci. Z aluzji w artykule wynikało, że za młodszego od siebie mężczyznę.

– Dzielna dziewczyna – pochwaliłam ją na głos i naraz klapa wejściowa trzasnęła z takim hukiem, że drgania zaalarmowały nawet Chada. Nie mógł natomiast słyszeć zgrzytnięcia zamka. Przypadłam do klapy, jednak za późno. Przyłożywszy nos do szczeliny, nie wyczułam nikogo. Zresztą nie miałam pojęcia, dlaczego ktoś miałby zamykać nas na strychu. Nie było szans, żebyśmy tu umarli, chyba że ktoś podpaliłby dom.

Odsunęłam od siebie te radosne myśli i doszłam do wniosku, że pewnie zostaliśmy uwięzieni przez naszego ducha. Hm, czytałam o duchach podpalaczach. Czy to przypadkiem nie Hans Holzer pisał o pożarze probostwa Borley, roznieconym przez duchy? Z drugiej strony, Hans Holzer okazał się oszustem...

– Cóż – zwróciłam się do Chada. – To dowodzi, że nasz duch jest mściwy i inteligentny. – Chłopiec z zatrwożoną miną przyciskał do piersi plany domu tak mocno, że załamania na starej dokumentacji przyprawiłyby o zawał każdego historyka. – No nic, skoro i tak utknęliśmy, możemy wrócić do naszych poszukiwań.

Ponieważ Chad nie uspokoił się, dodałam:

– Niedługo wróci twoja mama. Kiedy wejdzie na górę, zawołamy ją i nas stąd wypuści.

Nagle coś sobie przypomniałam. Wyjęłam z kieszeni komórkę i zadzwoniłam na numer, z którego kontaktowała się ze mną Amber. W sypialni rozległ się dzwonek aparatu.

– Czy twoja mama ma telefon?

Chad wybrał numer, lecz w słuchawce odezwała się poczta głosowa. Nagrałam więc wiadomość, informując Amber, gdzie jesteśmy i co się stało.

– Kiedy odsłucha, przyjedzie i nas wypuści – zapewniłam Chada.  
– Jeśli nie, zadzwonimy do twojego taty. Sprawdzimy, co jest w kolejnym kufrze?

Nie był szczególnie podekscytowany, ale zaglądał mi przez ramię, kiedy dłubałam przy zamku. Po uniesieniu wieka zagapiliśmy się na skarb, który skrywała skrzynia.

– O rany! Myślisz, że twoi rodzice wiedzą, że to tu jest? Ciekawe, ile to może być warte...

Kufer wypełniały stare płyty gramofonowe, głównie szelakowe, na siedemdziesiąt osiem obrotów. Odkryłam, że ułożono je tematycznie. Jedna sterta zawierała nagrania dla dzieci – „Opowieść o Hiawatha”, piosenki i prawdziwy skarb, „Królewna Śnieżka” w komplecie z książką, wszystko w oprawie, która robiła wrażenie wydania pochodzącego z tych samych czasów, co film. Chad zmarszczył nos na widok płyty, więc odłożyłam ją na odpowiednią kupkę.

Zadzwoniła moja komórka.

– Nie twoja mama – powiedziałam, zerknąwszy na wyświetlacz, i otworzyłam klapkę. – Cześć, Adam. Znasz Mello-Kings?

Po sekundzie ciszy w słuchawce zabrzmiał całkiem znośny bas:

– *Chip, chip, chip went the little bird...* coś tam, coś tam. A czemu pytasz?

– Znaleźliśmy z Chadem kufer starych płyt.

– Chadem? – powtórzył Adam z wystudiowaną obojętnością.

– Uhm, to dziesięcioletni syn Amber. Trzymam właśnie w ręku ich płytę z pięćdziesiątego siódmego roku, chyba najnowsza w tej kolekcji. Nie, czekaj, Chad znalazł Beatlesów... Um, nie, sama okładka, bez płyty. Więc Mello-Kings są najnowsi.

– Uhm. Jak sprawa z duchami?

– Tak sobie. – Zerknęłam z wyrzutem na zamkniętą klapkę. – A co u ciebie? Jak rozmowy z Marsilią?

– Warren i Darryl mają się dzisiaj spotkać z jej dwoma wampirami.

– Którymi?

– Bernardem i Wulfe'em.

– Powiedz, żeby się pilnowali. Wulfe nie jest zwykłym wampirem.

– Bernarda spotkałam tylko raz i nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Ale może to przez to, jak zareagował na niego Stefan.

– Nie ucz ojca dzieci robić – stwierdził Adam spokojnie. – Nie martw się. Jak tam Stefan?

Dotknęłam szyi. Co miałam mu powiedzieć? „Świetnie, chyba mnie ukąsił tej nocy” jakoś nie wydawało się dobrym pomysłem.

– Na razie się chowa. Może dzisiaj się pojawi?

Dobiegł mnie odgłos otwieranych drzwi.

– Muszę kończyć, Amber wróciła.

– No to trzymaj się, zadzwonię wieczorem – powiedział Adam i się rozłączył.

Ktoś wbiegł po schodach i do sypialni.

– Twoja mama wróciła – powiedziałam do Chada, zaczynając układać płyty w skrzyni. Były bardzo ciężkie. Może najpierw wnieśli sam kufer, a dopiero później włożyli do niego płyty? Albo wynajęli ośmiu tragarzy-wilkołaków...

– Zamknięte na zamek – powiedziałam, słysząc, że Amber szarpie kłapę. – Od twojej strony powinna być jakaś zapadka.

Kiedy kłapa opadła, Amber ciężko dyszała. Skupiona na Chadzie, migąła, nie zwracając sobie głowy mówieniem.

– Nic nam nie jest – przerwałam jej. – Macie tu piękną kolekcję płyt. Próbowaliście je wycenić?

Odwróciła się do mnie, jakby nagle przypomniała sobie o mojej obecności. Jej źrenice wyglądały... dziwnie. Były bardzo rozszerzone. Za bardzo, nawet jak na przyćmione światło na strychu.

– Płyty? A, tak. Corban je znalazł, gdy kupiliśmy ten dom. Tak, pytał o nie. Nic szczególnego, po prostu stare płyty.

– Jak było na zakupach?

– Jakich zakupach? – zdumiała się.

– Amber, dobrze się czujesz?

Zamrugła i uśmiechnęła się. Uśmiech był promienny i pełen słodczy, aż przeszły mnie ciarki. Amber mogłam przypisać wiele cech, lecz z pewnością nie słodczy. Coś działo się z nią nie tak.

– A, tak. Kupiłam sweter i kilka prezentów, już na święta. – Machnęła ręką. – Jak to się stało, że tu utknęliście?

Wzruszyłam ramionami, włożyłam ostatnią płytę i zamknęłam wieko skrzyni.

– Albo ktoś się tu włamuje i robi paskudne dowcipy, albo to duch. – Podniosłam się, ruszając w stronę drabinki. W tej samej chwili wyczułam wampira. Czyżby Stefan ukrywał się tutaj? Przystanęłam, rozglądając się wokół. Chad popędził na dół, zostawiając mnie i matkę z wonią wampira oraz świeżej krwi.

– Co się dzieje? – zapytała Amber, postępując ku mnie.

Otaczał ją zapach potu, seksu i wampira, ale nie Stefana.

– Robiłaś coś jeszcze prócz zakupów?

– Co? A, tak, byłam u fryzjera, zapłaciłam kilka rachunków. Dobrze się czujesz? – powtórzyła moje pytanie.

Nie kłamała. Nie zdawała sobie sprawy, że była wampirzą przekąską. I to dzisiaj.

Spojrzałam na jasną plamę okna, myśląc, że jak najszybciej muszę porozmawiać ze Stefanem.



## Rozdział 7

**O**dczekawszy do zmroku, wymknęłam się tylnymi drzwiami na podwórko.  
– Stefan? – zawołałam na tyle cicho, by nikt w domu mnie nie usłyszał.

Nie byłam głupia, nie wołałam go ot, tak sobie. Przybył do Spokane, by mieć na mnie oko, więc miałam prawo sądzić, że jest gdzieś w pobliżu. Czekałam z pół godziny, przeczesując wzrokiem okolice, jednak Stefan się nie pojawił. W końcu wróciłam do domu. Amber oglądała telewizję.

– Idę spać – poinformowałam ją.

Przyjrzałam się jej odsłoniętej szyi. Ani śladu ugryzienia. Ale wampir mógł ssać krew również z innych miejsc. Swoje rany zakryłam apaszką, jedną z kilku kupionych w sklepie organizacji charytatywnej, gdzie zaprowadził mnie Chad. Szukałam też wisiorka z barankiem, znalazłam jedynie ozdóbkę z rysunkową owcą, która raczej nie zapewniłaby mi ochrony Syna Bożego.

– Wyglądasz na zmęczoną – ziewnęła Amber. – Też jestem wykończona. – Ściszyła telewizor. – Corban opowiedział mi, co stało się zeszłej nocy. Nawet jeśli nie poradzisz nic na ducha, i tak jestem ci wdzięczna za przekonanie go, że Chad nie zmyśla.

Pomasowałam ugryzienie zasłonięte czerwoną apaszką. Amber miała znacznie większy problem niż nawiedzony dom, i też nie wiedziałam, jak pomóc jej w tym wypadku.

– Nie ma sprawy. Do jutra.

Nie mogłam zasnąć. Rozmyślałam, czy Corban wie, że jego klient jest wampirem i wysysa krew z jego żony, czy jest równie nieświadomy, co Amber. Zastanawiałam się też nad czymś innym. Skoro Corban nie wierzył w duchy, czemu zaproponował Amber zaproszenie mnie do Spokane? Ale jeśli zwabienie mnie tutaj to pomysł wampira...? Po co miałyby to robić? Chyba że był w zмовie z Marsilią, która z jego pomocą zamierzała mnie ukarać, nie wciągając w to wilkołaków. Tyle że jakoś trudno mi było uwierzyć, że Marsilia chce mieć dług wdzięczności wobec innego wampira, a tak terytorialny jak Blackwood nie nadawał się za bardzo na współnika w rozwiązywaniu jakichkolwiek problemów.

Jeśli zaś chodzi o Blackwooda, przyzywał do siebie Amber za dnia. W życiu nie słyszałam o wampirze, który byłby aktywny w dzień, choć oczywiście o niczym to nie świadczyło, bo miałam dość ograniczone doświadczenia z wampirami. Ciekawe, gdzie jest Stefan.

– Stefan? – zawołałam cicho. – Wyjdź, gdziekolwiek jesteś, wyjdź. – Może nie został zaproszony? – Możesz wejść. – Ale Stefan się nie pojawiał.

Odbierając dzwoniący telefon, nie mogłam opanować niepokoju.

– Cześć, Adam.

– Dzwonię, bo pewnie chciałabyś wiedzieć, że Warren i Darryl wrócili cali i zdrowi z jaskini wampirów.

– Chyba nie zgodziłeś się na spotkanie na terenie Marsilii?!

– Nie – roześmiał się. – Ale brzmiało lepiej, niż „wrócili cali i zdrowi z knajpy Denny’ego”. Mało romantyczne miejsce, lecz stoi pośrodku dobrze oświetlonego placu. Żadne bandy wampirów nie mogłyby się tam nigdzie przyczaić.

– Jak wyniki rozmów?

– Marnie – nie słyszałam troski w głosie Adama. – Negocjacje to

czasochłonny proces. Ta runda ograniczała się do prężenia mięśni i gróźb. Ale według Warrena Marsilii może chodzić nie tylko o twoją śliczną skórę. Wulfe puścił parę aluzji. Marsilia wie, że w twojej sprawie nie ustąpię, jednak chyba chce ugrać coś innego. A co u ciebie?

– Kostur się tu za mną przywłókł – oznajmiłam, wiedząc, że go rozbawię.

Faktycznie. Chrapliwy dźwięk śmiechu wilkołaka rozgrzał mnie od środka.

– Nic ci nie będzie, bylebyś nie kupiła tam jakichś owiec.

Kostur, który prześladował mnie w domu i, jak się okazało, także w Spokane, posiadał moc, dzięki której owce jego właściciela rodziły bliźnięta. Jak większość darów Pradawnych, prędzej czy później obracał się przeciw człowiekowi. Nie miałam pojęcia, czy nadal posiada tę samą moc ani dlaczego sobie mnie upatrzył, lecz przywykłam do niego.

– A co z duchem? – Teraz, uwolniona z pułapki na strychu, mogłam opowiedzieć Adamowi wszystko, nie ryzykując, że przypędzi natychmiast na ratunek. Nawet jeśli Blackwood nie zwracał na mnie dużej uwagi na mnie, w każdym razie nie przesadnej, na pewno nie przeszedłby do porządku dziennego nad obecnością na swoim terenie Alfego stada delty Kolumbii.

– Po co zamknął was na tym strychu? – zapytał Adam, kiedy skończyłam.

Wzruszyłam ramionami, sadowiąc się wygodniej na łóżku.

– Nie wiem, może po prostu wykorzystał okazję. Są istoty, które robią takie psikusy, chochliki i niektóre skrzaty. Ale to był duch, widziałam na własne oczy. Nie widziałam za to Stefana i to mnie martwi.

– Jest tam, żeby pilnować, czy Marsilia nikogo za tobą nie wysłała.

– No tak, jeśli o to chodzi, to jest w porządku. – Dotknęłam ugryzienia na szyi. A może to właśnie wyjaśnienie? Może to jeden z wampirów Marsilii?

Jednak ciężar w brzuchu podpowiadał coś innego. Drugi wampir?



Tu? W tym domu, do którego Blackwood miał wolny wstęp? W mieście, gdzie mógł sobie ot tak przywabić Amber i karmić się nią  
W ŚWIETLE DNIA?

– Stefan nie przetrwałby tylu stuleci, gdyby nie potrafił o siebie zadbać.

– Tak, ale został odcięty. Byłabym spokojniejsza, gdyby się aż tak nie ukrywał.

– I tak nie pomoże ci z tym duchem. Czy duchy przypadkiem nie unikają wampirów?

– Duchy i koty, jak twierdzi Bran. Lecz mój kot lubi Stefana.

– Twój kot lubi każdego, kto go głaska.

Zastanowił mnie ton Adama, usłyszałam w nim pieścotliwą nutę. Nastawiłam uszu i owszem, wyłowiłam ciche mruczenie.

– Ciebie na pewno – powiedziałam. – Jak cię namówiła, żebyś ją wpuścił do domu?

– Miauczała pod drzwiami – tłumaczył się. W życiu nie widziałam, ani nawet nie słyszałam o kocie, który garnąłby się do wilkołaka bądź kojota, w każdym razie dopóki Medea nie oznajmiła głośno swej obecności pod moim warsztatem. Psy i inne zwierzęta domowe, owszem, ale koty – nie. Medea kocha każdego, kto się nią zajmuje lub jest skłonny to robić. Podobnie jak niektórzy ludzie.

– Pogrywa z tobą i Samuelem – ostrzegłam go. – A ty się dajesz nabrać na jej sztuczki.

– Mama też ostrzegała mnie przed kobiecymi gierkami – przyznał potulnie. – Będiesz musiała chronić mnie przed sobą samym. No i jak wrócisz, przestanę jej potrzebować, bo będę dopieszczał ciebie.

Usłyszałam po jego stronie dźwięk dzwonka do drzwi.

– Trochę późno na wizyty – zauważyłam.

Adam zaczął się śmiać.

– Co?

– To Samuel. Właśnie pyta Jesse, czy nie widziała twojego kota.

– Mężczyźni tak łatwo dają sobą manipulować. – Westchnęłam. – Lepiej idź i od razu się przyznaj.

Rozłączyłam się i zapatrzyłam w mrok, tęskniąc za domem.

Gdyby spał przy mnie Adam, żaden wampir nie odważyłby się mnie ukąsić. W końcu zapaliłam światło i zabrałam się do czytania książki, którą ze sobą przywiozłam. Po kilku stronach przestałam myśleć o wampirach. Otuliłam się szczelniej kocem – Amber lubiła chyba chłód, tak jak wilkołaki – i zagłębiłam się w opowieści o Rozszalałym Byku z Bagbury i kolejnej, o nieczłowieku, który nawiedzał mosty.

Jakiś czas później ocknęłam się zmarznięta, ściskając w rękę kostur, który przed zaśnięciem widziałam oparty o ścianę przy drzwiach. Drewno było gorące, w przeciwieństwie do panującej wokół temperatury. Nos miałam nieomal odmrożony, a z moich ust unosiła się para.

Prawie natychmiast po przebudzeniu dobiegł mnie wysoki, nierówny krzyk, który urwał się nagle.

Odrzuciłam kołdrę, zwalając przy okazji książkę na ziemię, przejęta jednak grożącym Chadowi niebezpieczeństwem, nie zwracałam sobie głowy jej podnoszeniem. Wskoczyłam z łóżka i w jednej chwili pokonałam te kilka kroków dzielących moją sypialnię od pokoju dzieciaka.

Drzwi nie ustąpiły.

Klamka przekręcała się, więc nie zostały zamknięte na klucz. Naparłam ramieniem na skrzydło, ale nawet nie drgnęło. Próbowalam użyć kostura, który nadal był dziwnie rozgrzany, jak elektryczny pastuch, ale nie dało się go nigdzie wsunąć, by wyważyć drzwi.

– Odsuń się – szepnął Stefan za moimi plecami.

– Gdzieś ty był?! – powitałam przyjaciela ostro, jednocześnie czując ulgę na jego widok. Duch powinien uciec przed wampirem.

– Polowałem – wyjaśnił, napierając na drzwi. – Wydawało się, że masz wszystko pod kontrolą.

– Pozory mylą.

– Właśnie widzę.

Drewno zatrzeszczało, poddając się z oporem, a potem nagle skrzydło odskoczyło, huknęło o ścianę, a Stefan runął do pokoju.

W mojej sypialni było przeraźliwie zimno, za to u Chada panował prawdziwy mróz. Sam chłopak leżał na łóżku niczym martwy – nie oddychał, a w szeroko otwartych oczach czaiła się trwoga.

Oboje ze Stefanem dopadliśmy łóżka.

Duch nie uciekł, wbrew moim nadziejom wampir go nie odstraszył. Nie mogliśmy ściągnąć Chada z materaca. Koc przymarzł do niego i do prześcieradła. Rzuciłam kostur, chwyciłam przykrycie obiema rękami i szarpnęłam. Pled zatrzepotał pod palcami niczym żywa istota, miękka i wilgotna w miejscach, gdzie kontakt z ciepłem mojej skóry rozpuścił lód.

Stefan chwycił skraj koca i rozdarł tkaninę na pół. Błyskawicznie chwycił uwolnionego chłopca, zabierając go z łóżka.

Podniosłam kostur i, przeklinając się w duchu za zaniechanie szkolnych zajęć z pierwszej pomocy, wyskoczyłam za nimi na korytarz.

Na szczęście Chad, gdy tylko znalazł się poza swoim pokojem, zaczął łapać powietrze jak ryba.

– Tu jest potrzebny ksiądz – oświadczył Stefan.

Zignorowałam go, zwracając się do Chada.

– Wszystko w porządku?

Chłopak szybko wziął się w garść. W chuderlawym ciele tkwił iście wolframowy duch. Przytaknął. Stefan postawił chłopaka na podłodze i podtrzymał, kiedy ten się lekko zachwiał.

– W życiu czegoś podobnego nie widziałam – oznajmiłam. W pokoju Chada dostrzegłam krople wody spływające z gwałtownie tającej szyby. Spojrzałam na Stefana. – Myślałam, że duchy cię unikają?

– Ja również – przyznał, także zaglądając do pokoju. Spojrzawszy na mnie, zamilkł. Wziął mnie pod brodę i przyjrzał się szyi, z jednej i drugiej strony. Naraz zdałam sobie sprawę, że zostałam ukąszona po raz drugi. – Kto cię ugryzł, cara mia?

Chad podniósł głowę i syknął, przedłużając dwoma palcami swoje zęby.

– Tak, to wiem – powiedział Stefan, jednocześnie migając. –

Wampir. – Kto by przypuszczał, że Stefan zna język migowy? Jakoś nie pasowało to do wampirów.

Ucieszony Chad rozwinął swoją wypowiedź. Kiedy skończył, Stefan pokręcił głową.

– Nie, tamten wampir tego nie zrobił, nie opuścił Tri-Cities. To inny. – Zwrócił się do mnie, odwracając nieco twarz, by chłopiec nie widział, co mówi. – Jak ty to robisz? – zapytał spokojnie. – Jedziesz do półmilionowego miasta, w którym żyje tylko jeden wampir, i natychmiast zostajesz ugryziona. Wpadłaś na niego, biegnąc po nocy, czy co?

Zdławiłam panikę, która obudziła się we mnie na myśl, że zostałam dwukrotnie ukąszona przez palanta, którego spotkałam tylko raz. Określenie „palant” czyniło go mniej przerażającym. A przynajmniej powinno. James Blackwood ugryzł mnie dwa razy podczas snu... I, co gorsza, wymazał wspomnienia tych wydarzeń.

– Zezwolę na szczęście. – Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam omawiać tej kwestii przy Chadzie. Lepiej, żeby chłopak nie wiedział, kim jest naprawdę Blackwood, dla własnego bezpieczeństwa.

Chad wykonał kilka szybkich gestów.

– Wybacz. Nazywam się Stefan, jestem przyjacielem Mercy.

Chad zmarszczył brwi.

– Jest po naszej stronie – zapewniłam go. Wzrok dzieciaka mówił: „Dobra, ale co on tu robi w środku nocy?”. Udałam, że nie rozumiem. A ponieważ nie znałam języka migowego, tym też nic nie wskórał. Tak, to nie w porządku z mojej strony, jednak nie chciałam go okłamywać, a tym bardziej mówić całej prawdy.

– Muszą się stąd wynieść – orzekł Stefan. – A ciebie zabieram do Tri-Cities. – Sprawiał wrażenie, jakby jeszcze coś chciał dodać, ale zerknął na Chada i potrząsnął głową. Pewnie coś o Blackwoodzie.

– Czekaj, założę coś na siebie. Lepiej mi się myśli, jeśli mam na sobie coś więcej poza majtkami i koszulką.

Ubrałam się w łazience, przy okazji oglądając drugie ukąszenie. W końcu zakryłam oba moją nową-używaną, jedwabną, haftowaną apaszką.

Do domu? A co to da? Z drugiej strony, co dał mój pobyt tutaj? Przyjechałam pomóc Amber, a przy okazji zniknąć na jakiś czas z pola widzenia Marsilii. To ostatnie mi się udało, przynajmniej nie zakłócałam toku negocjacji między nią a wilkołakami. Co do Amber, czy jej w czymkolwiek pomogłam? Jeszcze nie.

Spoglądając na obicie własnej, bladej, niewyspanej twarzy, zastanawiałam się, co począć. Blackwood miał nad Whartonami władzę.

Zadrzałam. Choć nie wydarzyło się nic konkretnego, nie poczułam ani chłodu, ani zapachu, nie słyszałam też żadnego dźwięku, miałam wrażenie, że coś mnie obserwuje.

– Zostaw chłopaka w spokoju – rzekłam do niewidzialnego obserwatora i nagle zjeżyły mi się włoski na karku.

Czekałam, aż się pojawi, zaatakuje, ale nic się nie stało. Wspomnienie niesamowitego wrażenia dotyku zbladło wolniej, niż nadeszło.

Stefan zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Tak, już idę. – Coś się jednak wydarzyło, choć nie miałam pojęcia co. Byłam zmęczona, przestraszona i zła. Umyłam zęby i wyszłam z łazienki.

Chad i Stefan stali pod przeciwległymi ścianami korytarza, perorując dłońmi z szybkością kilometra na godzinę.

– Stefan?

Wyrzucił ręce w górę, zwracając się do mnie.

– Jak on może twierdzić, że „Dragon Ball Z” jest lepszy „od Scooby-Doo”? Żadnego szacunku dla klasyki!

Wspięłam się na palce i pocałowałam wampira w policzek. Odwrócona plecami do Chada powiedziałam:

– Jesteś kochany.

Stefan pogłaskał mnie po głowie.

Zajrzałam do sypialni dzieciaka, ale ta wyglądała, jakby nic się nie stało. Po wilgoci z rozpuszczonego szronu nie został nawet ślad. Tylko dwa kawałki rozdartego koca na podłodze świadczyły o

minionych wydarzeniach.

– Jest parę wampirów, które mogą coś takiego zrobić – rzekł Stefan, wskazując pokój chłopca. – Przesuwać przedmioty, zabijać ludzi na odległość. Nigdy jednak nie słyszałem, żeby duch posiadał tak wielką moc. Zwykle to żalosne cienie, udające, że nadal żyją.

Nie czułam zapachu wampira, tylko krew, a i ta woń zniknęła wraz ze szronem. Widziałam za to ducha, niewyraźnie, ale widziałam. Mimo to odwróciłam twarz, żeby Chad nie zrozumiał, i zapytałam:

– Myślisz, że to Blackwood zabawia się w ducha?

– Nie, to nie Potwór. Nie ta moc. Tamten był Hindusem z Nowego Jorku. On i ci, których stworzył, mogliby zrobić coś takiego – poza mrozem. Lecz moc dziedziczyli jedynie ci bezpośrednio stworzeni przez niego, a on przemieniał tylko hinduskie kobiety. Wszystkie zostały zgładzone wiek temu, może jeszcze wcześniej. Zresztą Potwór jest i tak od niego starszy.

Chad wpatrywał się w jego usta zafascynowany. Zamigał coś szybko i Stefan odpowiedział tym samym.

– Tak, nie żyją – tłumaczył na głos. – Nie, zabił ich ktoś inny. Tak, na pewno ktoś inny. – Zerknął na mnie. – Może wyjaśnisz mi, że jestem raczej kimś w rodzaju Spike'a, a nie Buffy? Czarnym charakterem, nie bohaterem?

– Jesteś moim bohaterem. – Zatrzepotałam rzęsami.

Cofnął się gwałtownie, jakbym go uderzyła. Zaczęłam się zastanawiać, co Marsilia powiedziała mu podczas tortur.

– Stefan?

Odwrócił się z miną, na której widok Chad przylgnął do mnie.

– Jestem wampirem, Mercy.

Nie zamierzałam pozwolić Stefanowi na taką rozpaczliwą nienawiść wobec samego siebie. Nie zasłużył sobie na to.

– Tak, wiemy. Kły cię zdradzają. Przetłumacz Chadowi, proszę. – Odczekałam, aż wykona kilka gniewnych ruchów rękoma. Chad się uspokoił. Stefan, nie przestając migać, rzekł wyzywająco:

– Nie jestem żadnym bohaterem, Mercy.

Zwróciłam twarz ku chłopcu.

– Czy to znaczy, że nie mam szans zobaczyć go w lycrowym ubranku?

Chad uniósł brwi, bezgłośnie powtarzając trudny wyraz.

Stefan z westchnieniem dotknął ramienia chłopca i przeliterował wyraz „lycra”. Chad skrzywił się z obrzydzeniem.

– Ej! – obruszyłam się. – Widok przystojnego faceta w obcisłym ubranku jest wysoko na liście rzeczy, które chcę zrobić, zanim umrę.

Stefan poddał się w końcu.

– Na mnie nie licz. – Roześmiał się. – To co teraz, duchozmiataczko?

– Kiepskie imię jak na superbohatera – prychnęłam.

– Scooby-Doo jest już zajęte, poza tym każde inne jest kiepskie – oświadczył z godnością.

– A poważnie, lepiej chodźmy do rodziców. – Którzy, jak liczyłam, przespali wszystkie te krzyki Chada i trzaskania drzwiami, nie mówiąc o rozmowach pod ich sypialnią. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że ich twardy sen wcale nie jest dobrym znakiem.

– My? – zdumiał się Stefan. – Mam iść do nich z tobą?

Nie chciałam, żeby Chad okłamywał rodziców. A jeśli coś im się stało, wolałam mieć Stefana przy sobie. Główna sypialnia znajdowała się naprzeciwko pokoi mojego i Chada. Drzwi były grube... Amber i Corban nie mieli tak wyczulonego słuchu, jak ja czy Stefan. Może naprawdę przespali całe zamieszanie? Ujęłam kostur.

– Tak, chodź z nami. Chad? – Upewniłam się, że chłopak widzi moje usta. – Nie mów rodzicom, że Stefan jest wampirem, dobrze? Mówiłam ci już dlaczego. Wampiry nie lubią, gdy ludzie o nich wiedzą.

Chad zeszywniał, spoglądając z lękiem na Stefana.

– Nie, nie chodzi o Stefana. Jemu to nie przeszkadza. Ale innym owszem. – Poza tym jego ojciec pewnie i tak by nie uwierzył. I co gorsza, mógłby powiedzieć o tym Blackwoodowi. A ten niewątpliwie nie byłby zadowolony, że dzieciak wie o wampirach.

Otworzyliśmy drzwi do sypialni Whartonów. Mimo ciemności widziałam leżące na łóżku nieruchome postaci. Zamarłam, dopóki nie uświadomiłam sobie, że słyszę ich oddechy. Na szafce po stronie Corbana stał pusty kieliszek po brandy – teraz, kiedy się uspokołam, wyraźnie wyczuwałam woń alkoholu. Na drugiej komódce stała fiolka z lekami.

Chad wyminął mnie i wskoczył do rodziców pod kołdrę. Już nie musiał być dzielny. Zimne stopy podziały lepiej niż wcześniejsze hałasy. Corban usiadł gwałtownie.

– Chad... – Zobaczył nas. – Mercy? Kim jest ten człowiek i co robicie w mojej sypialni?

– Corban? – mruknęła sennie Amber, otrzeźwiała jednak błyskawicznie, dostrzegając syna, a potem nas.

– Mercy? Co się stało?

Opowiedziałam wszystko, pomijając tylko naturę Stefana. W zasadzie w ogóle nie wspominałam o nim konkretnie, z wyjątkiem stosowania zaimka „my”. Nie zwracali na to uwagi. Usłyszawszy, że Chad przez chwilę nie oddychał, w ogóle zapomnieli o Stefanie.

– Nie spotkałam się z czymś takim – przyznałam. – To ponad moje możliwości. Lepiej zabierzcie stąd Chada, może zatrzymajcie się na kilka dni w hotelu.

Corban wysłuchał wszystkiego z pokerową miną. Wstał, jednym płynnym ruchem zarzucając szlafrok. Słyszałam jego kroki w korytarzu, ale nie wszedł do pokoju syna. Stał przez chwilę w progu, po czym wrócił. Wiedziałam, co ujrzał – nic prócz rozdartego koca. Dobrze, że był świadkiem wydarzeń z samochodzikiem i regałem.

– Po pierwsze, musimy się spakować na kilka dni – powiedział, powróciwszy do sypialni. – Po drugie, poszukamy hotelu. Po trzecie, zadzwonię do szwagra kuzyna, który jest jezuitą.

– Ja wracam do domu – zaznaczyłam, nim kazał mi się zabierać i nigdy nie wracać. Powinnam zrobić coś w sprawie Blackwooda, lecz nie wiedziałam co. A z moich informacji wynikało, że nikt nie był w stanie nic poradzić na tego wampira. – W niczym tu nie pomogę, a muszę się zająć interesem.



– Dziękuję, że przyjechałaś. – Amber wstała i objęła mnie na pożegnanie. Wiedziałam, że najbardziej jest mi wdzięczna za przekonanie Corbana co do prawdomówności Chada. Pomyślałam, że teraz to akurat najmniejsze z jej zmartwień.

Corban wpatrywał się we mnie, jakby podejrzewał, że to ja byłam powodem wszystkiego. Też mi to przeszło przez głowę. Coś musiało spowodować pogorszenie sytuacji, a moja obecność sama nasuwała się jako przyczyna.

Zostawiłam ich z pakowaniem, sama pozbierałam swoje rzeczy i przed wyjściem jeszcze raz uściskałam Amber.

Nadal pachniała wampirem – podobnie jak ja i Stefan.



Stefan milczał, dopóki prawie nie wyjechaliśmy ze Spokane.

– Chcesz, żebym cię zmienił? – zapytał, kiedy mijaliśmy lotnisko.

– Nie, dzięki. – Rzeczywiście byłam zmęczona, ale nie lubiłam oddawać nikomu kierownicy vanagona. Jak tylko poskładamy z Zee Królika, zamierzałam go wstawić do garażu. Poza tym... – Nie sądzę, żebym zasnęła jeszcze w tym tysiącleciu. Jak mu się udało ugryźć mnie dwa razy tak, że o tym nie wiedziałam?

– Niektóre wampiry to potrafią – odpowiedział Stefan uspokajająco, tonem, którym lekarze zwracają się do śmiertelnie chorych pacjentów. – Ale ani ja, ani nikt z naszej chmary nie posiada takiego daru. Może z wyjątkiem Wulfe’a.

– Ugryzł mnie dwa razy. To gorzej niż raz, tak?

Odpowiedziało mi milczenie. Coś poruszyło się w mojej kieszeni. Drgnęłam nerwowo, nim zdałam sobie sprawę, że to komórka. Wydobyłam wibrujący aparat i, nie spojrzawszy na wyświetlacz, odebrałam.

– Tak? – rzuciłam może trochę ostro, ale naprawdę się bałam, tym bardziej że Stefan nie odpowiedział.

Przez moment w słuchawce panowała cisza.

– Co się dzieje? – zapytał Adam. – Obudził mnie twój strach.

Zamrugalam, marząc, żeby znaleźć się w domu. W domu, z

Adamem, zamiast jechać po ciemku z wampirem siedzącym obok.

– Przepraszam, nie chciałam.

– Efekty więzi watahy – wyjaśnił, a potem, ponieważ znał mnie dobrze, dodał: – Do Alfy dociera wszystko w pierwszej kolejności. Nikt ze stada jeszcze tego nie poczuł. Co cię tak wystraszyło?

– Duch – powiedziałam, po czym odetchnęłam ciężko. – I wampir. Wyciągnął ze mnie całą historię ze szczegółami.

– Tylko ty potrafisz jechać do miasta i dać się ugryźć jednemu wampirowi w okolicy. – Westchnął. Nie zdołał mnie jednak oszukać. Poza rozbawieniem dosłyszałam w jego głosie gniew.

Ale skoro on mógł udawać, ja również.

– Mniej więcej to samo powiedział Stefan. To nie fair. Skąd miałam niby wiedzieć, że najlepszym klientem męża Amber jest ten wampir?

Adam zaśmiał się smutno.

– Pytanie raczej, dlaczego nie przewidzieliśmy, że tak będzie. Czy teraz jesteś już bezpieczna?

– Tak.

– Świetnie, zaczekam na ciebie.

Rozłączył się bez pożegnania.

– No dobrze – podjęłam. – Powiedz mi teraz, co Blackwood może mi zrobić po takim dwukrotnym ugryzieniu.

– Nie wiem – westchnął Stefan. – W moim przypadku po dwóch wymianach mogę zawsze odnaleźć tę osobę, bez względu na odległość, która nas dzieli. Mogę go przyzwać, a jeśli jest wystarczająco niedaleko, zmusić do przyścia. Ale to musi być prawdziwa wymiana, twoja krew, moja krew. No i... możliwe jest nawiązanie relacji pan–niewolnik z osobą, z którą wymieni się krew. To swego rodzaju zabezpieczenie, bo nowe wampiry mogą się zbiesić. Zwykle pożywanie się jest mniej ryzykowne. Ale musisz pamiętać, że twoje reakcje nie są do końca normalne. Możliwe nawet, że nic ci nie będzie.

Zrobiło mi niedobrze na myśl o Amber, którą wampir karmił się nie wiadomo od jak dawna, i jej mężu, który przecież też mógł być

nieświadomym dawcą.

– Z deszczu pod rynnę – powiedziałam. – Niech to szlag. – Spokojnie. Myśl pozytywnie. Gdyby nie moja wizyta w Spokane, sytuacja Amber i Corbana byłaby taka sama, tyle że nikt by o tym nie wiedział. – Czy mógłby wymusić wymianę krwi, gdybym była nieprzytomna?

Stefan westchnął i osunął się na fotelu.

– To, że tego nie pamiętasz, nie znaczy, że byłaś nieprzytomna.

Przyszedł niespodziewanie. Nie miałam ani jednego, odkąd opuściłam Tri-Cities. Udało mi się zjechać na pobocze, wyskoczyć z vana i dobiec do rowu, zanim zwymiotowałam. To nie były mdłości, to był czysty, przeraźliwy strach.

Atak paniki nad atakami. Bolało mnie serce, głowa, nie mogłam przestać płakać.

I nagle minął. Poczułam ciepło, rozchodziło się w środku i otaczało mnie całą. Stado. Adam. I to tyle, jeśli chodzi o ukrywanie emocji przed watahą, która i tak miała dość mnie razem z moimi kłopotami.

Stefan otarł mi twarz chusteczką, wziął na rękę i zaniósł do samochodu. Usadził na siedzeniu pasażera.

– Mogę prowadzić – zaprotestowałam słabo. Magia watahy przerwała atak lęku, ale czułam, że wszyscy czekają w gotowości. Żeby pomóc mi w razie czego.

Stefan zignorował mój anemiczny sprzeciw i wrzucił bieg.

– Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego zamiast wymiany wolałby się normalnie pożywić? – zapytałam gnana raczej chorym pragnieniem dowiedzenia się wszystkiego niż iskrą nadziei.

– Po wymianie krwi też mogłabyś go przyzwać – odparł Stefan niechętnie.

– Po ilu? Wystarczy do tego jedna?

– Zależy od osoby. Przy twojej specyficznej reakcji na magię może po jednej, może po stu.

– Mogłabym go przyzwać? Czyli przyszedłby do mnie?

– Relacja wampir–karmiciel nie jest równorzędna dla obu stron,

Mercy – warknął. – Nie. Usłyszałyby cię. Tyle. Gdyby wymieniało się krew z KAŻDYM JEDZENIEM – zaakcentował to słowo – głosy w głowie mogłyby doprowadzić do szaleństwa. Dlatego robi się to tylko z własną menażerią. Są korzyści. Owce stają się silniejsze, czasowo odporne na ból, jak zresztą wiesz z własnego doświadczenia. Wampir zdobywa sługę, a w końcu niewolnika, który żywi go z własnej woli i dba o jego potrzeby za dnia.

– Przepraszam. Nie chciałam cię zdenerwować. Muszę po prostu wiedzieć, z czym mam do czynienia.

Poklepał mnie po kolanie.

– To hańba być tym, czym jestem. Człowiek, którym byłem, nigdy nie zgodziłby się na egzystencję kosztem tak wielu innych. Ale już nie jestem nim, od dawna.

Wyprzedził ciężarówkę – wjeżdżaliśmy pod górkę.

– Jeśli pożywił się tobą, bo akurat byłaś pod ręką, raczej nie dokonałby prawdziwej wymiany, tyle że...

– Tyle że co?

– Nie wydaje mi się, aby bez tego mógł tak skutecznie zablokować twoje wspomnienia. Przeciętnego człowieka, owszem, lecz ty masz bardzo silną wolę. – Wzruszył ramionami. – Większość wampirów-panów żywi się tymi stworzonymi przez siebie. Blackwood nie pozwala, by na jego terenie mieszkaly inne wampiry, nie wiem, czy w ogóle jakieś stworzył. Może nadrabia różnicę, wymieniając się krwią z każdym, na kim się pożywia?

Jakiś czas roztrząsałam to, co mi powiedział, a potem zapadłam w drzemkę. Ocknęłam się, kiedy zjeżdżaliśmy na autostradę trzysta dziewięćdziesiąt pięć do Ritzville. Do domu zostało trochę ponad sto kilometrów.

– Nie będzie miał nad tobą władzy, jeśli zwiążesz się z innym wampirem – rzekł Stefan.

Spojrzałam na niego, ale skupiał się całkowicie na drodze, zupełnie jakbyśmy jechali serpentynami w górach Montany, a nie pustą, prostą szosą.

– To propozycja?

Przytaknął.

– Zaczynam być niebezpiecznie niedożywiony. Wymiana wzmocniłaby mnie lepiej i nie musiałbym polować przynajmniej przez kilka nocy.

Zastanowiłam się nad jego ofertą. Nie żebym zamierzała z niej skorzystać, ale stało za tym coś więcej. Nauczyłam się, że jeśli chodzi o wampiry, zawsze jest jakieś drugie dno. W przypadku Stefana niekoniecznie oznaczało to ukrywanie egoistycznych korzyści.

– Zyskasz sobie wroga – zauważyłam. – James Blackwood rządzi Spokane niepodzielnie, nie tylko nie dopuszcza tam wampirów, ale także nieludzi. To znaczy, że jest niezwykle zaborczy. I potężny. Nie spodoba mu się, jeśli staniesz między nim a mną.

– I tak pewnie nie byłby w stanie przyzwać cię z Tri-Cities. Nie sądzę nawet, żeby próbował, szczególnie jeśli wymiana krwi jest u niego normalną procedurą podczas każdego pożywiania się. Jednak jeśli cię ze sobą związę, nie będzie miał takiej możliwości – mówił powoli. – Dokonaliśmy już jednej wymiany. Potrafię zrobić to tak, żeby nie była strasznym przeżyciem.

Gdyby Blackwood mnie przyzwał, gdyby uczynił mnie swoją owcą, Adam przyszedłby mi na ratunek z całym stadem. Mary Jo prawie że zapłaciła najwyższą cenę w imię moich kłopotów. Jeśli zostanę w Tri-Cities, Blackwood nawet się nie zorientuje, że przyczyną, dla której nie może mnie przyzwać, jest Stefan.

– Adam jest moim towarzyszem – powiedziałam. Nie byłam pewna, czy zdradzać mu, że Adam włączył mnie do stada. – Czy Blackwood może dzięki mnie zyskać dostęp do Adama?

– Nie, ja również nie. To sprawdzone. Nasz dawny Pan... Stwórca Marsilii miał słabość do wilków i lubił eksperymentować. Więzy krwi działają na innej płaszczyźnie magii niż więź ze stadem. Raz włączył do swojej menażerii wilkołaczkę, towarzyszkę Alfę, licząc, że dzięki temu będzie kontrolował przywódcę watahy. Nie udało się.

– Marsilia też lubi pożywiać się na wilkołakach. – Byłam tego

świadkiem.

– Z moich obserwacji wynika, że krew wilkołaków może w pewien sposób uzależniać. – Zerknął na mnie. – Nigdy nie pożywiałem się na wilkołakach, w każdym razie aż do tamtej nocy. I nie zamierzam tego powtarzać.

Byłam bliska podjęcia decyzji – albo najgłupszej, albo najmądrzejszej w życiu.

– Czy to nieodwracalne? Ta więź między nami?

Popatrzył na mnie ostro i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zmilczał.

– Wyjawiłem ci dzisiaj rzeczy, o których większość wampirów nawet nie wie – odezwał się po chwili. – To zakazana wiedza. Gdybym bez reszty należał do Marsilii albo gdyby nie zerwała moich więzi z chmarą, nie mógłbym ci tego powiedzieć.

Poklepał dłońmi kierownicę, obserwując, jak mija nas wielki wóz kempingowy holujący hondę accord.

– Te graty wloką się gorzej niż szkolne autobusy – mruknął. – I gdzie w tym przyjemność z jazdy?

Czekałam. Gdyby odpowiedź była pozytywna, a więzy nierozzerwalne, nie wahałby się tak. Jeśli nie, po wyeliminowaniu Blackwooda wszystko dałoby się odwrócić. Czasowe związanie się ze Stefanem nie było aż tak przerażające jak, powiedzmy, trwałe połączenie pomiędzy mną a Adamem.

– Marsilia potrafi przeciąć więź łączącą pana i owcę – rzekł wreszcie. – Albo przejmuję ją, albo po prostu niszczy.

– Nic nam to nie daje. Odnoszę wrażenie, że przy pierwszej lepszej okazji zabiłaby i mnie, i ciebie.

– No tak. Lecz podejrzewam na podstawie różnych aluzji, że Wulfe też to potrafi – jego ton złodowaciał, brzmiąc bardzo niestefanowo. – A Wulfe ma wobec mnie dług i to taki, że musi spełnić moją prośbę, mimo że Marsilia ogłosiła mnie wrogiem chmary. – Uspokoił się i potrząsnął głową. – Jednak po zerwaniu więzi natychmiast staniesz się znów bezbronna wobec Blackwooda.

Wulfe w żaden sposób nie wydawał mi lepszą opcją od Marsilii,

ale nie miałam za bardzo wyboru. Zostawiłam Amber samej sobie, żeby przegrupować siły, lecz nie mogłam porzucić jej całkiem na pastwę Blackwooda.

Ciekawe, czy poczucie winy Zee jest nadal tak silne, by pożyczył mi zaklęty sztylet oraz amulet, które pomogły mi zgładzić wampiry. Może nawet kolejny magiczny kołek?

Nigdy poważnie nie brałam pod uwagę możliwości zabicia Marsilii jako jednej z opcji ocalenia skóry. Po pierwsze, widziałam jej chmarę. Po drugie, miała zbyt wiele sług, którzy natychmiast zabiliby mnie w zemście.

Dlaczego więc rozważałam zgładzenie Blackwooda?

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że James Blackwood, miły biznesmen, jest tylko fasadą, za którą kryje się wampir. Jednak widziałam go, rozmawiałam z nim i nie wydawał się aż tak przerażający. Poza tym nie miał świty. I karmił się na Amber wbrew jej woli, robiąc z niej swojego niewolnika – kobietę zostawiającą własne dziecko sam na sam z kimś prawie obcym w domu, w którym grasował duch. Nie pomogłam Amber z duchem, niewykluczone, że jeszcze pogorszyłam sprawę. Ale mogłam pomóc jej z wampirem.

– Zgoda – rzekłam. – Wolę... – omal nie udławiłam się kolejnymi słowami – być posłuszna tobie niż jemu.

Rzucił na mnie okiem.

– Dobrze.



Zjechał do zatoczki. Stało w niej sporo ciężarówek, lecz część dla samochodów osobowych pozostała pusta. Rozpiął pas i przelazł pomiędzy siedzeniami na tył wozu. Powoli uczyniłam to samo.

Usiadł na kanapie i poklepał miejsce obok siebie.

– Nie rób tego, jeśli nie chcesz – rzekł, widząc moje wahanie. – Do niczego cię nie zmuszę.

Bez Stefana w żaden sposób nie oprę się Blackwoodowi, a co za tym idzie – nie pomogę Amber. Oczywiście, jeśli Marsilia dopadnie

mnie wcześniej, nie będę musiała się martwić ani jednym, ani drugim.

– Czy narażę tym Adama i stado na jeszcze większe niebezpieczeństwo? – zapytałam.

Stefan uczynił mi grzeczność, poświęcając chwilę na namysł, choć czułam jego niecierpliwość – pachniał jak wilk, który zwęszył jakiś smaczny kąsek. Zastanawiałam się, czy jeśli zacznę uciekać, ulegnie przymusowi rzucenia się w pościg, tak jak działało to w przypadku wilkołaków?

Przyglądałam mu się, powtarzając w myślach, że przecież znam go już długo. Nigdy nie zrobił niczego, żeby mnie skrzywdzić. To Stefan, nie jakiś obcy drapieżnik.

– Nie widzę, w jaki sposób – odpowiedział. – Oczywiście Hauptman będzie wściekły, to pewne. Sama wiesz, jak zareagował, kiedy przyzwałam cię przypadkowo. Ale jest pragmatykiem. Wie, że w krytycznych sytuacjach trzeba podejmować trudne decyzje.

Usiadłam obok Stefana aż nazbyt świadoma chłodu jego ciała. Był zimniejszy niż zazwyczaj. Poczułam pewnego rodzaju zadowolenie, że jemu też to pomoże. Miałam już dość przysparzania przyjacielom cierpień. Odsunął mi włosy z szyi.

– Czemu nie przegub? – zapytałam, przytrzymując rękę Stefana. Ostatnim razem ugryzł mnie w nadgarstek.

Pokręcił głową.

– To dużo bardziej bolesne. Zbyt wiele nerwów tuż pod skórą. – Spojrzał mi w oczy. – Ufasz mi?

– Nie zdecydowałabym się na to, gdybym ci nie ufała.

– Dobrze. Muszę cię przytrzymać, bo jeśli się ruszysz, mogę przegryźć jakieś inne naczynie i wykrwawisz się na śmierć.

Nie ponaglał mnie, siedział na kanapie, jakby mógł zostać tam na całą wieczność.

– W jaki sposób?

– Złapię cię za ręce i przycisnę do brzucha.

Przeanalizowałam to pod kątem lękowym: Tim nigdy nie trzymał mnie w ten sposób. Staralam się nie wspominać, jak to robił, ale



osiągnęłam tylko częściowy sukces.

– Wracaj za kierownicę – powiedział Stefan. – Kluczyki są w stacyjce. Będiesz musiała sama dojechać do domu, bo nie mogę przy tobie zostać. Muszę zapolować. Będę...

Objęłam się ramionami, przysuwając do przyjaciela.

– Zrób to.

Otoczył mnie niespiesznie ramieniem, a kiedy się nie wyrywałam, położył dłoń na moich skrzyżowanych rękach, unieruchamiając w uścisku.

– W porządku? – zapytał spokojnie, jakby żądza nie lśniła w jego oczach, rozjarzając je niczym lampki choinkowe.

– Tak.

Musiał mieć bardzo ostre kły, bo kiedy je wbijał, poczułam jedynie wilgoć jego ust. Zabolało dopiero, gdy zaczął ssać.

*Kto pożywia się przy moim stole?!*

W przeciwieństwie do Stefanowego ugryzienia ryk w głowie przeraził mnie okrutnie. Mimo to nie drgnęłam, zamarłszy jak mysz na widok kota. Jeśli się nie poruszy, może kot nie zaatakuje. Miarowy rytm ssania zwolnił na moment, ale Stefan poklepał mnie po kolanie i szybko podjął żerowanie. Wbrew logice uspokoiło mnie to. On także słyszał głos Potwora, a nie uciekł.

Po chwili ból się nasilił, a nieartykułowane, gniewne wycie zaczęło przycichać. Robiło mi się coraz zimniej, zupełnie jakby wraz z krwią Stefan wysysał z mojego ciała ciepło. Po jakimś czasie odsunął się, wcześniej przejeżdżając po ranie językiem.

– Kiedy spojrzysz w lustro – szepnął – nie zobaczysz śladów. On zostawił je celowo, żebyś wiedziała, co zrobił.

Zadrzałam, osłabła. Stefan przygarnął mnie, sadzając sobie na kolanach. Był ciepły, wręcz parzył. Uniósł się odrobinę, sięgając do kieszeni po scyzoryk. Przesunął ostrzem wzdłuż nadgarstka, tak jak powinno się to robić, chcąc naprawdę podciąć sobie żyły.

– Myślałam, że to zbyt bolesne – udało mi się wymamrotać mimo oszołomienia.

– Dla ciebie. Pij, Mercy. I zamknij się. – Przez twarz Stefana

przemknął lekki uśmiech, a potem odchylił głowę tak, że nie widziałam już jego miny.

Może czynność ta powinna budzić we mnie silniejszy opór. Może w innych okolicznościach... Tej nocy byłam odarta ze zbytnej wrażliwości. Poza tym, polując w formie kojota, nie gotowałam złowionej zwierzyny. Smak krwi nie był dla mnie nowością, nie budził wstrętu, szczególnie że to krew Stefana, nie zabijałam go ani nie sprawiałam bólu.

Pochyliłam się, przykładając usta do rany na przegubie. Stefan jęknął cicho, choć nie brzmiało to jak głos cierpienia. Dotknął delikatnie moich włosów, zaraz jednak odjął dłoń, jakby bał się, że odbiorę to jako przymuszanie. Decyzja należała tylko do mnie.

Jego krew nie smakowała podobnie do króliczej czy mysiej. Była bardziej gorzka i dużo słodsza jednocześnie. Przede wszystkim jednak ciepła, wręcz wrząca, a ja marzłam. Piłam, póki nacięcie nie zasklepiło się pod moim językiem.

Pamiętałam ten smak. Czułam się tak, jakbym jednego dnia po raz drugi jadła w McDonalddie tę samą potrawę. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie głosu Blackwooda. Nie pojawiły się konkretne słowa czy okoliczności, ale przelotna reminiscencja dźwięku wystarczyła, bym zwinęła się na siedzeniu i, wsparłszy czoło na udzie Stefana, zaczęła płakać.

Stefan odsunął rękę, zaś drugą lekko gładził mnie po włosach.

– Już dobrze, Mercy – uspokajał. – Już tego nie robi. Już nie. Teraz jesteś moja. Nie może zawładnąć twoim umysłem i zmusić cię do czegokolwiek.

– Możesz teraz czytać w moich myślach? – wymamrotałam w jego spodnie.

– Nie. – Zaśmiał się. – Tylko w momencie, kiedy pijesz. Nie posiadam takiego daru. Twoje tajemnice są bezpieczne.

Śmiech Stefana wyparł głos Blackwooda.

– Cieszę się, że nie pamiętam więcej z tamtych chwil – oświadczyłam, unosząc twarz. Ale i tak wiedziałam, że pragnienie ujrzenia płonącego ciała Blackwooda nabrało teraz bardziej

osobistego wymiaru niż przedtem, kiedy chciałam odplacić mu za to, co robił Amber.

– Jak się czujesz? – zapytał Stefan.

Przeanalizowałam swój stan.

– Genialnie. Biegiem mogłabym dotrzeć do Tri-Cities szybciej niż samochodem.

– Bez przesady. – Roześmiał się. – No, chyba że złapałibyśmy gumę.

Kiedy wstał, wyglądał lepiej niż... Niż zanim wylądował u mnie w salonie jako spalona mumia. Także się podniosłam, jednak natychmiast musiałam usiąść.

– Zaburzenia równowagi – stwierdził. – To jak po sporej dawce alkoholu. Przejdzie, ale lepiej ja poprowadzę.

Powinnam czuć się paskudnie. Cienki głosik w głowie biadolił, że zanim związałam się tak permanentnie ze Stefanem, powinnam skonsultować się z Alfą. A jednak miałam się świetnie, lepiej niż świetnie. I nie tylko ze względu na efekty wampirzej krwi. Powróciła świadomość, że mam wszystko pod kontrolą – po raz pierwszy od napaści Tima. Co było dość absurdalne, zważywszy na okoliczności.

Jednak tym razem to ja sama podjęłam decyzję o poddaniu się władzy Stefana.

– Stefan?

– Hm?

– Ktoś ci powiedział o tym znaku na drzwiach mojego garażu? – Ciągle zapominałam go o to zapytać, choć ostatnie wydarzenia raczej nie pozostawiały wątpliwości, że skrzyżowane pizsczele to wiadomość od Marsilii.

– Nie, nikt mi o tym nie mówił. Ale sam widziałem.

Snopy światła reflektorów odbijały się w oczach Stefana. Jak flesze aparatów, tylko straszniej. Wywołało to mój uśmiech.

– To sprawka Marsilii?

– Prawie na pewno.

W zasadzie to wystarczało, jednak mieliśmy trochę czasu, a w

głowie dźwięczały mi słowa Brana: „Najważniejsza jest wiedza, Mercy. Zbierz tyle informacji, ile zdołasz”.

– Co dokładnie oznacza?

– To piętno zdrajcy. Oznajmia, że jeden z naszych zdradził, a Marsilia i jej ludzie uprzedzają, że zareagują. To wypowiedzenie wojny.

Czyli nic, czego bym się nie spodziewała.

– Jest w tym magia. Jak działa?

– Nie pozwala go zamalować. A jeśli taki znak pozostaje gdzieś długo, zaczyna przyciągać inne paskudne istoty, które nie mają nic wspólnego z wampirami.

– Fantastycznie.

– Zawsze możesz wymienić drzwi.

– Jasne – burknęłam. Jakoś trudno mi było uwierzyć, że towarzystwo ubezpieczeniowe zapłaci za wymianę drzwi, kiedy wyjaśnię, że znaku nie da się zamalować.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Rozpamiętywałam ostatnie wydarzenia, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyłam albo czy mogłam coś zrobić inaczej.

– Stefan? Jakim cudem nie potrafiłam wyczuć Blackwooda po tym, jak mnie ukąsił? Dzisiaj owszem, byłam zdekoncentrowana, ale wczoraj, po tym pierwszym ugryzieniu, zwróciłam na to szczególną uwagę.

– Spróbowałszy twojej krwi, dowiedział się, jaka jest istota twojej natury. – Stefan przeciągnął się, a wozem zakołysało odrobinę. – Nie wiem, czy próbował cię przekonać, że jest człowiekiem, czy po prostu ma nawyk usuwania swojego zapachu. Na starym kontynencie żyły istoty, nie tylko wilkołaki, zdolne wysledzić nas po zapachu albo po innych śladach, włosach, ślinie, krwi. Niektóre stare wampiry nauczyły się zawsze usuwać wszelkie ślady swojej bytności ze swoich siedzib i terenów łowieckich.

Prawie zapomniałam, że wampiry potrafią to robić.

Po wjeździe na ruchliwsze ulice miasta otrzeźwiła mnie zmiana w odgłosie zwalniającego silnika.

– Chcesz jechać do siebie czy do Adama? – zapytał Stefan.

Dobre pytanie. Mimo przekonania, że Adam zrozumie moją decyzję, nie spieszyło mi się do rozmowy z nim. Poza tym byłam zbyt zmęczona na roztrząsanie kwestii, które chciałam w tym momencie od siebie odsunąć, oraz sposobów zgładzenia Blackwooda. Przed spotkaniem z Adamem potrzebowałam porady Zee oraz porządnego snu.

– Do siebie.

Prawie zapadłam z powrotem w drzemkę, kiedy wóz gwałtownie zwolnił. Podniosłam głowę, od razu dostrzegając przyczynę. Na środku jezdni stała jakaś postać. Patrzyła pod nogi, jakby czegoś szukała. Sprawiała wrażenie, jakby nas nie zauważyła.

– Znasz ją? – Pytanie Stefana miało sens, ponieważ znajdowaliśmy na mojej ulicy, kilka posesji od domu.

– Nie.

Przystanął kilkanaście metrów przed kobietą, która dopiero wtedy podniosła głowę. Warkot silnika ucichł. Stefan zerknął przez ramię i wysiadł.

Kłopoty.

Zrzuciłam ubranie, otworzyłam drzwiczki i przemieniłam się, wyskakując na drogę. Może kojot nie jest duży, ale ma kły i zaskakująco skuteczne pazury. Wśliznęłam się pod vana i przeczołgałam do przodu, gdzie Stefan stał w swobodnej pozie, opierając się o zderzak.

Przy kobiecie pojawiły się nagle wampiry. Dwa z nich znałam z widzenia, ale nie z imion. Trzecim była Estelle.

Pierwotnie do chmury Marsilii należało pięć wampirów, które z czasem wypracowały swego rodzaju równowagę sił, pozwalającą im na uniezależnienie przetrwania od Pani. Należeli do nich Stefan, Andre, którego zabiłam, Wulfe – upiorny mag w ciele chłopca, Bernard, który zawsze kojarzył mi się z handlarzem jakby żywcem wyjętym z powieści Dickensa, oraz Estelle, Mary Poppins nieumarłych. Nigdy nie widziałam jej ubranej inaczej niż jak edwardiańska guwernantka, a ten raz nie należał do wyjątków.

Stefan tylko czekał, aż pojawię się u jego boku. Zerknął na mnie, po czym zwrócił się do wampirzycy.

– Cóż za miłe spotkanie, Estelle.

– SŁYSZAŁAM, że cię nie zgładziła – zaczęła Estelle ze swoim sztywnym, brytyjskim akcentem. – Torturowała cię, głodziła, wyгнаła, a potem wysłała, byś zabił tę swoją kojocią sukę.

Stefan rozłożył ręce, jakby chciał pokazać pełnię zdrowia, sił i życia. A raczej nieżycia.

– Dobrze słyszałaś – w jego akcent wkradła się melodyjna włoska nuta, wyraźniejsza niż zwykle.

– A jednak jesteś tu i ta suka też.

Warknęłam.

– Chyba nie lubi, gdy ją tak nazywasz – stwierdził Stefan z uśmiechem.

– Marsilia jest szalona. Jest szalona, odkąd obudziła się dwanaście lat temu. – Estelle złagodniała, postępując do przodu. – Inaczej nigdy by cię nie torturowała, nie swojego ulubieńca.

Zawiesiła głos, czekając na reakcję Stefana.

– Mam dla ciebie propozycję – podjęła, gdy Stefan milczał. – Przyłącz się do mnie, a zakończymy jej nieszczęsną egzystencję. Wiesz, że sama by cię o to poprosiła, gdyby była świadoma, co się z nią dzieje. Zniszczy nas tą swoją obsesją na tle powrotu do Włoch. Nasz dom jest tutaj, nasza chmara nie podda się niczyjej władzy. We Włoszech nie czeka nas nic dobrego.

– Nie – zaprotestował Stefan stanowczo. – Nie wystąpię przeciwko Pani.

– Nie jest już twoją Panią. – Estelle podeszła bliżej, a ja przyłgnęłam do nogi Stefana. – Zadała ci okrutne męczarnie, widziałam to. Tobie, który ją kochałeś. Głodziła cię, obdzierała ze skóry. Jak możesz ją po czymś takim jeszcze wspierać?

Stefan nie odpowiedział.

A ja uświadomiłam sobie bez cienia wątpliwości, że postąpiłam słusznie, zawierając mu własne życie, ufając, że nie uczyni ze mnie bezwolnego sługi. Stefan nie zdradzał ludzi, których kochał. Bez

względu na wszystko.

Estelle z irytacją wyrzuciła ręce w górę.

– Głupcze. Wiesz, że w końcu zginie z mojej ręki albo z ręki Bernarda. A zdajesz sobie sprawę, że potrafię lepiej zadbać o chmarę niż ten idiota, Bernard. Mam znajomości. Dopilnuję, by nasza chmara wzrosła w potęgę tak wielką, że nawet włoskie dwory nie będą w stanie nam zagrozić.

Stefan odepchnął się od zderzaka, stanął prosto i splunął z pogardą.

Zesztywniała rozwścieczona obelgą i uśmiechnęła się groźnie.

– No, dalej – warknął i naraz, magicznie jak w „Nieśmiertelnym”, w ręku Stefana pojawił się miecz. Broń robiła wrażenie raczej skutecznej niż pięknej, zabójczej.

– Pożałujesz tego, Żołnierzu – syknęła Estelle.

– Żałuję wielu rzeczy – odparł tonem lodowatym z gniewu. – Puszczanie cię wolno dzisiejszej nocy pewnie będzie kolejną. Być może nie powinienem tego robić.

– Pamiętaj, kto cię zdradził, Żołnierzu – rzekła. – Wiesz, jak mnie znaleźć, ale nie czekaj, aż będzie za późno.

Wampiry ulotniły się z nieprawdopodobną prędkością, zabierając ze sobą swoją ludzką przekąskę. Stefan stał z mieczem w dłoni, czekając, by silnik jednego z mercedesów chmary zamruczał, a czarny wóz z rykiem przejechał obok nas, znikając w mroku.

– Wyczuwasz coś, Mercy? – zapytał.

Powęszyłam, jednak wszystkie wampiry prócz Stefana odeszły. Albo znajdowały się na zawietrznej. Potrząsnęłam łbem i wskoczyłam do samochodu. Stefan, jak zawsze dżentelmen, poczekał na zewnątrz, aż się ubrałam.

– To było ciekawe – podsumowałam, kiedy wszedł i ruszyliśmy.

– Idiotka.

– Marsilia?

– Estelle. Nie dorasta Marsilii do pięt. Bernard... Jest silniejszy, mimo że młodszy. Razem może coś zdziałają. Ale ja się do nich nie przyłączę.

- Nie wydaje mi się, żeby działali razem.
- Tak będzie, dopóki łączą ich wspólne cele. Później zaczną ze sobą walczyć. Lecz oboje są głupcami, jeśli wierzą, że uda im się zejść tak daleko. Zapomnieli albo nawet nie wiedzą, jaka naprawdę jest Marsilia.



- Przystanął na podjeździe. Wysiedliśmy.
- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, jeśli usłyszysz, że Blackwood próbuje cię przyzwać, pomyśl moje imię i zapragnij, żebym znalazł się przy tobie, a przybędę. – Był posępny. Miałam nadzieję, że to przez spotkanie z Estelle, nie przeze mnie.
  - Dziękuję.
- Musnął kciukiem mój policzek.
- Nie spiesz się z dziękowaniem. Jeszcze możesz zmienić zdanie.
  - Podjęłam decyzję. – Poklepałam go po ramieniu.
- Uklonił mi się lekko i zniknął.
- Ale odjazd – rzuciłam w stronę, gdzie przed chwilą stał. Nagle ogarnęło mnie takie zmęczenie, że ledwo unosiłam powieki. Dowlokłam się do domu i padłam na łóżko.





## Rozdział 8

**K**iedy obudziłam się następnego... popołudnia, Adam siedział w nogach łóżka. Oparty o ścianę, czytał sponiewierany egzemplarz „Księgi pięciu kręgów”. Książka opierała się lekko o grzbiet Medei, która mruzczała, merdając kikutem ogona – mój kot miał raczej psią mowę ciała.

– Nie powinienes być w pracy? – zapytałam.

– Mam pobłażliwego szefa – odrzekł nieobecny tonem, przewracając stronę.

– Nie obcina ci wypłaty za obijanie się? Skąd się bierze takich szefów?

– Mercy... – Uśmiechnął się. – Przecież Zee też tego nie robił, kiedy jeszcze dla niego pracowałaś. I nie mam pojęcia, skąd bierze się ludzi, których skłonna byłabyś słuchać... Póki sama tego nie zechcesz. – Zaznaczył miejsce, gdzie skończył czytać, i odłożył książkę. – Przykro mi, że twoje egzorcyzmy się nie powiodły.

– Hm, to zależy, jak na to spojrzeć. Dowiedziałam się kilku ciekawych rzeczy... Wiedziałaś, że Stefan zna język migowy? Po co wampir miałby się go uczyć? A przede wszystkim, że duchy nie muszą być tak nieszkodliwe. Zawsze myślałam, że mogą zabić człowieka, jedynie strasząc go na śmierć.

Słuchał, objąwszy dłonią palce moich okrytych kocem stóp. Drugą ręką drapał Medeę za uszami. Adam potrafił słuchać lepiej niż ktokolwiek inny. Opowiedziałam mu więc wszystko, czego nie zdążyłam przez telefon.

– To chyba moja wina.

– To znaczy?

– Ten duch. Dopóki tam nie przyjechałam, nie robił wielkich szkód. Przesuwał meble i takie tam. Straszył, owszem, ale nie stwarzał realnego zagrożenia. Wszystko zmieniło się w mojej obecności. Chad mało co nie zginął. Duchy tak nie robią, nawet Stefan tak twierdzi. To była chyba reakcja na mnie.

– Zdarzyło ci się kiedyś coś podobnego? – zapytał, ściskając lekko moją stopę.

– Nie.

– Więc może przypisujesz sobie zbyt wiele? Może stałoby się to samo bez względu na twoją obecność, a gdyby nie ty i Stefan, chłopiec by zginął.

Nie byłam co do tego przekonana, ale podzielenie się lękami z Adamem poprawiło mi nastrój.

– Co u Mary Jo? – zapytałam.

– Jest trochę... nieswoja. – Westchnął. – Ale Samuel zapewnia, że za kilka dni wróci do siebie. – Odpreżył się nieco i uśmiechnął. – Na razie ma chętkę rozprawić się z całą chmarą w pojedynkę. Poza tym powiedziała Benowi, że jeśli będzie trzymał język za zębami, pójdzie z nim do łóżka. Stwierdziliśmy, że jej całkowite wyleczenie poznamy po tym, że przestanie z nim flirtować.

Roześmiałam się mimowolnie. Mary Jo była bardzo wyzwoloną kobietą i fakt bycia wilkołakiem niczego w tej kwestii nie zmieniał. Ben natomiast nie dość, że mizoginista pierwszej wody, był do tego wulgarnym chamidłem. Razem tworzyli parę jak iskra i dynamit.

– Jakież kłopoty z wampirami?

– Cisza.

– Ale rozmowy niewiele przyniosły?

– Nie przejmuj się tym, Mercy. – Sam również wydawał się nie

martwić. – Umiemy o siebie zadbać.

Może to ton, jakim to powiedział...

– Co zrobiłeś?

– Mamy paru gości. Żaden z nich nie posiada Stefanowej umiejętności znikania.

– I będziesz ich trzymał, póki...

– Póki nie doczekamy się przeprosin za wydarzenia u Wujka Mike'a oraz odszkodowania dla Mary Jo. Oraz zapewnienia, że nic takiego już się nie powtórzy.

– Myślisz, że jest na to szansa?

– Bran zadzwonił, aby przekazać Marsilii nasze żądania. Jestem przekonany, że nie będzie z tym problemów.

Odetchnęłam z ulgą. Jeśli Marsilii na czymś zależało, to na chmarze. A wojna z Branem oznaczałaby koniec chmary. Wampiry z Tri-Cities nie miały takiej liczebności, jaką dysponował Bran – i Marsilia była tego świadoma.

– Więc będzie musiała skupić się tylko na mnie.

– Wedle porozumienia nie zaatakuje watahy, chyba że któreś z nas zagrozi jej bezpośrednio.

– Ale ona nie wie, że należę do stada.

– Zaraz po przeprosinach i pisemnym przyjęciu warunków z przyjemnością ją o tym poinformuję.

Odrzuciłam koc i przetoczyłam się, zatrzymując na czworaka, nos przy nosie Adama. Pocałowałam go delikatnie. Nie przestał głaskać kota.

– Podobają mi się twoje sposoby. Skuszę cię na racuchy, które usmażę, gdy tylko wezmę prysznic.

Pochylił się i pocałował mnie głęboko, ale wciąż nie zabrał rąk z kota. Oboje oddychaliśmy nierówno, kiedy się cofnął.

– A teraz powiedz mi, dlaczego pachniesz Stefanem – rzekł prawie że łagodnie.

Obwąchałam się. Rzeczywiście, pachniałam jak Stefan, bardziej, niż powinnam po samej podróży w jednym samochodzie.

– Dziwne.

– Dlaczego pachniesz wampirem, Mercy?

– Bo dokonaliśmy wymiany krwi – oświadczyłam, po czym przekazałam Adamowi wszystko, co w drodze do domu Stefan powiedział mi o ukąszeniach. Nie pamiętałam, które z tych informacji stanowiły tajemnice, lecz nie miało to znaczenia. Nie zamierzałam ukrywać niczego przed Adamem, na pewno nie w sytuacji, gdy włączył mnie do stada.

Stefan twierdził, że ani on, ani Blackwood nie są w stanie za moim pośrednictwem wpłynąć w jakikolwiek sposób na watahę. Ja jednak nie wiedziałam wystarczająco dużo o magii stada, by mieć absolutną pewność, zresztą przecież Stefan także nie. Byłam przekonana natomiast, że Adam zgodzi się z moją decyzją, choć bez zachwyty.

W trakcie wyjaśnień Adam zrzucił Medeę na ziemię (za co będzie musiał odpokutować, gdyby chciał ją jeszcze dzisiaj dotknąć) i zaczął krążyć po pokoju. Po kilku rundach zatrzymał się i rzucił mi zatroskane spojrzenie.

– Zawsze lepiej Stefan niż Blackwood.

– Tak właśnie uznałam.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi nic po tym, kiedy Blackwood ukąsił cię po raz pierwszy? – zapytał wyraźnie dotknięty.

Nie wiedziałam.

Uśmiechnął się smutno.

– Staram się, Mercy, naprawdę się staram, ale ty też musisz się czasem ugiąć. Dlaczego nie powiedziałaś mi, jak sprawy się mają, jeszcze kiedy tam byłaś? Dlaczego czekałaś z tym, aż będzie za późno?

– Wiem, powinnam powiedzieć ci wszystko od razu.

Zwrócił na mnie ciemne oczy, w których krył się ból. Poczułam, że muszę się wytłumaczyć.

– Nie przywykłam liczyć na innych – zaczęłam powoli, jednak w miarę mówienia słowa pojawiały się coraz szybciej. – Poza tym... Tyle dla mnie ostatnio zrobiłeś. Ukąszenie wampira, owszem, obrzydliwe, straszne, ale nie sądziłam, że to coś poważnego. Raczej

coś jak wielki komar albo... duch. Przerazające, lecz niegroźne. Przecież już raz byłam ukąszona, pamiętasz? I nic takiego się nie stało. Gdybym ci o tym wspomniała, kazałbyś mi wracać, a nie mogłam ot tak zostawić Chada, dziesięciolatka dzielniejszego niż niejeden dorosły, którego dręczył duch. Myślałam, że dam radę mu pomóc. No i beze mnie tutaj Marsilia byłaby bardziej skłonna cię wysłuchać. Dopiero kiedy Stefan się tak przejął, po drugim ugryzieniu, tuż przed wyjazdem, uznałam, że to groźniejsze, niż zakładałam. – Wzruszyłam ramionami, mrugając powiekami, aby za wszelką cenę powstrzymać łzy. – Przepraszam, to było głupie. Ja byłam głupia. Wszystko, czego się dotknę, natychmiast się sypie. – Odwróciłam od Adama twarz.

– Nie – zaprzeczył, a materac ugiął się pod jego ciężarem. – To nie tak. – Trącił mnie ramieniem. – Nie jesteś głupia. I masz rację, kazałbym ci wracać, a jeśli nie, związałbym cię, zakneblował i sam tu przywiózł. I Chad by zginął.

Oparłam się o wilkołaka lekko.

– Przecież zwykle nie wpadasz aż w takie tarapaty – w jego głosie czaiło się rozbawienie. – Prócz tych kilku niezapomnianych razów. Może to tak, jak powiedziała ta kobieta u Wujka Mike’a. – Nie wymienił Baby Jagi z imienia. – Może masz coś z Kojota i kroczy za tobą chaos? – Musnął mnie w szyję. – Ten wampir tego pożałuje.

– Stefan?

Roześmiał się, tym razem wesoło.

– On pewnie też, ale ja nie będę miał z tym nic wspólnego. Mówiłem o Blackwoodzie.

Adam został, poczekał, aż wzięłam prysznic i zrobiłam racuchy. Samuel zastał nas jedzących śniadanie. Był zmęczony, roztaczał woń środków dezynfekcyjnych i krwi. Bez słowa ruszył do kuchni i nalał sobie ciasto na patelnię.

Samuel wyglądał tak po naprawdę ciężkich dyżurach. Jakiś jego pacjent zmarł, został okaleczony, a on nie mógł mu pomóc.

Przełożył racuchy na talerz i usiadł przy stole obok Adama. Polawszy porcję syropem klonowym, zamarł, wpatrując się w

talerz, jakby syrop krył w sobie odpowiedzi na tajemnicę wszechświata.

Potrząsnął głową.

– Chyba trochę przeceniłem swój wilczy apetyt – oświadczył, wrzucił racuchy do młynka na odpadki i włączył go z taką miną, jakby miał w nim najgorszego wroga.

– Co tym razem? – zapytałam. – „Johnny upadł i złamał sobie rękę” czy „żona wpadła na drzwi”?

– Mała Ally pogryziona przez pitbulla – warknął, wyłączając młynek. Kontynuował wysokim głosem, udając kobietę: – „Iggy jest taki przyjazny. Owszem, ugryzł mnie parę razy, ale uwielbia Ally. Pilnuje jej, kiedy biorę prysznic”. – Trochę pary z niego uszło, bo ciągnął już normalnie: – To nie wina pitbulli, tylko właścicieli. Ludzie, którzy chcą psa tej rasy, najmniej się nadają na jego właścicieli. I rodziców. Co za idiota zostawia dwuletnie dziecko z psem, który kiedyś zagryzł szczeniaka? Teraz psa uśpią, a dziewczynkę czeka seria operacji plastycznych, po których pewnie i tak zostaną jakieś blizny. A ta kretynka, matka, która do tego doprowadziła, uniknie kary.

– Matkę pewnie do końca życia będą gryzły wyrzuty sumienia – zaprotestowałam. – To nie więzienie, ale też kara.

Samuel skrzywił się ze złością.

– Na razie próbuje przekonać wszystkich, że to nie jej wina, a gdy skończy, ludzie będą jeszcze współczuć.

– Tak samo było kilkadziesiąt lat temu z owczarkami niemieckimi, a potem z dobermanami i rottweilerami. I zawsze najbardziej cierpią psy i dzieci. Nie zmienisz ludzkiej natury, Samuelu. Ktoś, kto widział tyle, ile ty, powinien wiedzieć, kiedy odpuścić.

Samuel odwrócił się, chcąc odpowiedzieć, ale przy okazji dostrzegł rany na mojej szyi i zamarł.

– Wiem, tylko ja mogę jechać do Spokane i zostać ugryziona pierwszego dnia przez jedyne wampira w okolicy.

Nie roześmiał się.

- Dwa ukąszenia oznaczają, że do niego należysz, Mercy.
- Nie, dwie wymiany krwi oznaczają, że do niego należę. Dlatego zrobiłam to po raz drugi ze Stefanem i teraz zamiast znajdować się pod władzą straszdyła ze Spokane, należę do Stefana.
- Samuel oparł się o blat i skrzyżował ramiona na piersiach.
- Zgadzasz się na to? – zapytał Adama z niedowierzaniem.
- Od kiedy to Mercy pyta mnie, czy w ogóle kogokolwiek, o zgodę? Ale nawet gdyby, w tej sytuacji zgodziłbym się. Stefan to stopień lepiej niż Blackwood.
- Jest zaraz po tobie w hierarchii stada. – Samuel zmarszczył brwi. – A to oznacza, że stado jest teraz we władzy Stefana razem z Mercy.
- Nie – zaprotestowałam. – Stefan mówi, że to tak nie działa. Już ktoś kiedyś próbował i się nie udało.
- Owca robi, co każe jej wampir – w głosie Samuela pobrzmiwała taka troska, że nie zareagowałam na obelżywą „owcę”, choć w innych okolicznościach nie zignorowałabym tego, nawet jeśli to prawda. – Jeśli każe ci wezwać wilki, nie będziesz miała wyboru. A to, że wampir, którego jesteś niewolnicą, mówi ci inaczej, akurat mnie nie przekonuje. „Stare wampiry kłamią lepiej niż mówią prawdę”. – Stare wilcze przysłowie, które w zasadzie nie mijają się z rzeczywistością, bo kłamstwa wampira trudno było wyczuć. Nie miały pulsu, nie pocily się. Choć to nie do końca tak, że mogły kłamać całkiem swobodnie.
- Wzruszyłam ramionami, robiąc dobrą minę do złej gry, bo słowa Samuela trochę mnie martwiły.
- Możesz zapytać wieczorem Stefana, jak to działa.
- Do wezwania stada Mercy i tak potrzebuje mojej mocy – zauważył Adam. – Nie może tego zrobić beze mnie.
- Usiłowałam nie okazywać ulgi, jaką poczułam.
- Świetnie. Przez jakiś nie pozwalaj mi na to, dobrze?
- Jakiś czas? – uniósł się Samuel. – A czy twój Stefan powiedział ci, że uwolni cię za jakiś czas? Może kiedy Blackwood przestanie się tobą interesować? Nie łudź się, wampir nigdy nie odda swojej owcy,

chyba że wcześniej ją zabije.

Bał się o mnie. Byłam tego pewna. Mimo to świadomość ta nie powstrzymała mnie od odszczeknięcia:

– Słuchaj, nie miałam opcji. – Nie zamierzałam mówić, że Wulfe potrafi przerwać więź pomiędzy mną a Stefanem. Dowiedziałam się o tym w tajemnicy, a nie chciałam klepać na prawo i lewo o każdym sekrecie, który mi powierzono. Może powiedziałabym o tym ewentualnie Adamowi.

– Wiem – westchnął znękany.

– Wampir nie może uczynić owcy z Alfą – rzekł Adam. – Kiedy sytuacja się zmieni, postaramy się wyzwolić Mercy. Ale co nagle, to po diable. Nie ma sensu pozbywać się Stefana już teraz, narażając się, że – uniósł ironicznie brew – straszycie ze Spokane znów wejdzie do gry. Zgadzam się z Mercy. Jeśli mam słuchać wampira, wolę, że to będzie Stefan.

– Czemu wampir nie może mieć władzy nad Alfą? – zapytałam.

Odpowiedzi udzielił mi Samuel.

– Rzeczywiście, prawie o tym zapomniałem. To kwestia działania magii watahy. Jeśli wampir nie jest na tyle silny, by podporządkować sobie każdego jednego członka stada, nie może przejąć kontroli nad Alfą. To nie wyklucza całkowicie takiej sytuacji. W Europie jest kilka wampirów... Nie, w zasadzie większość z nich już nie istnieje. Tak czy owak, tutaj nie ma wampira, który byłby do czegoś takiego zdolny.

– A Blackwood?

Samuel wzruszył ramionami.

– Nigdy nie spotkałem Blackwooda i ojciec chyba także nie. Zapytam.

– Koniecznie – rzekł Adam. – W każdym razie Stefan jest lepszą opcją. Bardziej martwi mnie ta silna więź pomiędzy Blackwoodem a Amber.

Straciłam apetyt. Wyrzuciłam resztki i włożyłam talerz do zmywarki. Też mnie to gryzło. Jedyne wyjście według mnie było zabicie Blackwooda. Już miałam odłożyć szklanekę do zmywarki, ale



zmieniłam zdanie i nalałam sobie soku żurawinowego. Jego cierpkość pasowała do mojego nastroju.

– Mercy? – Adam chyba pytał mnie o coś, czego nie usłyszałam, pogrążona we własnych myślach, więc powtórzył: – Czy oboje, i Amber, i jej mąż, mają kontakty z Blackwoodem?

– Tak. Mąż jest jego prawnikiem, a żona pożywieniem i... – Miałam wrażenie, że powinnam zatrzymać dla siebie fakt, iż wyczułam na Amber także zapach seksu. – W każdym razie nie sądzę, żeby była tego świadoma. Wydawało jej się, że robiła zakupy. – A mąż? Broniałam się przed myślą, że jest w to zamieszany. – Raczej nie wie, że jego klient żeruje na Amber. Choć nie mam pojęcia, ile w ogóle wie.

– Kiedy zaczęło się to nawiedzanie? – zapytał Samuel posepnie. – Jak długo mają kłopoty z duchem?

Musiałam się zastanowić.

– Chyba niedługo. Kilka miesięcy.

– Jakoś w tym samym czasie pojawił się ten wampir opętany przez demona – zauważył Adam.

– I co? – Ta sprawa nie dostała się do prasy.

Adam odwrócił się do Samuela w taki sposób, że nikt nie miałby wątpliwości, iż jest drapieżnikiem.

– Co wiesz o Blackwoodzie?

W głosie i postawie Adama było odrobinę zbyt wiele agresji jak na Alfę stojącego w kuchni Samuela. Kiedy indziej Samuel pewnie by odpuścił, ale miał za sobą nerwowy dzień, a kołomyja z wampirami nie pomogła. Warknął, podnosząc rękę, żeby odepchnąć Adama, który odtrącił ją, zrywając się na równe nogi. Fatalnie, pomyślałam, zastygając w bezruchu. Gorzej niż fatalnie. Moc, hierarchia, piżmo, magia stada zawibrowały wokół, zagęszczając atmosferę.

Obaj byli na granicy. Obaj byli osobnikami dominującymi, tyranami, gdybym im na to pozwoliła. Ich najsilniejszym nakazem jest instynkt ochrony. A ja ostatnio zostałam skrzywdzona, znajdując się pod ich pieczęcią. Raz przez Tima i drugi przez

Blackwooda, plus jeszcze w mniejszym stopniu przez Stefana. To wyzwoliło w nich niebezpiecznie wysokie natężenie agresji.

Wilkołak to nie jest zwykły choleryk, tylko istota, w której równoważą się dusza ludzka i instynkty drapieżnika. Lekki przechył w jedną stronę, a kontrolę przejmuje zwierzę, wilk zaś nie zwraca uwagi, kogo rani.

Samuel był silniejszym wilkiem, ale nie Alfą. W razie walki żadnemu nie pójdzie dobrze. Jeszcze trochę, a chwila napięcia nazbyt się przedłuży i ktoś zginie. Chwyciłam szklankę i rzuciłam w nich, gasząc pożar lasu naparstkiem soku żurawinowego. Stali nos w nos, więc oblałam obu. Furia lśniąca w zwróconych na mnie dwóch parach oczu mogła sprawić, że ktoś słabszy rzuciłby się do ucieczki. Ale ja wiedziałam, jak postąpić.

Zjadłam kęs racucha z Adamowego talerza. Kawalek przykleił mi się do podniebienia. Złapałam kubek Samuela i popiłam, spłukując lepką kulę do gardła.

Nie można udąć, że nie boi się wilkołaka, zbyt dobrze wyczuwają emocje. Ale jeśli wystarcza odwagi, można spojrzeć im w oczy. Jeśli na to pozwolą.

Adam opuścił powieki i zaczął cofać się, póki nie stanął pod ścianą. Samuel skinął mi głową, lecz dostrzegłam więcej, niż chciał mi pokazać. Znajdował się w lepszej formie, choć nie był tym samym radosnym wilkiem, którego znałam, dorastając w stadzie. Może nie był tak spokojny, jak zawsze sądziłam, ale przecież nie tracił panowania ot tak.

– Wybacz – przeprosił Samuel. – Kiepski dzień w pracy.

Adam skinął głową.

– Przesadziłem – przyznał.

Samuel sięgnął po ręcznik, zmoczył go, wytarł sok z twarzy i włosów, które stanęły dęba. Gdyby nie oczy, można by pomyśleć, że jest dzieciakiem.

Zmoczył drugi raz.

– Trzymaj! – rzucił w kierunku Adama, który złapał ręcznik, nawet nie patrząc. Zrobiłoby to większe wrażenie, gdyby róg nie

uderzył go w twarz.

– Dzięki – wycedził, ociekając wodą i sokiem.

Zjadłam jeszcze kawałek racucha. Kiedy Adam skończył się wycierać, oczy miał już ciemne i czyste, a ja zdążyłam pożreć resztę jego racuchów i posprzątać podłogę. Myślałam, że robi to Samuel, ale nie mógł przy Adamie. Poza tym to ja narobiłam bałaganu.

– To jak? – zwrócił się Adam do Samuela, nie patrząc wprost na niego. – Wiesz coś o Blackwoodzie poza tym, że jest wredny i lepiej trzymać się z dala od Spokane?

– Nie. I ojciec chyba też nie. – Machnął ręką. – Och, oczywiście zapytam. Będzie miał informacje o jego finansach, interesach, gdzie przebywa i pewnie też nazwiska ludzi przekupionych, aby nikt nie domyślił się, czym naprawdę jest. Jednak osobiście nie zna Blackwooda. Jedno można powiedzieć o wampirze z całą pewnością: jest wielki i zły. Inaczej nie utrzymałby w rękach takiego miasta przez sześćdziesiąt lat.

– Jest aktywny za dnia – powiedziałam. – Amber przyzwał w dzień.

Obaj wlepili we mnie wzrok, ja zaś, pomna wcześniejszych problemów, spuściłam oczy.

– Jak myślisz? – w głosie Adama nadal brzmiały resztki napięcia. Był bardziej krewki od Samuela. – Wie, czym jest Mercy?

– Kazał swojej owcy zwabić Mercy na swoje terytorium i próbował przejąć nad nią władzę, powiedziałbym, że to wielce prawdopodobne.

– Ej, zaraz, zaraz – wtrąciłam się. – Czego wampir mógłby ode mnie chcieć?

Samuel uniósł brwi.

– Marsilia chce cię zabić. Stefan wyssać z ciebie krew – ostatnie słowa wypowiedział z rumuńskim akcentem. – Blackwood najwyraźniej chce tego samego.

– Uważasz, że uknuł to wszystko, żeby mnie sprowadzić do Spokane? – zdumiałam się. – Po pierwsze, ten duch rzeczywiście istnieje. Widziałam go na własne oczy. To nie były żadne wampiry

sztuczki ani inne oszustwo. To był duch. A duchy nie lubią wampirów. – Aczkolwiek ten okazał się bardziej odporny na ich obecność, niż mogłabym sądzić. – Po drugie, dlaczego ja?

– Nie wiem, jak wyjaśnić kwestię ducha – odparł Samuel. – Ale jeśli chodzi o ciebie, mógłbym znaleźć szereg możliwych wyjaśnień.

– Pierwsze, jakie przychodzi mi do głowy – podjął Adam – to Marsilia. Załóżmy, że od razu wiedziała, co stało się Andre. Zdaje sobie również sprawę, że nie może bezpośrednio się na tobie zemścić, dlatego układa się z Blackwoodem: przysługa za przysługę. On przemienia Amber w swoją dziewczynę na posyłki, a kiedy nadarza się okazja, każe jej cię sprowadzić. Prawie w tym momencie, gdy Marsilia podrzuca do twojego domu Stefana. Nie umierasz, jak zakładała, więc zjawia się Amber z zaproszeniem do Spokane. Parę wilkołaków obrywa...

– Mary Jo niemal zginęła – oburzyłam się. – A mogło być gorzej. – Przypomniałam sobie śniegowego elfa. – Dużo gorzej.

– Myślisz, że Marsilia by się tym przejęła? Bojąc się o swoich przyjaciół, a właśnie te kości na drzwiach warsztatu oznaczają, że twoi przyjaciele znaleźli się w niebezpieczeństwie, złapałaś się na wędkę, którą na ciebie zarzuciła. I popędziłaś za przynętą prosto do Spokane.

– Trochę mi to nie pasuje – zaprotestował Samuel. – Wampiry nie współpracują ze sobą tak jak wilkołaki. A Blackwooda trudno podejrzewać o gotowość do wyświadczenia komukolwiek przysług.

– Hej, kochaniutki – zaskrzeczał Adam głosem bajkowej wiedźmy. – Masz ochotę na słodki kąsek? Musisz tylko sobie sprowadzić Mercy do Spokane.

– Nie. – Potrząsnęłam głową. – Może to tak wygląda na pierwszy rzut oka, ale tak nie jest. Mogę zapytać, choć jestem przekonana, że mąż Amber zna Blackwooda od lat. Nawet jeśli Marsilia skontaktowała się z Blackwoodem i powiedziała o mnie, trudno uwierzyć, że wiedział o mojej znajomości z Amber. Od końca szkoły nie zamieniłyśmy ani słowa.

Sama miałam poważne wątpliwości co do przypadkowości

prośby Amber w tamtej chwili, ale przemyślawszy wszystko, doszłam do wniosku, że nie ma mowy, aby Marsilia ją przysłała, a bez tego cała skomplikowana intryga nie miała racji bytu.

– Podejrzewam, że póki mnie nie ugryzł, Blackwood myślał, iż jestem człowiekiem. Bran mówił, że pachnę jak kojot, czyli psem, jeśli nie zna się różnicy, ale nie magią. Stefan twierdzi, że po ugryzieniu Blackwood zorientował się, czym jestem.

Teraz już oba wilki mi się przypatrywały.

– Więc to czysty pech – podsumowałam.

– Blackwood nie jest typem skłonny do wyświadczenia przysług innym wampirom – w głosie Samuela pobrzmiwała wesołość.

Udawana wesołość. Wampiry były złymi istotami, terytorialnymi i... Coś przyszło mi do głowy.

– A co, jeśli Blackwood chce włączyć Tri-Cities do swojego terytorium? Powiedzmy, że czytał o tej napaści, a przy okazji dowiedział się, że jestem z Adamem. Może ma układy i dotarł do nagrania, i zobaczył, jak Adam rozszarpuje ciało Tima, więc zorientował się, że to poważny związek. Może Corban widział, jak czyta artykuł, i wspomniał, że jego żona mnie zna. Wampir ujrzał w tym swoją szansę na skłonienie wilkołaków do pomocy przy pozbyciu się Marsilii. Może nie wie, że nie da się wykorzystać mnie do przejęcia władzy nad stadem, a może chciał mnie wziąć tylko na zakładnika. A duch to naprawdę zbieg okoliczności. Wygodny, żeby Amber namówiła mnie do przyjazdu.

– A Marsilia straciła właśnie dwóch najbliższych ludzi – dodał Samuel. – Andre i Stefana. Jest teraz bezbronna.

– Ma trzy inne potężne wampiry – przypomniałam. – Choć Bernard i Estelle nie są ostatnio do końca lojalni wobec niej. – Opowiedziałam o spotkaniu zeszłej nocy. – Jest jeszcze Wulfe, ale on... – Wzruszyłam ramionami. – Na jej miejscu wołałabym na nim nie polegać, nie jest typem wiernego akolity.

– Wampiry to drapieżcy – rzekł Adam. – Podobnie jak my. Jeśli Blackwood wyczuł osłabienie Marsilii, to rzeczywiście pojawiła się świetna okazja do powiększenia terytorium.

– Brzmi całkiem sensownie – zgodził się Samuel. – Blackwood nie wygląda mi na gracza drużynowego. Takie wyjaśnienie jest prawdopodobne. Niekoniecznie prawdziwe, ale wszystko w nim pasuje.

Adam pokręcił głową, rozluźniając kark, aż strzeliły mu kręgi. Uśmiechnął się do mnie.

– Zadzwoń dzisiaj do Marsilii i powiem, o czym rozmawialiśmy. To nie jest pewne jak dwa razy dwa, ale bardzo prawdopodobne. Założę się, że Marsilia nabierze chęci do współpracy. – Spojrzał na Samuela. – Skoro jesteś już w domu, pójdę popracować. Przyślę tu Jesse, kiedy skończy lekcje, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? Aurielle jest zajęta, Honey ma robotę, a Mary Jo nie jest w stanie... Nie jest w stanie.

Po wyjściu Adama Samuel poszedł spać. W razie czego byłby na nogach w jednej chwili, jednak sam fakt wskazywał, że nie spodziewa się ataku za dnia.

Żaden z nich nie wspomniał o soku żurawinowym, którym ich oblałam.



Kilka godzin później pod dom podjechał samochód, z którego wysiadła Jesse. Dziewczyna pomachała kierowcy, po czym w podskokach wbiegła do domu w chmurze optymistycznie niebiesko-czarnych włosów oraz...

Zatkałam nos.

– Co to za zapach?

– Przepraszam. – Roześmiała się. – Umyję się. Natalie przyniosła jakąś nowość i wszystkich tym psikała.

Nie odykając nosa, machnęłam drugą ręką, wskazując moją sypialnię.

– Skorzystaj z mojej łazienki. Samuel poszedł się zdrzemnąć. Pospiesz się, na litość boską – popędziłam ją, kiedy się nie ruszyła. – To czysty koszmar.

Powąchała się.

- Dla mnie pachnie różami.
- Różami? Raczej formaldehydem.

Uśmiechnęła się i poleciała do łazienki.

– To co? – zagaiła po wyjściu. – Skoro już jesteśmy tu uwięzione, a ja jako przykładna uczennica odrobiłam zadania w szkole, może upieczemy murzynki?

Upiekłyśmy ciastka, a potem pomogła mi zmienić olej w vanie. Podłączałyśmy właśnie kompresor, żeby przed zimą wydmuchać resztki wody z systemu nawadniającego, kiedy w drzwiach stanął Samuel, zaspany, ponury i z ciastkiem w dłoni. Mruknął coś o paplających dziewczynach, które strasznie hałasują.

Popatrzyłam na ciemniejące niebo. Przypuszczałam, że to raczej zmierzch go obudził, a nie ryk mojego kompresora. Jesse rozbawiły narzekania Samuela, więc udał obrażonego i zwrócił się do mnie.

- Skończyłaś?

Widział, że zwijam właśnie wąż i kable, zatem przewróciłam oczami.

– Totalny brak szacunku – rzekł do Jesse, kręcąc głową ze smutkiem. – I czym sobie na to zasłużyłem? Może jeśli zabiorę was gdzieś i nakarmię, zacznie mnie traktować z należyтым poważaniem. – Użalił się nad sobą, ale zabrał się do kompresora zanim zaczęłam wlec go do wiaty.

- A gdzie nas zabierzesz? – zainteresowała się Jesse.

- Do Meksykańca – oświadczył.

Jęknęła i zasugerowała rosyjską knajpkę, którą otwarto niedawno w pobliżu. Wyklócali się o restaurację całą drogę do wiaty i z powrotem do samochodu. W końcu pojechaliśmy na pizzę do hałaśliwego lokalu z ogródkiem i fantastycznym żarciem. Po powrocie Adam czekał na nas w domu, oglądając telewizor. Wyglądał na zmęczonego.

– Szef tobą tak orał? – rzuciłam współczująco, podając mu ciastko.

- Ty robiłaś czy Jesse? – zapytał, przyglądając się murzynkowi. Oburzone „tato!” wywołało na ustach Hauptmana uśmiech.

– Żartowałem. – Zabrał się do zajadania ciastka. – Nie spałem ostatnio dużo – przyznał. – W nocy wampiry, w dzień politycy, niedługo zaczną ucinać sobie drzemki jak dwulatek.

– Kłopoty? – zapytał Samuel ostrożnie.

Miał na myśli kłopoty z mojego powodu albo raczej nagrania, którego nigdy nie oglądałam, a na którym Adam rozszarpywał ciało Tima gwałciciela.

– Nie do końca – potrząsnął głową Adam. – Głównie to, co zwykle.

– Rozmawiałaś z Marsilią? – zapytałam.

– Co?! – Jesse postawiła szklankę z mlekiem odrobinę zbyt gwałtownie.

– Mercy! – warknął Adam.

– Jednym z powodów twojego pobytu u mnie są wampiry, które tata trzyma w swojej piwnicy – poinformowałam dziewczynkę. – Prowadzimy z Marsilią negocjacje mające na celu skłonienie jej do porzucenia zamiarów wymordowania wszystkich wokół.

– Nigdy mi o niczym nie mówią – poskarżyła się Jesse.

Adam zasłonił oczy w udawanej rozpacz.

– Masz przekichane, stary – roześmiał się Samuel. – To tylko czubek góry lodowej. Zobaczysz, niedługo Mercy będzie cię całkiem wodziła za nos. – Jednak w oczach wilkołaka za wesołością kryło się coś jeszcze.

Nikt prócz mnie nie wychwycił w jego tonie nuty żalu. Samuel nie chciał być moim towarzyszem, nie do końca. Nie chciał też być Alfą. Ale pragnął tego, co miał Adam – mnie, Jesse, po prostu rodziny. Żony, dziecka, białego płotka czy czegoś podobnego, co za czasów wilkołaka było odpowiednikiem ogrodzenia.

Pragnął domu, tego, co zniknęło z jego życia wraz z ostatnią ludzką partnerką, która zmarła na długo przed moimi narodzinami. Popatrzył na mnie i nie wiem, co ujrzał w mojej twarzy, ale zamarł. Jego oblicze zastygło i przez moment przypominał swojego przyrodniego brata – jedną z najgroźniejszych istot, jakie znałam. Wystarczyło, żeby Charles spojrział na rozwścieczonego wilkołaka, a ten natychmiast kulił się w kącie, skamłąc. Stupor trwał tylko



mgnienie oka. Zaraz Samuel poklepał mnie po włosach i powiedział coś zabawnego do Jesse.

– To jak? Dzwoniłeś do Marsilii? – powtórzyłam.

Adam patrzył na Samuela, ale odpowiedział:

– Ta jest, psze pani. Rozmawiałem z Estelle. Ma przekazać Marsilii, żeby do mnie oddzwoniła.

– Uhm, udaje niedostępną – stwierdził Samuel.

– Niech sobie gra w te swoje gierki – mruknął Adam. – To nie znaczy, że ja muszę robić to samo.

– Bo masz przewagę – oświadczyłam z satysfakcją. – Asa w rękawie.

– Czyli? – zapytała Jesse.

– Wielkiego, straszego potwora ze Spokane – odrzekłam, przysiadając na stole. – Ma na nią chrapkę.

Nie było to pewne, co nie miało znaczenia, wystarczyło, żeby Marsilia w to uwierzyła. Na jej miejscu zaczęłabym się martwić.



Adam zabrał Jesse do domu, Samuel położył się, a i ja w końcu poszłam za jego przykładem. Właśnie śniłam o pojemnikach na śmieci i żabach – nie pytajcie – kiedy zadzwoniła komórka.

– Mercy – wymruczał Adam.

Zerknęłam na Medeę, która spała mi na stopach. Łypnęła na mnie zielonozłotym ślepiem i wróciła do mruczenia.

– Tak?

– Dzwonię, bo udało mi się wreszcie skontaktować bezpośrednio z Marsilią.

– I? – Otrzeźwiałam błyskawicznie.

– Opowiedziałem jej o Blackwoodzie. Wysłuchała, podziękowała i rozłączyła się.

– Nie jest typem, który wpadłby po takim telefonie w panikę i dziękował, przysięgając dozgonną przyjaźń.

– No nie. – Roześmiał się. – Ale pomyślałem, że wykażę odrobinę dobrej woli i wypuszczę tę jej dwójeczkę krwiopijców.

– Dobrze posunięcie, tym bardziej że teraz, kiedy Jesse o nich wie, nie utrzymasz jej z dala od piwnicy.

– Tak przy okazji wielkie dzięki.

– Polecam się na przyszłość. A przetrzymywanie zakładników to domena bandytów.

Tym razem w śmiechu Adama dzwięczała nuta goryczy.

– Widocznie nie widziałas bohaterów w akcji.

– Nie, może tobie się pomyliło, kto tu jest dobry, a kto zły.

– Może – przyznał łagodnie po chwili namysłu.

– Ty jesteś ten dobry – wyjaśniłam. – Więc musisz postępować zgodnie z zasadami. Na szczęście masz wyjątkowe moce i szczególnie utalentowanego pomocnika...

– Który potrafi przemieniać się w kojota – dorzucił wesoło.

– Dlatego nie musisz się przejmować tymi złymi.

Nasza rozmowa przerodziła się w pełen żaru flirt. Przez telefon fala namiętności nie budziła ataków lęku.

Wreszcie się rozłączyliśmy. Rano musiałam wcześniej wstać. Jednak rozmowa odpędziła ode mnie senność. Po chwili przewracania się z boku na bok wstałam, żeby przyjrzeć się szwom na skaleczonym policzku. Drobne, zostały założone tak, żeby nie ciągnęły podczas mimicznych ruchów mięśni. Kto jak kto, ale wilkołak potrafił założyć szwy, by nie przeszkadzały w przemianie.

Rozebrałam się i wyszłam z łazienki, po czym, już w formie kojota, przemknęłam przez zamontowaną w drzwiach psią klapkę i wybiegłam z domu.

Po kilku kilometrach skręciłam, kierując się ku rzece, nad którą uwielbiałam biegać. Dopiero gdy przystanęłam, aby napić się wody, wyczułam wampira – i to nie MOJEGO wampira. Stałam na płyciźnie, chłepcząc jak gdyby nigdy nic. Niepotrzebnie udawałam, gdyż wampir nie miał zamiaru się ukrywać. Jeślibym go nie wyczuła, głośny szcęk przeładowywanej broni szybko utwierdziłby mnie w zamiarach krwiopijcy. Pewnie podążał za mną od samego domu. Albo miał wilkołaczy węch. W każdym razie wiedział, kim jestem.

Na brzegu stał Bernard, z wyraźnym znawstwem celując we mnie ze strzelby. Wampir z bronią – zupełnie jak rekin ze „Szczęk” z piłą łańcuchową – bardzo kiepska sprawa.

W tym wypadku wołałabym piłę łańcuchową. Nie znoszę broni palnej. Na zadzie miałam blizny po postrzale z bliska, na szczęście jedyne, tyle że najgorsze. Rolnicy z Montany nie lubią kojotów, choć te głównie przemykają chyłkiem przez pola, nie atakując owiec i nie goniąc kurczaków. Mimo że pogoń za kurczakami to fantastyczna zabawa...

Pomachałam ogonem do wampira.

– Marsilia była całkiem pewna, że on cię zabije – odezwał się Bernard. Zawsze brzmiał jak jeden z Kennedych z ich specyficznym akcentem. – Ale widzę, że wystrychnął ją na dudka. Nie jest tak bystra, jak jej się wydaje. I to ją zgubi. Wezwij swojego Pana, chcę z nim porozmawiać.

Nie od razu zrozumiałam, kogo nazywa moim Panem. Poza tym nie wiedziałam, jak to zrobić. Ostatnio połączyłam się tyloma więziami, a do tej pory nie nauczyłam się ich wykorzystywać. Co, jeśli przyzywając Stefana, sprowadzę tu Adama?

Nadwyreżyłam cierpliwość Bernarda. Pociągnął za spust. Prawdopodobnie wcale nie chciał mnie trafić – chyba że był aż tak fatalnym strzelcem. Mimo to kilka śrucin mnie dosięgło. Przeładował broń, nim skończyłam skamleć.

– Wezwij go – powtórzył.

Dobra. Nie mogło być to aż tak skomplikowane, skoro Stefan nie dał mi szczegółowych wskazówek. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Stefan, pomyślałam z całej mocy. Stefan!

Gdybym podejrzewała, że to choć odrobinę niebezpieczne dla niego, w życiu bym tego nie zrobiła. Ale byłam przekonana, że Bernard, podobnie jak wcześniej Estelle, spróbuje skaptować Stefana do swojego stronnictwa i wciągnąć w wewnętrzną wojnę, na której progu stała chmara Marsilii. Na pewno nie zareaguje gwałtownie na wstępie, a sądząc po tym, jak Stefan poradził sobie z

Estelle, przy braku czynnika zaskoczenia nie musiałam się o niego martwić.

Bernard miał na sobie dzinsy, adidas i sportową bluzę, a jednak wyglądał jak dziewiętnastowieczny przedsiębiorca. Mimo że na podeszwach butów połyskiwały fosforyzujące wstawki, nie był człowiekiem, który łatwo zginąłby w tłumie.

– Żałuję, że jesteś taka uparta – oświadczył, lecz zanim uniósł broń do bolesnego, jeśli nie śmiertelnego wystrzału, tuż przy nim zmaterializował się Stefan i wyrwał mu strzelbę z rąk. Trzymając za lufę, grzmotną nią o skałę, po czym wręczył żałosne resztki Bernardowi.

Wyszłam z kałuży i otrzepałam się, obryzgując obu – żaden nawet nie zareagował.

– Czego chcesz? – zapytał Stefan lodowato. Potruchtałam do niego, siadając u jego stóp. Zerknął na mnie i zanim Bernard zdążył odpowiedzieć na pytanie, odezwał się znowu: – Czuję krew. Zranił cię?

Rozwarłam pysk, patrząc na Stefana wesoło. Z doświadczenia wiedziałam, że ta odrobina śrutu na zadzie nie wyrządziła mi poważnej krzywdy – futro miało swoje zalety. Wcale mnie to nie bawiło, ale Stefan w przeciwieństwie do wilkołaków nie rozumiał niuansów psiego języka, więc potrzebowałam oczywistego sygnału, aby dać mu do zrozumienia, że nic mi nie jest. Czyli pomachałam ogonem, co z kolei trochę zabolalo.

Rzucił mi spojrzenie, które w innych okolicznościach wyrażałoby powątpiewanie.

– No dobrze – mruknął i przeniósł wzrok na Bernarda, wywijającego zniszczoną broń.

– Tak? O, to moja kolej? Skończyłeś już dopieszczać swoją nową owieczkę? Marsilia myślała, że tak bardzo lubiłeś poprzednie, iż nie zaczniesz szybko tworzyć następnej menażerii.

Stefan nie drgnął. Był tak wściekły, że przestał oddychać. Bernard oparł strzelbę o ziemię, trzymając jedną ręką za kolbę, jak Fred Astaire swoją krótką laskę.

– Żałuj, że nie słyszałeś, jak wywrzaskiwali twoje imię – ciągnął. – Ach, zupełnie zapomniałem, przecież słyszałeś.

Naprężył się, czekając na atak, który nie nadszedł. Stefan rozluźnił się, krzyżując ręce na piersi. Nawet zaczął oddychać, za co byłam mu niezmiernie wdzięczna.

Przebywaliście kiedykolwiek w pobliżu osoby, która wstrzymuje oddech? W pierwszej chwili to nic takiego, ale po jakimś czasie zaczyna się robić to samo, chcąc, żeby nabrała w końcu tchu. To jeden z tych dziwnych odruchów. Na szczęście wampir, z którym miałam najczęstsze kontakty, był gadułą, więc zwykle oddychał.

Usadowiłam się wygodniej, starając się robić wrażenie wesołego, niegroźnego psiaka, lecz czujnie obserwowałam okolicę w poszukiwaniu innych wampirów. Jeden krył się pomiędzy drzewami – kobieta, której sylwetka rysowała się na tle nieba. Stefanowi nie potrafiłam przekazać tej informacji, w przeciwieństwie do Adama, któremu wystarczyłyby łapa na bucie i przechylenie łba. Werbalny atak nie przyniósł Bernardowi spodziewanych efektów... a przynajmniej tego, na co się nastawił. Jednak to go nie stropiło. Uśmiechnął się, ukazując kły.

– Tylko ty jej zostałeś – podjął swój monolog. – Wulfe jest z nami od kilku miesięcy, Andre też był po naszej stronie. Ale ze strachu przed tobą nie pozwolił nam działać – ostatnie słowo niosło ze sobą ładunek frustracji. Zarzucił strzelbę na ramię i zaczął krążyć.

Po raz pierwszy ujrzałam go naprawdę; zwykle kojarzył mi się z postacią z filmu na podstawie powieści Dickensa: pompatycznym bogaczem. Teraz, w ruchu, wyglądał jak prawdziwy drapieżca – edwardiańska fasada stanowiła tylko cienką maskę, skrywającą prawdziwą istotę. W obecności Estelle zawsze stawałam się nerwowa, ale Bernarda zaczęłam bać się dopiero teraz.

Stefan nadal milczał, słuchając wywodu Bernarda.

– W dodatku okazał się jeszcze gorszy niż Marsilia. Sprowadził tu to coś... Tę nieokiełzaną ohydę. – Zawiesił głos i spojrzał na mnie. Natychmiast spuściłam oczy, ale jego wzrok palił mnie przez skórę. – Dobrze, że twoja owca to zabiła, choć Marsilia tego nie widziała.

Demon przywiódłby nas do zguby. Pozbywając się Andre, wyświadczyła nam drugą przysługę. – Przerwał, lecz nie przestawał na mnie patrzeć. Jego wzrok przenikał przez futro, jakby widział głębiej. Okropne uczucie. – My chcieliśmy zostawić ją w spokoju, ale skoro Marsilia postanowiła inaczej, twoja owca jest już martwa, tak jak tamte. – Zawiesił głos, żeby sens wypowiedzi dotarł do nas wyraźnie. – Marsilia ma sługi, które działają za dnia. Jak myślisz, ile potrwa po tym, jak wymalowaliśmy znak kości na drzwiach jej warsztatu? Gobliny, ścierwojady, wiele sprzymierzeńców Marsilii poluje przy świetle dziennym.

– Mercy jest towarzyszką Alfy. Wilkołaki zapewnią jej bezpieczeństwo, kiedy ja nie mogę.

Bernard zaśmiał się z przekąsem.

– Wiele z nich zabiłoby ją jeszcze prędzej niż Marsilia. Kojot? Nie żartuj. – Zaczął mówić łagodniej. – Wiesz, że ona zginie. Skoro Marsilia chciała się zemścić za śmierć Andre, to jak myślisz, jak zareaguje teraz, gdy wzięłaś sobie na owcę kojota? Odrzuciła cię, ale nasza Pani jest zazdrosna. A ty? Chroniłeś Mercy przez tyle lat, ukrywając, że w okolicy mieszka zmiennokształtna. Ryzykowałeś dla niej. Co by było, gdyby inny wampir zorientował się, czym jest? Marsilia świetnie wie, że zależy ci na niej dużo bardziej niż na innych dawcach, których miałeś. Ostatecznie Mercedes zginie, a wina spadnie na twoją głowę.

Stefan aż się wzdrygnął. Nie musiałam nawet na niego patrzeć, poczułam to drgnienie.

– Wiesz dobrze, jaki masz wybór. Albo zginie Marsilia, albo Mercedes. Kogo bardziej kochasz, Żołnierzu? Tę, która cię uratowała, czy tę, która cię opuściła? Komu pozostaniesz wierny?

Czekał, podobnie jak ja.

– Popełniła głupotę, pozostawiając cię przy życiu – mruknął Bernard. – Tylko dwóch znało miejsce jej spoczynku. Andre nie żyje. Ale ty wiesz, prawda? Budzisz się godzinę wcześniej niż ona. Możesz powstrzymać tę wojnę, która przyniesie wiele ofiar. Kto zginie? Zapewne Lily, nasza utalentowana muzyczka. Estelle jej

nienawidzi, sam wiesz, za urodę i talent, których sama nie ma. Za to Marsilia ją szczerze kocha. Lily zginie. – Uśmiechnął się. – Sam bym ją zgładził, ale wiem, że tobie też na niej zależy. Mógłbyś uchronić Lily przed Estelle. – Zaczął wymieniać imiona wampirów, mniej znacznych zapewne, ale takich, na których Stefanowi zależało. Skończywszy, spojrzał na zaciętą minę Stefana i z irytacją potrząsnął głową. – Stefan, na litość boską. Co ty wyprawiasz? Nie masz już swojego miejsca. Ona cię nie chce. Nie mogłaby wyraźniej dać tego do zrozumienia, nawet gdyby cię z miejsca zabiła. Estelle jest głupia. Sądzi, że może rządzić chmarą po śmierci Marsilii. Ale ja nie mam złudzeń. Wiem, że żadne z nas z osobna nie jest wystarczająco silne. Dalibyśmy radę władać chmarą tylko wspólnie. A tak się nie stanie. Nie ma pomiędzy nami więzów czy miłości, a jedynie dzięki temu dwoje równych sobie wampirów mogłoby współpracować tak długo. Ty zaś mógłbyś przejąć władzę. Służyłbym ci tak lojalnie, jak ty służyłeś Marsilii. Potrzebujemy cię, żeby przetrwać. – Znowu zaczął nerwowo dreptać. – Marsilia wszystkich nas zgubi, wiesz o tym. Jest szalona, tylko szalona kobieta może pokładać zaufanie w kimś takim jak Wulfe. Sprowadzi na nas nieszczęście, staniemy się zwierzyną dla ludzi. Nie tylko my, cały nasz rodzaj. I nie przetrwamy tego. Proszę, Stefanie.

Stefan opadł na kolano i objął mnie, szepcząc do ucha „wybacz”.

– Jestem starym żołnierzem – rzekł, wstając. – Jestem wierny tylko jednej, mimo że mnie odrzuciła. – Wyprostował ramię i tym razem poczułam, jak czerpie ze mnie, gdy w jego dłoni pojawił się miecz. – Zmierzysz się ze mną?

Bernard prychnął zirytowany i wyrzucił w górę ręce w teatralnym geście.

– Nie, nie, proszę, Stefanie. Trzymaj się od tego z daleka. Nie wtrącaj się, kiedy rozpocznie się walka.

Odwrócił się i uciekł. Nie zniknął tak jak Stefan, ale popędził szybciej niż ja, a przecież jestem szybka. W tym pośpiechu nie usłyszał zapewne, że Stefan mówi „nie”.

Stał przy mnie, obserwując wampira, aż ten nie zniknął nam z

poła widzenia. Nie ruszał się jeszcze przez chwilę. Między drzewami mignęła mi sylwetka kobiety i jeszcze jednego wampira, którego dostrzegłam dopiero, gdy opuszczał swoją kryjówkę. Temu ostatniemu Stefan zasalutował i został pożegnany takim samym gestem.

– Kroi się krwawa łaźnia – rzekł do mnie. – I Bernard ma rację. Mógłbym to powstrzymać. Ale tego nie uczynię.

Nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Marsilia pozostawiła Stefana przy życiu. Skoro znał miejsce jej spoczynku jako jedyny, a na dodatek budził się wcześniej niż ona plus potrafił się przenosić z miejsca na miejsce, stanowił dla niej ogromne zagrożenie. A jeśli Bernard zdawał sobie z tego sprawę, ona tym bardziej.

Stefan przysiadł na pobliskiej skale i splótł palce na kolanie.

– Zamierzałem przyjść do ciebie po zmroku – zaczął. – Muszę ci wyjaśnić, jak działa nasza więź... – Uśmiechnął się. – To nic strasznego. – Zapatrzył się na rzekę. – Ale chciałem najpierw uporządkować trochę ganek. Był cały zasłany gazetami, bo nikt nie mieszka już w domu. – Ogarnęło mnie nieprzyjemne przeczucie, że wiem, do czego zmierza. – Pomyślałem, że muszę zadzwonić, żeby przestano mi dostarczać gazety, i kiedy miałem jedną w ręku, zauważyłem artykuł o tobie. Poszedłem więc do Zee, żeby dowiedzieć się więcej. Bardzo mi przykro – powiedział, spoglądając na mnie.

Podniosłam się i otrząsnęłam, jakbym była mokra.

Kąciki ust wampira uniosły się lekko.

– Cieszę się, że go zabiłaś. I żałuję, że tego nie widziałem.

W wyobraźni stanął mi przed oczami obraz torturującej Stefana Marsilii i także pomyślałam, że chciałabym widzieć, jak ją zabija.

Westchnąwszy, podeszłam bliżej i położyłam mu łeb na kolanach. Oboje zapatrzyliśmy się w osrebrzoną księżycem wodę. W okolicy znajdowało się kilka domów, ale w tym momencie byliśmy tylko my i rzeka.





## Rozdział 9

**W** końcu opuściłam Stefana i pobiegłam do domu. Rano czekała mnie praca, więc chciałam złapać jeszcze trochę snu. Gdy odwróciłam się na pożegnanie, jego już nie było. Miałam nadzieję, że nie wrócił do domu, bo to kiepski pomysł w tej sytuacji. Ale Stefan robił to, na co miał ochotę. W tym byliśmy do siebie podobni.

Widząc rozświetlony dom, przyspieszyłam kroku. Zanurkowałam przez drzwiczki dla psa i wpadłam na krążącego nerwowo po salonie Warrena. Siedząca na oparciu kanapy Medea śledziła go zirytowanym spojrzeniem.

– Mercy! – wykrzyknął Warren z ulgą. – Przemieniaj się i ubieraj. Zostaliśmy zaproszeni na rozmowy pokojowe z wampirami ze SZCZEGÓLNYM uwzględnieniem twojej obecności.

Pobiegłam do sypialni i przemieniłam się, niestety, przez to całe ostatnie zamieszanie, miałam pokój pełen tylko brudnych ciuchów.

– Podpisujemy traktat pokojowy? – zapytałam, rzucając przez ramię brudne spodnie.

– Na to liczymy – powiedział Warren, wchodząc za mną do sypialni. – Kto cię postrzelił?

– Wampir, to nic takiego – zbyłam go. – Nie zamierzał mnie zabić.

Pewnie nawet nie ma śrutu w tych zadrapaniach.

– No nie ma, ale pocierpisz trochę dzisiaj, siedząc.

– Siedzenie z wampirami, prócz Stefana, nigdy nie jest przyjemne. Co mówiła Marsilia?

– Nie rozmawialiśmy z nią. Wampirzyca, która dzwoniła, przeczytała wiadomość z kartki, a potem chichotała.

– Lily?

– Tak powiedział Samuel. – Zdjął z ramienia koszulkę, która musiała tam wylądować po moim rzucie, i upuścił na podłogę.

– Do niego również dzwoniła?

– Tak, Marsilia chce, żeby też tam był. Nie, nie wiem o co chodzi, Adam też nie. Ale mało prawdopodobne, żeby chciała nas wytłuc na miejscu. Alfa kazał mi cię przyprowadzić, gdy już wrócisz. Sądzę, że raczej ubraną.

– Żartowniś – prychnęłam, wskakując w dżinsy. Wygrzebałam miarę czysty stanik, a w komodzie znalazłam złożony T-shirt. Ciekawe, kto go tam wsadził. To nie tak, że nie lubię porządku. W warsztacie, po pracy, każde narzędzie odkładam na swoje miejsce. Czasami nawet wybuchają o to sprzeczki z Zee, który ma inny system układania narzędzi.

Kiedyś, w przyływie odrobiny wolnego czasu, zamierzałam posprzątać mój pokój. Współlokator, który gonił do utrzymywania porządku w reszcie domu, o moją sypialnię na szczęście się nie czepiał, więc zawsze zostawiałam to sobie na później. Wyżej na liście priorytetów znajdowało się dbanie o własną płynność finansową, uratowanie Amber przed Blackwoodem i spotkanie z Marsilią. Choć na przykład zakładanie ogródka zajmowało już dalszą pozycję.

Założyłam koszulkę. Granatowa, z wielkim napisem „Bosch, oryginalne niemieckie części samochodowe”, niezbyt nadawała się na audiencję u Królowej Potępionych, doszłam jednak do wniosku, że będzie musiała to jakoś przełknąć. Na plus T-shirta przemawiał brak plam ze smaru.

Warren podniósł z ziemi stertę dżinsów, odkrywając pod nią

moje obuwie.

– Dobra, teraz skarpetki, a tu masz buty.

Kiedy zadzwoniła jego komórka, rzucił mi wszystko i odebrał.

– Tak, szefie, już prawie ubrana.

Adam mówił cicho, a jego głos był stłumiony, mimo to i tak słyszałam w nim tęskną nutkę.

– Prawie, mówisz?

– Tak, szefie – zaśmiał się Warren. – Przepraszam za opóźnienie.

– Ruszaj się, Mercy – powiedział Adam głośniej. – Marsilia nie zacznie bez ciebie, głównej przecież przyczyny zamieszania. – Rozłączył się.

– Ruszam się, ruszam – mruknęłam, zakładając skarpetki i buty. Pożałowałam, że nie miałam okazji kupić nowego wisiora.

– Te skarpetki nie pasują – orzekł Warren.

– Dzięki za uwagę – prychnęłam, idąc do drzwi. – Od kiedy to jesteś takim znawcą stylu?

– Od chwili, gdy założyłaś jedną zieloną, a drugą białą – odciął się.

– Możemy wziąć moją furgonetkę.

– Mam jeszcze jedną taką parę – oznajmiłam. – Gdzieś tam. – Z tym że zieloną wyrzuciłam w zeszłym tygodniu.



Kuta brama wjazdowa była otwarta, ale na podjeździe tłoczyło się tyle samochodów, że musieliśmy zaparkować na drodze dojazdowej. Kompleks ceglanych budynków w stylu hiszpańskim oświetlały pomarańczowe pseudolampiony, które migotały, jakby były prawdziwe.

Nie znałam wampira stojącego przy wejściu, ale zupełnie nie w wampirzym stylu otworzył po prostu drzwi.

– Korytarzem do końca, a potem schodami na dół – udzielił wskazówek.

Z poprzedniej wizyty nie przypominałam sobie żadnych schodów na końcu korytarza. Pewnie dlatego, że wtedy zasłaniało je ogromne malowidło hiszpańskiej rezydencji, które teraz stało

oparte o ścianę obok.

Choć weszliśmy na parter, schody zaprowadziły nas dwie kondygnacje w dół. Widzę w ciemnościach dobrze jak kot, a mimo to i dla mnie na klatce panował mrok – człowiek szedłby tędy zupełnie po omacku. Im niżej, tym zapach wampirów bardziej gęstniał.

W piwnicach znajdował się niewielki przedsionek, w którym przy stoliku siedział kolejny nieznan mi wampir. Nic dziwnego, skoro wcześniej spotkałam tylko garstkę członków chmary Marsilii. Ten miał srebrno-siwe włosy i bardzo młodzieńczą twarz, a odziany był w tradycyjny garnitur pogrzebowy. Na nasz widok się podniósł.

– Ty jesteś Mercedes Thompson – bardziej stwierdził, niż zapytał, przy okazji zupełnie ignorując Warrena. Jednakże jego stwierdzenie dalekie było od pewności. Mówił z wyraźnym akcentem, którego nie potrafiłam umiejscowić.

– Tak – potwierdził Warren zwięźle.

Wampir otworzył drzwi, przepuszczając nas z ukłonem.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było ogromne jak na warunki domowe. Gabarytami przypominało raczej niewielką salę gimnastyczną. Po obu stronach ciągnęły się rzędy krzeseł, czy raczej trybuny. Trybuny wypełnione milczącymi obserwatorami. Nie przypuszczałam, że w Tri-Cities jest tyle wampirów, ale po bliższym przyjrzeniu się widowni, okazało się, że sporą jej część stanowią ludzie – owce, jak uznałam.

Na samym środku stało ogromne dębowe krzesło ozdobione rzeźbieniami i mosiężnymi elementami. Z takiej odległości nie rozróżniałam szczegółów, mimo to wiedziałam, że na podłokietnikach znajdują się mosiężne kolce, ostre i pociemniałe od zaschniętej krwi... Również mojej.

To krzesło było jednym ze skarbów chmary, łączyło w sobie magię Pradawnych i wampirów. Używano go, by sprawdzić prawdziwość słów nieszczęśnika, który siedział nań z wbitymi w ręce kolcami. Wiele wampirzej magii, co jest makabrycznie oczywiste, wiązało się z krwią. Na widok krzesła ogarnęły mnie

podejrzenia, że nie będziemy świadkami rozmów pokojowych pomiędzy wampirami i wilkołakami. Ostatnim razem, kiedy widziałam to krzesło, odbył się tu proces. Zaczęłam się denerwować, żałując, że nie wiem dokładnie, jakimi słowami nas tu zaproszono. Nietrudno było wyłowić z tłumu wilkołaki – stały przy dwóch rzędach pustych miejsc: Adam, Samuel, Darryl i jego towarzyszka, Auriele, Mary Jo, Paul oraz Alec. Ciekawa byłam, które wybrał Adam, a które wskazała sama Marsilia.

Drzwi otwierały się bezgłośnie, więc mimo że wampirza widownia siedziała w całkowitej ciszy, nikt nie zwrócił uwagi na nasze wejście. Darryl dostrzegł nas pierwszy. Otaksował mnie od stóp do głów i przez oblicze przemknął mu wyraz przerażenia. Potem przesunął wzrokiem po obecnych wampirach i owcach, odzianych odświętnie w wieczorowe suknie i smokingi. W tłumie mignął mi przynajmniej jeden mundur unijny. Popatrzył znów na mój podkoszulek i w końcu się rozjaśnił. Najwyraźniej uznał, że to dobrze, iż nie wystroiłam się przesadnie na spotkanie z wrogiem. Adam zdawał się pochłonięty rozmową z Samuelem (o zbliżającym się meczu futbolowym, jak się później dowiedziałam. – „nie omawiamy ważnych spraw w jaskini wroga”), ale spojrzał na swego Drugiego, po czym przeniósł wzrok na nas.

– Mercy – jego głos rozbrzmiał echem po sali. – Dzięki Bogu, że jesteś. Może wreszcie zaczniemy.

– Może – odezwała się Marsilia.

Szła tuż za nami. Jeszcze ułamek sekundy wcześniej jej tam nie było, bo Warren, znacznie czujniejszy ode mnie, podskoczył w tym samym momencie co ja. Nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś zdołał się do niego podkraść. To efekt nagonki wśród własnego gatunku, trwającej całe półtorawieczne życie.

Odwrócił się i zasłaniając mnie sobą, warknął na Marsilię – coś, czego normalnie by nie zrobił. Wampiry podniosły się, ich żądza krwi zawisła w powietrzu gęstą chmurą.

Marsilia roześmiała się dzwiecznym śmiechem, który urwał się nagle, wcześniej, niż się spodziewałam, przez co zrobił jeszcze

bardziej wstrząsające wrażenie niż jej niespodziewane pojawienie się. Niespodziewane i niespodziewanie oficjalne. Wcześniej widywałam Panią chmury zawsze ubraną w stroje podkreślające urodę. Tym razem miała na sobie garsonkę, której jedyne kobiece elementy stanowiły wąska spódnica oraz tkanina w kolorze ciemnego wina.

– Siad – powiedziała jak do psów i wampiry usiadły. Nawet na moment nie spuściła ze mnie wzroku. – Miło z twojej strony, że wpadłaś – rzekła, wbijając lodowate spojrzenie ciemnych, przepastnych oczu.

Tylko ciepło bijące od Warrena pozwoliło mi odpowiedzieć z jako takim spokojem.

– Miło z twojej strony, że przekazałaś swoje zaproszenie z takim wyprzedzeniem – oświadczyłam. Może nie było to mądre posunięcie, ale przecież Marsilia i tak już mnie nienawidziła. Wyczuwałam to wyraźnie.

Przypatrywała mi się przez chwilę.

– Mały żarcik.

– Raczej czysta nieuprzejmość – odcięłam się, robiąc krok w bok. Nie chciałam, żeby Warren oberwał, w razie gdyby mnie zaatakowała.

Dopiero gdy go okrążyłam, zorientowałam się, że cały czas patrzę wampirzycy w oczy. Głupota. Nawet Samuel nie oparł się potędze jej wzroku. Nie mogłam jednak spuścić oczu, nie przy zalewającej mnie fali mocy Adama, od której zaczynałam się dusić. Nie występowałam tu w roli kojota, a towarzyszki Alfy watahy dorzecza Kolumbii – dlatego, że on mnie za taką uznawał, i dlatego, że sama się za nią uznałam. Odwrócenie wzroku byłoby równoznacznie z potwierdzeniem wyższości Pani chmury, a tego uczynić nie mogłam. Dlatego patrzyłam jej w oczy, a ona mi na to pozwoliła.

Przymknęła powieki, nie całkiem, żeby nie przegrać naszego prywatnego pojedynku woli, tylko tyle, by nie zdradzić się z emocjami.

– Myślę – zaczęła tak cicho, że jedynie ja i Warren usłyszeliśmy –

myślę, że gdybyśmy spotkały się w innych okolicznościach, mogłabym cię polubić. – Ukazała kły w uśmiechu. – Albo zabić. Dość tych gierek – dodała głośniejszym głosem. – Przyzwij go.

Zamarłam. Po to mnie tu ściągnęła. Chciała Stefana. Przez moment wszystko inne przesłonił mi obraz szerniałej istoty, którą podrzuciła do mojego salonu. Przypomniałam sobie, ile czasu potrzebowałam, żeby rozpoznać, czym ta istota jest. Ona mu to zrobiła, a teraz znów chciała sprowadzić. Nie, jeśli uda mi się temu zapobiec.

Adam nawet nie drgnął, dając zgromadzonym do zrozumienia, że wierzy, iż poradzę sobie sama. Nie mam pojęcia, czy tak właśnie uważał – chyba raczej nie – ale uznał za ważne, abym samodzielnie rozwiązała tę sytuację.

– Jego, to znaczy kogo? – zapytał.

Uśmiechnęła się, nie spuszczając ze mnie spojrzenia.

– Nie wiedziałeś? Twoja towarzyszka należy do Stefana.

Wesoły śmiech Adama nie pasował do tej ponurej sali. Wykorzystałam sytuację i odwróciłam się od Marsilii. Pokazanie jej pleców nie oznaczało przegranej, tylko koniec naszego pojedynku. Staralam się, by strach, jaki mnie ogarnął, nie odbił się na mojej twarzy. Usiłowałam zachowywać się tak, jak Adam – oraz Stefan – spodziewali się tego po mnie.

– Jak każdy kojot, Mercy łatwo się przystosowuje – rzekł Adam. – Należy do tego, kto jej pasuje. Należy tam, gdzie chce i jak długo chce. – Powiedział to niby dobry żart. – Myślałem, że chodzi o zapobieżenie wojnie?

– Bo tak jest – zgodziła się Marsilia. – Wezwij Stefana.

Zadarłam brodę i spojrzałam na nią przez ramię.

– Stefan jest moim przyjacielem – oświadczyłam. – Nie sprowadzę go tutaj na jego własną egzekucję.

– Godne podziwu – odparła żywo. – Aczkolwiek chybione. Mogę ci przyrzec, że nie dozna żadnej fizycznej krzywdy z moich rąk bądź z rąk moich ludzi.

Zerknęłam na Warrena, który skinął głową. Wampiry trudno

było wyczuć, ale jego lepszy przecież nos mówił to, co mój – nie kłamała.

– I nie zostanie tu zatrzymany – dodałam.

Bijąca od Marsilii woń nienawiści zniknęła i nie potrafiłam już wyczuć jej emocji.

– Nie zostanie zatrzymany – powtórzyła. – Poświadczenie!

– Poświadczamy – powiedziały wampiry. Wszystkie. Jednocześnie. Zupełnie jak marionetki, tyle że makabryczne.

– Nie chcę mu wyrządzić krzywdy – oznajmiła.

Pomyślałam o reakcji Stefana na słowa Bernarda. Odrzucił jego propozycję, mimo iż w głębi duszy zgadzał się prawdopodobnie z oceną przyszłości chmary pod rządami Marsilii. Kochał ją bardziej niż chmarę, własną menażerię i nawet własne życie.

– Krzywdzisz go samym swoim istnieniem – rzekłam bardzo cicho. Wzdrygnęła się.

Zastanowiło mnie to... Podobnie jak fakt, że pozwoliła Stefanowi żyć, choć spośród jej wampirów to on miał najsilniejsze motywy, a także największe możliwości, żeby ją zabić. Może nie tylko Stefan kochał?

Jednak to nie powstrzymało Marsilii przed torturowaniem go.

Przymknęłam powieki, wierząc, że Warren, że Adam zapewnią mi bezpieczeństwo. Pragnęłam chronić Stefana, jednak wiedziałam, czego by chciał.

Stefan, zawołałam tak jak wcześniej. Zrobiłam to, wiedząc, że taka byłaby jego wola. Na pewno poczuje, dokąd go sprowadzam, i przybędzie przygotowany.

Nic się nie wydarzyło. Stefan się nie pojawił.

Spojrzałam na Marsilię, wzruszając ramionami.

– Próbowałam, ale nie musi przyjść, kiedy go wołam.

Nie zrobiło to na niej wrażenia. Skinęła głową – gestem bardziej pasującym do nowoczesnej bizneswoman niż damy, która stroiła się w renesansowe szaty i klejnoty.

– W takim razie przejdźmy do porządku obrad – rzekła, podchodząc do krzesła. – Na początek wzywam Bernarda.



Podszedł sztywno, niechętnie. W jego ruchach było coś znajomego – wyglądał jak wilk, którego wzywano wbrew woli. Wiedziałam, że nie Marsilia go stworzyła, ale i tak miała nad nim władzę. Ubrany był tak samo, jak ostatnio, kiedy go widziałam. Ostre światło świetlówek odbijało się w małej łysinie na czubku głowy Bernarda. Usiadł sztywno.

– Czekaj, *caro*, pomogę ci. – Marsilia ujmowała jego ręce i nabijała na sterzące kolce podłokietników. Stawiał opór. Widziałam to po grymasie i napiętych mięśniach. Ale nie zauważałam, by Marsilię kosztowało wiele wysiłku utrzymanie wampira pod kontrolą.

– Byłeś nieposłuszny, prawda? – zapytała. – Nielojalny.

– Nigdy nie byłem nielojalny wobec chmary – wycedził.

– Prawda – rozległ się chłopięcy głos.

Zaklinacz we własnej osobie. Nie zauważyłam go wcześniej, choć specjalnie zwracałam na to uwagę. Jasnozłote włosy miał gładko przyczesane. Schodził z trybun z lekkim uśmiezkiem na ustach. Kroczył po siedzeniach jak po stopniach. Wyglądał na licealistę. Umarł, zanim jego rysy wydoroślały. Sprawiał wrażenie łagodnego chłopca.

Marsilia uśmiechnęła się na widok Zaklinacza. Przeskoczył trzy ostatnie trybuny, lądując z wdziękiem na podłodze. Była od niego niższa, ale sposób, w jaki go pocałowała, przyprawił mnie o mdłości. Wiedziałam, że Wulfe ma kilkaset lat, lecz nie miało to znaczenia – wyglądał jak dziecko.

Odsunął się i wyciągnął rękę, wiodąc palcem po dłoni Bernarda aż na podłokietnik. Potem uniósł palce do ust i oblizał krew, pozwalając kilku kroplom stoczyć się po nadgarstku i wnikać w jasnozieloną tkaninę szaty. Zastanawiałam się, dla kogo ten pokaz. Zlizywanie krwi zapewne nie przeszkadzało wampirom. I miałam rację, choć tylko w małej części. „Przeszkadzało” było niewłaściwym słowem, na trybunach zapanował ruch, kiedy wampiry pochyliły się naprzód. Niektóre oblizując usta.

Fuj.

– Zdradziłeś mnie, czyż nie, Bernardzie? – Marsilia wciąż patrzyła

na Wulfe'a, który wyciągnął ku niej rękę. Przesunęła językiem, zatrzymując się dłużej na przegubie. Bernard drżał, wzbraniając się przed odpowiedzią.

– Nie zdradziłem chmary – powtórzył wreszcie i choć przesłuchiwała go jeszcze kilkanaście minut, nie powiedział nic innego.

Stefan pojawił się przy mnie ubrany w białą koszulę oraz garnitur i przez chwilę nie podnosił wzroku, poprawiając rękawy. Wreszcie wyciągnął je tak, że wystawały odrobinę spod mankietów szarej, prążkowanej marynarki. Dopiero wtedy popatrzył na mnie, a Marsilia na niego.

Skinęła na Bernarda.

– Wstawaj. Wulfe, posadź go gdzieś na widocznym miejscu.

Bernard wstał, trzęsąc się i zataczając. Zostawiając krwawy ślad na podłodze, usiadł na najniższej trybunie, gdzie Wulfe zrobił dla nich miejsce. Zaklinacz zajął siedzenie przy nim i zaczął zlizywać krew z rąk Bernarda jak kot oblizujący lody.

Stefan się nie odzywał. Zmierzył mnie wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na Adama, który przywitał wampira władcym skinieniem. Dziwne, bo przy okazji uśmiechnął się ledwie zauważalnie. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że byli tak samo ubrani, z tym że Adam miał koszulę ciemnoniebieską.

Mary Jo rozpromieniła się, także dostrzegając podobieństwo. Odwróciła się do Paula, lecz nagle na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i zemdląła. Alec złapał ją, zanim upadła. To nie był pierwszy taki przypadek. Miałam nadzieję, że to pozostałości po otarciu się o śmierć, a nie jakieś wampirze sztuczki. Stefan podbiegł do Mary Jo. Mimo ostrzegawczego warknięcia Aleca sprawdził puls na szyi dziewczyny.

– Spokojnie, wilku – powiedział. – Nie skrzywdzę jej.

– Często jej się to zdarza – napomknął Adam. To, że nie zasłonił sobą bezbronnej wilkołaczycy przed wampirem, było aż nadto wyraźnym sygnałem.

– Wraca już do przytomności – stwierdził Stefan na moment

przez tym, jak powieki Mary Jo się uniosły. Dopiero gdy całkiem się ocknęła, Stefan spojrzął na Marsilię.

– Podejdz do krzesła, Żołnierzu – odezwała się.

Patrzył na Panią chmary tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy to zrobi. Może kochał Marsilię, ale w tej chwili jej nie lubił – i miałam nadzieję, że jej nie ufa. W końcu jednak poklepał Mary Jo po kolanie i ruszył w stronę krzesła, gdzie czekała na niego wampirzyca.

– Zaraz – powstrzymała go, zanim usiadł. Potoczyła wzrokiem po trybunach wypełnionych wampirami i ich dawcami. – Czy mam najpierw przesłuchać Estelle? Czy to bardziej by wam odpowiadało?

Nie wiedziałam, do kogo się zwraca.

– Dobrze – rzekła. – Przyprawdźcie Estelle.

Na końcu sali znajdowały się drzwi, których wcześniej nie dostrzegłam. Teraz otworzyły się i do pomieszczenia wkroczyła Lily, utalentowana pianistka, a zarazem szalona wampirzyca, która nigdy nie opuszczała siedziby chmary. Na rękach, niczym pan młody świeżo poślubioną żonę, niosła Estelle. Skojarzenie nasuwało się samo, bo Lily miała na sobie białą, falbaniastą suknię, która wyglądała jak ślubna. Estelle była ubrana w ciemne spodnium. Z drugiej strony, nigdy nie widziałam panny młodej z zakrwawioną twarzą i suknią. Gdybym była wampirem, nosiłabym czarne lub ciemnobrązowe stroje, żeby ukryć plamy. Estelle wisiała bezwładnie w ramionach Lily, a jej szyja wyglądała, jakby napadło ją stado hien.

– Lily – westchnęła Marsilia ganiąco. – Mówiłam ci przecież, że nie wolno bawić się jedzeniem.

Szafirowe oczy Lily zapłonęły głodem, opalizując mimo rześistego oświetlenia sali.

– Przepraszam – powiedziała, podchodząc bliżej. – Przepraszam, Stef. – Uśmiechnęła się promiennie do Stefana i posadziła Estelle na krześle niczym szmacianą lalkę. Wyprostowała jej głowę i wygładziła bluzeczkę. – Tak dobrze?

– Świetnie. A teraz bądź grzeczną dziewczynką i usiądź przy Wulfie.

Lily została przemieniona mniej więcej około trzydziestki, lecz jej rozwój umysłowy zatrzymał się dużo wcześniej. Błysnęła uśmiechem i ruszyła w podskokach ku Zaklinaczowi, który, kiedy usiadła, poklepał ją po kolanie i złożył jej głowę na swoim ramieniu.

Podobnie jak w wypadku Bernarda, Marsilia nadziała ręce Estelle na kolce. Wampirzyca natychmiast ocknęła się, krzycząc z bólu. Marsilia nie reagowała przez chwilę.

– Przestań – jej głos zabrzmiał jak wystrzał z dwudziestki dwójki: podobny do trzasku, bez huków.

Estelle zamilkła w pół krzyku.

– Zdradziłaś mnie?

Estelle szarpnęła się, gwałtownie potrząsając głową.

– Nie, nie, nie. Nigdy.

Marsilia spojrzała na Wulfe'a. Pokręcił głową.

– Nie powie prawdy, Pani, jeśli musisz kontrolować ją, żeby w ogóle siedziała na krześle.

– Inaczej będzie tylko wrzeszczała. Sam spróbuj. Nie chcesz? – Zdjęła ręce Estelle z kolców. – Idź, usiądź koło Wulfe'a, Estelle.

Siedzący za mną Latynos z tatuażem łyzy pod okiem powstał i, podobnie jak Wulfe, zeskoczył na dół, choć bez gracji Zaklinacza. Raczej opadł powoli na twardą podłogę, lądując na czworaka.

– Estelle, Estelle – jęknął, rzucając się ku wampirzycy. Człowiek, owca Estelle, pomyślałam.

Marsilia uniosła brew i jeden z wampirów z nadludzką szybkością runął za mężczyzną, zatrzymując go w połowie drogi. Wampir wyglądał jak bardzo stary człowiek, zupełnie jakby umarł ze starości, zanim został przemieniony. Jednak w jego uchwycie nie zauważyłam starczej słabości.

– Co mam z nim zrobić, Pani? – zapytał, trzymając wyrywającego się człowieka.

– Nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano – oświadczyła Marsilia. Zerknęłam na Warrena, który zmarszczył brwi. Kłamała. Ten

występ musiał być wcześniej ukartowany. – Zabij go – dodała po chwili namysłu.

Rozległ się trzask, człowiek legł na podłodze, a każdy wampir, który oddychał, wstrzymał oddech. Estelle runęła na ziemię o krok od Wulfe'a. Przypadkiem podchwyciłam spojrzenie Marsilii. Pragnęła mojej śmierci, widziałam w jej oczach żądzę mordu. Na razie jednak miała ważniejsze sprawy do załatwienia. Wskazała krzesło Stefanowi.

– Wybacz tę małą zwłokę – rzekła.

Stefan spoglądał na wampirzycę z nieodgadniętą miną. Ruszył, ale powstrzymała go ponownie.

– Nie, czekaj, mam lepszy pomysł.

Przeniosła wzrok na mnie.

– Mercedes Thompson. Podejź tu, podziel się z nami prawdą. Wyjaw nam wszystko, co widziałaś i słyszałaś.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach. Nie był to gest ostatecznej odmowy, lecz nie pobiegłam też od razu do krzesła. To było przedstawienie Marsilii, nie zamierzałam jednak pozwolić jej tak sobą rządzić. Warren położył mi dłoń na ramieniu, okazując wsparcie. Albo ostrzegając.

– Zrobisz to, co ci każę, bo nie chcesz, żebym skrzywdziła twoich przyjaciół – mruknęła. – Wilkołaki to łakome kąski, ale... Jest jeszcze ten smakowity policjant. Tony, tak? Oraz chłopak, który dla ciebie pracuje. Ma dużą rodzinę, nieprawdaż? A dzieci są takie kruche. – Popatrzyła na leżącego prawie u jej stóp martwego dawcę Estelle.

Stefan spojrział na Marsilię, potem na mnie. Ujrawszy jego oczy, natychmiast domyśliłam się, jakie uczucie stara się ukryć – gniew.

– Mam to zrobić? – zapytałam go.

Przytaknęła.

– Podejź.

Nie uśmiechało mi się to, ale wampirzyca miała rację. Pragnęłam chronić przyjaciół.

Usiadłam na krześle, wyciągając ręce, żeby sięgnęły kolców. Opuściłam je, powstrzymując grymas bólu, o który przyprawiały

mnie wbijające się ciernie i magia pulsująca w uszach.

– Mniem – mruknął Wulfe. Wzdrygnęłam się, niemal odrywając rękę od podłokietników. Naprawdę czuł smak mojej krwi za pośrednictwem krzesła czy tylko się ze mną drażnił?

– Wysłałam do ciebie Stefana – zaczęła Marsilia. – Opowiedz wszystkim, w jakim stanie do ciebie dotarł.

Zerknęłam na Stefana, ten skinął głową. Opisałam więc pomarszczoną istotę, która wylądowała w moim salonie, tak dokładnie, jak potrafiłam. Staralam się mówić obojętnie, nie dopuszczając, by w moim głosie zabrzmiała wściekłość czy coś równie niestosownego.

– Prawda – orzekł Wulfe, gdy skończyłam.

– Dlaczego był w takim stanie? – zapytała Marsilia.

Odpowiedziałam, upewniwszy się wcześniej, czy Stefan na to zezwala.

– Bo chciał uratować mi życie, ukrywając to, że zabiłam... zgładziłam Andre. Nie wiem, jak nazywacie ostateczną śmierć wampira.

Skóra na kościach policzkowych Marsilii napięła się tak bardzo, że prawie prześwitywała przez nią biel czaszki. Gniew dodawał jej przerażającej urody.

– Śmiercią – powiedziała.

– Prawda – oświadczył Wulfe. – Stefan usiłował zatuszować udział Mercedes w śmierci Andre. – Potoczył wzrokiem po sali. – Pomagałem mu. Wtedy wydawało się to najwłaściwszym posunięciem. Choć później pożałowałem tej decyzji i przyznałem się do wszystkiego.

– Na drzwiach twego domu widnieje znak kości – podjęła Marsilia.

– Warsztatu – sprostowałam. – Tak.

– Czy jesteś świadoma, że żaden wampir prócz Stefana nie może wejść do twojego warsztatu? Jest twoim domem tak samo jak ta rudera na Finley.

Po co to mówiła? Stefan też przyglądał się Marsilii czujnie.

- Powiedz zgromadzonym, co to za znak.
- To piętno zdrady. Przynajmniej tak mi powiedziano. Kazałaś mi zabić potwora, ja zabiłam dwa.
- Prawda – przyznał Wulfe.
- Od kiedy Stefan wie, że jesteś zmiennokształtną?
- Od samego początku. Od pierwszego spotkania jakieś dziesięć lat temu.
- Prawda.
- Przeniosła wzrok na trybuny, zwracając się do kogoś, kto tam siedział.
- Zapamiętaj to. – Znowu skupiła się na mnie. – Dlaczego zabiłaś Andre?
- Ponieważ wiedział, jak stworzyć opętanego przed demona wampira-maga. Uczynił to raz i zamierzał powtórzyć. Z powodu jego zabaw zginęło wielu ludzi. Waszych zabaw. I zginęłoby więcej.
- Prawda.
- A co nas obchodzą ludzie? – Machnęła lekceważąco na trupa owcy. – To tylko krótkowieczne pożywienie.
- To była retoryczna wypowiedź, lecz i tak zareagowałam.
- Jest ich wielu i, wiedząc o waszym istnieniu, mogą wejść za dnia do siedziby chmary i was zniszczyć. Zgładzenie wszystkich wampirów w kraju nie zajęłoby ludziom więcej niż miesiąc. A dzięki temu, co stworzył Andre, szybko by się o was dowiedzieli. – Pochyliłam się do przodu. Ból w rękach pulsował w takt serca, a słowa wypływały z moich ust w tym samym rytmie.
- Prawda – orzekł Wulfe zadowolony.
- Marsilia pochyliła się nade mną.
- To za mojego żołnierza – szepnęła mi do ucha. – Przekaż mu to.
- Pochyliła głowę jeszcze niżej, ale nie szarpnęłam się. – Naprawdę uważam, że mogłabym cię polubić, Mercedes – rzekła. – Gdybyś nie była tym, czym jesteś, a ja tym, czym jestem. Jesteś owcą Stefana?
- Dwukrotnie dokonaliśmy wymiany krwi – oznajmiłam.
- Prawda.
- Należysz do niego.

– Na to wygląda.

Syknęła, zirytowana.

– Potrafisz utrudnić nawet łatwe rzeczy.

– To ty je komplikujesz. Ale wiem, o co pytasz. Tak, należę.

– Prawda.

– Dlaczego Stefan uczynił cię swoją owcą?

Nie chciałam odpowiadać na to pytanie. Nie chciałam, żeby wiedziała o moich kontaktach z Blackwoodem, choć Adam pewnie jej o tym powiedział. Dlatego zaatakowałam.

– Bo wymordowałaś jego menażerię, ludzi, na których mu zależało!

– Prawda – mruknął Stefan.

– Prawda – potwierdził Wulfe.

Marsilia patrzyła na mnie, przekrzywiwszy głowę, a na jej twarzy odbijał się wyraz niezrozumiałej satysfakcji.

– Dałaś mi to, czego chciałam, Mercedes Thompson. Możesz opuścić krzesło.

Oderwałam ręce od podłokietników, starając się przy tym nie krzywić ani też nie odprężyć, kiedy nieprzyjemne pulsowanie magii ustawało. Nim dźwignęłam się z siedzenia, Stefan chwycił mnie za ramię, stawiając na nogi. Stał tyłem do Marsilii, pozornie skupiony bez reszty na mnie, choć odniosłam wrażenie, że całą uwagę koncentruje na swojej byłej Pani. Ujął moją rękę i uniósł, delikatnie oblizując rany. Gdybyśmy byli sami, powiedziałabym mu, co o tym myślę. Chyba dostrzegł to w moich oczach, bo kąciki jego ust wygięły się lekko ku górze. Oczy Marsilii zapłonęły purpurą.

– Nie zapędzaj się – ostrzegł ją Adam nieswoim głosem. Spojrzałam przez ramię. Hauptman szedł bezgłośnie przez salę, zmierzając w naszą stronę. O ile z oblicza Marsilii biła wściekłość, była ona niczym w porównaniu do jego furii. Stefan jak gdyby nigdy nic wziął moją drugą rękę i oczyścił rany w ten sam sposób, choć tym razem jakby odrobinę szybciej. Nie wyrywałam się, bo nie wiedziałam, czy mnie puści z własnej woli, a szarpanina mogła na dobre rozpalić gniew Adama.



– Uleczyłem jej ręce – rzekł Stefan, puszczając mnie i cofając się o krok. – To mój przywilej.

Adam zatrzymał się przy mnie i dokładnie obejrzał przedramiona, które rzeczywiście wyglądały lepiej. Podziękował Stefanowi szorstkim skinieniem, wziął mnie pod ramię i zaprowadził do wilkołaków.

Po szybkim rytmie jego serca i mocnym uścisku wiedziałam, że jest na krawędzi utraty kontroli. Wtuliłam mu twarz w szyję, żeby stłumić głos i powiedziałam:

– To wszystko było wymierzone w Marsilię.

Adam nie przejmował się dyskrecją.

– Gdy wrócimy do domu, opowiem ci o taktyce, która umożliwia osiągnięcie więcej niż jednego celu w tej samej rozgrywce.

Marsilia odczekała, aż zajmiemy miejsca.

– Twoja kolej – zwróciła się do Stefana. – Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania i nadal zamierzasz współpracować.

W odpowiedzi Stefan zasiadł na tronopodobnym krześle, uniósł ręce i opuścił na kolce z takim impetem, że mebel aż zaskrzypiał.

– Co chcesz wiedzieć?

– Twoja owca powiedziała, że wymordowałam twoją menażerię. Skąd wiesz, że to prawda?

Zadarł brodę.

– Czułem, jak każdy z nich ginie z twojej ręki. szybko, jeden po drugim, aż zginęli wszyscy.

– Prawda – oznajmił Wulfe tonem, jakiego wcześniej u niego nie słyszałam. Popatrzyłam na niego zdumiona. Siedział na trybunie pomiędzy sztywnym Bernardem i przytuloną Lily, z leżącą u stóp Estelle. Minę miał posępną, smutną.

– Nie należysz już do chmary – kontynuowała Marsilia.

– Nie należę już do chmary – potwierdził Stefan obojętnie.

– Prawda.

– Nigdy tak naprawdę do mnie nie należałeś. Zawsze posiadałeś wolną wolę.

– Tak.

– Wykorzystałeś to, by ukryć przede mną Mercy. Przed sprawiedliwością.

– Kryłem ją, ponieważ według mojej oceny nie stanowiła żadnego zagrożenia dla ciebie lub chmary.

– Prawda.

– Ukrywałeś ją z sympatii.

– Tak. I dlatego, że śmierć Mercy nie byłaby żadną sprawiedliwością. Nie pozbawiła życia żadnego z nas i nie zrobiłaby tego, gdybyś jej o to nie poprosił. – Po raz pierwszy, odkąd usiadł na krześle, spojrzał wprost na Marsilię. – Kazałaś jej zabić potwora, którego sama nie potrafiłaś odnaleźć. I zrobiła to. Dwukrotnie.

– Prawda.

– Zabiła Andre! – ryk Marsilii odbił się echem po wielkiej sali. Światła ściemniały odrobinę i po chwili odzyskały wcześniejszą moc.

Stefan uśmiechnął się kwaśno.

– Bo nie miała wyboru. Nie pozostawiliśmy jej wyboru, ty, ja i Andre.

– Prawda.

– Przedłożyłeś ją ponad mnie! – Moc Marsilii roziskrzyła atmosferę dziwną magią. Zadrżałam i przysunęłam się do Adama. – Wiedziałeś, że poluje na Andre, wiedziałeś, że go zabije, a potem ukryłeś przede mną jej uczynek. Zmusiłeś mnie, żebym cię torturowała, żebym zniszczyła źródło twojej siły. Musisz mi odpowiedzieć – zagrzmiała tak, że aż zadrżał sufit i ściany. Lampy rozhuśtały się, wprawiając w ruch cienie.

– Już nie – rzekł Stefan. – Nie należę do ciebie.

– Prawda – warknął Wulfe, zrywając się na równe nogi. – Czysta prawda, sama to czujesz!

Z trybuny po przeciwnej stronie podniósł się wampir o łagodnych rysach, szeroko osadzonych oczach i zadartym nosie, który nie pasował do wizerunku krwiopijcy. Podobnie jak wcześniej Wulfe i owca Estelle zszedł na dół, ale w jego krokach nie było wahania czy sprężystości. Poruszał się tak, jakby kroczył po równym chodniku.

Wylądowawszy na podłodze, podszedł do Wulfe'a. Miał na sobie czarny frak i rękawice z ciemnego metalu, wykonane od spodu z kółek, jak kolczuga, i z płytek na wierzchu. Rozprostował palce, z rękawic pokapała krew. Nikt nawet nie drgnął na ten widok.

– To prawda – rzekł lekko chropawym głosem. – Nie jest twój, Marsilio.

Widziałam tego gościa po raz pierwszy, ale Stefan go znał. Zamarł, całkowicie skupiony na wampirze w zakrwawionych rękawicach. Jego twarz zastygła w nieruchomą maskę.

Marsilia skwitowała to wystąpienie uśmiechem.

– Powiedz, czy Bernard namawiał cię do zdrady? – zwróciła się do Stefana.

– Tak – odrzekł Stefan z kamienną twarzą.

– A Estelle?

Stefan zamrugał i rozluźnił się.

– Bernardowi leżało na sercu dobro chmary – rzekł.

– Prawda.

– Ale Estelle chodziło o przejęcie władzy.

– Prawda.

Estelle z krzykiem usiłowała się podnieść, lecz nie mogła odsunąć się od Wulfe'a.

– I co im odpowiedziałeś? – kontynuowała Marsilia.

– Że nie wystąpię przeciw tobie – Stefan mówił ze śmiertelnym znużeniem, mimo to jego głos wybijał się ponad krzyki Estelle.

– Prawda – potwierdził Wulfe.

Marsilia spojrzała na wampira w rękawicach, który z westchnieniem pochylił się ku Estelle. Poglądził ją po głowie, a kiedy ucichła, w sali rozległ się trzask skręcanego karku. Potem niespiesznie oderwał jej głowę. Zemdliło mnie.

– Bernardzie – zaczęła Marsilia. – Uważamy, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do swego stwórcy i zostaniesz tam, póki nie nauczysz się lojalności.

– A więc to była zмова! – wykrzyknął Bernard niedowierzająco, zrywając się z miejsca. – To wszystko! Zabiłaś ludzi Stefana,

wiedząc, że ich kocha, torturowałaś go... Po to, by wplątać mnie i Estelle w tę małą rebelię. Rebelię, która zrodziła się w sercu twojego ukochanego Andre!

– Owszem. Nie zapominaj o wykorzystaniu ulubienicy Stefana w roli dźwigni, której potrzebowałam, by poruszyć świat. Gdyby nie zabiła Andre, gdyby nie pomógł tego zatuszować, nie mogłabym wydalić go z chmary, a potem wykorzystać jako świadka przeciwko tobie i Estelle. Gdybym to ja cię stworzyła, pozbycie się siebie byłoby łatwiejsze i kosztowałoby mnie znacznie mniej zachodu.

Bernard spojrział na Stefana siedzącego ze spuszczoną głową tak sztywno, jakby każdy ruch mógł sprawić mu ból.

– Wykorzystałaś Stefana, który jako jedyny był ci wierny do końca. Torturowałaś go, zabiłaś jego ludzi, bo WIEDZIAŁAŚ, że nam odmówi. Że jego wierność wykracza poza cierpienia, które mu zadałaś, i bez względu na wszystko pozostanie twój.

– Liczyłam na to. Przy odmowie Stefana twój bunt jest niezgodny z prawem. – Spojrzała na wampira, który zabił Estelle. – Ty oczywiście nie miałaś pojęcia, co knują twoje dzieci.

Posłał jej uśmiezek, jaki jeden drapieżca posyła drugiemu.

– Nie siedzę na krześle. – Zdjął rękawice i rzucił Wulfe'owi na kolana. – Nie mam z tym nic wspólnego. – Miał zakrwawione ręce, ale nie widziałam, ile ma na nich ran. – Wysłuchałem twych prawd i mogę tylko mniemać, że to wszystko zirytowało cię tak samo jak mnie. Chodź – zwrócił się do Bernarda. – Na nas już czas.

Bernard podszedł do niego bez słowa protestu, zszokowany i zaniepokojony. Ruszył za wampirem do drzwi, lecz obejrzał się w progę.

– Niech Bóg mnie broni od takiej wierności – rzucił do Marsilii. – Zniszczyłaś Stefana dla własnego kaprysu. Nie jesteś warta jego daru, mówiłem mu to.

– Bóg nie obroni żadnego z nas – powiedział Stefan cicho. – Wszyscy jesteśmy przeklęci.

Spoglądali na siebie z Bernardem przez moment, po czym ten drugi skłonił się i wyszedł za swoim stwórcą. Stefan, zdjawszy ręce

z cierni, wstał.

– Stefanie – zaczęła Marsilia słodko, lecz nim wypowiedziała ostatnią sylabę jego imienia, zniknął.



## Rozdział 10

**M**arsilia zastygła, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Stefan. Otrząsnąwszy się, spojrzała na mnie z taką wrogością, że mimo dzielącego nas dystansu, musiałam zwalczyć chęć cofnięcia się. Przymknęła powieki i przybrała neutralny wyraz twarzy.

– Masz to, Wulfe? – zapytała.

– Tak, Pani. – Zaklinacz wstał i ruszył w jej kierunku, wyjmując po drodze z tylnej kieszeni kopertę.

Marsilia spojrzała, przygryzając wargę.

– Daj jej to – rozkazała cicho.

Wulfe skierował kroki w naszą stronę i wręczył mi kopertę, po której nie dało się poznać, że była trzymana w kieszeni. Papier, z którego ją zrobiono, należał do tych grubych, na jakich zwykle wypisuje się zaproszenia na ślub lub wręczenie dyplomów. Na tej widniało pięknie wykaligrafowane imię Stefana. Została zapieczętowana czerwonym woskiem, który wydzielał woń wampirów i krwi.

– Oddaj to Stefanowi – powiedziała Marsilia. – Przekaż mu, że zawiera pewne informacje. Nie przeprosiny czy tłumaczenia.

Miałam ochotę zmiąć kopertę i cisnąć na ziemię.

– Bernard ma rację – stwierdziłam. – Wykorzystałaś Stefana. Zraniłaś go, złamałaś, żeby pobawić się w te swoje gierki. Nie zasługujesz na niego.

– Hauptman – odezwała się Marsilia z chłodną uprzejmością, zupełnie ignorując moją wypowiedź. – Dziękuję ci za ostrzeżenie przed Blackwoodem. W ramach wdzięczności przystanę na twoje warunki. Podpisane dokumenty zostaną odesłane do twojego domu. – Odetchnęła głęboko i zwróciła się do mnie. – Oświadczam, że tej nocy twoje działania przeciwko nam... zamordowanie Andre... uznajemy za nieprzynoszące szkody chmarze. Twoim motywem nie był atak na nas, co zostało potwierdzone testem prawdy. Stwierdzam, że według mojego osądu chmara nie ucierpiała w żaden sposób, a ty od tej chwili nie jesteś sprzymierzeńcem, który nas zdradził. Nie będą już podejmowane żadne środki zmierzające do ukarania cię, zaś znak kości zostanie usunięty... – Zerknęła na przegub.

– Mogę to zrobić jeszcze dzisiaj – zaoferował się Wulfe.

Potwierdziła skinieniem.

– Zostanie usunięty przed świtem. – Zawahała się, po czym podjęła ciszej, jakby dalsza wypowiedź z trudem przeszła jej przez gardło. – To dla Stefana. Jeśli o mnie chodzi, chętnie użyłabym twojej krwi i kości do użyźnienia ogródka. Nie prowokuj mnie więcej, zmiennokształtna. – Odwróciła się i opuściła salę.

– Pozwól, że was odprowadzę i dopilnuję, żeby przy wyjściu z siedziby chmary nie spotkała was żadna krzywda – rzekł Wulfe do Adama.

– Insynuujesz, że nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa swoim ludziom? – Adam zmrużył oczy.

Wulfe spuścił wzrok i skłonił się przepaszająco.

– Skądże. Delikatnie sugeruję, iż moja eskorta może oszczędzić wam kłopotów. A nam sprzątnięcia.

– Dobrze.

Adam ruszył do wyjścia pierwszy. Przepuściłam pozostałe wilkołaki, starając się powściągnąć rozżalenie, kiedy Mary Jo i

Auriele wymownie ominęły mnie wzrokiem. Nie wiedziałam, co było przyczyną ich zachowania, a raczej która z przyczyn – to, że byłam kojotem, dawcą wampira czy że naraziłam watahę na niebezpieczeństwo. W zasadzie nie miało to znaczenia, i tak nie mogłam nic na to poradzić.

Warren, Samuel i Darryl poczekali, aż reszta wyjdzie. W końcu Warren minął nas z lekkim uśmiechem. Darryl się nie ruszył. Popatrzyłam na niego. Stałam w hierarchii wyżej niż on, więc powinnam iść na samym końcu, żeby chronić tyły stada. Po chwili uśmiechnął się ciepło, zaskakując mnie bardzo, bo nigdy nie widziałam u niego takiej miny. W każdym razie skierowanej do mnie. I ruszył do drzwi.

– Nawet o tym nie myśl – parsknął Samuel. – Nie należę do watahy, więc mogę wlec się za tobą.

– Padnę, jeśli się nie zdrzemnę – oświadczyłam i zaczęłam iść razem z nim.

– Takie są skutki bratania się z wampirami. – Objął mnie ramieniem. Miał zimną rękę.

Tak pociłam się sama ze strachu, że przestałam zwracać uwagę na to uczucie i zapach. Nie zauważyłam, że Samuel też się bał. Podczas ostatniej wizyty w siedzibie chmary Lily zrobiła sobie z niego przekąskę, zaś Marsilia gorzej – dopóty odzierała go z wolnej woli, dopóki całkiem nie przejęła nad nim kontroli. Nawet dla mnie coś takiego byłoby straszne, a co dopiero dla wilkołaka, który pozostawał przy życiu tylko dzięki temu, że panował nad swoim wilkiem. Nieustannie.

Nakryłam dłonią rękę na moim barku.

– Wynośmy się stąd – ponagliłam Samuela.

W drodze przez salę nie opuszczała mnie uporczywa świadomość leżących na podłodze dwóch nieruchomych ciał oraz gromady wampirów i ich owiec, która siedziała w milczeniu posłuszna niewerbalnemu rozkazowi swej Pani. Ich pożądliwe spojrzenia śledziły każdy nasz krok, parząc mi skórę na plecach.

Podobne uczucie miałam w nawiedzanej łazience Amber.





Usiadłam z przodu wielkiego suburbana, którym przyjechał Adam. Samochód pachniał nowością, ale możliwe też, że został wynajęty. Kanapę w drugim rzędzie zajęli Paul, Darryl i Auriele. Samuel wracał własnym wozem, ślicznym, nowiutkim wiśniowym mercedesem.

Mary Jo, która początkowo skierowała się do samochodu Adama, na mój widok zmieniła zdanie i wsiadła do furgonetki Warrena. Alec podreptał za nią jak bezpieczny szczeniak.

– A ja myślałam, że to Bran ma makiaweliczny umysł – podsumowałam, sadowiąc się wygodniej na skórzanym fotelu, kiedy Adam wyjeżdżał przez kutą bramę.

– Nie do końca to wszystko łapię – przyznał Darryl. Musiał być zmęczony, bo jego głęboki zazwyczaj głos wibrował tak niskimi tonami, że musiałam nastawiać uszu, aby zrozumieć poszczególne słowa. – Z jakiegoś powodu musiała przekonać Stefana, że został wykluczony z chmary, a potem, kiedy przyszło do niego tych dwoje zdrajców, musiał im odmówić, żeby później przeciw nim świadczyć?

– Coś w tym stylu – potwierdził Adam. – I tylko zeznania Stefana oraz zgoda ich stwórcy pozwoliły Marsilii się ich pozbyć.

– Dla mnie ma to sens – wtrącił Paul nieśmiało. – Takie są reguły chmary. Dopóki należał do niej, jego słowo także należało do niej. Skoro ta dwójka została jej narzucona, nie mogła arbitralnie skazać ich na śmierć, potrzebowała potwierdzenia winy od kogoś z zewnątrz.

Zastanawiałam się, czy zostałam wrobiona. Ta niezwykle przekonująca pomoc Wulfe'a, kiedy zabiłam Andre. Wiedział, że go szukam, natknęłam się na miejsce jego spoczynku, zanim dotarłam do nory Andre. Myślałam, że ma swoje powody, by trzymać je w tajemnicy przed Panią, ale może się myliłam, może Marsilia wszystko zaplanowała?

Rozboliła mnie głowa.

– Może myliliśmy się co do wampira mającego zakusy na chmarę

Marsilii? – zasugerował Adam.

Przypomniałam sobie stwórcę Bernarda, który był świadkiem tego... procesu.

Nie chciałam współczuć Marsilii, pragnęłam czuć do niej czystą nienawiść za to, co uczyniła Stefanowi. I choć poznałam zło w wielu jego formach i odcieniach, to w obecności stwórcy Bernarda wszystkie moje zmysły były na alarm. Oczywiście każdy wampir był zły... Naraz pożałowałam, że nie mogę dodać „poza Stefanem”. Niestety, nie mogłam. Widziałam jego menażerię, ludzi, których zabiła Marsilia, i zdawałam sobie sprawę, że poza tymi, których przemienił w wampiry, resztę czekała śmierć. Mimo to wampir w rękawicach sprawiał, że moja kojocia istota wyjątkowo głośno krzyczała „zabierajmy się stąd!”. Było coś w jego twarzy...

– Po czymś takim cieszę się, że jestem wilkołakiem – powiedział Darryl. – I że moim jedynym zmartwieniem jest możliwość, że Warren straci nad sobą kontrolę i mnie wyzwie.

– Warren jest bardzo opanowany – zauważył Adam. – Nie przejmowałbym się tak jego ewentualną utratą kontroli.

– Lepszy Warren jako Drugi niż kojot w stadzie – burknęła Auriele.

Atmosfera w samochodzie zgęstniała.

– Tak uważasz? – zapytał Adam łagodnie.

– Riele – warknął Darryl ostrzegawczo.

– Tak uważam – oświadczyła stanowczo. Była nauczycielką, towarzyszką Darryla, co czyniło z niej... może nie Trzecią w hierarchii stada, bo Trzecim był Warren, ale Drugą i Pół, tuż za Darrylem. Gdyby była mężczyzną, na pewno nie stałaby na niższym szczeblu.

– W przeciwieństwie do wampirów wilki to prostolinijne istoty – mruknęłam, tłumiąc żal. Dla kojota wychowanego w stadzie wilków pogarda nie była niczym nowym. Większość dorosłego życia uciekałam przed poczuciem odrzucenia. Nie sądziłam, że dzięki znużeniu odrzuceniem można doznać objawienia, ale tak właśnie było. Opuściłam dom matki w Portland, zanim kazała mi się

wynosić. Żyłam sama, twardo stojąc na ziemi, bo nie chciałam przywyknąć do liczenia na kogokolwiek.

Opór wobec Adama postrzegałam jako walkę o przetrwanie, o prawo decydowania o sobie, o życie bez rozkazów... dlatego że nie chciałam ich słuchać. Służba, której Stefan czepiał się z takim uporem, była modelem życia, z którego zrezygnowałam.

Nie dostrzegałam, że u źródła leży strach przed odrzuceniem. Matka oddała mnie na wychowanie Branowi, kiedy byłam dzieckiem. Dar ten zwrócił jej, gdy stałam się... niewygodna. W wieku szesnastu lat wróciłam do matki, która poślubiła całkiem obcego mi człowieka i urodziła mu dwie córki. Siostry nie miały pojęcia o moim istnieniu, dopóki Bran nie zadzwonił, oświadczając matce, że wkrótce pojawię się w domu. Tam wszyscy byli dla mnie mili, kochani, a nie jestem łatwa we współżyciu.

– Mercy?

– Sekundę, właśnie doznaję objawienia.

Nic dziwnego, że nie padłam do stóp Adama, jak zrobiłaby to każda normalna kobieta, o którą stara się tak seksowny, czarujący i solidny mężczyzna. Bałam się odrzucenia, na samą myśl o tym poczułam wzbierający w gardle warkot.

– Słyszeliście? – zaśmiał się Darryl. – Musimy poczekać, aż skończy objawienie. Towarzyszka naszego Alfya jest prorokinią.

Zbyłam go niecierpliwym machnięciem i popatrzyłam na Adama, który skupiał się na drodze.

– Kochasz mnie? – zapytałam z bijącym sercem. Spojrzał zaskoczony, wyczuwając moje napięcie.

– Tak. Oczywiście.

– Lepiej, żeby tak było, inaczej pożałujesz.

Zerknęłam przez ramię na Aurielę, z całej siły powściągnając rozszalałe emocje. Adam był mój.

Mój.

Przyjmę na siebie każdy ciężar Adama, tak jak on bierze na siebie moje. Będziemy je dzielić po równo. To znaczy, że on obroni mnie przed wampirami, a ja w miarę możliwości zajmę się jego

problemami.

Podniosłam oczy na Auriele, mój drapieżnik spojrział na jej wilka. Po kilku minutach odwróciła wzrok.

– Musisz do tego przywyknąć, to twój problem – rzekłam i, oparłszy głowę na ramieniu Adama, zapadłam w drzemkę.



Niestety, nie dane mi było długo pospać. Adam zatrzymał się, wilkołaki wysiadły. Odczekał, aż Darryl uruchomił silnik swojego wozu, i dopiero ruszył do domu.

– Mercy?

– Hm? – mruknęłam rozespana.

– Jedź do mnie.

Usiadłam, przecierając oczy.

– Marzę, żeby się położyć. – Westchnęłam. – Sekunda w pozycji horyzontalnej i zniknę dla świata. Już nie pamiętam kiedy – byłam zbyt zmęczona na liczenie dni – porządnie spałam. – Na horyzoncie jaśniejącego nieba wstawało słońce.

– To nic, chciałem tylko...

– Tak, ja też. – A jednak zadrżałam. Ta cała namiętność i żar, które budziły się we mnie podczas rozmów telefonicznych, sprawiały mi ogromną przyjemność, ale teraz nie dzieliły nas kilometry. Nie usnęłam już przez resztę drogi do domu Adama.



W domu Alfy rzadko można liczyć na prywatność, a przez to ostatnie zamieszanie Adam kazał go pilnować na okrągło. W środku powitał nas Ben. Odmeldował się, salutując, i poszedł na dół, gdzie znajdowały się pokoje gościnne.

Wchodząc po stopniach, Adam trzymał rękę na moim krzyżu. Było mi aż niedobrze z nerwów, z trudem łapałam oddech, powtarzając w myślach, że przecież to Adam... I będziemy tylko spać w jednym łóżku.

W korytarzu przy łazience dokonano już wstępnych napraw.

Osadzono futrynę i pozostało tylko gipsowanie i pomalowanie ściany. Ale na białym chodniku nadal ciemniały ślady krwi, mojej krwi. Zupełnie o tym zapomniałam. Może powinnam zaproponować czyszczenie dywanów? Czy da się sprać krew z białego chodnika? Co w ogóle za wariat wyklada białym dywanem dom uczęszczany przez wilkołaki?

Zdekoncentrowana, przekroczyłam próg sypialni i zastygłam. Adam spojrzał na mnie, wyjął z komody T-shirt i rzucił w moim kierunku.

– Idź do łazienki, w górnej szufladzie po prawej jest zapasowa szczoteczka.

W łazience poczułam się bezpieczniej. Zdjęłam brudne ciuchy, zostawiając je na kupce na podłodze, i założyłam koszulkę. Adam nie był wiele ode mnie wyższy, za to dużo szerszy w barkach, więc rękawki sięgały mi za łokcie. Umyłam twarz, omijając zszytą ranę, wyszorowałam zęby i stanęłam przed lustrem, zbierając się na odwagę.

Kiedy otworzyłam łazienkę, wchodzący do środka Adam minął mnie, delikatnie wypchnął do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Stanęłam, mierząc się z łóżkiem i zapraszająco odrzuconą kołdrą.

Chyba istnieje jakiś limit lęku, który można odczuwać jednej nocy? I ten limit powinnam wykorzystać dzisiaj aż z nawiązką. A lęk przed czymś, co się nie zdarzy – Adam w życiu by mnie nie skrzywdził – w ogóle nie powinien być odczuwalny.

A jednak wejście do łóżka kosztowało całą odwagę. Kiedy już się tam znalazłam, doznałam jednego z tych dziwacznych, psychologicznych zwrotów – zapach Adama na pościeli uspokoił mnie natychmiast. Żołądek przestał się buntować, ziewnęłam parę razy i zasnęłam przy dochodzącym z łazienki dźwięku elektrycznej golarki.

Obudziłam się otoczona Adamem, jego zapachem, ciepłem, oddechem. Odczekałam moment, jednak atak paniki nie nadszedł. Odprężyłam się, ciesząc bliskością Adama. Po intensywności światła przesącającego się przez zasłony oceniłam, że jest późne

popołudnie. W domu panował ruch, a z za okien dochodził szum spryskiwaczy toczących ze słońcem nieustanną walkę o trawnik. Na zewnątrz musiało być ponad dwadzieścia stopni, lecz w sypialni Adama, podobnie jak mojej od kiedy wprowadził się Samuel, panował chłód. Wilkołaki nie lubią gorąca. Tym bardziej doceniłam otulające mnie ciepło.

Adam też już nie spał.

– To co? – zaczęłam na wpół zakłopotana, na wpół podniecona i, dla uzupełnienia, na wpół wystraszona. – Masz ochotę na jazdę próbną?

– Jaką jazdę próbną? – wymamrotał rozespany. Dźwięk jego głosu zmienił proporcję moich połowiczności, całkowicie eliminując zakłopotanie, zmniejszając lęk i podwyższając podniecenie o kilka stopni.

– Uhm. – Nie widziałam jego twarzy, nie musiałam. Czułam gotowość do testów dość substancjalnie w okolicy dolnej części pleców. – Sprawa wygląda tak. Podczas tych napadów lęku dzieją się ze mną różne rzeczy. Jeśli przestanę oddychać, nie przejmuj się, w końcu będę musiała nabrać powietrza. Albo zemdleję. Ale jeśli zwymiotuję... – Pozwoliłam mu wyciągnąć samodzielne wnioski.

– Nastrojowa wizja – skwitował mi w kark i objął, przyciągając bliżej.

Postukałam palcem jego przedramię.

– Nie śmieć się ze mnie – ostrzegłam tylko pół żartem.

– Gdzieżbym śmiał. Słyszałem, jak kończą ci, którzy się z siebie wyśmiewają. Dziękuję, wolę kawę bez soli. Wiesz co? – wymruczał. – Zabawmy się trochę i zobaczymy, dobrze? Obiecuję – rozbawienie w jego głosie walczyło o swoje miejsce wśród innych emocji – że nie będę rozczarowany, jeśli zwymiotujesz. – I zsunął się w dół.

Kiedy drgnęłam gwałtownie, przestał, pytając, czy wszystko w porządku. Nie mogłam odpowiedzieć. Są sprawy, o których nie mówi się komuś, komu chce się zaimponować. Są też inne, o których po prostu nie chce się pamiętać. Panika zacisnęła mi gardło.

– Ciii – szepnął. – Ciii. – I pocałował mnie tam, gdzie przed

momentem spłoszył. To była delikatna, czuła pieśczoła, niemal pozbawiona namiętności, a potem przeniósł się w inne miejsce, mniej... zbrukane. Okazał się świetnym myśliwym. Z natury niezbyt cierpliwym, ale doświadczoneym. Powoli zmierzał z powrotem w kierunku newralgicznego punktu i spróbował znowu.

Znów się cofnęłam, lecz zaczęłam mówić. Wtedy, jak wilk, którym był, zaleczył ranę na mojej duszy, opatrując ją troskliwie, i zajął się następną. Badał teren gruntownie, odnajdując wszystkie okaleczenia plus kilka takich, których nie byłam świadoma, zastępując je czymś innym... zdecydowanie lepszym. A kiedy namiętność zaczęła wzmacniać się zbyt szybko, zbyt gwałtownie...

– O, masz tu łaskotki? – wymruczał.

– Uhm. Kto by się spodziewał? – Popatrzyłam na zgięcie własnego łokcia, jakbym widziała je po raz pierwszy.

Roześmiał się, pochylił i zabrał do robienia malinki na moim brzuchu. Kolana same podskoczyły mi w górę i łupnęłam go w głowę z łokcia.

– Nic ci nie jest? – Odsunęłam się, siadając prosto. Cała ochota do śmiechu przeszła mi natychmiast. Walnąć go w głowę w takiej chwili! Głupia, niezdara idiotka.

Zerknął mi w twarz, po czym złapał się za skronie i runął na plecy, jęcząc boleśnie.

– Ej – fuknęłam. A kiedy nie przestał, trąciłam go w bok (też znałam kilka jego wrażliwych miejsc). – Przestań, nie oberwałeś aż tak mocno. – Musiał brać lekcje u Samuela.

Łypnął jednym okiem.

– Skąd wiesz?

– Masz twarde łeb. Skoro nie złamałam sobie łokcia, tobie tym bardziej nic się nie stało.

– Chodź do mnie. – Rozłożył ramiona, a w jego oczach zamigotały iskierki śmiechu i... pożądania.

Wspięłam się na niego. Przymknęliśmy na moment powieki i ułożyłam się wygodniej. Przesunął dłońmi po moich plecach.

– Uwielbiam to – szepnął. Oddech miał trochę nierówny, a w

oczach żółte iskry.

– Co? – Przyłożyłam ucho do piersi Adama, żeby posłuchać bicia serca.

– Dotykać cię... – Poglaskał moje nagie pośladki. – Wiesz, od jak dawna chciałem to zrobić? – Chwycił mocniej.

Przez nocny stres miałam spięte wszystkie mięśnie, a ta intensywna pieszczota sprawiała mi przyjemność. Rozluźniłam się i gdybym mogła, zaczęłabym mruzczyć.

– Patrząc na nas, można by pomyśleć, że śpimy – powiedziałam.

– Tak myślisz? Tylko dopóki ktoś nie usłyszałby mojego przyspieszonego pulsu... albo twojego.

Jęknęłam, kiedy natrafił na wrażliwe miejsce.

– Zupełnie jak Medea – zauważył. – Wystarczy cię dotknąć. Ciskasz się i miotasz, a po chwili przytulasz miękko. Stąd wiem, że pragniesz mnie tak mocno, jak ja ciebie. – Przytulił się mocniej. Poznałam, że nie tylko we mnie pewne doświadczenia zostawiły rany.

– Nie umiem mruzczyć tak dobrze jak Medea.

– Jesteś tego pewna?

Sprytnie zaprezentował mi moje własne możliwości. Nawet jeśli nie osiągnęłam takiego natężenia dźwięku jak mój kot, to byłam blisko. Zanim Adam zabrał się do konkretów, w piekle, jakie we mnie rozpętał, nie było miejsca na strachy i wspomnienia.

Pozostał tylko Adam.



Po jakimś czasie obudziłam się uśmiechnięta, zadowolona. Adama nie zastałam w łóżku, ale słyszałam na dole. Rozmawiał z Jesse w kuchni. Przygotowywali lunch – zerknęłam w okno – a raczej kolację. Albo siekali kogoś na drobne kawałki. Wiedziałam, że troski niedługo dopadną mnie na nowo, lecz na razie wampiry nie zamierzały zabić nikogo z moich znajomych. Ani nawet mnie. Słońce świeciło jasno, a sprawy pomiędzy mną i Adamem układały się świetnie.



W każdym razie na większości płaszczyzn. Musieliśmy jeszcze wiele przedyskutować. Na przykład, czy chce, żebym się tu wprowadziła? Na noc, nie ma sprawy, jednak w jego domu panował zbyt duży ruch jak na mój gust. Wiecznie przesiadywały tu wilkołaki. Lubiłam mój bungalow, choć obskurny, stanowił odrębne terytorium.

I co z Samuelem? Zasepiłam się. Nadal był rozbity, a mieszkanie ze mną z niewiadomego powodu traktował jak terapię. Miał we mnie namiastkę stada, jednocześnie nie będąc Alfą i nie ponosząc odpowiedzialności za wiele osób. Moja wyprowadzka do Adama raczej nie zrobi mu dobrze, a zabranie go tutaj to jeszcze gorszy pomysł.

Proszę, już zaczynałam się martwić.

Odetchnęłam głęboko, oczyszczając umysł z nieprzyjemnych myśli. Jutro będę się martwić o Samuela, Stefana i Amber, której duch stanowił najmniejszy z problemów. Dzisiaj postanowiłam się cieszyć. Przez cały dzień napawać się szczęściem i bez troską.

Wyszłam z łóżka, stając na środku sypialnia naga. Sama nagość to nic złego, ale nigdzie wokół nie widziałam śladu po bieliznie. Zaglądałam pod łóżko, kiedy w drzwiach stanął Adam.

– Widzę coś, co zaczyna się na literę P – powiedział.

– Zaraz dopilnuję, żebyś miał kłopoty ze wzrokiem – zagroziłam, uśmiechając się do dywanu. Nie krępowała mnie nagość, wśród wilkołaków była czymś absolutnie naturalnym. Potrafiłam udawać zażenowanie golizną w towarzystwie ludzi, żeby sobie czegoś nie pomyśleli... Natomiast jeśli chodzi o myśli Adama, prawdopodobnie biegły teraz jednotorowo. Zakołysałam przedmiotem naszej rozmowy i zostałam pieszczotliwie poklepana.

– Czuję, że coś pichcisz – coś z kurczakiem i cytryną – i aż ślinka mi leci. Ale nie mogę znaleźć bielizny.

– Możesz zejść bez – zaproponował, siadając na łóżku blisko mnie.

– Ha, zapomnij. Na dole jest Jesse i Bóg wie kto jeszcze. Nie zamierzam biegać po domu bez majtek.

– Przecież nikt nie będzie wiedział.

– Ja będę wiedziała. – Wyciągnęłam głowę spod łóżka, a moim oczom ukazały się niebieskie figi wiszące na palcu Adama.

– Znalazłem pod poduszką – wyjaśnił z niewinnym uśmiechem.

Zabrałam mu część mojej intymnej garderoby i już odrobinę odziana ruszyłam do łazienki po resztę rzeczy. Zamknęłam za sobą drzwi i naraz opadła mnie fala wspomnień.

Odarta z godności, zbrukana, skalana... Nie spojrzę im w oczy, bo wiedzą...

– Cii, cii – szeptał mi Adam do ucha. – Już po wszystkim, to już nie wróci. – Siedział na podłodze, trzymając mnie na kolanach i przytulając. Powoli otrząsnęłam się i wspomnienie zbladło.

Odzyskawszy oddech, wyprostowałam się, w zamierzeniu dumnie.

– Przepraszam. – Liczyłam, że po tej nocy będę miała z głowy przebłyski wspomnień i napady lęku, przecież wszystko wróciło do normy, tak? Chwyciłam ręcznik, otarłam nim twarz, ale łzy natychmiast wróciły. Byłam taka pewna, że teraz już będzie dobrze...

– Tydzień to za mało, żeby sobie poradzić z czymś takim – powiedział Adam, jakby czytał mi w myślach. – Pomogę ci, jeśli pozwolisz. – Starł kciukiem łzę z mojego policzka. – Ale musisz się otworzyć, pozwolić dotrzeć do siebie stado. – Uśmiechnął się smutno. – Niezwykle zaciekle to blokujesz od tego ostatniego razu podczas drogi ze Spokane. Stawiam, że zaczęłaś po ukąszeniu przez Stefana.

Nie miałam pojęcia, o czym Adam mówi, i chyba zorientował się po mojej minie.

– Nie robisz tego specjalnie?

Zsunęłam się z jego kolan, siadając pod ścianą.

– Nic nie robię.

– W drodze powrotnej miałaś atak paniki.

Przytaknęłam, przypominając sobie ciepło, jakim otoczyło mnie stado, pomagając opanować lęk. Wspaniałe, cudowne uczucie, które

zniknęło w zamieszaniu ostatnich dwóch dni.

Opuścił lekko powieki.

– Tak lepiej, odrobinę lepiej. – Podniósł oczy, w których tańczyły żółte iskry. Wyciągnął rękę i dotknął mnie pod uchem. To było muśnięcie, ledwie je poczułam. Nie powinno wzbudzić takiej reakcji. – Zupełnie jak Medea – zaśmiał się z lekkim roztargnieniem i odetchnął nieco chrapliwie. – Spróbuję jeszcze raz, mogę? – Wyciągnął rękę. Kiedy położyłam na niej swoją dłoń, przymknął oczy, a ja poczułam wibrujące życie, ciepło, które wnikało we mnie przez dotyk. Kojarzyło się ze słonecznym dniem, śmiechem i słodyczą miodu. Poddałam się temu wrażeniu, wiedząc, że głębiej będzie jeszcze silniejsze... Ale stado mnie nie akceptowało. W momencie, kiedy przemknęła mi ta myśl, połączenie się zerwało, a Adam cofnął rękę, sycząc z bólu. Momentalnie przetoczyłam się na kolana i sięgnęłam, by go dotknąć, lecz zamarłam, bojąc się, że przysporzę mu cierpienia.

– Adam?

– Uparciuch z ciebie – skwitował. – Ale co nieco z ciebie wyciągnąłem. Nie kochamy cię, więc niczego od nas nie przyjmiesz? – Pytanie było zdecydowanie retoryczne, wahanie wynikało raczej z niepewności co do toku rozumowania. Skuliłam się poruszona celnością wniosku Adama. – Wilkiem kierują instynkty, kojotem zapewne tak samo – odezwał się po chwili. Już spokojny, przysiadł przy mnie, wspierając się na jednym kolanie. – Prawda jest brutalna, bez upiększeń i uprzejmości, rządzi się własną logiką. Nie pozwolisz stadu dawać, nie dając nic w zamian, a skoro nie chcemy niczego od ciebie...

Nie odzywałam się. Nie rozumiałam, jak działa moc watahy, jednak ostatnie zdanie było prawdziwe.

– Czasami przynależność do stada jest niewygodna – podjął po chwili. – Szczególnie w takich okresach jak teraz, kiedy zbliża się pełnia, nie możemy ukrywać przed sobą emocji, tak jak czynią to ludzie. Niektóre sprawy można zatrzymać dla siebie, lecz nie da się wybrać, które konkretnie. Paul wie, że nadal jestem na niego

wściekły o ten atak na Warrena, i źle się z tym czuje, co wzbudza we mnie jeszcze większą złość, bo zdaję sobie sprawę, że powodem tego nie jest żal za to, co zrobił, a lęk przede mną.

Patrzyłam na Adama czujnie.

– To nie takie złe, jak się może wydawać – ciągnął. – To wiedza o tym, kim są, co jest dla nich ważne, czym się między sobą różnią. Czym każdy z nich może wspomóc stado. – Zawahał się. – Nie wiem, ile z tego odbierasz. Ja w czasie pełni, w wilczej formie, mogę odczytać każdego, taki jest dar Alfy. Pozwala mi wykorzystywać ich siłę do budowania stada. Reszta wyczuwa jedynie niektóre rzeczy, głównie to, co ich dręczy, lub jakieś bardzo ważne emocje. – Uśmiechnął się lekko. – Wiesz, że nie byłem pewien, czy włączenie cię do stada w ogóle się uda. Z ludzką towarzyszką nie powiodłoby się, ale ty jesteś zagadką. – Spojrzał na mnie uważnie. – Wiedziałaś, że Mary Jo jest w niebezpieczeństwie.

– Nie, czułam tylko, że komuś dzieje się krzywda, jednak nie wiedziałam, że to Mary Jo, dopóki jej nie zobaczyłam.

– Dobrze – ucieszył się. – W takim razie więź nie powinna być dla ciebie uciążliwa. Dopóki nie będziesz ich potrzebować, stado będzie twoją opoką, azylem. Ale kiedy nasza więź się ustali, może być nieco inaczej.

– Co to znaczy: kiedy nasza więź się ustali?

– Trudno mi powiedzieć. – Wzruszył ramionami, a w jego oczach pojawiło się rozbawienie. – Kiedy uczyłem się, jak być wilkiem, zapytałem mojego mentora o łączenie się w pary, jakie to uczucie. Odparł, że w każdym przypadku przebiega inaczej, a z Alfą jest jeszcze bardziej złożone.

– Więc nie wiesz? – Zdziwiłam się, bo nie była to odpowiedź na moje pytanie, a Adam albo odpowiadał, albo wyraźnie mówił, że nie odpowie.

– Wiem. Nasza więź – uczynił gest, wskazując niewielką przestrzeń między nami – jest dla mnie jak most, jak most wiszący nad Kolumbią. Ma pylony i wanty, i inne elementy konstrukcyjne, lecz nie łączy jeszcze brzegów. Wiem, że to brzmi głupio – zaśmiał

się – ale sama pytałaś. W każdym razie, jeżeli w momencie, gdy Mary Jo umierała, czułaś tylko, że komuś dzieje się krzywda i że kilkoro z watahy cię nie akceptuje, to moja wina. Odbierałaś ich emocje za moim pośrednictwem. Gdyby nie splot pewnych okoliczności, nie wiedziałabyś o tym. Okoliczności takich jak moja bliskość, twoja otwartość na stado i zbliżająca się pełnia. I twoja irytacja na nich.

– Więc skoro nie czułaś, że mnie nie chcą, nie miałyby to znaczenia?

– Miałyby, oczywiście, chodzi o to, żeby nie kłuło cię to w każdej minucie każdego dnia. Pewnie będziesz wiedzieć, kto konkretnie jest wobec ciebie źle nastawiony. Podobnie jak Warren wie, kto nienawidzi go za preferencje. – Twarz Adama ściągnęła się na wspomnienie tego, co musiał przeżywać Warren, lecz nie przestał mówić. – I jak Darryl wie, kto z wilkołaków niechętnie przyjmuje rozkazy od Murzyna, który wywyższa się, bo posiada wykształcenie. Nie jesteś jedyna. Większość wilkołaków ma jakieś uprzedzenia. Choć po jakimś czasie to się zaciera. Wiesz, kto najbardziej nienawidził Darryla, kiedy ten przyłączył się do nas dawno temu, jeszcze w Nowym Meksyku?

Uniosłam brwi w niemym pytaniu.

– Aurielle. Uważała go za aroganckiego, zadufanego snoba.

– Nie dziwię się. Taki jest – stwierdziłam. – Jest też bystry, pełen werwy i skłonny do wyświadczenia drobnych uprzejmości, kiedy nikt nie patrzy.

– Widzisz więc, nikt z nas nie jest doskonały, ale jako stado staramy się, aby wady stanowiły jak najmniejszą część wspólnoty. Pozwól nam dać sobie prawdziwy dom, Mercedes. Wilki, które mają coś przeciwko tobie, poradzą sobie z tym, tak jak ty poradzisz sobie z tymi, których nie lubisz. Po tej pracy, jaką już wykonałaś sama, wataha pomoże ci pozbyć się napadów lęku.

– Ben jest chamski – oświadczyłam z namysłem.

– Widzisz, już znasz większość z nas. A Ben cię uwielbia. Tylko jeszcze nie wie, co z tym począć. Nie przywykł do lubienia

kogokolwiek, a sympatia wobec kobiety...

– Uh! – skrzywiłam się z udawaną odrazą.

– Spróbujmy jeszcze raz – zaproponował, podając mi rękę.

Tym razem gdy go dotknęłam, poczułam szorstkość i zgrubienia na jego dłoni, żadnego ciepła, żadnej magii.

Przekrzywił głowę, taksując mnie surowo.

– Trudno walczyć z instynktem nawet z pomocą rozsądku i logiki, co? Mogę?

– Ale co?

– Spróbować sięgnąć do ciebie? Może to pozwoli ci się otworzyć na stado.

Brzmiało niegroźnie. Niepewnie przytaknęłam i poczułam go, poczułam dotknięcie jego istoty. Wrażenie było inne, niż gdy przywoływałam Stefana. Stopień intymności tamtego można było porównać z rozmową. Połączenie z Adamem przypominało obecność czegoś niematerialnego, jaką odczuwałam w kościele, ale to była obecność Adama, nie Boga.

A ponieważ był to Adam, dopuściłam go do jądra mojego serca. Wtedy jakby coś wskoczyło na swoje miejsce i moją duszę wypełnił spokój. Wtedy wrota tamy się otworzyły.



Następną rzeczą, jaka dotarła do mojej świadomości, było to, że znów siedzę na kolanach Adama, ale już w sypialni. Wilkołaki otaczały nas zwartym kręgiem, trzymając się za ręce. Głowa bolała mnie jeszcze bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy się upiłam.

– Musimy popracować nad twoimi umiejętnościami wybiórczego blokowania – powiedział Adam ochryple.

Jakby na sygnał, stado rozdzieliło się na poszczególne wilkołaki i dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że wcześniej stanowili jedność. Coś zniknęło i głowa przestała tak bardzo boleć. Zażenowana, że siedzę na podłodze, podczas gdy oni stoją, przetoczyłam się i, podpierając rękoma, usiłowałam podnieść.

– Powoli – mruknął Samuel. Nie był częścią kręgu, stał z tyłu, ale

przepchnął się i pomógł mi wstać.

– Przepraszam – powiedziałam do Adama, czując, że stało się coś złego, choć nie potrafiłam określić dokładnie co.

– Nie przepraszaj, Mercy – burknął Samuel. – Adam powinien wiedzieć, że włączanie towarzyski do stada i ustalanie więzi partnerskich jednocześnie to głupi pomysł. To tak, jakby uczyć dziecko pływać w oceanie. Podczas tsunami.

Adam nadal siedział na podłodze z poszarzałą twarzą i zamkniętymi oczyma, tak sztywno, jakby każdy ruch sprawiał mu ból.

– To nie twoja wina, Mercy. Poprosiłem cię, żebyś się na mnie otworzyła.

– Co się stało? – zapytałam.

Adam uniósł powieki. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby jego tęczówki były tak żółte.

– Przeciągnięcie na pełnym gazie. Niech ktoś zadzwoni do Warrena i Darryla i sprawdzi, co u nich. Włączyli się samoistnie i pomogli cię z tego wyciągnąć.

– Nic nie pamiętam.

– I dobrze – wtrącił Samuel. – Na nasze szczęście umysł ma własne mechanizmy obronne.

– Przeskoczyłaś od całkowitego zamknięcia do pełnego otwarcia – wyjaśnił Adam. – W tej samej chwili nasza więź się ustaliła. Zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje... – Machnął ręką. – Zaczęłaś wędrować wszystkimi połączeniami pomiędzy stadem naraz.

– Zupełnie jak Napoleon próbujący podbić Rosję – porównał Samuel. – Nie można być wszędzie jednocześnie.

Nagle wróciły urywki wspomnień. Płynęłam, tonęłam w myślach i obrazach nienależących do mnie. Zalewały mnie, otaczały, przepływały wskroś lodowatą rzeką, rozdzierając na kawałeczki. Przytłoczona ciemnością, chłodem, nie mogłam oddychać. Słyszałam wołanie Adama...

– Odebrała Auriele – wrócił z informacją Ben. – Mówi, że Darrylowi nic nie jest. Warren nie podnosił, więc zadzwoniłem na

komórkę jego gacha. Chłoptaş sprawdzi i da mi znać.

– Założę się, że nie nazwałeś go tak prosto w twarz – powiedziałam.

– Ażebyś wiedziała, że tak go, kurna, nazwałem – odparł Ben urażony. – Trzeba było słyszeć, jak on mnie nazwał.

Kyle, partner Warrena, rekin wśród prawników od rozwodów, język, podobnie jak umysł, miał ostry jak brzytwa. Postawiłabym grubą kasę na wynik takiej potyczki słownej i nie obstawiałabym Bena.

– Co z tatą? – usłyszałam Jesse. Wilkołaki rozstąpiły się, zakłopotane, przepuszczając córkę. Uświadomiłam sobie, że trzymały ją z dala, póki sprawy wyglądały nie najlepiej. Sądząc po barwie oczu, opanowanie Adama wisiało na włosku, więc niedopuszczanie do niego bezbronnej dziewczynki było rozsądnym posunięciem. Ale znałam Jesse i współczułam osobie wyznaczonej do jej pilnowania.

Adam zerwał się na równe nogi, udając, że wcale nie wspiera się na Mary Jo, która wyciągnęła ku niemu rękę, kiedy się zachwiał.

– Nic mi nie jest. – Przytulił córkę uspokajająco.

– To Jesse wezwała Samuela – powiedziała Mary Jo. – Nawet nie przyszło nam to do głowy. Powiedział nam, co mamy robić.

– Jesse jest wspaniała – stwierdziłam z przekonaniem. Dziewczynka uśmiechnęła się, trochę roztrzęsiona.

– Cały wic polega na tym – zaczął Samuel – żeby zjednoczyć się ze stadem i Adamem, nie tracąc się całkowicie. Wilki radzą sobie z tym instynktownie, ale ty będziesz musiała się tego nauczyć.



Wreszcie wymknęłam się prawie niezauważona w zamieszaniu, jakie spowodowaliśmy. Potrzebowałam побыć trochę sama. Adam widział, jak wychodzę, jednak mnie nie zatrzymywał. Wiedział, że wrócę.

W lodówce znalazłam miskę tuńczyka, pikle i majonez, zrobiłam więc sobie kanapkę, zaś resztkami poczęstowałam kota. Obserwując



łapczywie zajadającą Medeę, zadzwoniłam do Kyle'a.

– Ummm?

Głos, który odezwał się w słuchawce, był tak rozleniwiony, że aż sprawdziłam na wyświetlaczu, czy na pewno wybrałam numer Kyle'a. Stało jak byk: „Kyle, komórka”.

– Kyle? Chciałam zapytać, co z Warrenem.

– Wybacz, Mercy – roześmiał się Kyle. W tle usłyszałam chlapnięcie. – Siedzimy w wannie. Nic mu nie jest. A ty jak się czujesz? Ben mówił, że wszystko z tobą ok.

– Uhm. A Warren?

– Leżał w korytarzu, musiał zemdleć, idąc do kuchni, bo obok leżała pusta szklanka.

– Nie była pusta, gdy ją niosłem – w głosie Warrena brzmiało rozbawienie.

– Może – przyznał Kyle. – Zwracałem uwagę na Warrena, nie szklankę. Ocknął się w kilka minut...

– Każdy by się ocknął, jakby ktoś go oblał zimną wodą – wtrącił Warren.

– Ale był strasznie obolały, stąd gorąca kąpiel.

– Powiedz mu, że go przepraszam.

– Nie ma za co – zbył mnie Warren. – Magia stada bywa zwodnicza. Ja, Adam i Darryl jesteśmy po to, by reagować w takich momentach. Nie czuję z tobą połączenia, jakieś kłopoty?

– Chyba nie. Samuel twierdzi, że chwilowo przepaliłam druciki. Wkrótce wszystko powinno wrócić do normy.

– Jak widać, nie muszę nic przekazywać – fuknął Kyle.

Usłyszałam pomruk silnika – na podjazd wtaczał się mercedes. Jednak nie rozpoznałam, do kogo należy.

– W takim razie uściskaj Warrena ode mnie – powiedziałam. – Miłej kąpieli.

Rozłączyłam się, zanim Kyle zdążył uczynić jakąś nieprzyzwoitą uwagę, i podeszłam do drzwi, żeby sprawdzić, kto przyjechał. Na ganek wchodził Corban. Zaskoczyłam go, otwierając, zanim zapukał. Wyglądał na zdenerwowanego, miał przekrzywiony

krawat i był nieogolony.

– Corban? – Zdziwiła mnie wizyta Whartona, skoro mógł przecież zadzwonić. – Coś się stało?

Otrząsnął się z początkowej niepewności i przeskoczył ostatni stopień. Wyciągnął ku mnie rękę w skórzanej rękawiczce. Trzymał w niej jakiś przedmiot. Nim rozpoznałam, co to jest, poraził mnie paralizatorem.

Paralizatory są powszechną bronią policji, wcześniej jednak nie miałam z nimi do czynienia na żywo. Widziałam w Internecie filmik z pewnego zajścia w bibliotece, na którym jakiś student złamał zasady, ale nie chciał wyjść i został dwa razy potraktowany paralizatorem.

Bolało. Bolało jak... nie wiem co. Upadłam na ziemię i leżałam, nie mogąc się ruszyć, kiedy Corban zaczął mnie obszukiwać. Wyjął mi z kieszeni komórkę i rzucił na ganek. Potem wziął mnie pod ramiona i kolana, starając się dźwignąć. Ważę więcej, niż na to wyglądam – mięśnie są ciężkie, a on nie był żadnym wilkołakiem, tylko zwykłym facetem szepczącym rozpaczliwie: „Przepraszam, tak mi przykro”.

Dopilnuję, żeby ci było przykro, bydlaku, myślałam oszołomiona. Powiedzenie „nie mszczę się, wyrównuję rachunki” traktowałam jak credo, nie frazes.

Paralizator obezwładniał ludzi tylko na kilka minut. Nawet ten dzieciak w bibliotece wydawał z siebie jęki. Ale ja, nie wiedząc czemu, zostałam zupełnie unieruchomiona.

Usiłowałam połączyć się ze stadem lub wezwać Adama na pomoc, udało mi się nawet odnaleźć więź, ale ból, jaki poczułam, próbując wymusić kontakt, nie miał nic wspólnego z paralizatorem. Głowa omal mi nie pękła. Jeszcze chwila, a zacznę krwawić z uszu, pomyślałam. Do zmroku zostało wciąż trochę czasu, więc wzywianie Stefana nie miało sensu.

Za drugim razem udało mu się mnie dźwignąć. Zaniósł do samochodu i wrzucił do bagażnika. Huknęłam głową o podłogę. Kiedy to się wszystko skończy, Amber będzie wdową.

Wykręcił mi ręce i związał z tyłu. Rozpoznałam

charakterystyczne bzyknięcie plastikowej opaski zaciskowej. Drugą unieruchomił mi nogi. Później rozwarł na siłę szczęki i zakneblował usta skarpetką, która pachniała zmiękcaczem i odrobinę Amber. Na koniec umocował knebel elastycznym bandażem.

– Chad – powiedział, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczyma. – On ma Chada.

Zanim zatrzasnął bagażnik, dostrzegłam na szyi Whartona ślad świeżego ukąszenia.



## Rozdział 11

**W**ładzę nad ciałem odzyskałam dopiero mniej więcej po kwadransie. Oprzytomniawszy, doszłam do wniosku, że Corban musiał użyć jakiegoś specjalnego paralizatora. Normalny za diabła tak nie działał. Obolała, zdenerwowana, zwinęłam się w kłębek w trzęsącym się bagażniku, usiłując obmyślić jakiś plan.

Nie mogłam na razie się przemienić, ale przed dotarciem do Spokane powinnam odzyskać siły, a opaski nie zostały zaciśnięte tak mocno, by utrzymać kojota. Wóz należał do tych nowszych, przy zamku klapy dojrzałam linkę awaryjnego otwierania. A więc nie byłam uwięziona.

Świadomość ta pomogła mi w dużym stopniu opanować panikę. Bez względu na wszystko nie będę musiała spotkać się z Blackwoodem.

Odprężyłam się, zastanawiając, dlaczego wampirowi tak na mnie zależało, że zaryzykował utratę swojego prawnika. Możliwe, że nie cenił Whartona aż tak bardzo, ale z drugiej strony odniosłam wrażenie, że ich współpraca trwa już bardzo długo. Czy naprawdę próbował przejąć Tri-Cities? Chciał mnie na zakładnika, żeby zmusić wilkołaki do pozbycia się Marsilii? Jeszcze wczoraj

wydawało się to prawdopodobne, jednak skoro wojna pomiędzy wampirami i stadem w Tri-Cities została zażegnana, porwanie mnie i użycie jako karty przetargowej, aby mieć wpływ na Adama, wydawało się głupie. A głupi wampir nie byłby w stanie utrzymać Spokane przy tak dużej konkurencji. Istniała możliwość, że nie wiedział o załagodzeniu konfliktu, a to oznaczało, że nie mogę całkiem odrzucić tej teorii. Szczególnie że Marsilia została pozbawiona swoich trzech najpotężniejszych wampirów. Jeśli zamierzał wystąpić przeciwko niej, teraz miał najbardziej sprzyjające warunki, żeby zaatakować. Ale porwanie mnie nie było atakiem, było, w najlepszym razie, kiwaniem. Teraz, po podpisaniu traktatu pomiędzy wilkołakami a wampirami, mogło to co najwyżej skłonić Adama do wystąpienia do Marsilii z ofertą połączenia sił. Z tego wynikało, że porwanie mnie w celu przejęcia terytorium byłoby głupotą. A skoro Blackwood nie był głupi, ja zaś leżałam na dnie bagażnika Corbana, wniosek, że myliliśmy się co do planów Blackwooda, nasuwał się sam.

Czego więc ode mnie chciał?

Może chodziło po prostu o ambicję? Oznaczył mnie jako swojego dawcę – może nawet robił tak ze wszystkimi gośćmi Amber. A potem Stefan mu mnie odebrał. Ta teoria była zgodna z zasadą „nie komplikuj sobie, żłobie”. Co oznaczało, że Blackwood nie ma nic wspólnego z duchem Chada. Czyli przez czysty, idiotyczny przypadek wkroczyłam na jego teren łowiecki, kiedy przyjechałam do Amber w sprawie nawiedzenia. Wampiry są aroganckie i terytorialne. Nie tylko możliwe, a wręcz całkiem prawdopodobne, że uważał, iż jeśli na mnie zerował, należę do niego. Jeśli byłby bardzo zaborczy, a zagarnięcie całego miasta wyłącznie dla siebie świadczyło o ogromnej zaborczości, logiczne, że wysłał po mnie swojego sługusa.

Łatwe, proste wyjaśnienie, które nie suponowało w żadnym razie mojej wyjątkowości. Problem w tym, że nie do końca pasowało. Skoro jednak i tak nie miałam nic do roboty w bagażniku, mogłam przeanalizować to wszystko dogłębnie.

Kwestia wizyty Amber dręczyła mnie od samego początku. Po przemyśleniu całej sprawy wydała się jeszcze dziwniejsza. Amber, z którą stoczyliśmy wodną bitwę w kuchni, która wydawała kolacje dla klientów męża, nie byłaby tak bezmyślna i niewrażliwa, by prosić mnie o pomoc w pozbyciu się ducha po tym, co przeczytała w gazecie. Zwracać się z czymś takim do ledwo co zgwałconej osoby? I to prawie całkiem obcej ledwo co zgwałconej osoby?

Od dawna nie miałam z Amber kontaktu, chyba jednak rzeczywiście czuła się niezręcznie, co było zupełnie niecharakterystyczne dla dziewczyny, którą znałam, i nie pasowało do kobiety, którą się stała. Oczywiście dało się to wyjaśnić dziwacznością sytuacji, lecz doszłam do wniosku, że prędzej było to wynikiem spełniania czyjejs prośby. A skoro Blackwood ją po mnie wysłał, to dlaczego? Co takiego wiedział na mój temat, że postanowił mnie do siebie sprowadzić?

Gazety pisały, że spotykam się z wilkołakiem. Amber wiedziała, że widzę duchy. Naraz do głowy przyszła mi jeszcze jedna myśl. Wiedziała także, że do szesnastego roku życia wychowywałam się w rodzinie zastępczej w Montanie. Nigdy tego nie ukrywałam. Z wyjątkiem jednego szczegółu – że była to wilkołacza rodzina. A i ten fakt wypaplałam po pijanemu. Ale wilkołaki wiedziały o zmiennokształtnym, kojocim metamorfie wychowywanym przez Brana. Powiedzmy więc, że nie wiedział nic o mnie aż do pojawienia się artykułów. Powiedzmy, że czytającej gazetę Amber wymknęło się coś w rodzaju: „O, znam ją. Mówiła kiedyś, że widzi duchy. Może zrobiłaby coś z tym naszym?”. A Blackwood mógł pomyśleć: „Hmm, dziewczyna Alfy w Tri-Cities. Dziewczyna z darem widzenia duchów”. A że jest bardzo stary, może wiedzieć więcej o zmiennokształtnych niż ja sama. Dodał więc dwa do dwóch i stwierdził: „ Ha, a może to ta sama zmiennokształtna, którą zajmował się Bran?”. Po czym zapytał Amber, czy pochodzę z Montany, a ona mu powiedziała, że wychowywałam się tam w rodzinie zastępczej.

Może potrzebował do czegoś zmiennokształtnego? Wzdrygnęłam

się, przypominając sobie, co mówił Stefan o uzależnionym od wilkołaczej krwi Panu Mediolanu. Stefan jednak pił moją krew i nie zauważyłam, aby to wywołało jakieś szczególne efekty. No ale przypuśćmy, że Blackwood potrzebował zmiennokształtnego i wysłał po mnie Amber. Ta teoria nie podobała mi się aż tak bardzo, jak ta od nieskomplikowanego zła. Głównie dlatego, iż oznaczała, że nie przestanie na mnie polować, nawet kiedy ucieknę z samochodu. I że będzie próbował, póki nie dostanie, czego chce – albo nie zginie. Za to bardziej pasowała. Zmiennokształtni byli rzadkością. Nawet jeśli jakiś był tu, w okolicy, nic o tym nie wiedziałam. Dlatego jeżeli zorientował się, czym jestem, a potrzebował zmiennokształtnego, stałam się logicznym wyborem. Pytanie brzmiało, czego mógł chcieć od zmiennokształtnego.

Mrowienie w kończynach zelżało, pozostawiając uporczywy ból. Nadszedł czas na ucieczkę. Naraz jednak wróciły do mnie słowa Corbana: „On ma Chada”. Corban porwał mnie, bo Blackwood przetrzymywał Chada. Zastanawiałam się, co robi, gdy Wharton wróci z informacją, że uciekłam. Może wyśle go ponownie? Ale przypominałam sobie, z jaką obojętnością Marsilia rozkazała zabić owcę Estelle, a także ludzi Stefana. Była urażona jego gniewem, gdy dowiedział się, co zrobiła. Może nie rozumiała przywiązania Stefana do menażerii, bo... ludzie to pożywienie.

Może Blackwood po prostu zabije Chada.

Nie mogłam ryzykować.

Nagle groza skręciła mi wnętrzności, gdy uświadomiłam sobie, że jestem jednak w pułapce. Nie mogłam uciec, ponieważ to równałoby się śmierci dziecka.

Przerażona, zrobiłam przegląd środków, jakimi dysponowałam. Oczywiście kostur. W tym momencie go nie miałam, ale w końcu się pojawi. Zrobili go nie ludzie i był potężnym artefaktem – o ile wampiry bałyby się owiec. Nie mogłam nawiązać kontaktu ani z Adamem, ani ze stadem. Chwilowo, bo Samuel twierdził, że połączenie wróci. Nie powiedział mi co prawda, ile czasu będzie to trwało, a ja też nie miałam na razie ochoty ponownie sprawdzać.

Adam wspominał, że odległość osłabia moc połączenia. Pewnego razu Samuel, uciekając przed ojcem, dotarł do Teksasu, wtedy zerwał więź. A Spokane znajdowało się dużo bliżej Tri-Cities niż Teksas Montany. Może więc, jeśli uda mi się powstrzymać Blackwooda wystarczająco długo, będę w stanie wezwać moc całego stada i zdać się na nich – znowu. No i po zmroku, czyli już niedługo, dostępny będzie Stefan. Mogłabym go przyzwać tak jak wtedy, gdy kazała mi to zrobić Marsilia, ale muszę się pospieszyć, zanim Blackwood dokona ze mną kolejnej wymiany krwi. Zakładałam bowiem, że skoro zadziałała, by zerwać więź z Blackwoodem, zadziała także w drugą stronę.

Poza tym, tak jak w przypadku stada, prawdopodobnie ściągnęłabym Stefana na pewną śmierć. Skoro sam nie uważał się za dostatecznie silnego, by mierzyć się z Blackwoodem, ja tym bardziej nie mogłam mieć co do tego wątpliwości. Wiedział o Blackwoodzie więcej niż ja.

Jeśli ucieknę, zostawię chłopca w rękach potwora. Jeśli zostanę, sama wpadnę w łapy potwora. Potwora.

A może wcale nie zamierzał mnie zabić. W to mogłam uwierzyć. Natomiast w to, że nie zechce uczynić ze mnie marionetki, nie bardzo, biorąc pod uwagę, że już próbował.

Zawsze mogłam jednak uciec. Przemieniłam się, wmawiając sobie, że tylko po to, aby nie spotkać się z Blackwoodem na z góry straconej pozycji – związana i bezbronna. W kojociej formie szybko wyswobodziłam się z więzów i pozbyłam knebla. Potem przemieniłam się z powrotem, ubrałam i pociągnęłam linkę otwierającą bagażnik.

Przejechałam w bagażniku całą drogę do Spokane. Kiedy samochód zwolnił i jednostajny warkot silnika wozu mknącego po międzystanówce zmienił się przy wjeździe do miasta, wygładziłam ubranie i... moje palce namacały kostur. Drewniana laska ze srebrnym zakończeniem leżała przy moim policzku. Pogłodziłam ją, dotyk dodał mi pewności siebie.

– Lepiej się ukryj, moja śliczna – mruknęłam z pirackim



akcentem. – Inaczej schowa cię do swojego skarbcza i nigdy już nie ujrzysz światła dziennego.

Usłyszałam cichutkie dzwonięcie, potem wzięliśmy ostry zakręt i już nie mogłam znaleźć kostura. Miałam nadzieję, że posłuchał mnie i zniknął. Nie przyda się w starciu z wampirem, a nie chciałam, żeby mu się coś stało, gdy jest pod moją pieczęcią.

– Zaczynasz mówić do nieożywionych przedmiotów – powiedziałam do siebie na głos. – I w dodatku wierzysz, że cię słuchają. Weź się w garść, Mercedes.

Samochód zwolnił i się zatrzymał. Usłyszałam szcęk łańcucha, potem hurgot metalu na betonie. Odgłos świadczył, że brama Blackwooda jest bardziej luksusowa niż ta Marsilii. Czy wampiry zwracały uwagę na takie rzeczy?

Przetoczyłam się, skrzyżowałam nogi i pochyliłam, brodą opierając o pięty. Kiedy Corban uniósł klapę, wyprostowałam się. Musiało wyglądać to tak, jakbym siedziała w tej pozycji całą drogę. Miałam nadzieję, że będzie tak zaskoczony, iż nie zwróci uwagi na zawartość bagażnika i nie zauważy kostura. O ile ten w ogóle tam się znajdował.

– Blackwood ma Chada? – zapytałam.

Wharton otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku.

– Posłuchaj – zaczęłam, gramoląc się z bagażnika ze znacznie mniejszą gracją, niż zamierzałam. Przeklęty paralizator czy co to tam było. – Nie mamy wiele czasu. Musisz mi nakreślić sytuację. Mówiłeś, że ma Chada. Co dokładnie kazał ci zrobić? Mówił, dlaczego masz mnie do niego przywieźć?

– Ma Chada – rzekł Corban, czerwieniejąc, jakby wypowiedzenie tych słów kosztowało go wiele wysiłku. Zaczął mówić wolniej. – Porwać cię, gdy będziesz sama. Kiedy nikt ci nie pomoże. Ani współlokator. Ani twój facet. Wtedy mi powie. Przywieźć cię. Mój syn przeżyje.

– Ale czego ode mnie chce? – drążyłam, jednocześnie obracając w głowie myśl, że Blackwood wiedział, kiedy zostanę sama. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś mnie obserwował. Nawet jeśli sama bym

nie zauważyła, byli przecież Samuel i Adam.

– Nie wiem. – Potrząsnął głową i chwycił mnie za przegub. – Muszę cię zabrać.

– Dobrze – przystałam, choć serce zabiło mi szybciej. Nawet teraz, powtarzałam sobie, zerkając na bramę w trzymetrowej wysokości murze, nawet teraz mogłabym wyrwać się i uciec. Tylko co wtedy z Chadem?

– Mercy – odezwał się Corban. – Jeszcze jedno. Kazał mi powiedzieć ci o Chadzie. Żebyś przyjechała.

Czasem wiedza, że coś jest pułapką, nie wystarcza, by trzymać się od tego z daleka, jeśli przynęta jest wystarczająco dobra. Westchnęłam, myśląc, że odwaga głuchego chłopca wobec ducha powinna zainspirować mnie do przynajmniej dziesięciokrotnie większej. Miałam dobry widok, przyjrzałam się więc topografii mojej pułapki. Zrobiło się już ciemno, ale dobrze widziałam w mroku.

Dom Blackwooda był mniejszy niż Adamowy, mniejszy nawet niż dom Amber, za to stanowił dzieło rzemiosła kamieniarskiego. Działka obejmowała półtora, może dwa hektary niegdyś różanego ogrodu, teraz pełnego zdziczałych krzewów.

Pomyślałam, że Blackwooda zapewne stać na inny dom, większy, a także zatrudnienie ogrodnika, który dbałby o otoczenie. Mógłby przyjmować w nim gości, z którymi prowadził interesy. Ale właśnie to miejsce, niewielki budynek z zaniedbanym ogrodem, było jego domem. O czym to świadczyło? Poza tym, że przedkładał jakoś nad wielkość oraz prywatność nad piękno i porządek?

Mury otaczające posesję wyglądały na starsze od domu. Zbudowano je z ciosanych kamiennych bloków łączonych bez zaprawy. Wejścia broniła kuta, żelazna, bogato zdobiona brama. Sam dom w zasadzie nie był mały, wydawał się po prostu niknąć w otoczeniu innych, większych elementów architektury. Został zapewne zbudowany na miejscu okazalszego budynku, bardziej pasującego do reszty, jeśli nie do wampira.

Corban zatrzymał się przed drzwiami.

– Uciekaj – powiedział. – To nie w porządku... To nie twoja sprawa.

– Dzięki Blackwoodowi teraz to także moja sprawa – odparłam, wymijając go i wchodząc do środka. – Cześć, kochanie, wróciłam – oznajmiłam, wypowiadając to zdanie jak kwestię z filmu z lat pięćdziesiątych. Kyle pewnie doceniłby moje zdolności aktorskie, choć kostium już mniej. Koszulkę nosiłam od wczoraj, dzinsy... sama nie pamiętałam jak długo. Ale niedużo dłużej niż koszulkę.

Hol był pusty. Przez moment.

– Mercedes Thompson – rzekł wampir. – Witaj wreszcie w domu, moja droga. – Spojrzał na Corbana. – Spełniłeś swoje zadanie. Idź, odpocznij, drogi gościu.

Corban się zawahał.

– A Chad?

Wampir patrzył na mnie łakomie... Może miał ochotę na śniadanie. Słowa Whartona przerwały mu kontemplacje co wyraźnie go zirytowało.

– Czy nie wypełniłeś zadania, jakie ci powierzyłem? Cóż mogłoby się stać chłopcu, jeśli tak? A teraz już idź, odpocznij.

Odepchnęłam wszelkie myśli o Corbanie. W tej chwili nie miałam wpływu na jego los, a także los jego syna i Amber. Musiałam skupić się na tym, co mogłam zrobić tu i teraz. Tego uczył nas Bran podczas pierwszego polowania. Nie martwić się tym, co było i co będzie, skupić się tylko na teraźniejszości. Nie na tym, co ludzie pomyślą, jeśli zabiję królika, który nie wyrządził mi żadnej krzywdy. Że zabiłam go własnymi zębami i zjadłam na surowo, i że nie pominęłam części, których istnienie w środku tego miękkiego, puszystego zwierzątka ludzie wypierali nawet ze świadomości. Zapomniałam więc o króliczku, o prawdopodobnych zakończeniach tego wieczoru i skoncentrowałam się na tu i teraz. Zdławiłam panikę, która ścisnęła mi gardło. Tu i teraz, myślałam.

Blackwood zrezygnował z garnituru na rzecz stroju z innej epoki. Jak większość wampirów lepiej czuł się w takich ubraniach. Wilkołaki uczą się iść z duchem czasu, żeby nie kusiło ich życie

przeszłością. Stroje kobiece z zeszłego stulecia jestem w stanie umiejscowić w czasie z dokładnością do dziesięciolecia, starsze mniej więcej do wieku. Z męskimi mam większy problem, szczególnie jeśli nie są ubiorami formalnymi. Guziki przy rozporku wskazywały, że spodnie pochodzą z okresu przed lub początków używania zamków błyskawicznych. Ciemnobrązowa koszula miała tunikowy kołnierzyk, stójkę z rozcięciem pozwalającym założyć ją przez głowę.

Poznaj swoją ofiarę, powtarzał Bran. Obserwuj.

– James Blackwood we własnej osobie – powiedziałam. – Wiesz, kiedy Corban nas sobie przedstawił, nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Przestraszyłem cię. – Uśmiechnął się zadowolony, zaraz jednak zmarszczył brwi. – Ale teraz się nie boisz.

Króliczek, powtórzyłam sobie i popełniłam błąd, patrząc mu w oczy jak zwierzynie podczas polowania albo jak wczoraj Auriele. Ale królik czy Auriele to nie wampir.



Ocknęłam się w wielkim łożu i bez względu na wysiłki nie byłam w stanie sięgnąć pamięcią poza moment, kiedy spojrzałam Blackwoodowi w oczy. Pomieszczenie tonęło w mroku, brakowało okien. Jedyne źródło światła stanowiła lampka nocna wetknięta do gniazdzka przy drzwiach. Odrzuciłam kołdrę, odkrywając, że rozebrał mnie do majtek. Drżąc, zwinęłam się w kłębek, przypominając sobie... inną sytuację.

– Tim nie żyje – powiedziałam, a warkliwy dźwięk, który wydobył się z moich ust, godny był gardła Adama. Gdy usłyszałam własne słowa, uświadomiłam sobie, że nie czuję zapachu seksu, tak jak wtedy na Amber. Otaczała mnie za to woń krwi. Dotknęłam szyi, odnajdując rany z pierwszego i drugiego ukąszenia, a obok trzecią. Stefan uleczył tę, którą zrobił.

Uspokoiliłam się odrobinę, że nie stało się nic gorszego, a potem wpadłam w dużo większą złość, która nie zdołała jednak pokryć

mojego strachu. Ale ulga i gniew nie pozostawiały mnie bezsilnej w środku ataku paniki.

Drzwi okazały się zamknięte, a Blackwood nie zostawił mi niczego, czym mogłabym je otworzyć. Włączyłam światło, na szczęście działało, lecz nie ujawniło nic, czego nie widziałbym wcześniej. W plastikowym pojemniku leżały moje spodnie i koszulka. W kieszeni dżinsów znalazłam list do Stefana oraz dwadzieścia pięć centów, ale już wkrętaki, które włożyłam tam podczas naprawiania samochodu w drodze do Amber, zabrał.

Łóżko stanowiło kilka ułożonych na sobie materaców gąbkowych. Nie było z czego zrobić jakiegokolwiek narzędzia czy broni.

– Żadna ofiara mu nie ucieka – usłyszałam szept.

Zamarłam, klęcząc przy łóżku. W pokoju nie było nikogo prócz mnie.

– Powinienem był o tym wiedzieć – znów ten głos. – Obserwowałam, jak próbują.

Obejrzałam się, lecz nic nie zobaczyłam. Za to zapach krwi stał się bardziej wyczuwalny.

– Czy to ty nawiedzałeś dom chłopca? – zapytałam.

– Biedne dziecko – odezwał się głos smutno, ale wyraźniej. – Biedne dziecko z żółtym samochodzikiem. Chciałem mieć taki żółty samochodzik...

Duchy to dziwne istoty. W rozmowie z nimi chodzi o to, by wyciągnąć informacje, nie rozpraszając pytaniami, które mogłyby stanąć w konflikcie z ich pojmowaniem świata. Ten wydawał się dość świadomy jak na ducha.

– Słyszysz Blackwoodowi?

Zobaczyłam go. Przez mgnienie oka. Młody człowiek, gdzieś między szesnastym a dwudziestym rokiem życia, w czerwonej flanelowej koszuli i płóciennych spodniach.

– Nie jestem jedynym, który musi wykonywać jego rozkazy – rozległ się głos, choć postać wpatrywała się we mnie, nie poruszając ustami. Zniknął, zanim zdążyłam zapytać, gdzie znajdują się Corban

i Chad i czy jest tu też Amber. Powinnam dowiedzieć się tego od Corbana. Nos powiedział mi tyle, że Blackwood ma świetne filtry na systemie klimatyzacji i że skrapia je olejkiem cynamonowym. Ciekawe, czy zrobił to ze względu na mnie, czy też po prostu lubił ten zapach.

Przedmioty w pomieszczeniu – plastikowy pojemnik, materace, pościel – były całkiem nowe. Podobnie jak dywan. Ściany świeżo pomalowane.

Założyłam spodnie i koszulkę, załując, że Blackwood zabrał stanik na fiszbinach. Może udałoby mi się zdziałać coś fiszbinami. Posiadałam pewne doświadczenia z włamywaniem się do samochodów, a nawet domów. Butów nie brakowało mi aż tak bardzo.

Rozległo się niepewne pukanie. Dziwne, nie słyszałam zbliżających się kroków. Może to duch?

Zamek zazgrzytał i drzwi otworzyły się, zaś w progu stanęła Amber.

– Co to za głupie pomysły, Mercy? Dlaczego zamykasz się na klucz? – Mówiła i uśmiechała się swobodnie, lecz w jej oczach czaiło się coś nieokiełznanego. Coś podobnego do wilka.

Wampir? Zetknęłam się w menażerii Stefana z osobą bliską przemiany w wampira. A może to częśćka umysłu Amber, która zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje?

– Nie zamknęłam się – powiedziałam. – Blackwood mnie zamknął. – Dziwnie pachniała, jednak wszechobecny cynamon przeszkadzał mi w identyfikacji woni.

– Głupi pomysł – powtórzyła. – Po co miałyby to robić? – Włosy miała w takim nieładzie, jakby nie czesała się od naszego ostatniego spotkania. Krzywo zapięła też bluzkę.

– Nie mam pojęcia – odparłam.

Amber myślała już o czymś innym.

– Obiad gotowy. Czekamy na ciebie.

– My?

Roześmiała się, ale bestia wyzierająca z jej oczu szalała niczym w

pułapce.

– No co ty? Corban, Chad, Jim i ja.

Odwróciła się i zaczęła iść, mocno kulejąc.

– Boli cię coś?

– Nie, a co?

– Nic, nic – zbyłam ją, zauważywszy coś istotniejszego. – Nie przejmuj się.

Nie oddychała.

Tu i teraz, powtarzałam sobie w duchu. Żadnego strachu, żadnego gniewu. Obserwuj. Poznaj swojego wroga. Zgnilizna. To wyczuwałam. Słodkawy zapach steku, który już za długo leży w lodówce. Była martwa, mimo to chodziła. Nasunęło mi się określenie „zombie”.

Stefan mówił, że wampiry posiadają różne dary. On i Marsilia potrafili zniknąć i pojawiać się w innym miejscu. Niektóre wampiry umiały poruszać przedmiotami na odległość. Ten posiadał władzę nad zmarłymi. Nad duchami, które musiały go słuchać. Nikt nie ucieknie, powtarzał duch. Nawet w śmierć.

Podążyłam za Amber długimi schodami prowadzącymi na górę, do głównej części domu. Wkroczyłyśmy na otwartą przestrzeń, na której znajdowały się kuchnia, jadalnia i salon. Był dzień... Poranek, sądząc po pozycji słońca, na oko koło dziesiątej. Pieczeń – wieprzowa, jak podpowiedział mi nos – królowała na półmisku w otoczeniu pieczonych ziemniaków i marchwi. Obok stał dzbanek wody z lodem, butelka wina i koszyk pokrojonego, domowego chleba.

Stół zdołałby pomieścić osiem osób, lecz siedzeń było pięć. Corban i Chad zajęli miejsca obok siebie, tyłem do nas, na jedynej podwójnej ławeczce. Pozostałe krzesła stanowiły komplet ze stołem, jedno z nich, to naprzeciwko Chada i Corbana, miało wyściełane siedzisko i podłokietniki.

Zajęłam miejsce obok dzieciaka.

– To ja tu siedzę, Mercy – zaprotestowała Amber.

Zerknęłam na przestraszonego, zapłakanego chłopca i całkiem

biernego ojca. Ten przynajmniej oddychał.

– Hej, wiesz, jak lubię dzieci – powiedziałam. – A ty masz go cały czas.

Blackwooda jeszcze nie było.

– Czy Jim posługuje się językiem migowym? – zwróciłam się do Amber.

Jej twarz znieruchomiała.

– Nie mogę odpowiadać na żadne pytania dotyczące Jima. Musisz sama go zapytać. – Zamrugła, po czym uśmiechnęła się do kogoś ponad moim ramieniem.

– Nie, nie potrafię migać – odparł Blackwood.

– Nie znasz języka migowego? – Popatrzyłam na niego przez ramię, celowo odwracając się tak, żeby Chad widział, co mówię. – Ja też nie. To jedna z tych rzeczy, które zawsze odkładałam na później.

– Zaiste. – Najwyraźniej go bawiłam.

Usiadł, wskazując Amber miejsce.

– Jest martwa – powiedziałam. – Zniszczyłeś ją.

Znieruchomiał.

– Nadal mi służy.

– Doprawdy? Wygląda raczej jak marionetka. Założę się, że masz z nią teraz więcej kłopotów, niż kiedy żyła. – Biedna Amber. Nie mogłam jednak pokazać po sobie żalu. Musiałam skupić się na tym pokoju i na przeżyciu. – Czemu ją tu trzymasz w tym stanie? – Nie dając Blackwoodowi czasu na odpowiedź, pochyliłam głowę, zagłębiając się w modlitwie przed jedzeniem... Prosiłam o pomoc i mądrość. Nie dostałam odpowiedzi, mimo to odniosłam wrażenie, że ktoś mnie słucha. Miałam nadzieję, że nie tylko duch.



Wampir obserwował mnie, dopóki nie skończyłam.

– Nie powinnam tego robić, wiem – powiedziałam, biorąc kromkę i smarując masłem. Pachniała świetnie, położyłam ją więc na talerzu Chada, unosząc kciuk do góry. – Ale Chad nie może modlić się za nas na głos, Amber nie żyje, a Corban... – Przekrzywiłam



głowę, spoglądając na mężczyznę, który nie drgnął, odkąd weszłam do jadalni. Jedynie jego pierś lekko unosiła się i opadała. – Corban nie jest w stanie się modlić, a ty jesteś wampirem. Bóg nie wysłucha tego, co masz do powiedzenia.

Wzięłam drugą kromkę i zabrałam się do smarowania.

Nieoczekiwanie wampir roześmiał się, odrzucając głowę i ukazując ostre, białe kły. Staralam się nie myśleć, że dotykały mojej szyi.

To było jednak nic w porównaniu z przerażającym śmiechem wtórującej mu Amber. Poczułam na karku chłód, który zniknął zaraz po tym, jak usłyszałam: „Uważaj”. Nie cierpię, gdy duchy się tak do mnie podkradają.

Chad złapał mnie za kolano z oczami rozszerzonymi strachem. Widział ducha? Potrząsnęłam lekko głową, podczas gdy wampir ocierał suche oczy serwetką.

– Niezły z ciebie ananas, co? – rzekł Blackwood. – Powiedz, Tag domyślił się kiedyś, kto ukradł mu wszystkie sznurówki?

Jego słowa poraziły mnie, lecz nie dałam tego po sobie poznać. Tag należał do stada Brana. Nigdy nie wyjeżdżał z Montany, a o sznurówkach wiedzieliśmy tylko ja i on. Znalazł mnie kiedyś, gdy kryłam się przed gniewem Brana – nie pamiętam już, co wtedy zbroiłam. Kiedy nie chciałam wracać z własnej woli, wyjął sznurówki z butów, zrobił z nich obrozę i smycz i zaciągnął mnie – w formie kojota – do domu Brana.

Dobrze wiedział, kto ukradł mu sznurówki. Aż do wyjazdu do Portland dawałam mu sznurówki na każde święta. Zawsze się z tego śmiał.

Nie było takiej możliwości, żeby któryś z wilków Brana szpiegował dla wampira. Ukryłam te myśli, napychając sobie usta pieczywem.

– Genialny chleb – pochwaliłam Amber, przełknąwszy. – Sama go upiekłaś? – Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć na temat sznurówek, toteż przerzuciłam się na jedzenie.

Amber zawsze uwielbiała rozmawiać o wartościach odżywczych

i zdrowym żywieniu. Nie wierzyłam, żeby śmierć to zmieniła.

– Tak. Z pełnego ziarna. Jim zatrudnił mnie na kucharkę i gosposię. A ja wszystko popsulałam.

Tia, biedny Jim. Amber zmusiła go, by ją zabił, i dzięki temu nie musiał szukać nowej pomocy domowej.

– Ci – uciszył ją Blackwood.

Odwróciłam się trochę, prawie na niego patrząc.

– Uhm. A tu taka kłapa. Nawet człowiek wyczuje ten zapach zgnilizny za kilka dni. Nieciekawa cecha u kucharki. Nie żebyś jej w ogóle potrzebował. – Odgryzłam kolejny kęs chleba. – Od dawna masz mnie na oku?

– Już straciłem nadzieję, że znajdę kolejnego zmiennokształtnego. Wyobraź sobie moją radość na wieść, że Marrok wziął jednego pod swe skrzydła.

– Gdybym tam została, na nic by ci się to zdało. – Duchy, pomyślałam. Obserwował mnie za pomocą duchów.

– Och, nie przejmuję się wilkołakami. Czy Amber albo Corban wspominali, jakiego rodzaju interesy prowadzę?

– Nie. Odkąd wyszedłeś, nie padło o tobie ani słowo. – Mówiłam prawdę, jednak sądząc ze sposobu, w jaki zacisnął usta, nie spodobało mu się, że pupile nie poświęcili mu uwagi. To pierwsza oznaka słabości, jaką dostrzegłam u Blackwooda. Nie wiedziałam, czy ta wiedza mi się do czegoś przyda, ale zbierałam każdy strzępek informacji.

Poznaj swojego wroga.

– Zajmuję się... szczególną amunicją – rzekł, przypatrując mi się zmrużonymi oczyma. – W większości tajne projekty rządowe. Mam na przykład spore sukcesy w opracowaniu broni na wilkołaki. Posiadam, między innymi, srebrną wersję black talonów. Srebro to kiepski materiał na pociski, nie rozszerza się odpowiednio. Te, zamiast rozpląszczać się, otwierają się niczym kwiaty. – Rozcapierzył palce, tak że jego dłoń przypominała rozgwiazdę. – Do tego pociski ze środkiem uspokajającym projektu Gerry'ego Wallace'a. To dopiero niespodzianka. Nigdy nie myślałem o dms

jako nośniku srebra ani żeby dostarczać substancję do organizmu za pomocą broni usypiającej. No, ale jego ojciec był weterynarzem. Oto, dlaczego narzędzia bywają przydatne.

– Znałeś Gerry’ego Wallace’a? – wyrwało mi się. Ugryzłam kolejny kęs, jakby mój żołądek wcale nie był ciasnym supłem, a mnie nie zależało na odpowiedzi.

– Sam do mnie przyszedł. Lecz nie uśmiechała mi się jego propozycja. Marrok to za dużo jak dla mnie. Jestem z natury leniwy. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Tak mawiała moja stwórczyni. Odesłałem Gerry’ego, zarażając pomysłem zbudowania superbroni na wilkołaki według tak zawikłych wskazówek, żeby mu się nie udało. Dopilnowałem też, żeby nie pamiętał wizyty u mnie. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy rzeczywiście wynalazł coś ciekawego.

– Powinieneś lepiej poznać Brana – poradziłam Blackwoodowi, nalewając sobie wody z dzbanka. – Jest subtelniejszy i dlatego wiedza lepiej mu służy. Jeśli mówisz wszystkim wszystko, ludzie nie zastanawiają się nad tym, czego im nie mówisz. Bran... – Wzruszyłam ramionami. – Sprawia wrażenie, że wie, o czym myślisz.

– Amber – zwrócił się do niej wampir. – Dopilnuj, żeby twój mąż i chłopiec, który nie jest jego dzieckiem, zjedli obiad.

Dłoń, którą Chad trzymał na mojej nodze, zacisnęła się.

– Mówisz, jakby to miała być jakaś nowina – zauważyłam. – Corban od początku wiedział, że Chad nie jest jego synem i wcale mu to nie przeszkadzało. Traktuje go jak własne dziecko.

Nóżka kieliszka z wodą w ręku wampira pękła. Pozbierał skorupy i ułożył na talerzu.

– Za mało się mnie boisz – stwierdził. – Może czas pokazać ci więcej.

– Świetnie. Dzięki za obiad, Amber. Corban, Chad, trzymajcie się. Wstałam od stołu i uniosłam brwi.

Blackwood uważał, że ten brak lęku jest głupotą z mojej strony. Jednak prawdziwą głupotą jest okazywanie lęku wśród wilkołaków.

Jeśli strach jest silny, nawet bardzo opanowany wilk zaczyna mieć problemy z kontrolą. Mniej opanowany... Cóż, wystarczy rzec, że bardzo dobrze nauczyłam się ukrywać lęk.

Drażnienie się z Blackwoodem także nie było głupotą. Jeśli zabiłby mnie przy pierwszej okazji, hm, przynajmniej zrobiłby to szybko. Im dłużej pozwalał mi na takie gierki, tym większą pewność zyskiwałam, że mu na mnie zależy. Nadal nie miałam pojęcia dlaczego, ale z jakiegoś powodu mnie potrzebował.

Pech, że mój brak strachu wziął za wyzwanie. Ciekawe, co według mnie miałyby być straszniejsze niż Amber. Szybko wzięłam się w garść i zaprzestałam gdybania. Nie ma przyszłości, jest tylko wampir i ja.

– Chodź. – Skierował się w stronę schodów.

– Jakim cudem możesz funkcjonować w dziennym świetle? W życiu nie słyszałam o wampirze z takim darem.

– Jesteś tym, co jesz – odparł tajemniczo. – Moja stwórczyni tak mawiała. *Mann ist was mann ißt*. Nie pozwalała mi zerować na pijakach i uzależnionych od nikotyny. – Roześmiał się, a ja odsunęłam od siebie epitet „złowieszczko”. – Amber mi ją trochę przypomina, z tym jej dbaniem o zdrowe odżywianie. Każda z nich ma rację. Ale moja stwórczyni sama nie pojmowała głębi tego, co mówiła. – Zaśmiał się ponownie. – Dopóki się nie pożywiłem na niej.

Drzwi do pokoju, w którym się ocknęłam, stały otworem. Mijając go, Blackwood sięgnął do środka i zgasił światło.

– Szkoda prądu.

A następnie otworzył drzwi do innego pomieszczenia. Pomieszczenia pełnego klatek. Unosił się w nim odór ścieków, choroby i śmierci. Większość klatek była pusta, na podłodze jednej leżał zwinięty w kłębek nagi mężczyzna.

– Widzisz, Mercedes – zaczął wampir. – Nie będziesz jedynym wyjątkowym stworzeniem w mojej kolekcji. To dębiec. Trzymam go tu... Ile tu jesteś, Donnellu Greenleafie?

Istota drgnęła, unosząc głowę z cementowej posadzki. Niegdyś musiał być potężnej postury. W pożyczonej księdze dębec, choć

niewysokie, niewiele ponad metrowe, były przedstawiane jako stwory mocnej budowy, „solidne jak dębowe stoły”. Ten tu wyglądał prawie jak sama skóra i kości. Odezwał się głosem suchym niczym lato w Tri-Cities:

– Dziewięćdziesiąt wiosen i trzy. Dwa sezony i osiemnaście dni.

– Dębce – tłumaczył Blackwood z dumą – podobnie jak dęby, po których mają nazwę, żywią się światłem słonecznym.

Zaiste, jesteś tym, co jesz.

– Nie sprawdzałem, czy mogę żyć słońcem, lecz krew dębca chroni mnie przed spaleniem się w jego promieniach, prawda, Donnellu Greenleafie?

– Służenie ci jest dla mnie zaszczytem – wymamrotała bezbarwnie istota, przyciskając twarz do betonu.

– Porwałś mnie więc, aby zyskać możliwość przemiany w kojota? – zdumiałam się.

Wampir uśmiechnął się tylko i poprowadził do większego, okratowanego pomieszczenia, w którym znajdowało się łóżko. W kącie stało też wiadro służące za toaletę. Sądząc po zapachu, celę zajmowali Amber, Chad oraz Corban.

– Mogę cię utrzymywać przy życiu bardzo długi czas. – Wampir chwycił mnie za kark, przyciskając mi twarz do krat. – Może nawet dopóty, dopóki nie umrzesz ze starości. I co? Żadnych ciętych uwag?

Nie widział cienia postaci, która stała przede mną, przyciskając palec do ust. Kobieta, która w chwili śmierci mogła mieć pomiędzy sześćdziesiąt a sto lat, wyglądała niczym żona Świętego Mikołaja – miła i okrągła. „Nie odzywaj się”, sygnalizowała. Albo: „Nie mów, że mnie widzisz”.

Blackwood nie dostrzegął jej, mimo iż tamtego ducha wykorzystywał w roli chłopca na posyłki. Ciekawe. Ona także roztaczała wokół siebie woń krwi.

W końcu wepchnął mnie do klatki sąsiadującej z celą Chada i Corbana – Amber prawdopodobnie nie musiał już więzić w tym miejscu.

– A mogłaś mieć wszelkie wygody – powiedział. Kobieta z palcem

na ustach zniknęła, pozwoliłam więc sobie popuścić języka.

– Powiedz to Amber.

Odsłonił kły w uśmiechu.

– Nie narzekała. Dam ci jeszcze jedną szansę. Współpracuj, a wrócisz do tamtego pokoju.

Może mogłabym uciec przez sufit w tamtym pomieszczeniu. Choć jakoś nie wydawało mi się to prawdopodobne. Cele w domu Marroka wyglądały jak zwykłe pokoje, ale za gipsowymi płytami kryły się metalowe pręty.

Oparłam się o najdalszą od wejścia ścianę mojego więzienia, tę, która przylegała do muru budynku.

– Czemu mnie po prostu nie zmusisz do współpracy? – Jak Corbana na przykład.

– Sama się domyśl. – Wzruszył ramionami. Zamknął drzwi, po czym tym samym kluczem otworzył celę dębca.

Nieczłowiek jęczał, wywlekany z klatki.

– Nie mogę zerować na tobie codziennie, Mercy – wyjaśnił Blackwood. – Nie, jeśli chcę cię zatrzymać na dłużej. Ostatni mój zmiennokształtny zmarł pół wieku temu, ale udało mi się go chować przez sześćdziesiąt trzy lata. Dbam o swoje rzeczy.

Jasne, Amber na pewno by się z tym zgodziła.

Blackwood ukląkł przy skulonym dębca. Istota wpatrywała się we mnie wielkimi, czarnymi oczyma. Nie opierała się, gdy Blackwood, upewniwszy się, że ich obserwuję, złapał ją za nogę i wgryzł się w tętnicę udową.

– Dąb powiedział – rzekł dębiec z silnymi naleciałościami walijskimi – że Mercy uwolni mnie, kiedy nadejdzie czas żniw. – Uśmiechnął się do mnie słabo, lecz trwało to krótko, bo wampir sprawił mu ból. I pewnie postarałby się o większy, gdyby rozumiał walijski. Zastanawiało mnie, skąd dębiec wiedział, że ja go zrozumie.

Są dwa sposoby uwolnienia więźnia – jednym jest ucieczka. Odniosłam wrażenie, że dębiec miał na myśli ten drugi.

Po wszystkim nieczłowiek był ledwie przytomny, wampir zaś

wyglądał kilkanaście lat młodziej. Nie sądziłam, że to możliwe, jednak z drugiej strony nie słyszałam nigdy o wampirach żerujących na nieлюдziach. Blackwood podniósł dębca bez najmniejszego wysiłku.

– Wystawimy cię trochę na słońeczko – stwierdził wesoło, przerzucając go sobie przez ramię.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, usłyszałam drżący głos kobiety.

– To dlatego, że jesteś dla niego zbyt silna, moja droga. Próbował przejąć nad tobą kontrolę, ale twoje więzi z wilkołakami i tamtym wampirem... swoją drogą, jak ci się to udało, mądralo? W każdym razie nie mógł ich przełamać. Lecz to nie potrwa wiecznie. Wystarczy odpowiednia ilość wymienionej krwi i będziesz należała do niego. Jednak zajmie mu to kilka miesięcy.

Pani Mikołajowa stała w mojej klatce, plecami do mnie, patrząc na zamknięte drzwi.

– Czego on ode mnie chce? – zapytałam.

Odwróciła się z uśmiechem.

– Mnie, moje dziecko.

Ujrzałam kły.

– Jesteś wampirem – skonstatowałam.

– Byłam – przytaknęła. – Przyznaję, to niezwykle. Choć ten młody człowiek, którego wcześniej spotkałaś, także był wampirem. Jesteśmy związani z Jamesem. Oboje należymy do niego. John to jedyny wampir, jakiego James stworzył. I aż wstyd przyznać, James to moje dzieło.

– Twoje?

– Zawsze był taki łagodny, taki troskliwy. Sympatyczny młody człowiek, tak go postrzegałam. Do czasu, aż jedno z moich dzieci pokazało mi murdhuacha, istotę z ludu syreniego, schwytaną przez Jamesa. – Akcent kobiety brzmiał jak irlandzki lub cockney, ale był tak słaby, że nie mogłam rozpoznać na pewno. – Cóż... – ciągnęła poirytowana. – Czegoś takiego nie robimy, moja droga. Po pierwsze, nie ludzie to nie istoty, z którymi można bezkarnie igrać. Po drugie,

każdy, z kim wymienimy krew, może stać się wampirem, a stworzenie wampira z magicznej istoty może dać wyjątkowo nieprzyjemne efekty. – Potrząsnęła głową. – W końcu, gdy go do siebie wezwałam... – spojrzała po sobie z żalem – zabił mnie. Od tamtej pory nawiedzam Jamesa, podążając aż tutaj. I przyznaję, nie było to najmądrzejsze posunięcie. Gdy schwytał tamtego mężczyznę, takiego jak ty, zobaczył mnie. I doszedł do wniosku, że może wykorzystać.

Zastanawiałam się, dlaczego mówi mi tak wiele. Może była samotna? Niemal jej pożałowałam.

Oblizła usta i podjęła:

– Mogłabym ci pomóc.

Wampiry są złe. Zupełnie jakby sam Marrok szeptał mi do ucha.

Uniosłam brwi.

– Nakarm mnie, ja a powiem ci, co robić. – Uśmiechnęła się, nie odsłaniając kłów. – Tylko kropla lub dwie, kochana. Jestem duchem, niewiele mi trzeba.





## Rozdział 12

**M**ogłabym to zrobić, kiedy będziesz spać – mówiła. – Ale wolę, żebyś mi pozwoliła. W zamian za ten dar pomogę ci.

Sprawiła wrażenie kobiety, jaką chętnie zatrudnia się do pilnowania dzieci – ciepła, kochająca, odrobinę protekcyjna.

– Nawet się nie waż – warknęłam i poczułam trzask, jakby wyładowanie. I to ja byłam tego przyczyną.

– Oczywiście, że tego nie zrobię, moja droga – wycofała się natychmiast. – Nie zrobię czegoś takiego bez twojej zgody.

Usiłowała to ukryć, ale zrobiłam coś. To samo poczułam w łazience Amber, kiedy kazałam duchowi zostawić Chada w spokoju. To był jakiś rodzaj magii. Nie tej, jaką posługiwali się nieładzie czy wiedźmy, ale jednak. Wyczuwałam ją.

– Powiedz mi – zaczęłam, starając się mówić z naciskiem, władczością podobną do tej, która Adamowi była bliższa niż jego idealnie skrojone koszule. – Jak Blackwood zaaranżował to nawiedzenie w domu Amber? To byłaś ty?

Sfrustrowana, zacisnęła usta, a jej oczy zaświeciły się jak wampirowi, którym była. Ale odpowiedziała.

– Nie, to chłopak. Mały eksperyment Jamesa.

W przejściu pomiędzy celami, poza zasięgiem więźniów, stał stół, na którym piętrzyły się pudełka. W jednym z rogów znajdowało się kilka dwudziestolitrowych wiader, wsadzonych jedno w drugie. Wieża zachwiała się i spadła z hukiem, tocząc się po podłodze w stronę kratki ściekowej na środku pomieszczenia.

– Tym właśnie byłeś! – zawołała kobieta zjadliwie. Ton ten zupełnie nie pasował do jej serdecznego oblicza. – Przemienił cię w wampira i bawił się tobą, póki mu się nie znudziłeś. A potem cię zabił i trzymał, póki twoje ciało nie zgniło.

Zupełnie jak w przypadku Amber, tyle że jej nie zdążył wcześniej przemienić. Tu i teraz, przypomniałam sobie. Nie trać energii na coś, czego nie możesz zmienić.

Kubły przestały się toczyć, w pomieszczeniu zaległa cisza. Słysząc było jedynie mój oddech. Wampirzyca otrząsnęła się.

– Nigdy się nie zakochuj, moja droga. Miłość to słabość.

Nie wiedziałam, czy mówi o sobie, martwym chłopcu czy o Blackwoodzie. Teraz jednak interesowało mnie coś innego. Musiałam skłonić kobietę do odpowiedzi na moje pytania.

– Powiedz, do czego konkretnie potrzebuje mnie Blackwood.

– Jesteś niegrzeczna, moja droga. Czyżby ten stary wilk nie nauczył cię manier?

– Powiedz, jak Blackwood zamierza się mną posłużyć.

Syknęła, ukazując kły. Popatrzyłam jej w oczy, jakby była wilkołakiem, którego zamierzałam zdominować.

– Mów.

Spuściła wzrok, wyprostowała się i wygładziła spódnicę, udając zakłopotanie, nie wściekłość. Ale mnie nie oszukała.

– Jest tym, co je – ustąpiła wreszcie. – Mówił ci. Nie słyszałam o czymś takim, skąd miałam wiedzieć, co robi? Myślałam, że żeruje tak, a nie inaczej ze względu na smak. Ale on przejmował ich moce. Tak jak weźmie twoją. Wtedy będzie miał mnie w swojej władzy.

Zniknęła.

Gapiałam się w miejsce, gdzie przed chwilą stała. Żerując na mnie, Blackwood posiadłby moc... Wciągnęłam nerwowo powietrze. Nie...

Moc tego, co robiłam przed chwilą – kontrolowania duchów. Gdyby została, zasypałabym ją pytaniami. Ale przecież nie była jedynym duchem w okolicy.

– Hej, już poszła – powiedziałam łagodnie. – Możesz wyjść.

Pachniał trochę inaczej niż kobieta, choć oboje otaczała głównie woń zakrzepłej krwi. Różnica była drobna, lecz dostrzegalna. Jego zapach wyczuwałam przez całą rozmowę z duchem wampirzycy; stąd wiedziałam, że nie odszedł. To on nawiedzał dom Amber i omal nie zabił Chada.

Pojawił się, stopniowo wyraźniej. Siedział na betonowej posadzce, plecami do mnie. Tym razem widziałam go lepiej. Miał na sobie ręcznie szytą koszulę, choć szwaczka nie posiadała szczególnego talentu. Nie pochodził ani z tego, ani z poprzedniego wieku, raczej gdzieś z osiemnastego. Uwolnił jedno wiadro i potoczył je, aż uderzyło w kraty pustej celi dębca. Rzucił mi przez ramię ponure spojrzenie, po czym spojrzał na pozostałe wiadra.

– Będziesz mnie zmuszała do mówienia? – zapytał.

– Nieładnie postąpiłam – przyznałam wymijająco. Nie zamierzałam przebierać w środkach, jeśli mogłoby to pomóc mnie, Chadowi czy Corbanowi. – Ale nie mam zamiaru przejmować się kurtuazją wobec kogoś, kto chce mnie skrzywdzić. Wiesz, dlaczego chciała mojej krwi?

– Jeśli dałabyś krew z własnej woli, mogłaby zabić dotykem – wyjaśnił. – Ale to nie działa, gdyby ci ją ukradła. Choć i tego może spróbować, to złośliwa jędza. – Machnął ręką w kierunku pudeł na stole, wysypując z jednego paczki orzeszków ziemnych. Kilka zawirowało w powietrzu niczym miniaturowe tornado i spadło, kiedy się znudził zabawą.

– Dotykem?

– Śmiertelnika, wiedźmę, nieczłowieka, wampira, może zabić każdego. Kiedy żyła, nazywano ją Babka Śmierć. – Popatrzył na mnie z nieodgadnioną miną. – To znaczy, gdy była wampirem. Nawet inne wampiry się jej bały. Kiedyś przypadkiem dowiedział się, co ona umie.

– Blackwood?

Duch odwrócił się do mnie. Jego ręka przeszła przez wiadro, którym się bawił.

– Opowiadał mi. Raz po tym, jak nadeszła jego kolej, aby z niej pić, bo była Panią chmury, zabił w ten sposób jednego wampira. – Pomniejsze wampiry pijały krew przywódcy chmury, który w zamian żerował na nich. Kiedy stawały się silniejsze, nie potrzebowały już pożywiać się krwią władcy. – Mówił, że był wściekły i dotknął tej wampirzycy, a ona obróciła się w proch. To samo potrafiła zrobić Pani. Ale już kilka dni później nie mógł tego powtórzyć. A ponieważ jego następna kolej żerowania przypadała za kilka tygodni, wynajął prostytutkę, nieczłowieka, lecz nie pamiętam, do jakiego rodzaju należała, i wypił z niej całą krew. Moc tej istoty pozostała w Jamesie na dłużej. Zaczął eksperymentować i odkrył, że im dłużej pozwala żyć nieлюдziom podczas żerowania, tym dłużej posiada ich moc.

– Nadal potrafi to robić? To znaczy zabijać dotykiem? – Nic dziwnego, że miał całe miasto dla siebie.

Chłopak potrząsnął głową.

– Nie. A ona już nie żyje, więc nie może czerpać jej mocy. Choć ona nadal może zabijać, jeśli nakarmi ją krwią. Tyle że teraz, kiedy ten stary Indianin umarł, nie potrafi jej kontrolować. Ona lubi zabijać, ale nie lubi robić tego, czego chce James. A szczególnie tylko tego, czego on chce i nic poza tym. Wykorzystywał ją przy prowadzeniu interesów, a w interesach – oblizał usta, jakby starał się przypomnieć sobie dokładne słowa Blackwooda – w prowadzeniu interesów najważniejsza jest precyzja. – Uśmiechnął się, spoglądając niewinnie wielkimi, błękitnymi oczyma. – Ona lubi krwawą rzeź i lubi udowadniać Jamesowi, że jest na tym polu od niego lepsza. Raz, zanim zdał sobie sprawę, że nie ma nad nią władzy, tak zrobiła. Wściekł się wtedy.

– Blackwood przetrzymywał tu zmiennokształtnego – powiedziałam, układając zdobyte informacje w całość. – I żerował na nim, aby mieć pod kontrolą kobietę, która tu przed chwilą była.

– Ma na imię Catherine. A ja John. – Chłopak spojrział na wiadro, które się poruszyło. – Był miły. Carson Dwanaście Łyżek. Rozmawialiśmy czasem, opowiadał mi różne historie. Powiedział, że nie powinienem poddawać się Jamesowi, nie powinienem być jego zabawką, tylko odejść do Wielkiego Ducha. I że kiedyś mi pomoże. – Tym razem w uśmiechu ducha dojrzałam cień złościwości. – Ale był złym Indianinem. Kiedyś, gdy był chłopcem niewiele starszym ode mnie, zabił człowieka, by zabrać jego konia i portfel. Od tamtej pory nie mógł wykorzystać swojego daru. Nie potrafił mi powiedzieć, co mam zrobić.

Złość chłopca rozpędziła współczucie, które zrodziła we mnie jego opowieść. I ujrzałam wreszcie to, czego nie dostrzegałam na początku. Zrozumiałam, dlaczego ten duch różnił się od pozostałych.

Duchy to pozostałości zmarłych, resztki dusz, które odeszły. Zwykle zlepkki wspomnień, które przybierają konkretną formę. Jeśli potrafią reagować, odpowiadać na bodźce, są fragmentami stworzeń, którymi niegdyś były, tymi obsesyjnymi częstkami – jak duchy psów, które strzegą mogił swych panów, albo jak duch tej kobiety szukającej swojego pieska, którą kiedyś spotkałam.

Duchy niedawno zmarłych bywają inne. Widziałam kilka takich na pogrzebach albo w domach. Czasami zostają, by pilnować bliskich, jakby chciały upewnić się, że wszystko jest w porządku. Te są czymś więcej niż tylko pozostałościami, a ja widzę taką różnicę. Zawsze myślałam, że to dusze tych osób.

I to właśnie widziałam w oczach Amber. Żołądek mi się ścisnął na to wspomnienie. Po śmierci dusza powinna zostać uwolniona. To, co robił Blackwood, było okrutne. Znalazł sposób, by zatrzymywać je po śmierci.

– Czy Blackwood kazał ci zabić Chada?

Chłopak zacisnął pięści.

– On ma wszystko. Wszystko. Książki, zabawki. – Zaczął mówić głośniej. – Żółty samochodek. A spójrz na mnie. Spójrz! – Zerwał się na nogi, spoglądając na mnie rozszerzonymi z emocji oczyma. Lecz

kiedy podjął, mówił już szeptem: – Ma wszystko, a ja jestem martwy. Martwy. Martwy. – Zniknął, ale kubły pofrunęły w powietrze. Jeden z nich grzmotnął o kraty mojej celi, rozbijając się w pomarańczowe kawałki plastiku. Mały odłamek uderzył we mnie, rozcinając skórę na ramieniu.

Nie byłam pewna, czy to znaczyło „tak”, czy też „nie”.

Usiadłam na pryczy, opierając się o chłodną, betonową ścianę. Duch Johna wiedział więcej o zmiennokształtnych niż ja. Zastanawiałam się, czy mówił prawdę, czy istniały jakieś zasady moralne, według których musiałam postępować, by nie stracić swoich umiejętności? Umiejętności, które jak się okazało, obejmowały kontrolę nad duchami? Choć sądząc z niejednoznacznych osiągnięć, było to coś, co należało wyćwiczyć.

Zaczęłam kombinować, jak wykorzystać swój dar do uwolnienia stąd siebie i innych. Z zadumy wyrwały mnie zbliżające się kroki – goście. Wstałam, podchodząc do krat.

Gośćmi okazali się współwięźniowie. Oraz zombie.

Amber prowadziła Corbana – najwyraźniej nadal znajdującego się pod wpływem mocy wampira – paplając o zbliżającym się meczu Chada, który szedł za nimi, jakby nie bardzo wiedział, co innego mógłby zrobić. Na twarzy chłopca widniał siniak, którego nie było, gdy opuszczałam jadalnię.

– Prześpijcie się – powiedziała Amber do męża i syna. – Jim też niedługo się położy, musi tylko zaprowadzić na miejsce tego nieczłowieka. Musicie być wypoczęci, gdy wstaniecie. – Przytrzymała drzwi, jakby przepuszczała ich do pokoju, nie do klatki. Czyżby naprawdę myślała, że to hotel?

Obserwując zombie, miałam wrażenie, jakbym oglądała film, do którego podłożono głos zmontowany z kawałków zupełnie innych nagrań. Wszystko, co Amber mówiła, miało pozornie sens, ale mało lub zupełnie nie pasowało do tego, co robiła.

Corban potknął się i stanął pośrodku celi. Chad wbiegł, mijając żywego trupa matki, i roztrzęsiony zatrzymał się przy pryczy. Odważny czy nie, był tylko dziesięcioletnim dzieckiem. Jeśli uda mu

się przeżyć, latami będzie musiał chodzić na terapię. Zakładając, że znajdzie terapeutę, który mu uwierzy. „Czym stała się twoja matka? Tu masz receptę na torazynę...” Czy inny specyfik, który podaje się teraz psychicznie chorym.

– Oj! – pisnęła Amber z maniacką wesołością. – Prawie bym zapomniała. – Rozejrzała się, kręcąc głową nad bałaganem. – To twoja sprawka, Mercy? Char zawsze mówiła, że do siebie pasujecie, bo obie jesteście bałaganiarami. – Paplając, zbierała wiadra i składała je na stole. Ale rozbitego nie posprzątała. Jedno puste wstawiła do celi Chada i Corbana, zabierając stamtąd pełne. – Wezmę je i wyczyszczę, dobrze? – Zamknęła drzwi.

– Amber! – zawołałam rozkazująco. – Daj mi klucz. – Nie żyła przecież, może także musiała mnie słuchać?

Zawahała się, wyraźnie to dostrzegłam. Lecz uśmiechnęła się tylko.

– Niegrzeczna Mercy. Zobaczysz, Jim cię ukarze, kiedy mu to powiem.

Zabrała wiadro i, pogwizdując, wyszła, zamykając za sobą drzwi. Słyszałam, jak gwizdże, wspinając się po schodach. Musiałam poćwiczyć. Chyba że robiłam coś nie tak. Może był jakiś inny sposób? Skrzyżowałam ramiona na piersiach i ze spuszczoną głową czekałam, aż Blackwood przyprowadzi dębca. Stałam tyłem do sąsiedniej celi, celowo ignorując hałas, który robił Chad, próbując zwrócić moją uwagę. Nie chciałam, żeby Blackwood zobaczył, jak trzymam dzieciaka za rękę albo z nim rozmawiam.

Nie przypuszczałam, żeby Blackwood zamierzał zostawić Chada przy życiu po tym wszystkim, czego chłopiec był świadkiem, jednak nie chciałam dawać wampirowi powodów do znęcania się nad nim. A jeśli zacznę się rozpraszać, trudno mi będzie opanować lęk.

Po jakimś czasie do pomieszczenia chwiejnie wszedł dębiec, a zaraz za nim Blackwood. Nieczłowiek wcale nie wyglądał lepiej niż przedtem. Przygarbiony wydawał się naprawdę niski, choć gdyby się wyprostował, mógł mieć nawet półtora metra wzrostu. Jego kończyny były dziwnie nieproporcjonalne – krótkie nogi i zbyt

długie ramiona. Szyja też robiła wrażenie zbyt krótkiej w porównaniu do głowy o szerokim czole i silnie zarysowanej szczęce.

Do celi wszedł potulnie, jakby tyle razy walczył i przegrał, że stracił nadzieję. Blackwood starannie zamknął za nim drzwi. Potem, zwróciwszy się do mnie, podrzucił klucze, chwytając je w powietrzu.

– Nie wyślę już tu Amber z kluczami.

Moje milczenie skwitował śmiechem.

– Możesz się dąsać ile dusza zapagnie. To nic nie zmieni.

Dąsać? Odwróciłam wzrok. Ja mu pokażę dąsy.

Ruszył do wyjścia.

Przełknęłam gniew i nawet udało mi się nim nie udławić.

– Jak to zrobiłeś?

Niejasne pytania trudniej zignorować niż te konkretne. Budzą ciekawość i skłaniają pytanego do reakcji, nawet jeśli nie ma ochoty rozmawiać.

– Co?

– To z Catherine i Johnem. Nie są zwyczajnymi duchami.

Ucieszył się, że to zauważyłam.

– Mógłbym przypisać sobie jakieś nadnaturalne moce. – Roześmiał się, zadowolony z własnego dowcipu i nawet otarł z oka wyimaginowaną łzę rozweselenia. – Ale to ich wybór. Catherine pała żądzą zemstczenia się na mnie. Za to, że zakończyłem erę jej despotycznych rządów. A John... John mnie kocha. Nigdy mnie nie opuści.

– Kazałeś mu zabić Chada? – zapytałam obojętnie, udając średnio zaciekawioną.

– Ha, dobre pytanie. – Wzruszył ramionami. – Właśnie do tego cię potrzebuję. Nie. Popsuł mi szyki. Gdyby robił to, co mu kazałem, sama byś tu przyszła i pozwoliła na wszystko, żeby ocalić przyjaciół. A on ich wystraszył, zmusił do ucieczki. Pół dnia ich szukałem. Nie chcieli tu przyjść i stąd... Cóż, widziałaś moją biedną Amber.

Wzdragałam się przed zadaniem kolejnego pytania. Nie chciałam znać odpowiedzi na nie. Musiałam się jednak dowiedzieć, co zrobił



Amber.

– Na czym żerowałaś, że potrafisz stwarzać zombie?

– Och, nie, ona nie jest zombie. Widziałem trzechsetletnie zombie, które wyglądały na jednodniowe trupy. Przekazują je sobie w rodzinach, jakby były największymi skarbami. Obawiam się, że Amber będę musiał się pozbyć przed upływem tygodnia, chyba że wsadzę ją do lodówki. Wiedźmom trzeba wiedzy, tak samo jak mocy, i więcej z nimi kłopotu niż zysków. Nie. Tego nauczyłem się od Carsona. Catherine bądź John wspomnieli ci pewnie o Carsonie. Ciekawe, że jedno morderstwo pozbawiło go możliwości posługiwania się mocą, zaś ja, a wierz mi, robiłem dużo, dużo gorsze rzeczy niż ten pazerny, jednorazowy morderca, nie miałem żadnych problemów z wykorzystaniem tego, co od niego wzięłem. Może jego problemy miały podłoże psychosomatyczne, jak myślisz?

– Już wiem, skąd przy tobie Catherine i John, ale jak udało ci się to z Amber?

Uśmiechnął się do Chada, który trzymał się od ojca tak daleko jak mógł, wystraszony i nieszczęśliwy.

– Została dla syna. – Popatrzył znowu na mnie. – Jeszcze jakieś pytania?

– Nie w tej chwili.

– Dobrze. Ach, i wiedz, że John nie odwiedzi cię szybko. Catherine zresztą też. Tak będzie najlepiej. – Zamknął za sobą drzwi i usłyszałam skrzypienie schodów pod jego krokami.

– Dębcze – zawołałam, upewniwszy się, że odszedł. – Będziesz wiedział, kiedy zajdzie słońce?

Nieczłowiek, który znów leżał rozciągnięty na betonowej posadzce swojej celi, podniósł głowę.

– Tak.

– Powiesz mi?

– Powiem – rzekł po dłuższej chwili.

Corban zrobił chwiejny krok, zatoczył się i zamrugał powiekami. Blackwood go uwolnił. Mężczyzna odetchnął i zaczął gwałtownie migać do chłopca.

– Nie wiem, ile Chad z tego wszystkiego pojmuje... Pewnie wiele. Zbyt wiele. Ale niewiedza może go zabić.

Nie od razu zorientowałam się, że mówi do mnie, całą uwagę skupiał na synu. Kiedy skończył, Chad, nadal utrzymując dystans pomiędzy nimi, zaczął szybko poruszać rękami.

Nie spuszczał z niego wzroku, Corban znów zwrócił się do mnie.

– Co wiesz o wampirach? Mamy jakąś szansę na ucieczkę?

– Mercy uwolni mnie w porze zbiorów – wychrypiał dębiec tym razem po angielsku.

– Jeśli tylko dam radę – powiedziałam. – Choć nie wiem, czy tak się stanie.

– Dąb mi to powiedział – rzekł z taką mocą, jakby to już się stało.

– Nie jest bardzo stary, ale wampir go rozwścieczył, więc podjął wysiłek. Mam nadzieję, że... niezrobiłsobiekrzywdy – ostatnie słowa wymamrotał niewyraźnie. Wzdychając ciężko, odwrócił głowę.

– Czy dębom można ufać? – zapytałam.

– Kiedyś można było – odparł.

Ponieważ zamilkł, skupiłam się Corbanie, dzieląc się z nim najistotniejszą wiedzą, jaką posiadałam na temat wampirów.

– Wampira można zabić, przebijając mu serce drewnianym kołkiem, odcinając głowę lub topiąc w święconej wodzie. To ostatnie to mało praktyczny sposób, chyba że ma się pod ręką basen i księdza, który go poświęci. Poza tym można je spalić na słońcu lub za pomocą ognia. Dla pewności lepiej zastosować kombinację dwóch metod.

– A czosnek?

– Nie. Choć znajomy wampir powiedział mi, że jeśli krwiopijca ma do wyboru dwie ofiary, w tym jedną cuchnącą czosnkiem, większość będzie żerowała na tej beczosnkowej. Ale to i tak nie ma znaczenia, bo nie dysponujemy czosnkiem. Kołkami zresztą też nie.

– O promieniach słonecznych też słyszałem, lecz jakoś nie widzę, żeby Blackwood miał z tym kłopot.

– Potrafi przejmować moc tych, na których żeruje. – Wskazałam

brodą dębca, ze względu na Chada postanawiając nie zagłębiać się w szczegóły wymiany krwi. – Ten tu dżentelmen odżywia się światłem słonecznym, dzięki temu Blackwood zyskał odporność na słońce.

– I krwią – dodał dębiec. – Dawnymi czasy składano nam ofiary z krwi, żeby drzewa dobrze się czuły. Teraz on karmi mnie też krwią, inaczej nie przeżyłbym w tej żelaznej celi.

Blackwood więził go od prawie stu lat. Myśl ta zabijała resztki optymizmu, jakie pozostały we mnie po podróży z Tri-Cities. Ale z drugiej strony dębiec nie był towarzyszem wilkołaka ani nie łączyły go więzy z wampirem.

– Zabiłaś już jakiegoś? – zapytał dębiec.

– Tak. Jednego nie sama, a drugiego w ciągu dnia, gdy spał.

Chyba nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Rozumiem. Myślisz, że z tym też ci się uda?

Popatrzyłam wymownie na kraty.

– Nie bardzo to widzę. Nie mam kołka, basenu święconej wody, ognia... – Powiedziawszy to, zorientowałam się, że wokół nie było prawie nic łatwopalnego. Prycza Chada, nasze ubrania... To wszystko.

– Ja też na nic się nie przydam – stwierdził Corban. – Nie potrafiłem nawet powstrzymać się przed porwaniem ciebie.

– Ten taser, którego użyłeś, to jeden z wynalazków Blackwooda?

– W zasadzie to nie taser. Taser to jedna z marek paralizatorów. Blackwood dostarcza swoje ogłuszacze pewnym agencjom rządowym, które wykorzystują je do przesłuchań, kiedy zależy im, aby nie zostawiać śladów na więźniach. Jest dużo silniejszy niż jakikolwiek taser. Nie są dostępne dla cywili, ale... – mówił z dumą, z dumą i zacięciem, jakby robił prezentację produktu. Zamilkł, zmitygowawszy się. – Przepraszam.

– Nie twoja wina. – Popatrzyłam na zeszywniałego ze strachu Chada. – Mógłbyś tłumaczyć to, co powiem?

– Jasne. – Sam także spojrzał na syna. – Dam mu znać, co będę robił. – Wykonał kilka ruchów rękami. – Mów.

– Blackwood jest wampirem – zaczęłam. – Oznacza to, że twój ojciec musi wykonywać jego polecenia, bo wampiry potrafią sobie podporządkować człowieka. Ja jestem trochę inna, chroni mnie to samo, co pozwala mi widzieć duchy i z nimi rozmawiać. Tylko dlatego nie może zrobić ze mną tego samego, co z twoim tatą. Przynajmniej na razie. Ale łatwo zobaczysz, kiedy ojciec znajduje się we władzy wampira. Blackwood nie zna języka migowego, dlatego nie pozwala twojemu ojcu tego robić. Jeśli tata przestanie do ciebie migać, to pierwszy znak. Poza tym tata mu się sprzeciwia, wtedy widać to w napięciu mięśni ramion...

Przerwałam, bo Chad zaczął gwałtownie wymachiwać rękoma. Pewnie w jego przypadku taka intensywność ruchów oznaczała krzyk.

Corban nie tłumaczył słów Chada, ale odpowiedział mu, migając bardzo powoli, jakby chciał się upewnić, że chłopak odczyta dokładnie każdy znak. Mówił przy tym na głos.

– Oczywiście, że jestem twoim ojcem. Trzymałem cię w ramionach tuż po urodzeniu, czuwałem przy tobie następnego dnia, kiedy omal nie umarłeś. Jesteś moim dzieckiem. Zasłużyłem sobie na to, by być twoim tatą. Blackwood pragnie, byś poczuł się samotny, opuszczony, żebyś się jeszcze bardziej bał. Jest oprawcą, który karmi się cudzym nieszczęściem tak samo, jak krwią. Nie pozwól mu wygrać.

Chad wysunął żuchwę, lecz zanim ujrzałam w jego oczach łzy, ukrył twarz na piersi Corbana.

Nie najlepszą chwilę wybrała Amber na wizytę.

– Gorąco tam na górze – oznajmiła wesolutko. – Będę spała tutaj, z wami.

– Masz klucze? – zapytałam, choć nie liczyłam na to, że Blackwood zapomniał o swojej obietnicy. Chciałam raczej zająć czymś Amber, dając Chadowi jeszcze chwilę z ojcem, zanim ją zobaczy.

– Nie, głupolu – roześmiała się. – Jim był na ciebie zły, kiedy mu powiedziałam. Nie pomogę ci uciec. Będę tu tylko spała. Fajnie, jak

na obozie.

– Podejź – rozkazałam, nie wiedząc, czy to zadziała. W ogóle mało wiedziałam o swoich możliwościach.

Podeszła. Ciekawe, czy uległa nakazowi, czy po prostu spełniła moją prośbę.

– Tak? – Zatrzymała się blisko krat. Wyciągnęłam do niej rękę. Patrzyła na nią przez chwilę, w końcu ją ujęła.

– Amber – zaczęłam poważnie, patrząc dawnej koleżance głęboko w oczy. – Chadowi nic się nie stanie, obiecuję.

– Tak, wiem – przytaknęła żywo. – Zajmę się nim.

– Nie. – Przełknęłam ślinę i kolejne słowa postarałam się wypowiadać władczo. – Jesteś martwa, Amber. – Jej mina nie zmieniła się ani na jotę. Zmrużyłam oczy, imitując zachowanie Adama. – Musisz mi uwierzyć. – W pierwszej chwili twarz Amber opromienił sztuczny uśmiech i już miała coś powiedzieć, kiedy popatrzyła na moją dłoń, a potem na męża i syna, który do tej pory nie zauważył matki. – Jesteś martwa – powtórzyłam z mocą.

Runęła tam, gdzie stała. Nie osunęła się łagodnie i z gracją. Przewróciła się, a jej głowa grzmotnęła o posadzkę z głuchym dudnieniem.

– Czy może ją przywołać z powrotem? – zapytał Corban nerwowo.

Przyklęknęłam, zamykając oczy.

– Nie – zapewniłam Whartona z większym przekonaniem, niż miałam ku temu podstawy. Kto wie co potrafił Blackwood? Ale Corban potrzebował uwierzyć, że dla Amber ten koszmar dobiegł końca. Tak czy owak, nawet jeśli ożywiłby ciało, nie byłaby to już Amber. Amber odeszła na zawsze.

– Dziękuję – rzekł ze łzami w oczach. Otarłszy twarz, dotknął ramienia syna. – Hej, słonko – odsunął się, żeby Chad mógł zobaczyć leżącą Amber. Wdali się w rozmowę. Corban grał twardziela, obdarowując syna łaską wiary, że każdy ojciec jest supermanem.

Wreszcie zasnęliśmy, odsuwając się od ciała Amber najdalej jak się dało. Corban i Chad przysunęli pryczę do krat, a ja położyłam się

po drugiej stronie, tuż przy nich. Chad wsunął rękę między kraty i przez cały czas trzymał mnie za ramię. Byłam tak zmęczona, że zasnąłabym nie tylko na zimnym betonie, ale nawet na łożu z gwoździ.

– Mercy? – Nie rozpoznałam głosu, lecz i betonowa posadzka była mi obca. Poruszyłam się, natychmiast tego żałując. Wszystko mnie bolało. – Mercy, już zmierzch. Blackwood niedługo zejdzie.

Usiadłam, spoglądając na dębca.

– Dobry wieczór. – Celowo nie użyłam jego imienia. Niektórzy nieludzie bywają na przewrażliwieni na tym punkcie, a sądząc z tego, jak często wypowiadał je Blackwood, dębiec należał właśnie do tej grupy. Nie przychodził mi do głowy żaden sposób, by podziękować dębcowi za spełnienie mojej prośby. – Spróbuję czegoś – rzekłam w końcu, przymknęłam powieki i wezwałam Stefana. Kiedy poczułam, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, otworzyłam oczy i roztarłam zeszywniały kark.

– Co robiłaś? – zapytał Corban.

– Nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi. Ale Blackwood nie może się o tym dowiedzieć, zresztą nie wiem, czy to coś da. – Miałam jednak nadzieję, że się udało. Nigdy nie czułam więzi ze Stefanem w ten sposób, co połączenia z Adamem. Jednak jeśli Blackwood nie zdążył jej zerwać, Stefan mógł mnie usłyszeć. Próbowałam też nawiązać kontakt ze stadem, lecz nie odebrałam niczego. I może dobrze. Blackwood twierdził, że ma swoje sposoby na wilkołaki, a ja nie miałam powodów, by mu nie wierzyć.

Potwór się nie pojawiał. Usiłowaliśmy ignorować leżące obok ciało Amber. Doceniłam chłód panujący w piwnicy. Duchy także nie przysły. Rozmawialiśmy o wampirach, powiedziałam im prawie wszystko, co wiedziałam o tych istotach, nie wyjawiając jedynie poszczególnych imion.

Stefan także się nie pokazał.

Po godzinach wypełnionych nudą i minutach wypełnionych skrępowaniem – kiedy któreś z nas musiało skorzystać z wiadra – położyłam się spać. Śniłam o owcach. Całych stadach owiec.



Gdzieś w połowie kolejnego dnia zaczęłam żałować, że nie zjadłam potężnej porcji potraw, które przygotowała Amber. Jeszcze bardziej niż głód dręczyło mnie pragnienie. Kostur pojawił się raz, ale kazałam mu zniknąć. Szeptalam, żeby nikt mnie nie usłyszał. Kiedy spojrzałam ponownie w kąt, gdzie stał, już go nie było.

Chad nauczył mnie i dębca, jak przeklinać w języku migowym. Ćwiczyliśmy różne obelgi, dopóki nie poruszaliśmy rękoma w miarę płynnie. Po wszystkim bolały mnie palce, przynajmniej chłopiec miał się czym zająć.

Blackwood zwrócił wreszcie na nas swoją uwagę. Poznaliśmy po tym, że Corban nagle zaciął się w środku zdania, a kilka minut później odwrócił głowę w stronę drzwi.

– Gdzie ja teraz znajdę dla was kucharza? – westchnął wampir, stając w progu. Zabrał ciało Amber i wrócił po jakimś czasie, niosąc jabłka, pomarańcze oraz butelkę wody. Wrzucił nam zapasy przez kraty.

Roztaczał wokół siebie woń Amber, zgnilizny i ziemi. Prawdopodobnie zakopał ciało gdzieś w ogrodzie. Zabrał na górę Corbana, który po powrocie słańiał się na nogach. Na szyi miał ślad po świeżym ukąszeniu.

– Mój przyjaciel robi to znacznie lepiej – zauważyłam, kiedy Blackwood, odprowadziwszy Corbana, zatrzymał się przy celi, spoglądając na Chada. – Nie zostawia po sobie ran.

Wampir zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz i schował do kieszeni.

– Za każdym razem, kiedy otwierasz usta, zastanawiam się, jakim cudem Marrok nie skręcił ci karku już całe lata temu. Ale dobrze. – Uśmiechnął się złośliwie. – Skoro przez ciebie jestem głodny, ty mnie nakarmisz.

Przeze mnie jest głodny... Rozwścieczyłam go chyba, odsyłając duszę Amber. Świetnie. Teraz wystarczy, żeby zrobił więcej zombie, a ja je poodsyłam. Może dzięki temu osłabnie ze złości i będziemy mogli go pokonać. Problem w tym, że to my stanowiliśmy jedyny dostępny materiał na żywe trupy.

Otworzył moją celę. Musiałam się bardzo starać, żeby nie poddać się panice. Opierałam mu się. Nie sędzę, żeby się tego spodziewał. Lata treningów wyrobiły we mnie refleks, a poza tym jestem szybsza od człowieka. Ale choć jedno jabłko może odsunąć widmo śmierci głodowej, na pewno nie stanowi diety zalecanej sportowcom, szczególnie przed sparringiem z wampirem. Szybko, zbyt szybko unieruchomił mnie i zaczął żerować. Tym razem nie przejmował się, że sprawia mi ból. Bolało od momentu, kiedy wgrzył się w moją szyję, aż do samego końca. Prawdopodobnie miało to być rodzaj kary, albo za uwagę o Stefanie, albo za problemy, których mu przysporzyłam. Gdy przystąpił do karmienia mnie własną krwią, broniłam się z całych sił. Wreszcie rozwarł mi siłą szczękę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

Ocknęłam się, leżąc na posadzce w celi. Blackwooda nie było. Chad hałasował, żeby zwrócić moją uwagę.

Próbowałam wstać, kiedy jednak okazało się, że mogę zaledwie podnieść się na czworaka, zrezygnowałam i usiadłam. Chad uspokoił się, widząc, że dochodzę do siebie. Skorzystałam z jego nauk i zrobiłam gest wulgarnie wyrażający moje emocje, po czym zaczęłam niezdarnie migać litera po literze:

„Dość tego. Koniec z uprzejmościami. Następnym razem go oskalpuję”.

Dzieciak uśmiechnął się słabo. Corban siedział pośrodku celi, wpatrując się w pęknięcie w betonie.

– Dębcze? Jest noc czy dzień? – westchnęłam znużona.

Zanim zdążył odpowiedzieć, w mojej klatce pojawił się Stefan. Zamrugałam, gapiąc się na niego bezmyślnie. Przestałam już wierzyć, że przybędzie, ale uświadomiłam to sobie dopiero na jego widok. Dotknęłam ramienia Stefana, upewniając się, że jest prawdziwy.

Poklepał mnie po dłoni i popatrzył do góry, jakby potrafił przenikać wzrokiem sufit.

– Wie, że tu jestem, Mercy...

– Musisz zabrać stąd Chada – powiedziałam pośpiesznie.



– Chada? – Stefan podążył za moim spojrzeniem, zeszywniał na moment i zaczął kręcić głową.

– Blackwood zabił jego matkę – nie dopuściłam go do głosu. – A raczej przemienił w zombie i zostawił jako służącą, aż zabiłam ją naprawdę. Chad musi znaleźć się daleko stąd, gdzieś, gdzie będzie bezpieczny.

Stefan i dzieciak patrzyli na siebie.

– Jeśli go zabiorę, nie będę w stanie wrócić tu przez kilka dni. Będę nieprzytomny, a nikt nie wie, gdzie jesteś, oprócz mnie i... Marsilii – wypowiedział jej imię gniewnym tonem. – A ona nie ruszy palcem, żeby ci pomóc.

– Wytrzymam jeszcze kilka dni – zapewniłam z przekonaniem.

Stefan zacisnął pięści.

– Jeśli to zrobię, a ty przeżyjesz – zaczął gwałtownie – wybaczysz mi tamto.

– Tak. Zabierz stąd Chada.

Zniknął, pojawiając się natychmiast w sąsiedniej celi. Zaczął mówić do chłopca w języku migowym, ale zamarł, bo na schodach rozległy się kroki Blackwooda.

– Do Adama lub Samuela – ponagliłam go.

– Dobrze. Pamiętaj, masz przeżyć.

Odczekał, aż przytaknę, po czym zniknął wraz z Chadem.



Blackwooda bardziej rozwścieczyła wizyta Stefana niż ucieczka chłopca. Pieklił się, wymyślał mi, a w pewnej chwili doszłam do wniosku, że kolejnego razu już nie zniosę i złamię obietnicę daną Stefanowi. Prawdopodobnie pomyślał to samo, bo zostawił mnie w spokoju.

– Są sposoby na trzymanie innych wampirów z dala od mojego domu – oświadczył, stojąc nade mną. – Niestety, wymagają wiele wysiłku. Nie sądzę, żeby twój koleżka Corban przeżył moje późniejsze uzupełnianie energii. – Pochylił się. – Ach, wreszcie zaczynasz się bać. Dobrze. – Wciągnął zapach nozdrzami, jak kiper

wąchający wyrafinowany trunek. I wyszedł.

Zwinęłam się na posadzce, tuląc do siebie żal i... kostur. Dębiec poruszył się czujnie w swojej celi.

– Co tam masz, Mercy?

Z trudem pomachałam kijem, żeby mógł mu się przyjrzeć. Nie bolało tak bardzo, jak się spodziewałam.

Zapadła chwila ciszy.

– Jak się tu znalazł? – zapytał wreszcie dębiec nabożnym tonem.

– To nie moja wina – zaczęłam się tłumaczyć. Usiadłam, zdając sobie sprawę, że Blackwood musiał się chyba powstrzymać bardziej, niż sądziłam, bo wszystkie kości miałam całe. Co prawda trudno byłoby znaleźć jakąś nieobitą część na moim ciele, ale nie miałam nic złamanego, a to już coś.

– Słucham? – zdziwił się dębiec.

– Próbowałam zwrócić kostur – wyjaśniłam. – Jednak ciągle się pojawia. Znika, jeśli mu każę, ale po jakimś czasie znów wraca.

– Czy pozwolisz, że mu się przyjrzę? – poprosił dębiec oficjalnie.

– Jasne. – Próbowałam rzucić mu laskę, ale mimo że odległość pomiędzy celami nie była duża, obolałe ciało słuchało mnie opornie. Za pierwszym razem kij wylądował w połowie drogi, ale dopóty wpatrywałam się w niego z wyrzutem, dopóki nie przytoczył się z powrotem do krat. Udało mi się dopiero za trzecią próbą. Dębiec złapał kostur.

– Och, co za piękna robota, Lugh – gruchał, gładząc kostur. Przytulił go do policzka. – Podąża za tobą, Mercy, bo jest ci coś winien. – Uśmiech ożywił pomarszczoną twarz barwy ciemnego drewna i rozjaśnił czarne oczy, aż zabłysnęły fioletem. – I dlatego, że cię lubi.

Już miałam coś powiedzieć, kiedy przeszkodziła mi fala magii przetaczająca się przez pomieszczenie. Twarz dębca stężała.

– Skrzacia magia – rzekł. – Chce z jej pomocą zablokować dostęp tamtemu wampirowi. Skrzacia była tu już przede mną, znalazła ukojenie zeszłej wiosny. Nadal posiada jej moc niemal w pełni. – Zerknął na Corbana. – To, co teraz robi, naprawdę przyprawi

twojego kolegę o wielki ból.

Mogłam zrobić tylko jedno, a to oznaczało niedotrzymanie słowa danego Stefanowi. Nie mogłam jednak biernie przyglądać się, jak Blackwood zabija Corbana.

Rozebrałam się i przemieniłam. Miałam nadzieję, że pręty klatki nie są zbyt gęsto rozstawione. Kojoty mają wąskie tułowia. Bardzo wąskie. Jeśli udało mi się przez coś przepchnąć łeb, mogłam precyzyjnie się cała. Znalazłszy się poza celą, otrzepałam się i stanęłam, obserwując, jak otwierają się drzwi.

Blackwood nie zwracał na mnie uwagi, skupiony całkiem na Whartonie. Zaatakowałam go znienacka. Szybkość to jedyna moja fizyczna przewaga w formie kojota. Poruszam się tak prędko jak większość wilkołaków i z tego, co zaobserwowałam, większość wampirów. Powinnam być osłabiona i wolniejsza przez niedożywienie i lanie, jakie sprawił mi Blackwood, a także przez to, że na mnie żerował. Jednak wymiana krwi miała obustronne efekty. Zupełnie o tym zapomniałam. Krew Potwora dodała mi siłę. Żałowałam tylko, że nie ważę kilkuset kilogramów zamiast niecałych piętnastu. Udało mi się zadać Blackwoodowi tylko powierzchowne rany, które natychmiast się zasklepiły. W pewnym momencie chwycił mnie obiema rękami i rzucił o posadzkę. Wydawało mi się, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Zdążyłam przekręcić się w locie, dzięki czemu wylądowałam na łapach, a nie na boku, jak chciał. Nie odniósłszy żadnych obrażeń, odbiłam się i skoczyłam do ataku. Niestety, ten pozbawiony był już elementu zaskoczenia. Gdybym uciekała, nie zdołałby mnie schwytać, ale w walce bezpośredniej przewaga prędkości nie liczyła się tak, jak gabaryty. Ugryzłam wampira w ramię, lecz nie chodziło o to, by zadać mu rany, a żeby go zabić. W tym wypadku kojot, bez względu na zwinność czy siłę, nie miał szans pokonać wampira.

Wycofałam się, szukając szansy na skuteczny atak, i wtedy... Mój przeciwnik runął twarzą na beton. Z jego pleców, niczym zwycięski proporzec, sterczał kostur.

– Byłem kiedyś niezłym włóczykiem – oświadczył dębiec. – Choć

Lugh i tak był lepszy. Wszystko, co stworzył, w razie potrzeby w jego rękach stawało się włócznie.

Ciężko dysząc, przeniosłam spojrzenie na Blackwooda. Poruszył się. Przemieniłam się z powrotem w człowieka, ponieważ w tej formie lepiej radzę sobie z otwieraniem drzwi, i popędziłam do kuchni, licząc, że znajdę tam nóż, którym dałoby się przeciąć kość. W drewniany blok stojący przy zlewku wetknięty był zarówno tasak, jak i duży nóż szefa kuchni. Złapałam oba i zawróciłam z powrotem do piwnicy.

Drzwi okazały się zamknięte, gałka ani drgnęła.

– Wpuść mnie – rozkazałam nieswoim głosem.

– Nie, nie – biadolił John. – Nie możesz go zabić, nie chcę być sam.

Lecz drzwi stanęły otworem i tylko to się dla mnie liczyło. Nie widziałam Johna, natomiast przy Blackwoodzie klęczała Catherine. Zerknęła na mnie przelotnie, całą uwagę skupiała na umierającym – przynajmniej taką miałam nadzieję – wampirze.

– Pozwól mi się napić – prosiła. – Pozwól mi się napić, a zajmę się nią.

Blackwood spojrzał na mnie, usiłując się dźwignąć.

– Pij – przyzwolił i posłał mi zjadliwy uśmiech.

Z tryumfalnym skrzykiem Catherine pochyliła się nad wampirem. Piła, kiedy tasak przeniknął jej niematerialne ciało, zagłębiając się w szyi Blackwooda. Topór sprawiłby się lepiej, ale przy sile, którą zapewniła mi krew Potwora, tasak także spełnił zadanie. Drugie cięcie oddzieliło do końca głowę, która przeturlała się pod moje stopy. Cofnęłam się machinalnie. Stojąc nad trupem z nożem w każdej dłoni, nie miałam szans poczuć obrzydzenia czy radości ze zwycięstwa. Całkiem materialna Catherine znajdowała się zaledwie na wyciągnięcie ręki ode mnie. Rozciągnęła w uśmiešku ociekające krwią wargi.

– Giń – rzekła, sięgając ku mnie...

Kilka miesięcy zeszłorocznych treningów sensei poświęcił na opanowanie walki sai. Noże nie były tak dobrze wyważone, choć równie skuteczne. W zasadzie była to rzeź, a udało mi się podołać

tylko dzięki odrzuceniu wszystkiego poza tu i teraz. Podłoga i ściany ociekały krwią, a Catherine pomimo moich wysiłków nadal żyła... albo nadal nie żyła. Noże utrzymywały ją na dystans, jednak zadawane rany nie wyrządzały wielkiej krzywdy.

– Rzuć mi kostur – zawołał dębiec.

Upuściłam nóż, chwytając za kostur. Wysunął się z pleców Blackwooda z taką łatwością, jakby nie chciał tam dłużej pozostawać. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że ma zaostrzoną końcówkę, ale musiałam skupić uwagę na Catherine, więc mogłam się mylić.

Rzuciłam go dębcowi i zaczęłam odciągać wampirzycę od celi Corbana, który w chwili odcięcia głowy Blackwoodowi runął bez ducha, jak przedtem Amber, i teraz leżał nieruchomo na podłodze. Miałam nadzieję, że nie umarł. Nawet jeśli, i tak nie mogłam teraz nic na to poradzić.

Kątem oka dostrzegłam, jak dębiec oblizuje zakrwawiony kostur językiem długim na przynajmniej dwadzieścia centymetrów.

– Krew śmierci jest najlepsza – wyjaśnił. Nagle cisnął kosturem w mur, mrużąc coś pod nosem...

Wybuch zbił mnie z nóg prosto na trupa Blackwooda. Poczulałam uderzenie w potylicę.



Zapatrzyłam się w plamę światła na dłoni. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że uderzenie musiało pozbawić mnie przytomności. Moja ręka tonęła w kupce popiołu. Cofnęłam ją gwałtownie. W popiele leżał klucz, jeden z tych bogato zdobionych kluczy uniwersalnych. Tylko dzięki silnej woli zmusiałam się do ponownego dotknięcia prochu, by go wydobyć. Bolała mnie każda część ciała, ale sińce, które wampir nabił mi po ucieczce Chada, prawie zupełnie zniknęły. Reszta bledła z każdą minutą.

Nie chciało mi się tego analizować.

Dębiec wyciągał rękę do światła, lecz nie był w stanie sięgnąć przez kraty wystarczająco daleko, by dotknąć jasnego kręgu, który

tworzyło słońce, wpadające przez wyrwę w murze.

Otworzyłam klatkę, ale dębiec nie ruszył się ani nie uniósł powiek. Musiałam go wywlec. Nie zauważyłam wcześniej, czy oddychał, czy nie. A raczej starałam się bardzo nie zwracać na to uwagi. Przecież możliwe, że nie oddychał. Chociaż nieludzi nie tak łatwo zabić.

– Mercy? – zawołał Corban.

Wpatrywałam się w niego przez moment, zastanawiając, co robić dalej.

– Możesz otworzyć celę? – zapytał łagodnie, tak jak mówi się do szaleńców.

Spojrzałam po sobie. Byłam naga i od stóp do głów umazana krwią. W rękę nadal ściskałam tasak. Palce tak mi zdrętwiały, że musiałam sobie pomóc, by go wyłuskać.

Klucz pasował także do klatki Corbana.

– Chad jest bezpieczny, pod opieką moich przyjaciół – mówiłam niewyraźnie, jakbym doznała wstrząsu. Uświadomiwszy to sobie, otrząsnęłam się trochę i kolejne słowa zdołałam wypowiedzieć wyraźniej. – Takich, którzy będą w stanie obronić go przed rozszalałym wampirem.

– Dziękuję. Długo leżałaś nieprzytomna. Jak się czujesz?

– Boli mnie głowa.

– Chodź, musisz się umyć.

Poprowadził mnie na górę. Nie pomyślałam o zabraniu ubrań, póki nie stanęłam sama w wielkiej czarno-złotej łazience. Odkręciłam wodę w prysznicu.

– John? – Nie musiałam go szukać, czułam obecność ducha chłopaka. – Już nigdy nie wolno ci nikogo skrzywdzić. – Napór magii powiedział mi, że mój dar zadziałał. – I wynoś się z łazienki – dodałam.

Wyszorowałam się i owinęłam w ręcznik, który wystarczyłby na trzy mnie. Kiedy wyszłam, Corban krążył nerwowo po korytarzu.

– Kogo mam zawiadomić o tym, co tu się stało? Nie wygląda to najlepiej. Blackwood zniknął, Amber nie żyje, pewnie leży zakopana

gdzieś w ogrodzie. Jestem prawnikiem i gdybym był swoim klientem, doradziłbym sobie przyznanie się do winy i pójście na układ bez procesu.

Bał się.

Dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że przeżyliśmy. Blackwood i jego babciowa duchowampirzyca zostali wyeliminowani. A przynajmniej taką miałam nadzieję. W piwnicy była tylko jedna kupka prochów.

– Wiesz, co stało się z tym drugim wampirem? – zapytałam.

– Jakim drugim? – zdziwił się.

– Nieważne. Pewnie słońce ją zabiło.

Na małym stoliku w salonie znalazłam telefon. Wykręciłam numer do Adama.

– Cześć – wychrypiałam, jakbym przez całą noc paliła cygaro za cygarem.

– Mercy? – usłyszałam i w tej chwili poczułam, że jestem bezpieczna.

Usiadłam na podłodze.

– Cześć – powtórzyłam.

– Chad powiedział nam, gdzie jesteście. Będziemy tam za dwadzieścia minut.

– Chad wam powiedział? – Stefan pewnie nadal był nieprzytomny. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że chłopiec może przekazać wilkołakom informacje za pomocą zwykłej kartki i długopisu. Co za idiotka ze mnie.

– Co z Chadem? – dopytywał się Corban zdenerwowany.

– Wszystko w porządku. Jedzie tu na czele odsieczy.

– Wygląda na to, że nie potrzebujecie odsieczy – zauważył Adam.

Potrzebuję ciebie, pomyślałam.

– Blackwood nie żyje.

– Domyśliłem się, skoro do mnie dzwonisz.

– Gdyby nie dębiec, mogłoby się to fatalnie skończyć. On chyba nie przeżył.

– W takim razie chwała mu – wtrącił Samuel. – Śmierć w walce ze

złem nie jest tragedią, Mercy. Chad pyta o ojca.

Otarłam łzy i wzięłam się w garść.

– Powiedz mu, że tacie nic nie jest. Oboje wyszliśmy z tego cało. – Przyjrzałam się blednącym siniakom na nogach. – Moglibyście... Moglibyście wstąpić po drodze do sklepu i kupić żółtą resorówkę? Przywieźcie ją ze sobą.

W słuchawce zaległa cisza.

– Żółtą resorówkę? Samochodzik? – zdumiał się Adam.

– Tak. – Przypomniałam sobie coś jeszcze. – Corban martwi się, że policja obwini go o zabicie Amber i Blackwooda, choć drugiego ciała na pewno nie znajdą.

– Nie przejmuj się tym – uspokoił mnie Adam. – Wszystkim się zajmiemy.

– Dziękuję. – Nagle uświadomiłam sobie inną ważną rzecz. – Adam? Boję się, że wampiry będą chciały pozbyć się Chada i Corbana. Whartonowie za dużo o nich wiedzą.

– Tylko ty, Stefan i stado znają sprawę. Stada to nie obchodzi, a Stefan ich nie zdradzi.

Przycisnęłam słuchawkę tak mocno, że aż zabołało.

– Kocham cię – powiedziałam.

– Zaraz tam będę.



Zostawiwszy Corbana w salonie, zeszłam niechętnie do piwnicy. Nie chciałam sprawdzać, czy dębiec naprawdę nie żyje, nie chciałam natknąć się na Catherine, jeśli nadal tam była... W takim wypadku na pewno by mnie zabiła. Ale nie chciałam też paradować nago, kiedy przyjedzie Adam.

Dębiec zniknął. Uznałam to za dobry znak. Z tego, co wiedziałam, nieludzie nie obracają się w pył po śmierci i nie rozwiewają bez śladu. Skoro więc nie zastałam go w piwnicy, znaczyło, że sobie poszedł.

– Dziękuję – wyszeptałam do pustki. Ubrałam się szybko i wróciłam na górę, żeby poczekać z Corbanem na ratunek.



Adam przyjechał i miał ze sobą żółty samochód, o który prosiłam. Kupił model garbusa w skali jeden do szesnastu. Wyjął zabawkę z pudełka i razem poszliśmy do pokoju, w którym ocknęłam się za pierwszym razem.

– To dla ciebie – powiedziałam.

Nikt mi nie odpowiedział.

– Zdradzisz, o co chodzi? – zapytał Adam, gdy wracaliśmy na górę.

– Kiedyś. Jak będziemy przy ognisku opowiadać sobie historie o duchach i będę cię chciała przestraszyć.

Uśmiechnął się, obejmując mnie ramieniem.

– Jedźmy do domu.

Zacisnęłam dłoń na wisiorcu z barankiem, który znalazłam przy telefonie w salonie. Zupełnie jakby ktoś go tam dla mnie zostawił.



## Rozdział 13

**W** sobotę zabraliśmy się do malowania warsztatu. Zgodnie z obietnicą Wulfe usunął z drzwi znak kości. Mógł pewnie pomalować drzwi, lecz udało mu się sprytnie usunąć sam znak, nie ruszając pokrywającego go graffiti. Uznałam, że zrobił to specjalnie. Siostry Gabriela były niepokieszone, że wybrałam białą farbę zamiast, jak sugerowały, różowej. Widząc ich rozczarowanie, pozwoliłam pomalować na różowo drzwi. W końcu to warsztat, cóż komu szkodzi.

– To tylko warsztat – powiedziałam Adamowi, który bez przekonania patrzył na jaskrawy róż. – Co to komu szkodzi?

Roześmiał się, kręcąc głową.

– Razi nawet w nocy. Hej, już wiem, co ci kupię na urodziny. Zestaw kluczy nasadowych z różową lub liliową rączką. Może nawet w panterkę...

– Mylisz mnie z moją matką – prychnęłam urażona. – To tani lakier w spreju. Żaden szanujący się producent nie ma takiego koszmarnego różu w palecie barw. Zaczekaj kilka tygodni, a wyblaknie i stanie się ohydny, pomarańczowym różem. Wtedy znów zatrudnię dzieciaki i pomalujemy to na zielono albo brązowo.

– Policja przeszukała dom Blackwooda – spowaźniał Adam. – Nie

znaleźli ani jego ciała, ani ciała Amber. Oficjalnie podejrzewają, że uciekli razem. Wiem, że to kała dobre imię Amber – westchnął – ale to najsensowniejsza historyjka, jaką zdołaliśmy wymyślić bez wplątywania w to Corbana.

– Ci, którzy powinni, znają prawdę – pocieszyłam go. Amber nie miała żadnej innej bliskiej rodziny, na której opinii by jej zależało. W niedalekiej przyszłości planowałam wycieczkę do Mesy w Arizonie, gdzie mieszkała teraz Char. Zamierzałam jej o wszystkim opowiedzieć, bo Amber naprawdę się z nią przyjaźniła. – Myślisz, że nie będzie żadnych kłopotów?

– Ci, którzy powinni, znają prawdę – powtórzył moje słowa Adam. – Nieoficjalnie, Blackwood napędził stracha wielu osobom, które z zadowoleniem przyjęły wieść o jego zniknięciu. Nikt nie będzie w tym grzebał.

– Dobrze. – Poglądziłam śnieżnobiałą ścianę przy drzwiach. Wyglądała o niebo lepiej. Miałam nadzieję, że nie odstraszy klientów. Ludzie są dziwni. Moi klienci, patrząc na zaniedbany warsztat, wiedzieli, że nie wyciągam z nich pieniędzy na remonty.

W zamian za odstąpienie od skargi Courtney zapłaciła za całą farbę i robociznę. Uznałam, że to wystarczy.

– Słyszałem, że wymyśliliście coś z Zee w sprawie warsztatu?

– Tak. Powiedział, że mam mu zapłacić natychmiast, a ponieważ jest Pradawnym, nie było wyjścia. Dlatego pożycz mi pieniądze na spłatę całości i rozłóż pożyczkę na raty na poprzednich warunkach.

Adam otworzył i przytrzymał mi różowe drzwi.

– Więc płacisz mu tyle, co przedtem. – Roześmiał się.

– Wujek Mike tak to wymyślił, Zee był zachwycony. – Albo raczej niezwykle rozbawiony. Nieludzie mają dziwaczne poczucie humoru.

Na stołku za kasą siedział Stefan. Dwie doby przeleżał w piwnicy Adama, po czym zniknął bez słowa.

– Cześć, Stefan – powitałam go.

– Przyszedłem cię poinformować, że nasza więź została zerwana

– oświadczył sztywno. – Blackwood to zrobił.

– Kiedy? – zdziwiłam się. – Nie miał przecież tyle czasu. Przybyłeś na moje wezwanie, a zaraz potem Blackwood zginął.

– Pewnie wtedy, gdy na tobie żerował za pierwszym razem, bo kiedy Adam zadzwonił i powiedział, że zniknęłaś, nie potrafiłem cię namierzyć.

– To jak mnie znalazłeś?

– Dzięki Marsilii.

Przyjrzałam się Stefanowi, ale nie potrafiłam odczytać z jego miny, ile kosztowała go prośba o pomoc ani co musiał obiecać w zamian.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – obruszył się Adam. – Poszedłbym z tobą.

Wampir uśmiechnął się ponuro.

– Wtedy niczego bym się nie dowiedział.

– Znała kryjówkę Blackwooda? – zdziwił się Adam.

– Na to liczyłem. – Stefan wziął do ręki długopis i zaczął się nim bawić. Musiałam niedawno go używać, bo palce wampira szybko pokryły się tłustym brudem. – Ale nie. Za to powiedziała, że Mercy ma dla mnie wiadomość w kopercie zabezpieczonej krwią i woskiem. Jej krwią. Mogła wysledzić pieczęć. A ponieważ koperta znajdowała się gdzieś w okolicach Spokane, doszliśmy do wniosku, że Mercy ma ją ze sobą.

Wyciągnęłam pognieciony list z tylnej kieszeni spodni. Nie została wyprana razem džinsami tylko dlatego, że Samuel miał obsesję przetrzepywania wszystkich kieszeni przed wrzuceniem ubrań do pralki. Wiecznie gderał coś o śrubkach i nakrętkach, które hałasują w bębnie. Podejrzewałam, że pił do mnie, choć może byłam przewrażliwiona.

Stefan wziął kopertę, jakby była butelką nitrogliceryny. Odpieczętował i przeczytał. Po skończeniu zmiął list w kulę i wbił wzrok w kontuar.

– Pisz... – zaczął niskim, równym głosem – że moi ludzie są bezpieczni. Razem z Wulfe'em ukryli ich i przekonali mnie, że nie

żyją. Musiałem w to uwierzyć, a także w to, że Marsilia wyłączyła mnie z chmary. Żyją, nic im nie jest. – Zawiesił głos. – Marsilia chce, żebym wrócił do domu.

– Co zrobisz? – zapytał Adam.

Ja raczej nie miałam wątpliwości, mimo to liczyłam, że Marsilia będzie musiała sobie na to mocno zapracować. Co prawda nie zabiła ludzi Stefana, ale zrobiła im krzywdę, czuł ich ból.

– Przemyślę to – odparł, potem wyprostował list i przeczytał jeszcze raz.

– Ej, Stefan? – Popatrzył na mnie. – Jesteś niesamowity, wiesz? Naprawdę jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Wiem, ile ryzykowałeś.

Uśmiechnął się, składając pieczołowicie kartkę.

– Ty też jesteś niesamowita. Jeśli kiedyś będziesz miała ochotę posłużyć mi za kolację... – Zniknął bez pożegnania.

– Zabierz torebkę i idziemy. Nie możemy się spóźnić – popędził mnie Adam.

Wybieraliśmy się do Richland, gdzie lokalna operetka wystawiała „Piratów z Penzance”. Tylko Gilbert, Sullivan i piraci, żadnych wampirów, obiecał.

Przedstawienie okazało się wspaniałe. Śmiałam się do rozpuku, a wychodząc, nuciłam pod nosem arię finałową.

– Masz rację – powiedziałam. – Ten facet grający Króla Piratów był boski.

Zatrzymał się jak wryty.

– No co? – Zmarszczyłam brwi zaskoczona jego szerokim uśmiechem.

– Nie mówiłem, że Król Piratów mi się podobał.

– Och... – Zamknęłam oczy i poczułam to. Ciepłą, podekscytowaną obecność tuż na granicy świadomości. Kiedy uniosłam powieki, stał przede mną. – Super – ucieszyłam się. – Znowu jesteś.

Całował mnie niespiesznie, a kiedy skończył, byłam bardziej niż gotowa, żeby wracać do domu. I to szybko.

– Rozśmieszasz mnie – powiedział poważnie.



Na noc wróciłam do siebie. Samuel kończył dyżur o świcie, a chciałam być w domu, kiedy wróci.

Zatrzymałam się jednak w progach, coś mnie tknęło. Wciągnęłam głęboko powietrze, lecz nie wyczułam żadnych wampirów czających się w okolicy. Za to pod oknem mojej sypialni stał dąb.

Na pewno nie było go tam rano, kiedy wychodziłam malować warsztat. Ale teraz rósł sobie, dąb o dość grubym pniu i koronie wystającej trochę ponad dach domu. Ziemia wokół nie była poruszona, drzewo wyglądało tak, jakby rosło w tym miejscu od jakiegoś czasu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziałam. Wchodząc do domu, potknęłam się o kostur. – O, jesteś.

Położyłam go na łóżku i poszłam pod prysznic, a kiedy wróciłam, nadal leżał na kołdrze. Ubrałam się w jedną z flanelowych koszul Adama. Jesienne noce bywały chłodne, a mój współlokator uparcie odmawiał podkręcenia ogrzewania. Poza tym pachniała Adamem.

Słyszając dzwonek do drzwi, naciągnęłam szybko spodenki i poszłam otworzyć, zostawiając kostur tam, gdzie leżał.

Na ganku stała Marsilia, ubrana w dżinsy biodrówki i czarny wydekolutowany sweterek.

– Mój list został otwarty dzisiaj po południu – powiedziała bez wstępów.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach, nie zapraszając jej do środka.

– Owszem, przekazałam go dzisiaj Stefanowi.

Postukała stopą w deski.

– Przeczytał?

– Nie zabiłaś jego ludzi – wyrecytowałam znudzonym tonem. – Zraniłaś ich i zerwałaś ich więzy, pozwalając Stefanowi myśleć, że nie żyją.

– To źle? – Uniosła brew. – Inny Pan zabiłby jego menażerię bez mrugnięcia oka, tak byłoby łatwiej. Gdyby Stefan był sobą, wiedziałby, co zrobiliśmy. Och, rozumiem. Ty też martwiłaś się o

jego owce. Chyba lepiej, że choć trochę poobijani, to żyją, prawda?

– Po co tu przyszłaś?

Twarz Marsilii zastygła w obojętną maskę. Już myślałam, że nie odpowie.

– Ponieważ mój list został przeczytany, a Stefan nie wrócił.

– Torturowałaś go – uniosłam się. – Niemal zmusiłaś do czegoś, czego nigdy nie zrobiłby z własnej woli...

– Żałuję, że cię nie zabił – oświadczyła z rozbrajającą szczerością.

– Tyle że potem by cierpiał. Znam Stefana. Wiem, jaki jest opanowany. Nawet przez moment nie groziło ci niebezpieczeństwo.

– Nie uwierzy w to. A teraz rzucasz mu kość: „Słuchaj, Stefan, męczyliśmy cię, zraniliśmy, opuściliśmy, ale to wszystko dla większego dobra. Chcieliśmy, by Andre zginął, i dlatego pozwoliliśmy, żebyś miesiącami cierpiał wyrzuty sumienia, bo mieliśmy w tym cel”. I jeszcze pytasz, dlaczego nie wrócił?

– On to rozumie.

– Owszem – zgodził się Stefan, kładąc mi dłonie na ramionach i wciągając głębiej do domu. – Rozumiem dlaczego i jak.

Wpatrywała się w niego i na moment ujrzałam, jak bardzo jest stara i znużona.

– Dla dobra chmary – rzekła do niego.

Wsparł brodę na czubku mojej głowy.

– Wiem. – Otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie. – Wiem i wrócę. Ale jeszcze nie teraz. – Westchnął mi we włosy. – Jutro. Zabiorę od ciebie moich ludzi. – I zniknął.

Marsilia zwróciła na mnie spojrzenie.

– Jest żołnierzem, rozumie poświęcenie dla dobra ogółu. To właśnie robią żołnierze. Nie chodzi mu o tortury ani nawet o to oszustwo z menażerią. Jest wściekły, bo narażałam cię. – A potem dodała bardzo spokojnie: – Gdybym mogła, zabiłabym cię.

I zniknęła, podobnie jak wcześniej Stefan.

– I wzajemnie – burknęłam do pustki, gdzie jeszcze przed chwilą stała.





COPYRIGHT © 2009 BY Hurog, Inc.  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011  
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Dominika Schimscheiner, 2011

TYTUŁ ORYGINAŁU Bone Crossed

WYDANIE II

ISBN 978-83-7574-210-7

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE © Dan Dos Santos

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Celina Nikolska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

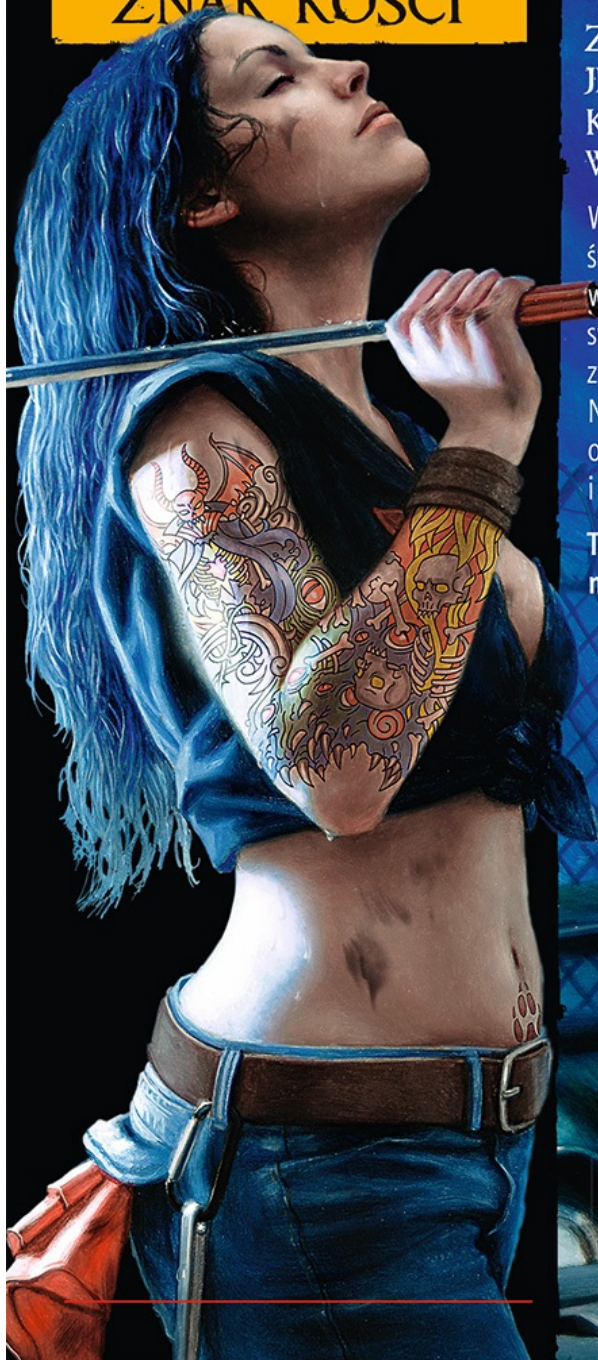
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

# PATRICIA BRIGGS

## ZNAK KOŚCI



Zmiennokształtna Mercedes Thompson ma za sobą ciężkie chwile. Najchętniej zamknęłaby się w swoim warsztacie i zajęła tym, co lubi – naprawą samochodów. Niestety, rzeczywistość nie chce o niej zapomnieć!

**ZNACIE TO POWIĘDZENIE: JEŚLI GDZIEŚ SĄ JAKIEŚ KŁOPOTY, TO MERCY WPADNIE W NIE NA PEWNO.**

Wampiry wydają na nią wyrok śmierci, despotyczny samiec Alfa wilkołaczej sfory chce z niej zrobić swoją partnerkę, u przyjaciółki z dzieciństwa załagł się duch... Na dodatek domu Mercy nie chce opuścić wyjątkowo samodzielna i magiczna laska.

**To chyba za dużo dla jednego, małego kojota! No mercy, Mercy!**



MAJĄCY TOM:

 [facebook.com/fabryka](https://facebook.com/fabryka)

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)